

HARLAN COBEN

Za wszelką cenę

Thriller



ALBATROS

„Odsiaduję piąty rok dożywocia za zamordowanie własnego dziecka.

Nie będę was trzymał w niepewności: nie zrobiłem tego”.

David i Cheryl Burroughs wiodą szczęśliwe życie – mają piękny dom na przedmieściach i trzyletniego syna Matthew – kiedy dochodzi do morderstwa.

David nie pamięta zdarzeń z tej nocy, ale wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu. Kilka lat później w więzieniu, gdzie odsiaduje wyrok dożywocia, zjawia się siostra byłej żony ze zdjęciem, na którym widać chłopca wyglądającego jak Matthew... tylko pięć lat starszego. David zdaje sobie sprawę, że to niemożliwe, ale chce wierzyć, że syn żyje.

Zdeterminowany, zrobi wszystko, by wyjaśnić, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy, a przede wszystkim odnaleźć syna. Jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, jest ucieczka z więzienia i przetrwanie na wolności. Za wszelką cenę.

HARLAN COBEN

Za wszelką cenę

Z angielskiego przełożył
ROBERT WALIŚ

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

HARLAN COBEN

Współczesny amerykański pisarz, który uznanie w kręgu miłośników literatury sensacyjnej zdobył swoją trzecią książką, **Bez skrupułów**, opublikowaną w 1995 roku. Jako pierwszy współczesny autor otrzymał trzy prestiżowe nagrody literackie przyznawane w kategorii powieści kryminalnej, w tym najważniejszą – Edgar Allan Poe Award. Światowa popularność Cobena zaczęła się w 2001 roku od thrillera **Nie mów nikomu**, zekranizowanego w 2006 roku. Kolejne powieści, m.in. **Wszyscy mamy tajemnice, Tęsknię za tobą, Nieznajomy i Już mnie nie oszukasz**, uczyniły go megagwiazdą gatunku i jednym z najchętniej czytanych autorów, także w Polsce.

W 2018 roku platforma Netflix zawarła z Harlanem Cobenem umowę, dzięki której w ciągu kilku najbliższych lat powstanie aż 14 ekranizacji jego powieści! Zaowocowało to m.in. popularnymi polskimi serialami **W głębi lasu** oraz **Zachowaj spokój**, a także innymi produkcjami: **Nieznajomy, Niewinny, Bez pożegnania i Zostań przy mnie**.

W 2023 roku na platformę Prime wszedł serial na podstawie książki **Schronienie**. To początek współpracy mistrza thrillera z kolejnym gigantem medialnym.

harlancoben.com

Tego autora

NIE MÓW NIKOMU
BEZ POŻEGNANIA
JEDYNA SZANSA
TYLKO JEDNO SPOJRZENIE
NIEWINNY
W GŁĘBI LASU
ZACHOWAJ SPOKÓJ
MISTYFIKACJA
NA GORĄCYM UCZYNKU
KLINIKA ŚMIERCI
ZOSTAŃ PRZY MNIE
SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ
TĘSKNIĘ ZA TOBĄ
NIEZNAJOMY
JUŻ MNIE NIE OSZUKASZ
NIE ODPUSZCZAJ
O KROK ZA DALEKO
CHŁOPIEC Z LASU
BRAKUJĄCY ELEMENT
ZA WSZELKĄ CENĘ

Myron Bolitar i Win
BEZ SKRUPUŁÓW
KRÓTKA PIŁKA
BEZ ŚLADU
BŁĘKITNA KREW
JEDEN FAŁSZYWY RUCH

OSTATNI SZCZEGÓŁ
NAJCZARNIEJSZY STRACH
OBIECAJ MI
ZAGINIONA
WSZYSCY MAMY TAJEMNICE
W DOMU
MÓW MI WIN

Mickey Bolitar
SCHRONIENIE
KILKA SEKUND OD ŚMIERCI
ODNALEZIONY

Tytuł oryginału:
I WILL FIND YOU

Copyright © Harlan Coben 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Robert Waliś 2023

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Przygotowanie okładki do druku: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Zdjęcie na okładce: © Ildiko Neer/Trevillion Images

ISBN 978-83-8361-025-2

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu elektronicznego

woblink
woblink.com

Spis treści

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Część druga. Dwanaście godzin później

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Część trzecia

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Osiem miesięcy później

Podziękowania

Dla moich siostrzeńców i siostrzenic:
Thomasa, Katharine, McCalluma, Reilly'ego, Doveya,
Aleka, Genevieve, Mai,
Allany, Any, Mary, Mei,
Sama, Caleba, Finna,
Annie, Ruby, Delii,
Henry'ego i Molly

Kocham Was,
wujek Harlan

Część pierwsza

Rozdział 1

Odsiaduję piąty rok dożywocia za zamordowanie własnego dziecka.

Nie będę was trzymał w niepewności: nie zrobiłem tego.

Mój synek Matthew miał trzy lata, kiedy został brutalnie zabity. Był najlepszym, co mi się przydarzyło, ale go straciłem, a od jego śmierci odsiaduję wyrok dożywocia. Nie metaforycznie. A raczej nie tylko metaforycznie. Moje życie byłoby skończone, nawet gdybym nie został aresztowany, osądzony i skazany.

W moim wypadku wyrok dożywocia jest zarówno metaforyczny, jak i dosłowny.

Pewnie się zastanawiacie, jak to możliwe, że jestem niewinny?

Po prostu jestem.

Ale czy nie walczyłem i ze wszystkich sił nie zapewniałem o swojej niewinności?

Niespecjalnie. Myślę, że ma to związek z wyrokiem metaforycznym. Nie obchodziło mnie, czy zostanę uznany za winnego. Wiem – to wydaje się szokujące, ale wcale takie nie jest. Mój syn nie żyje. Oto sedno sprawy, wiadomość dnia i nagłówek. Mój syn odszedł i decyzja ławy przysięgłych nie mogła tego zmienić. Winny czy niewinny, zawiodłem własne dziecko. Matthew nie wróciłby do życia, gdyby ławnicy dostrzegli prawdę i mnie uwolnili. Ojciec powinien chronić syna. To jego najważniejsze zadanie. Chociaż tej okropnej nocy pięć lat temu to nie ja trzymałem w dłoniach broń, która zamieniła moje piękne dziecko w zmasakrowane zwłoki, nie udało mi się temu zapobiec. Nie spełniłem swojej powinności jako ojciec. Nie ochroniłem go.

Niezależnie od tego, czy popełniłem zabójstwo, czy nie, to moja wina i zasłużyłem na karę.

Dlatego niemal nie zareagowałem, gdy przewodnicząca ławy przysięgłych odczytała werdykt. Obserwatorzy, zgodnie z przewidywaniami, uznali, że zapewne jestem socjopata, psychopata, człowiekiem obłąkanym lub zaburzonym. Media twierdziły, że nie mam uczuć. Brakowało mi genu empatii, nie odczuwałem wyrzutów sumienia, miałem martwe spojrzenie i ogólnie stanowiłem podręcznikowy przykład zabójcy. Nic z tego nie było prawdą. Po prostu nie widziałem w tym wszystkim sensu. Otrzymałem druzgoczący cios, gdy tamtej nocy znalazłem synka, ubranego w piżamę z bohaterami Marvela. Ten cios rzucił mnie na kolana i nie potrafiłem się podnieść. Ani wtedy, ani później. Wciąż nie potrafię.

Rozpoczęła się dla mnie metaforyczna kara dożywocia.

Jeśli uważacie, że to będzie opowieść o niesłusznie skazanym człowieku, który dowodzi swojej niewinności, mylicie się. To nie byłaby ciekawa historia. Ostatecznie to nie ma znaczenia. Wyjście z tej piekielnej celi nie doprowadziłoby mnie do odkupienia. Mój syn wciąż byłby martwy.

W tym wypadku odkupienie jest niemożliwe.

A przynajmniej tak uważałem do chwili, gdy strażnik, wyjątkowy ekscentryk, którego nazywamy Kędziorem, wszedł do mojej celi i powiedział:

– Masz gościa.

Nie poruszyłem się, ponieważ myślałem, że mówi do kogoś innego. Siedzę tu już od niemal pięciu lat i jak dotąd nikt mnie nie odwiedził. W pierwszym roku próbował to zrobić mój ojciec. Podobnie jak ciocia Sophie i garstka przyjaciół oraz krewnych, którzy wierzyli w moją niewinność, a przynajmniej w to, że nie jestem naprawdę winny. Odmówiłem spotkania z nimi. Matka Matthew, wtedy jeszcze moja żona (dziś już nie, co nie jest niczym zaskakującym), także chciała się ze mną zobaczyć, choć bez entuzjazmu, ale do tego nie dopuściłem. Postawiłem sprawę jasno: żadnych widzeń. Nie użalałem się nad sobą, ale odwiedziny nie pomagają żadnej ze stron. Nie widziałem w tym sensu i nadal nie zmieniłem zdania.

Minął rok. Potem drugi. W końcu wszyscy przestali starać się o widzenia. Co prawda nikt, może poza Adamem, i tak nie rwał się do podróży do Maine, ale wiecie, o co mi chodzi. A teraz, po raz pierwszy od bardzo dawna, ktoś postanowił odwiedzić mnie w zakładzie karnym Briggs.

– Burroughs, idziemy – rzuca Kędzior burkliwie. – Masz gościa.

Krzywię się.

– Kto to?

– Wyglądam jak twoja sekretarka?

– Dobrze.

– Co?

– Ten tekst z sekretarką. Bardzo zabawny.

– Robisz sobie ze mnie jaja?

– Nie mam ochoty na odwiedziny – odpowiadam. – Odeślijcie tego kogoś.

Kędzior wzdycha.

– Burroughs.

– No co?

– Rusz dupę. Nie wypełniłeś formularzy.

– Jakich formularzy?

– Jeśli nie chcesz przyjmować gości, musisz wypełnić papiery – tłumaczy Kędzior.

– Myślałem, że jeśli ktoś chce się ze mną zobaczyć, musi się znajdować na mojej liście gości.

– Na liście gości – powtarza, kręcąc głową. – Myślisz, że jesteś w hotelu?

– W hotelach są listy gości? – ripostuję. – Tak czy inaczej, podpisałem jakiś papier, w którym zaznaczyłem, że nie życzę sobie odwiedzin.

– Kiedy tu trafiłeś.

– Właśnie.

Kędzior znów wzdycha.

- Trzeba podpisywać go na nowo co roku.
- Jak to?
- Wypełniłeś w tym roku formularz dotyczący zrzeczenia się odwiedzin?
- Nie.

Rozkłada ręce.

- No właśnie. Więc wstawaj.
- Nie możesz powiedzieć temu gościowi, żeby sobie poszedł?

– Nie, Burroughs, nie mogę i zaraz wytłumaczę dlaczego. Kosztowałoby mnie to więcej wysiłku niż zawleczenie cię do sali odwiedzin. Gdybym to zrobił, musiałbym wyjaśnić, dlaczego nie przyszedłeś, gość mógłby zadawać pytania, a potem musiałbym pewnie wypełnić jakiś formularz i łązić tam i z powrotem. Lepiej dla nas obu, żebym nie musiał tego robić. Dlatego powiem ci, co się stanie. Pójdiesz tam teraz ze mną i jeśli chcesz, możesz się wcale nie odzywać. Potem podpiszesz odpowiednie papiery i obaj więcej nie będziemy musieli przez to przechodzić. Jasne?

Siedzę tu wystarczająco długo, by wiedzieć, że opór nie tylko nic nie daje, ale też może jeszcze zaszkodzić. Poza tym muszę przyznać, że jestem zaciekawiony.

- Jasne – odpowiadam.
- Świetnie. Idziemy.

Oczywiście znam procedury. Kędzior zakłada mi kajdanki i łańcuch na brzuchu, dzięki któremu moje ręce mogą być przykute do pasa. Odpuszcza kajdanki na kostkach, głównie dlatego, że trudno się je zakłada i zdejmuje. Z mojej celi do strefy odwiedzin jest dosyć daleko. W naszym bloku obecnie siedzi osiemnastu więźniów – siedmiu pedofilów, czterech gwałcicieli, dwóch seryjnych zabójców kanibali, dwóch „zwykłych” seryjnych zabójców, dwóch zabójców policjantów oraz jeden dzieciobójca (czyli ja). Niezła zbieranina.

Kędzior posyła mi surowe spojrzenie, co jest rzadkością. Większość strażników to znudzeni niedoszli policjanci lub umięśnione głoby traktujące więźniów z oszłamiającą apatią. Chcę go spytać, co go ugryzło, ale wiem, kiedy lepiej się

nie odzywać. Człowiek szybko się tego tutaj uczy. Czuję, że lekko drżą mi nogi. Jestem dziwnie zdenerwowany. Tak naprawdę już się zadomowiłem. Jest tutaj koszmarne – gorzej, niż można sobie wyobrazić – ale zdołałem przywyknąć. Ten gość, kimkolwiek jest, zapewne ma mi do powiedzenia coś, co wstrząśnie moim światem.

Wcale mi się to nie podoba.

Przypominam sobie tamtą krwawą noc. Dużo myślę o krwi. Widzę ją także w snach. Nie wiem, jak często. Na początku działo się to każdej nocy. Teraz mniej więcej raz w tygodniu, ale tego nie śledzę. W więzieniu czas nie płynie normalnie. Zatrzymuje się, porusza się żabką albo zygzakiem. Pamiętam, jak obudziłem się w łóżku, które dzieliłem z żoną, Cheryl. Nie spojrzałem na zegarek, ale jeśli interesują was szczegóły, była czwarta nad ranem. W domu było cicho, wyczułem jednak, że coś jest nie w porządku. A może teraz tak mi się wydaje. Pamięć potrafi opowiadać niezwykle historie. Możliwe, że wcale niczego nie wyczułem. Teraz już nie jestem w stanie tego stwierdzić. W każdym razie nie zerwałem się z łóżka. Potrzebowałem czasu, żeby wstać. Leżałem jeszcze przez kilka minut; mój mózg tkwił w tej dziwnej przestrzeni między jawą a snem, powoli unosząc się ku świadomości.

W końcu usiadłem, a następnie ruszyłem korytarzem do pokoju Matthew.

Wtedy zauważyłem krew.

Była bardziej czerwona, niż sobie wyobrażałem – jaskrawa jak kredka świecowa, krzykliwa i kpiąca jak szminka klauna na białym prześcieradle.

Ogarnęła mnie panika. Zawołałem syna. Niezdarnie pobiegłem do jego pokoju, uderzyłem w futrynę i ponownie go zawołałem. Nie odpowiedział. Wpadłem do pokoju i znalazłem... coś nierozpoznawalnego.

Podobno zacząłem krzyczeć.

Tak zastała mnie policja. Wciąż wrzeszczałem. Krzyki były jak kawałki szkła, które przeszywały każdą cząstkę mojego ciała. W końcu musiałem się uciszyć. Nie

pamiętam tego. Może pękły mi struny głosowe. Ale echo tych krzyków nigdy mnie nie opuściło. Te kawałki szkła wciąż mnie kaleczą, rozdzierają i masakrują.

– Pośpiesz się, Burroughs – mówi Kędzior. – Ona na ciebie czeka.

Ona.

Powiedział „ona”. Przez chwilę wyobrażam sobie, że to Cheryl, i moje serce przyśpiesza. Ale nie, ona nie przyjdzie, zresztą wcale bym tego nie chciał. Nasze małżeństwo trwało osiem lat. Myślę, że przez większość czasu byliśmy szczęśliwi. Pod koniec nie było już tak dobrze. Codzienny stres coraz bardziej oddalał nas od siebie. Czy wyszlibyśmy z tego obronną ręką? Nie wiem. Czasami myślę, że ze względu na Matthew mielibyśmy więcej motywacji do pracy nad sobą i zostalibyśmy razem, ale potem dochodzę do wniosku, że to tylko pobożne życzenia.

Wkrótce po moim skazaniu podpisałem dokumenty rozwodowe. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy. To był mój wybór, nie jej. Nie wiem, jak potoczyło się jej życie. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest, czy wciąż czuje się zraniona i opłakuje syna, a może zbudowała nowe życie. Może lepiej, bym tego nie wiedział.

Dlaczego tamtego wieczoru nie poświęciłem więcej czasu Matthew?

Nie mówię, że byłem złym ojcem. Nie uważam tak. Ale tamtego wieczoru po prostu nie byłem w nastroju. Trzylatki potrafią być męczące. No i nudne. Wszyscy to wiemy. Rodzice próbują udawać, że każda chwila spędzona z dzieckiem jest błogosławieństwem. To nieprawda. A przynajmniej tak uważałem tamtego dnia. Nie przeczytałem mu bajki na dobranoc, ponieważ mi się nie chciało. Straszne, prawda? Po prostu położyłem go do łóżka, bo zajmowały mnie własne nieistotne sprawy i obawy. Co za idiotyzm. Każdy pozwala sobie na luksus głupoty, gdy wszystko w życiu się układa.

Cheryl, która właśnie skończyła staż specjalizacyjny na chirurgii, miała nocny dyżur na wydziale transplantologii w szpitalu Boston General. Byłem w domu sam z Matthew. Zacząłem pić. Nie robię tego często i nie mam mocnej głowy, ale w ciągu kilku ostatnich miesięcy, które nie były łatwe dla Cheryl i naszego

małżeństwa, znalazłem w alkoholu może nie tyle pocieszenie, ile otępienie. Nie żałowałem sobie i bardzo szybko odczułem skutki. Mówiąc w skrócie, wypłem za dużo i zasnąłem, więc zamiast opiekować się dzieckiem, zamiast chronić synka, zamiast upewnić się, że drzwi są zamknięte (nie były), i czuwać, dzięki czemu mógłbym usłyszeć włamywacza albo przynajmniej dziecięcy krzyk strachu i bólu, znajdowałem się w stanie, który oskarżyciel kpiąco nazwał „pijacką drzemką”.

Nie pamiętam, co było dalej, aż do chwili, gdy poczułem tę woń.

Wiem, co sobie myślicie: może on (czyli ja) naprawdę to zrobił. W końcu dowody przeciwko mnie były przytłaczające. Rozumiem. Macie prawo tak myśleć. Czasami sam się nad tym zastanawiam. Trzeba być ślepym albo obłąkanym, żeby nie brać tego pod uwagę, dlatego pozwólcie, że opowiem wam pewną powiazaną historię. Kiedyś kopnąłem Cheryl przez sen. Śniło mi się, że wielki szop pracz atakuje naszego pieska, Laszlo, więc w panice wymierzyłem szopowi solidnego kopniaka, a tak naprawdę przykopałem żonie w piszczel. Z perspektywy czasu to było całkiem zabawne. Cheryl próbowała zachować spokój, podczas gdy ja się tłumaczyłem („Naprawdę chciałabyś, żeby szop pracz pożarł Laszlo?”), ale moja cudowna żona chirurg, kobieta, która kochała Laszlo i wszystkie psy, i tak kipiała ze złości.

„Może podświadomie chciałeś mnie skrzywdzić”, stwierdziła.

Powiedziała to z uśmiechem, więc raczej nie mówiła poważnie. Ale może się mylę. Szybko o tym zapomnieliśmy i spędziliśmy wspaniały dzień razem. Dziś często wracam do tego myślą. Tamtej nocy też spałem i coś mi się śniło. Jeden kopniak to nie to samo co zabójstwo, ale kto wie? Narzędziem zbrodni był kij baseballowy. Pani Winslow, która od czterdziestu lat mieszkała po sąsiedzku, widziała, jak go zakopuję. To mnie pogrążyło, chociaż nie wiem, dlaczego miałbym być tak głupi, by zakopywać narzędzie zbrodni blisko domu, nie usunąwszy odcisków palców. Zastanawiam się nad wieloma takimi kwestiami. Na przykład nad tym, że chociaż kilka razy zdarzyło mi się za dużo wypić – jak każdemu – to nigdy wcześniej tak szybko nie zasnąłem. Może ktoś dosypał mi czegoś do alkoholu? Niestety, kiedy zostałem podejrzanym w sprawie, było już za

późno, by to sprawdzić. Lokalni policjanci, z których wielu ubóstwiało mojego ojca, początkowo mnie wspierali. Przyjrżeli się kilku bandzirom, których posłał za kratki, uważałem jednak, że to ślepy trop. Owszem, tata narobił sobie wrogów, ale to było dawno temu. Dlaczego któryś z nich miałby z zemsty zabijać trzyletniego chłopca? To nie miało sensu. Nie znaleziono żadnych śladów molestowania ani innego motywu, więc pozostawał tylko jeden prawdopodobny podejrzany.

Ja.

Więc może rzeczywiście wydarzyło się coś w rodzaju mojego snu o szopie praczu. Nie można tego wykluczyć. Mój adwokat, Tom Florio, chciał postawić na tę wersję. Moja rodzina, a przynajmniej niektórzy jej członkowie, również się ku temu skłaniała. Ograniczona poczytalność jako linia obrony. Zdarzało mi się lunatykować, co na siłę dało się podciągnąć pod zaburzenie psychiczne. Przypominali mi, że mogę to wykorzystać.

Ale nie zamierzałem przyznać się do winy, ponieważ tego nie zrobiłem. Nie zabiłem synka. Wiem o tym. Po prostu wiem. Chociaż zdaję sobie sprawę, że każdy sprawca tak mówi.

Kędzior i ja pokonujemy ostatni zakręt. Zakład karny Briggs jest wyłożony starym asfaltem. Wszystko tu jest szare, jak wyblakła szosa po deszczu. Przeniosłem się tutaj ze stojącego na ponadhektarowej działce przy ślepej uliczce kolonialnego domu, z trzema sypialniami i dwiema łazienkami, ścianami w kolorze słonecznej żółci, zielonymi okiennicami, wykończeniami w ziemistych odcieniach i sosnowymi antykami. Ale to nieistotne. Otoczenie jest nieistotne. Życie uczy nas, że to, co na zewnątrz, jest przemijające i ulotne, więc nie ma znaczenia.

Rozlega się brzęczenie i Kędzior otwiera drzwi. W wielu więzieniach znajdują się nowoczesne strefy odwiedzin. Więźniowie, którzy nie są uznawani za niebezpiecznych, mogą siedzieć ze swoimi gośćmi przy stolikach, bez oddzielających ich przegród. Mnie to nie dotyczy. W Briggs wciąż mamy kuloodporne szyby z pleksiglasu. Siadam na metalowym stołku przykręconym do podłogi. Strażnik luzuje łańcuch, żebym mógł dosięgnąć słuchawki. Właśnie tak

rozmawia się z osadzonymi w więzieniu o zaostrzonym rygorze – przez telefon i szybę.

Osobą, która mnie odwiedziła, nie jest moja była żona Cheryl, ale ktoś do niej podobny.

To jej siostra, Rachel.

Siedzi po drugiej stronie szyby, a kiedy mnie zauważa, otwiera szerzej oczy. Prawie się uśmiecham, widząc jej reakcję. Jej niegdyś ukochany szwagier, mężczyzna o ekscentrycznym poczuciu humoru i łobuzerskim uśmiechu, z pewnością zmienił się przez ostatnie pięć lat. Ciekawe, co przede wszystkim zwraca jej uwagę. Pewnie utrata wagi. Albo raczej strzaskane kości twarzy, które źle się zrosły. A może blada karnacja, zgarbiona sylwetka, kiedyś wysportowana, lub przerzedzone siwiejące włosy.

Siadam i patrzę na nią przez pleksiglasową szybę. Biorę do ręki słuchawkę i pokazuję, że powinna zrobić to samo. Kiedy podnosi słuchawkę do ucha, odzywam się:

– Co tutaj robisz?

Prawie udaje jej się uśmiechnąć. Zawsze byliśmy ze sobą blisko. Lubiłem spędzać z nią czas. Ona lubiła spędzać czas ze mną.

– Widzę, że nie tracisz czasu na uprzejmości.

– Przyszłaś po to, żeby wymieniać ze mną uprzejmości, Rachel?

Ślad uśmiechu znika z jej twarzy. Kręci głową.

– Nie.

Czekam. Sprawia wrażenie zmęczonej, ale wciąż jest piękna. Ma takie same jasnoblond włosy jak Cheryl i takie same ciemnozielone oczy. Poprawiam się na stołku i siadam lekko bokiem, ponieważ nie jestem w stanie w nie patrzeć.

Rachel powstrzymuje łzy i kręci głową.

– To jakieś szaleństwo.

Spuszcza wzrok i przez chwilę widzę w niej tamtą osiemnastolatkę, którą poznałem, kiedy Cheryl po raz pierwszy zaprosiła mnie do swojego domu w New

Jersey na pierwszym roku studiów w Amherst College. Rodzice Cheryl i Rachel nigdy mnie nie zaakceptowali. Miałem nieco zbyt plebejskie korzenie jak na ich gust, wychowałem się w kamienicy, a mój ojciec był gliniarzem. Ale Rachel od razu mnie polubiła i stała się dla mnie niemal jak siostra. Zależało mi na niej. Chciałem ją chronić. Rok później pomogłem jej się zadomowić na Uniwersytecie Lemhall, a następnie na Columbii, gdzie studiowała dziennikarstwo.

– Dawno się nie widzieliśmy – mówi.

Kiwam głową. Chcę, żeby sobie poszła. Trudno jest mi na nią patrzeć. Czekam. Rachel milczy. W końcu ja się odzywam, bo widzę, że potrzebuje koła ratunkowego.

– Co u Sama? – pytam.

– W porządku. Pracuje w firmie farmaceutycznej Merton. W dziale sprzedaży. Awansował na kierownika i dużo podróżuje. – Wzrusza ramionami. – Rozwiedliśmy się.

– Aha, przykro mi.

Kręci głową. Tak naprawdę wcale nie jest mi przykro. Zawsze uważałem, że Sam na nią nie zasługuje, ale w sumie myślałem tak o większości jej chłopaków.

– Wciąż piszesz dla „Globe”? – pytam.

– Nie – odpowiada stanowczym tonem, który zamyka temat.

Siedzimy w milczeniu jeszcze przez kilka sekund. Potem próbuję jeszcze raz.

– Chodzi o Cheryl?

– Nie. Nie do końca.

Przełykam ślinę.

– Co u niej?

Rachel wykręca palce. Ucieka wzrokiem, byle na mnie nie patrzeć.

– Ponownie wyszła za mąż.

Jej słowa są jak cios w żołądek, ale przyjmuję je bez mrugnięcia okiem. Właśnie dlatego, myślę. Właśnie dlatego nie chcę żadnych odwiedzin.

– Nigdy cię nie obwiniała. Nikt z nas tego nie robił.

– Rachel?

– Słucham?

– Po co tu przyszłaś?

Znów milkniemy. Za jej plecami widzę przyglądającego się nam strażnika, którego nie znam. Jest tutaj z nami trzech innych osadzonych. Nie kojarzę żadnego z nich. Briggs to duże więzienie, a ja próbuję trzymać się na uboczu. Kusi mnie, żeby odejść, ale Rachel w końcu przerywa ciszę.

– Sam ma przyjaciela – odzywa się.

Czekam.

– Może nie do końca przyjaciela. Raczej współpracownika. Zajmuje się marketingiem oraz zarządzaniem w Mertonie. Nazywa się Tom Longley. Ma żonę i dwóch synów. Sympatyczna rodzina. Kiedyś spotykaliśmy się na firmowych grillach. Jego żona ma na imię Irene. Lubię ją, jest całkiem zabawna.

Rachel milknie i kręci głową.

– Źle się do tego zabieram.

– Ależ nie – sprzeciwiam się. – Jak na razie to świetna historia.

Rachel uśmiecha się szczerze w odpowiedzi na mój sarkazm.

– Wyczuwam ślad dawnego Davida – mówi.

Znów zapada cisza. Kiedy ponownie się odzywa, jej ton jest bardziej wyważony.

– Dwa miesiące temu Longleyowie wybrali się na wycieczkę firmową do parku rozrywki w Springfield. Nazywa się chyba Six Flags. Zabrali ze sobą synów. Irene i ja wciąż się przyjaźnimy, więc pewnego dnia zaprosiła mnie na lunch. Opowiadała o wycieczce i trochę plotkowała, ponieważ Sam zabrał tam swoją nową dziewczynę. Jakby mnie to obchodziło. Ale to nieistotne.

Powstrzymuję się przed sarkastyczną ripostą i patrzę jej w oczy. Wytrzymuje moje spojrzenie.

– A potem Irene pokazała mi zdjęcia.

Rachel milknie. Nie mam pojęcia, do czego zmierza, ale w głowie niemal słyszę złowieszczą ścieżkę dźwiękową. Rachel wyjmuję brązową kopertę. Chyba dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów. Kładzie ją przed sobą na krawędzi blatu. Wpatruje się w nią nieco za długo, jakby rozważała kolejny krok. Potem jednym ruchem chwyta kopertę, coś z niej wyjmuje i przyciska do szyby.

Zgodnie z zapowiedzią jest to zdjęcie.

Nie wiem, co o nim myśleć. Rzeczywiście wykonano je w parku rozrywki. Jakaś kobieta – ciekawe, czy to ta całkiem zabawna Irene – uśmiecha się nieśmiało do aparatu. Na biodrach trzyma dwóch chłopców, zapewne Longleyów, którzy nie patrzą w obiektyw. Po prawej stronie stoi ktoś w kostiumie Królika Bugsa, a po lewej ktoś przebrany za Batmana. Irene sprawia wrażenie nieco zmęczonej, ale radosnej. Mogę sobie wyobrazić tę scenę. Stary dobry Tom z działu marketingu wesoło zachęca całkiem zabawną Irene, żeby zapozowała do zdjęcia, całkiem zabawna Irene nie jest w nastroju, ale nie chce psuć zabawy, dwaj chłopcy nie chcą o tym słyszeć – wszyscy to znamy. W tle widać ogromną czerwoną kolejkę górską. Słońce oświetla twarze Longleyów, co tłumaczy, dlaczego mrużą oczy i lekko odwracają głowy.

Rachel nie spuszcza mnie z oczu.

Podnoszę na nią wzrok. Cały czas przyciska zdjęcie do szyby.

– Przyjrzyj się uważniej, David.

Patrzę na nią jeszcze przez kilka sekund, a potem znów przenoszę wzrok na fotografię. Tym razem od razu to dostrzegam. Stalowe szpony sięgają w głąb mojej piersi i ściskają serce. Tracę oddech.

Widzę chłopca.

Stoi w tle, przy prawej krawędzi kadru, niemal poza zdjęciem. Jest zwrócony profilem, jakby pozował do wizerunku na monecie. Wygląda na jakieś osiem lat. Ktoś, być może dorosły mężczyzna, trzyma go za rękę. Chłopiec podnosi wzrok; pewnie spogląda na plecy mężczyzny, ale ten znajduje się poza kadrem.

Czuję, że łzy napływają mi do oczu, i nieśmiało wyciągam palce. Głaszczę wizerunek chłopca przez szybę. Oczywiście to niemożliwe. Zdesperowany człowiek widzi to, co chce zobaczyć, a nie oszukujmy się – żaden spragniony, oszalały od upału, wyposzczony pustynny wędrowiec, który ujrzał miraż, nie jest tak zdesperowany jak ja. Matthew nie miał jeszcze trzech lat, kiedy został zamordowany. Nikt, nawet kochający rodzic, nie mógłby odgadnąć, jak wyglądałby za pięć lat. A przynajmniej nie mógłby mieć pewności. Ten chłopiec po prostu jest podobny, to wszystko. Wygląda jak Matthew. Wygląda jak on. Zwykle podobieństwo. Nic więcej. Podobieństwo.

Z mojej krtani wrywa się szloch. Wciskam pięść do ust i ją zagryzam. Dopiero po kilku sekundach jestem w stanie się odezwać. Kiedy to robię, wypowiadam dwa proste słowa.

– To Matthew.

Rozdział 2

Rachel wciąż przyciska zdjęcie do szyby.

– Wiesz, że to niemożliwe – mówi.

Nie odpowiadam.

– On przypomina Matthew, nie przeczę – dodaje z wymuszoną obojętnością. – Nawet bardzo. Ale Matthew był małym dzieckiem, kiedy... – Urywa, zbiera się w sobie i znów zaczyna mówić. – A jeśli popatrzysz na znamię na jego policzku, to zobaczysz, że jest mniejsze.

– Tak powinno być – rzucam.

Olbrzymie znamię naczyńniowe, które pokrywało prawą stronę twarzy mojego synka, fachowo nazywa się naczyńniakiem włóścinkowym wrodzonym. Chłopiec na zdjęciu też takie ma – mniejsze, bledsze, ale w tym samym miejscu.

– Lekarze powiedzieli, że tak się stanie – kontynuuję. – I w końcu znamię całkowicie zniknie.

Rachel kręci głową.

– David, oboje wiemy, że to nie może być prawda.

Milczę.

– To tylko dziwny zbieg okoliczności. Duże podobieństwo oraz pragnienie zobaczenia tego, co chcemy... potrzebujemy... zobaczyć. Nie zapominajmy o ustaleniach lekarzy sądowych i wynikach badań DNA...

– Przestań – przerywam jej.

– Słucham?

– Nie przyniosłaś mi tego zdjęcia tylko dlatego, że uważałaś, że ten chłopiec przypomina Matthew.

Rachel zaciska powieki.

– Rozmawiałam z technikiem z bostońskiej policji. Dałam mu stare zdjęcie Matthew.

– Które zdjęcie?

– To, na którym ma koszulkę z Amherst College.

Kiwam głową. Cheryl i ja kupiliśmy ją dla niego podczas spotkania absolwentów. Przerobiliśmy to zdjęcie na kartkę świąteczną.

– Facet użył programu do postarzania. Najnowszego, jakie jest dostępne na rynku. Gliny używają go podczas poszukiwań zaginionych osób. Poprosiłam, żeby postarzył chłopca na zdjęciu o pięć lat, i...

– ...wynik się zgadza – kończę za nią.

– Jest wystarczająco podobny. Program nie daje stuprocentowej pewności. Rozumiesz to, prawda? Nawet mój znajomy tak powiedział... a nie wie, dlaczego go o to poprosiłam. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. Nikomu o tym nie mówiłam.

Jestem zaskoczony.

– Nie pokazałaś tego zdjęcia Cheryl?

– Nie.

– Dlaczego?

Rachel wierci się na niewygodnym stołku.

– To szaleństwo – mówi w końcu.

– Co jest szaleństwem?

– Cała ta sprawa. To nie może być Matthew. Oboje pozwalamy, żeby pragnienia mąciły nam w głowie.

– Rachel...

Patrzy mi w oczy.

– Dlaczego nie pokazałaś tego zdjęcia siostrze? – naciskam.

Rachel obraca pierścionki na palcach. Odwraca wzrok i zaczyna niespokojnie rozglądać się po pomieszczeniu.

– Musisz zrozumieć – mówi, gdy wreszcie się wycisza. – Cheryl próbuje na nowo ułożyć sobie życie. Pozostawić to wszystko za sobą.

Czuję, jak serce tłucze mi się w piersi.

– Jeśli jej powiem, wywrócę to nowe życie do góry nogami – ciągnie Rachel. – Taka fałszywa nadzieja może ją zniszczyć.

– Ale mnie o tym mówisz.

– Bo ty nie masz niczego, David. Co z tego, jeśli wywrócę twoje życie do góry nogami? Nie masz życia. Już dawno z niego zrezygnowałeś.

Jej słowa może brzmią szorstko, ale w jej głosie nie ma gniewu ani groźby. Rachel oczywiście ma rację. Nie mam niczego do stracenia. Jeżeli mylimy się w sprawie tego zdjęcia – a będąc obiektywnym, muszę przyznać, że to bardzo prawdopodobne – nic się dla mnie nie zmieni. Wciąż będę tutaj zamknięty i będę stopniowo marniał, bez najmniejszej chęci spowolnienia tego procesu.

– Ona ponownie wyszła za mąż – odzywa się Rachel.

– Już mówiłaś.

– Do tego jest w ciąży.

Lewy podbródkowy, a zaraz po nim mocny prawy hak. Zataczam się, a sędzia rozpoczyna liczenie.

– Nie zamierzałam ci mówić...

– Nie szkodzi.

– A jeśli spróbujemy coś z tym zrobić...

– Rozumiem – przerywam jej.

– Dobrze, ponieważ nie wiem, co dalej. To nie jest dowód, który przekonałby rozsądną osobę. Chyba że chcesz, żebym spróbowała. Mogłabym pójść z tym do prokuratora albo na policję.

– Wyśmialiby cię.

– Właśnie. Ale może prasa się tym zainteresuje.

– Nie.

– Albo... albo Cheryl. Jeśli uważasz, że to dobry pomysł. Może uzyskalibyśmy zgodę na ekshumację. Nowa sekcja zwłok lub badanie DNA mogłyby rozwiązać wątpliwości. Może mógłbyś liczyć na nowy proces...

– Nie.

– Jak to? Dlaczego?

– Przynajmniej nie teraz – odpowiadam. – Nie możemy nikomu o tym powiedzieć.

Rachel sprawia wrażenie zaskoczonej.

– Nie rozumiem.

– Jesteś dziennikarką.

– A więc?

– A więc wiesz – odpowiadam i nieco się nachylam. – Jeśli to wyjdzie na jaw, media rzucają się na ten temat. Prasa znów nie da nam spokoju.

– Nam? Czy raczej chodzi o ciebie?

Po raz pierwszy słyszę nerwowość w jej głosie. Czekam. Rachel się myli – nie chodzi o mnie. Za chwilę to zrozumie. Kiedy znaleziono Matthew, media donosiły o tej sprawie z wyczuciem i empatią. Skupiały się na ludzkiej tragedii, podsycając strach związany z tym, że zabójca wciąż jest na wolności, więc ludzie muszą zachować czujność. Media społecznościowe nie były tak delikatne. *To na pewno ktoś z rodziny, szybko stwierdził ktoś na Twitterze. Założę się, że to jego ojciec przegryw, napisał ktoś inny i zebrał mnóstwo lajków. Pewnie wkurzył go sukces żony.* I tak dalej.

Kiedy nikogo nie zatrzymano i sprawa zaczęła przycichać, media nie kryły frustracji i zniecierpliwienia. Eksperci zaczęli dopytywać, jak to możliwe, że przespałem masakrę. W końcu drobne przecieki zmieniły się w powódź. Niedaleko naszego domu znaleziono narzędzie zbrodni, kij baseballowy, który kupiłem cztery lata wcześniej. Jeden ze świadków, наша sąsiadka, pani Winslow, utrzymywała, że tamtej nocy widziała, jak go zakopuję. Badania laboratoryjne potwierdziły, że na kijku znajdowały się wyłącznie moje odciski palców.

Media były zachwycone tym nowym podejściem, głównie dlatego, że dogorywająca historia otrzymała nowe życie. Rzucili się na nią ze wszystkich stron. Psychiatra, który leczył mnie w przeszłości, zdradził, że cierpiałem na nocne lęki i lunatykowałem. Cheryl i ja mieliśmy poważne problemy małżeńskie. Niewykluczone, że miała romans. Sami rozumiecie. Gazety domagały się, żeby mnie aresztowano i postawiono mi zarzuty. Twierdzono, że jestem traktowany ulgowo, ponieważ mój ojciec był gliniarzem. Co jeszcze zamieciono pod dywan? Gdybym nie był białym mężczyzną, już siedziałbym za kratkami. Oto przykład rasizmu, uprzywilejowania, podwójnych standardów.

Wiele z tego zapewne było prawdą.

– Myślisz, że przejmuję się mediami? – pytam.

– Nie – odpowiada cicho. – Ale nie rozumiem, jak prasa może nas teraz skrzywdzić.

– Napiszą o tym.

– Wiem, ale co z tego?

Patrzy mi prosto w oczy.

– Wszyscy o tym usłyszą – odpowiadam. – Wliczając... – wskazuję dłoń, która zaciska się na rękę Matthew – tego gościa.

Cisza.

Czekam, aż Rachel coś powie. W końcu sam się odzywam.

– Nie rozumiesz? Jeśli on się dowie, że jesteśmy na jego tropie, kto wie, jak zareaguje? Może ucieknie. Ukryje się tak, że nigdy go nie znajdziemy. Albo uzna, że nie może dłużej ryzykować. Uważał, że jest bezpieczny, ale skoro to się zmieniło, być może zechce raz na zawsze pozbyć się dowodów.

– Policja może prowadzić dochodzenie dyskretnie – odpowiada Rachel.

– Nic z tego. To wypłynie. Zresztą nie podejda do tego poważnie. Nie wystarczy im zdjęcie. Dobrze o tym wiesz.

Rachel kręci głową.

– Więc co powinniśmy zrobić?

– Jesteś szanowaną dziennikarką śledczą.

– Już nie.

– Dlaczego? Co się stało?

Ponownie kręci głową.

– To długa historia.

– Musimy dowiedzieć się czegoś więcej – upieram się.

– My?

Kiwam głową.

– Muszę się stąd wydostać.

– O czym ty mówisz, do diabła?

Patrzy na mnie z troską. Rozumiem ją. Sam też słyszę to w swoim głosie. Powrócił dawny ton. Kiedy Matthew został zamordowany, zwinąłem się w kłębek i czekałem na śmierć. Mój syn zginął. Nic innego nie miało znaczenia.

Ale teraz...

Rozlega się brzęczenie. Kędzior wchodzi do sali i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Czas minął.

Rachel pośpiesznie wsuwa zdjęcie do koperty. Kiedy to robi, ogarnia mnie tęsknota i mam ochotę znów je zobaczyć, jakbym się bał, że było tylko złudzeniem. Mam wrażenie, że próbuję schwytać dym. Chcę zapisać wizerunek synka w swoim mózgu, ale jego twarz już zaczyna się rozplýwać, jak ostatni obraz widziany we śnie.

Rachel wstaje.

– Zatrzymałam się w motelu nieopodal.

Kiwam głową.

– Jutro wrócę – dodaje.

Znów kiwam głową.

– I jeśli chcesz wiedzieć, ja też sądzę, że to on.

Otwieram usta, żeby jej podziękować, ale nie wydobywają się z nich żadne słowa. To bez znaczenia. Rachel odwraca się i odchodzi. Kędzior ściska moje ramię.

– O co chodziło? – pyta.

– Powiedz naczelnikowi, że chcę się z nim spotkać – odpowiadam.

Kędzior szczyrzy zęby, które przypominają małe miętusy.

– Naczelnik nie spotyka się z osadzonymi.

Wstaję i patrzę mu w oczy. Potem po raz pierwszy od lat się uśmiecham. Naprawdę się uśmiecham. Kędzior cofa się o krok.

– Ze mną się spotka – mówię. – Powiedz mu.

Rozdział 3

– O co chodzi, David?

Naczelnik Philip Mackenzie nie wygląda na zachwyconego moją wizytą. Jego gabinet ma surowy wystrój. W kącie znajdują się amerykańska flaga oraz zdjęcie obecnego gubernatora. Szare metalowe biurko przypomina nauczycielskie biurko w mojej szkole podstawowej. Po prawej stronie stoi miedziany przybornik na długopisy z zegarkiem; coś takiego można znaleźć w dziale z prezentami tanich domów towarowych. Z tyłu, niczym wieże strażnicze, stoją dwie identyczne szare metalowe szafki na dokumenty.

– Słucham?

Przygotowałem w głowie to, co chcę powiedzieć, ale nie trzymam się scenariusza. Staram się mówić miarowo, monotonicznie, jak profesjonalista. Wiem, że moje słowa zabrzmiały jak wariactwo, więc mój ton powinien to zrównoważyć. Muszę przyznać, że naczelnik uważnie mnie wysłuchuje i przez chwilę nawet nie sprawia wrażenia oszołomionego. Kiedy kończę, odchyła się na oparcie fotela i odwraca wzrok. Philip Mackenzie jest już po siedemdziesiątce, ale wciąż emanuje mocą, jakby mógł własnymi rękami zburzyć jedną ze wzmocnionych stalą betonowych ścian, które nas otaczają. Ma krzepką pierś, a jego łyssa głowa tkwi pomiędzy ramionami wielkimi jak kule do kręgli, tak że nie potrzebuje szyi. Jego olbrzymie sękaty dłonie spoczywają na biurku niczym dwa tarany.

W końcu zwraca w moją stronę wyblakłe niebieskie oczy zwieńczone krzaczastymi białymi brwiami.

– Chyba nie mówisz poważnie.

Prostuję się na krześle.

– To Matthew.

Lekceważąco macha olbrzymią dłonią.

– Daj spokój, David. Co ty kombinujesz?

Wpatruję się w niego bez słowa.

– Szukasz sposobu na wydostanie się na wolność. Tak jak każdy osadzony.

– Myślisz, że to podstęp, który ma mi zapewnić zwolnienie? – Z trudem powstrzymuję drżenie głosu. – Myślisz, że naprawdę mnie obchodzi, czy kiedykolwiek wyjdę z tego piekła?

Philip Mackenzie wzdycha i kręci głową.

– Mój syn gdzieś tam jest – dodaję.

– Twój syn nie żyje.

– Nie.

– Zabiłeś go.

– Nie. Mogę pokazać zdjęcie.

– To, które przyniosła twoja szwagierka?

– Tak.

– Aha, a ja mam potwierdzić, że jakiś chłopiec widoczny w tle to twój syn Matthew, który zginął, kiedy miał trzy latka?

Nic nie odpowiadam.

– Założmy, że to zrobię. Oczywiście to niemożliwe, sam musisz przyznać. Ale założmy, że ten dzieciak naprawdę wygląda tak samo jak Matthew. Twierdzisz, że Rachel to sprawdzała, korzystając z programu do postarzania zdjęć?

– Zgadza się.

– Więc skąd wiesz, że sama nie umieściła na zdjęciu jego postarzonej twarzy?

– Słucham?

– Zdajesz sobie sprawę z tego, jak łatwo jest spreparować zdjęcie?

– To jakiś żart? – Marszczę czoło. – Dlaczego miałyby to zrobić?

Philip Mackenzie milknie.

- Zaraz... No tak.
- Co?
- Nie wiesz, co się stało z Rachel.
- O co ci chodzi?
- Jej kariera dziennikarki jest skończona.

Milczę.

- Nie wiedziałeś, prawda?

– To bez znaczenia – mówię, ale wiem, że to nieprawda. Nachyliłam się i wbijam wzrok w człowieka, którego od zawsze znam jako wujka Philipa. – Siedzę tutaj od pięciu lat – odzywam się wyważonym tonem. – Ile razy prosiłem cię o pomoc?

– Ani razu – przyznaje. – Ale to nie oznacza, że ci nie pomagałem. Myślisz, że trafiłeś do mojego więzienia przypadkiem? A dlaczego spędzasz tak dużo czasu w izolatce? Chcieli, żebyś wrócił na blok ogólny, mimo pobicia.

To było trzy tygodnie po tym, jak zacząłem odsiadkę. Znajdowałem się wtedy na bloku ogólnym, a nie w izolatce. Cztery mężczyźni, wyjątkowo umięśnieni i wyjątkowo zdeprawowani, dopadli mnie pod prysznicem. Pod prysznicem. Najstarsza sztuczka świata. Nie chodziło o gwałt, o nic seksualnego. Po prostu mieli ochotę stłuc kogoś na kwaśne jabłko, żeby poczuć pierwotną euforię, a kto mógł się nadać lepiej niż nowy dzieciobójca? Złamali mi nos. Strzaskali kość policzkową. Moja popękana szczęka poruszała się jak drzwi z wyrwanym zawiasem. Cztery złamane żebra. Wstrząśnienie mózgu. Krwotok wewnętrzny. Od tamtej pory widzę nieostro na prawe oko.

Spędziłem dwa miesiące w skrzydle szpitalnym.

Wyciągam asa z rękawa.

- Jesteś mi coś winien, Philip.
- Poprawka: jestem coś winien twojemu ojcu.
- Teraz to jedno i to samo.
- Myślisz, że odziedziczyłeś ten przywilej?
- Co by powiedział tata?

Philip Mackenzie sprawia wrażenie zboląlego i zmęczonego.

– Nie zabiłem Matthew – mówię.

– Więzień, który zapewnia, że jest niewinny – odpowiada, z rozbawieniem kręcąc głową. – To mi się jeszcze nie zdarzyło.

Wstaje z krzesła i odwraca się w stronę okna. Spogląda na las za ogrodzeniem.

– Kiedy twój ojciec dowiedział się o Matthew... a co gorsza, kiedy dowiedział się, że zostałeś aresztowany... – Na chwilę traci głos. – Powiedz mi, David. Dlaczego nie sugerowałeś chwilowej niepoczytalności?

– Myślisz, że zależało mi na szukaniu kruczków prawnych?

– To nie byłby kruczek prawny – protestuje Philip, a ja słyszę w jego głosie współczucie. Odwraca się twarzą do mnie. – Straciłeś świadomość. Coś w tobie pękło. Musiało być jakieś wytłumaczenie. Wszyscy stanęlibyśmy po twojej stronie.

Głowa zaczyna mi pulsować bólem – być może to kolejny skutek tamtego pobicia, a może sprawiają to jego słowa. Zamykam oczy i biorę głęboki oddech.

– Proszę, posłuchaj mnie. To nie był Matthew. A cokolwiek się stało, ja tego nie zrobiłem.

– A więc zostałeś wrobiony, tak?

– Nie wiem.

– W takim razie czyje ciało znalazłeś?

– Nie wiem.

– Jak wyjaśnisz swoje odciski palców na broni?

– To był mój kij. Trzymałem go w garażu.

– A co z tamtą staruszką, która widziała, jak go zakopujesz?

– Nie wiem. Wiem tylko, co widziałem na zdjęciu.

Philip wzdycha ciężko.

– Zdajesz sobie sprawę, że brzmisz jak szaleniec?

Wstaję z krzesła. Ku mojemu zaskoczeniu Philip cofa się o krok, jakby się mnie obawiał.

– Musisz mnie stąd wydostać – szepczę. – Chociaż na kilka dni.

- Czyś ty oszalał?
- Załatw mi przepustkę z powodu utraty bliskiej osoby albo coś w tym rodzaju.
- Nie przysługują skazanym takiego kalibru. Dobrze o tym wiesz.
- W takim razie pomóż mi uciec.

Parska śmiechem.

– Jasne, żaden problem. Nawet gdybym mógł to zrobić, policja ruszy za tobą bez chwili wahania. Brutalnie. Jesteś dzieciobójcą, David. Zastrzelą cię bez namysłu.

- To nie twój problem.
- Pewnie, że mój.
- A gdyby to spotkało ciebie?
- Co?

– Wyobraź sobie, że jesteś na moim miejscu. Ktoś zamordował Adama. Co byś zrobił, żeby odnaleźć zabójcę?

Philip Mackenzie kręci głową i opada na krzesło. Energicznie pociera twarz dłońmi. Potem wciska guzik interkomu i przyzywa strażnika.

- Do widzenia, David.
- Proszę, Philip.
- Przykro mi, naprawdę.

• • •

Philip Mackenzie odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć, jak dozorca wchodzi i wyprowadza Davida. Nie pożegnał się ze swoim chrześniakiem. Po jego wyjściu przez jakiś czas siedział samotnie. Atmosfera w gabinecie stała się ciężka. Miał nadzieję, że prośba Davida o spotkanie – pierwsza od niemal pięciu lat, które ten spędził za kratami – jest dobrym znakiem. Może wreszcie postanowił skorzystać z pomocy psychoterapeuty. Może chciał dokładniej przemyśleć to, czego dopuścił się tamtej strasznej nocy, a przynajmniej spróbować wieść w miarę produktywnie życie, nawet tutaj, nawet po tym, co zrobił.

Philip otworzył szufladę biurka i wyjął zdjęcie zrobione w 1973 roku w bazie Khe Sanh w Wietnamie. Dwaj mężczyźni – poprawka: głupi chłopcy – pozwali na nim wystrojeni w mundury piechoty morskiej. Philip Mackenzie i Lenny Burroughs, ojciec Davida. Zanim się zaciągnęli, razem chodzili do szkoły średniej w Revere. Philip wychował się na ostatnim piętrze trzyrodzinnej kamienicy przy Centennial Avenue. Lenny mieszkał w odległości jednej przecznicy przy Dehon Street. Najlepsi koledzy. Kumple z wojska. Gliniarze patrolujący Revere Beach. Philip został ojcem chrzestnym Davida. Lenny zrobił to samo dla syna Philipa, Adama. Adam i David razem chodzili do szkoły i byli najlepszymi przyjaciółmi w Revere. Cykl rozpoczął się na nowo.

Philip wpatrywał się w zdjęcie starego przyjaciela. Lenny leżał teraz na łożu śmierci. Nikt nie mógł mu pomóc. Koniec był tylko kwestią czasu. Lenny Burroughs na tym starym zdjęciu posyłał do obiektywu swój klasyczny uśmiech, który topił ludzkie serca, ale jego spojrzenie wwierało się w Philipa.

– Nic nie poradzę, Lenny.

Lenny na zdjęciu wciąż patrzył na niego z uśmiechem.

Philip wziął kilka głębokich wdechów. Robiło się późno. Wkrótce zamknie gabinet. Sięgnął do guzika interkomu.

– Tak, panie naczelniku? – odezwała się recepcjonistka.

– Zarezerwuj dla mnie pierwszy poranny lot do Bostonu.

Rozdział 4

W więzieniu nigdy nie jest cicho.

Moje „eksperymentalne” skrzydło ma kształt okręgu, na którego obwodzie rozmieszczono osiemnaście pojedynczych cel. Wejścia do nich mają postać staroświeckich krat. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu sedes i umywalkę ze stali nierdzewnej – połączone w jedno – umieszczono tuż przy kracie. W odróżnieniu od cel na bloku ogólnym każda z naszych wyposażona jest w niewielki prysznic. Jeśli za długo z niego korzystamy, strażnicy zakręcają wodę. Na łóżku odlanym z betonu leży materac, tak cienki, że prawie przezroczysty. W narożnikach łóżka znajdują się uchwyty, do których można przymocować pasy. W moim wypadku, jak dotąd, nie było to konieczne. Mam biurko i stołek – również z betonu – a także telewizor i radio, które nadają wyłącznie programy religijne i edukacyjne. Wąskie okno jest umieszczone pod kątem, tak że mogę tylko z tęsknotą zerkać w niebo.

Leżę na betonowym łóżku i wbijam wzrok w sufit. Znam każdy jego skrawek. Zamykam oczy i próbuję uporządkować fakty. Ponownie odtwarzam w myślach tamten dzień – tamten straszny dzień – szukając czegoś, co przegapiłem. Zabrałem Matthew na spacer, najpierw na miejscowy plac zabaw obok stawu z kaczkami, a potem do supermarketu przy Oak Street. Czy zauważyłem kogoś podejrzanego w którymś z tych miejsc? Oczywiście, że nie, ale teraz sięgam myślą wstecz i przeczesuję wspomnienia w poszukiwaniu nowych detali. Niczego nie znajduję. Można by się spodziewać, że będę lepiej pamiętał tamten dzień, a każda chwila wciąż będzie niezwykle wyrazista, z czasem jednak wszystko coraz bardziej się zaciera.

Siedziałem na ławce na placu zabaw obok młodej matki z agresywnie nowoczesnym wózkiem. Towarzyszyła jej córka w wieku Matthew. Czy kobieta

zdradziła mi jej imię? Pewnie tak, ale nie pamiętam. Miała na sobie strój do jogi. O czym rozmawialiśmy? Nie pamiętam. Czego dokładnie szukam? Nie wiem. Pewnie właściciela ręki ze zdjęcia Rachel – człowieka, który prowadził Matthew. Czy obserwował nas na placu zabaw? Czy nas śledził?

Nie mam pojęcia.

Analizuję dalszy ciąg dnia. Wróciliśmy do domu. Położyłem syna spać. Zrobiłem sobie drinka. Przerzucałem kanały w telewizji. Kiedy zasnąłem? Tego też nie wiem. Pamiętam tylko, że kiedy się obudziłem, poczułem woń krwi. Pamiętam, że ruszyłem korytarzem...

Światło w celi zapala się z głośnym trzaskiem. Zrywam się z posłania z twarzą zlaną potem. Jest ranek. Serce tłucze mi się w piersi. Biorę kilka głębokich wdechów, próbując się uspokoić.

To, co wtedy zobaczyłem, tamto zakrwawione zniekształcone ciało w piżamce z bohaterami Marvela... to nie był Matthew. Oto sedno sprawy. To nie był mój syn.

A może jednak?

Do mojego mózgu zaczynają zakradać się wątpliwości. Jak to możliwe? Ale na razie nie zamierzam ich do siebie dopuszczać. Nic mi nie dadzą. Jeśli się mylę, w końcu się tego dowiem i wrócę do punktu wyjścia. Niczego nie ryzykuję. Dlatego na razie żadnego wahania. Tylko pytania dotyczące tego, jak to się mogło stać. Może brutalność ataku miała ukryć tożsamość ofiary? Dobrze, już myślę o ofierze jako o „tym chłopcu”, a nie nazywam go Matthew. To był chłopiec o wzroście, sylwetce i kolorze skóry odpowiadającym mojemu synowi. Ale nie przeprowadzono testów DNA. Niby po co? Nikt nie podważał tożsamości ofiary, prawda?

Prawda?

Inni więźniowie rozpoczynają poranne rytuały. Siedzimy sami w celach o rozmiarach trzy i pół na dwa metry, ale możemy patrzeć na siebie nawzajem. Taki układ ma być „zdrowszy” od starego, w którym rządziły izolacja i brak społecznych interakcji. Żałuję tej zmiany, ponieważ nie zależy mi na kontaktach

z innymi. Earl Clemmons, seryjny gwałcieciel, rozpoczyna dzień od relacji ze swojego porannego wypróżnienia. Nie zapomina o odgłosach takich jak wiwaty tłumów, a relację i barwny komentarz przedstawia różnymi głosami. Ricky Krause, seryjny zabójca, który odcinał ofiarom kciuki sekatorem, lubi rozpoczynać dzień od parodystycznej piosenki. Przekręca teksty znanych klasyków, nadając im własne perwersyjne znaczenie. W tej chwili raz za razem wyśpiewuje: „Ktoś jest w kuchni i smakuje waginę” i śmieje się coraz głośniej, gdy sąsiedzi każą mu się zamknąć.

Ustawiamy się w kolejce do śniadania. Kiedyś osadzeni w tym skrzydle otrzymywali dostawy posiłków, zupełnie jakbyśmy korzystali z usług DoorDash. Ale to już przeszłość. Jeden z więźniów stwierdził, że zmuszanie go do samotnego spożywania posiłków w celi jest niezgodne z konstytucją. Złożył pozew. Więźniowie uwielbiają pozwy. Ale w tym wypadku system więziennictwa skwapliwie skorzystał z okazji, ponieważ podawanie posiłków do cel było kosztowne i wymagało wysiłku.

W niewielkiej stołówce znajdują się cztery stoliki z metalowymi stołkami przykręconymi do podłogi. Lubię krążyć po pomieszczeniu, czekając, aż wszyscy usiądą, a następnie znaleźć miejsce oddalone od najbardziej energicznych więźniów. To nie znaczy, że rozmowy nie mogą być ciekawe. Pewnego dnia kilku osadzonych wdało się w ożywioną dyskusję na temat tego, który z nich zgwałcił najstarszą kobietę. Earl „przebił” rywali, gdy przypisał sobie gwałt analny na osiemdziesięciosiedmiolatce, do której mieszkania włamał się przez schody przeciwpożarowe. Inni zakwestionowali prawdziwość jego słów – uważali, że przesadza, żeby zrobić na nich wrażenie – ale następnego dnia Earl przyniósł im zachowane wycinki gazetowe.

Dziś mam szczęście. Jeden ze stolików pozostaje pusty. Biorę jajka z proszku, boczek i tosty – daruję sobie oczywisty komentarz na temat tego, jak paskudne jest więzienne żarcie – siadam w najdalszym kącie i zaczynam jeść. Po raz pierwszy od dawna mam apetyt. Uświadamiam sobie, że mój umysł przestał wracać do tamtej nocy oraz do zdjęcia, a zaczął skupiać się na czymś absurdalnym i fantastycznym.

Jak uciec z Briggs.

Jestem tu od tak dawna, że znam wszystkie rytuały, strażników, układ pomieszczeń, harmonogram dyżurów, personel i tak dalej. Wniosek: nie da się stąd uciec. W żaden sposób. Muszę myśleć niekonwencjonalnie.

Uderzenie tacy o blat wyrywa mnie z zamyślenia. Przed moją twarzą pojawia się wyciągnięta dłoń. Podnoszę wzrok na twarz mężczyzny. Ludzie mówią, że oczy są oknami duszy. Jeśli tak, w moich migocze neon z napisem BRAK WOLNYCH MIEJSC.

– David Burroughs, zgadza się?

Wiem, że nazywa się Ross Sumner. Przeniesiono go w zeszłym tygodniu i czeka na rozprawę apelacyjną, do której nigdy nie dojdzie, ale dziwi mnie, że wypuszczono go z celi. Sprawa Sumnera trafiła na pierwsze strony gazet i nakręcono o niej wiele seriali dokumentalnych oraz podcastów kryminalnych. Był superbogatym gościem, który zmienił się w psychotycznego złoczyńcę. Przystojniak rodem z reklam Ralphi Laurena zamordował co najmniej siedemnaście osób – mężczyzn, kobiety, dzieci w różnym wieku – i zjadł przewód pokarmowy każdej z nich. Tylko tyle. Sam przewód pokarmowy. Części ciała znaleziono w drogiej zamrażarce w piwnicy jego rodzinnej posiadłości. Nikt nie podważa tych faktów. Apelacja Sumnera opiera się na stwierdzeniu ławy przysięgłych, że jest zdrowy psychicznie.

Ross Sumner czeka, aż uścisnę jego dłoń. Uśmiecha się. Wolałbym pocałować z językiem żywego gryzonia niż podać rękę temu człowiekowi, ale w więzieniu robi się to, czego wymaga sytuacja. Niechętnie ściskam jego dłoń, najszybciej, jak się da. Jest zaskakująco drobna i delikatna. Wbrew sobie zastanawiam się, czego dotykała. Podobno rozcinał ofiary, gdy jeszcze żyły, i własnymi rękami – także tą dłonią – rozdzierał im brzuchy, żeby dostać się do jelit.

Tracę apetyt.

Ross Sumner uśmiecha się, jakby czytał mi w myślach. Ma mniej więcej trzydzieści lat, kruczoczarne włosy i delikatne rysy twarzy. Siada na stołku naprzeciwko mnie. Mam szczęście.

– Jestem Ross Sumner – mówi.

– Tak, wiem.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, żebym się dosiadł.

Nie odpowiadam.

– Po prostu inni... – Ross kręci głową – są tacy szorstcy. Mało wyrafinowani, jeśli mogę tak powiedzieć. Wiesz, że tylko my dwaj skończyliśmy college?

– Naprawdę? – Kiwam głową i wpatruję się w talerz.

– Studiowałeś w Amherst, prawda?

Prawidłowo wymówił nazwę uczelni, z niemym „h”.

– Dobra uczelnia – kontynuuje. – Wolałem, kiedy używali nazwy Amherst Lord Jeffs. To brzmiało tak dostojnie. Ale oczywiście lewakom to się nie podobało. Musieli przyczepić się do człowieka, który zmarł w osiemnastym wieku. Co za absurd, nie uważasz?

Bawię się jajkami z proszku.

– Teraz nazywają się Amherst Mammoths. Mamuty... błagam... Żalony przykład poprawności politycznej, nie? Ale powiem ci coś, co cię zacieka. Chodziłem do Williams College. Czyli byliśmy rywalami. Zabawne, prawda?

Posyła mi chłopięcy uśmiech.

– Tak, przezabawne – odpowiadam.

– Słyszałem, że wczoraj miałeś gościa.

Sztywnieję. Ross Sumner to dostrzega.

– Och, nie bądź taki zaskoczony, David.

Wciąż się uśmiecha. Ten niewinny wyraz twarzy zapewne bardzo pomógł mu w życiu. Na czysto fizycznym poziomie czyni go sympatycznym i uroczym, otwiera przed nim drzwi i usuwa zahamowania. Zapewne było to ostatnie, co widziały jego ofiary.

– To niewielkie więzienie. Ściany mają uszy.

To prawda. Mówi się, że rodzina Sumnerów nie waha się płacić za specjalne traktowanie Rossa. Wierzę w te plotki.

- Staram się być na bieżąco – dodaje.
- Aha. – Nie odrywam wzroku od talerza.
- Więc jak poszło? – pyta.
- Jak co poszło?
- Twoje odwiedziny. To była twoja... szwagierka, zgadza się?

Nie odpowiadam.

– To musiało być coś, prawda? Pierwsze odwiedziny po tak długim czasie. Sprawiałeś wrażenie zamyślonego, zanim podszedłem.

Podnoszę wzrok.

- Posłuchaj, Ross. Próbuję zjeść śniadanie.

Podnosi ręce na znak kapitulacji.

– Wybacz, nie zamierzałem być wścibski. Chciałem, żebyśmy się zaprzyjaźnili. Brakuje mi intelektualnej stymulacji. Podejrzewam, że tobie też. Obaj skończyliśmy studia, więc pomyślałem, że znajdziemy wspólny język i będziemy się rozumieć. Ale widzę, że wybrałem niewłaściwą chwilę. Wybacz, proszę.

– Nic się nie stało – odpowiadam burkliwie. Zjadam kolejny kęs. Czuję na sobie spojrzenie Sumnera.

- Myślisz o synu? – szepcze.

Dreszcz przeszywa moje ciało, od podstawy czaszki aż do końca kręgosłupa.

- Słucham?

– Jakie to było uczucie? – Jego oczy płoną. – Na czysto intelektualnym poziomie. Porozmawiajmy jak dwaj wykształceni mężczyźni. Uważam siebie za badacza ludzkiej kondycji, dlatego chcę to wiedzieć. Możesz skupić się na faktach albo na emocjach, twój wybór. Ale kiedy uniosłeś kij baseballowy i spuściłeś go na głowę swojego dziecka, o czym wtedy myślałeś? Poczujesz ulgę? Czujesz, że musisz to zrobić? A może próbowałeś uciszyć głosy w głowie? Albo ogarnęła cię euforia...

- Odpierdol się, Ross.

Sumner marszczy czoło.

– Mam się odpierdolić? Serio? Tylko na tyle cię stać? Doprawdy, David, zawiodłeś mnie. Przyszedłem tutaj z nadzieją na poważną filozoficzną dyskusję. Obaj wiemy coś, o czym drugi z nas nie ma pojęcia. Chcę zrozumieć, dlaczego ktoś robi coś tak barbarzyńskiego. Zabija własnego syna. Krew z krwi. Wiem, że możesz mnie uznać za hipokrytę...

– Raczej za szaleńca – poprawiam go.

– ...ale widzisz, ja zabijam nieznajomych. Oni są jak rekwizyty w naszym życiu, nie uważasz? Wystrój sceniczny. Są tłem dla wewnętrznego świata, który budujemy. Ostatecznie tylko my się liczymy. Pomyśl o tym. Bardziej płaczemy, gdy umiera nasz ukochany zwierzak, niż kiedy tsunami zabija setki tysięcy ludzi. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Nie widzę potrzeby, żeby otwierać usta. Tylko go zachęcę.

Ross Sumner nachyla się w moją stronę.

– Ja zabijałem nieznajomych. Rekwizyty. Elementy scenerii. Ozdoby ze sklepowej witryny. Ale zabicie własnego dziecka...

Kręci głową, jakby był zdumiony. Gotuję się ze złości, ale milczę. Po co miałbym reagować? Nie zależy mi na uznaniu tego psychopaty. Rozglądam się za innym miejscem, ale pozostali kompani wcale nie są mniej niepokojący.

Ross Sumner delikatnie rozkłada papierową serwetkę, po czym umieszcza ją na swoich kolanach. Zjada odrobinę jajek i krzywi się.

– Co za paskudztwo – rzuca. – Żadnego smaku.

Nie potrafię się powstrzymać.

– W odróżnieniu od ludzkich jelit?

Sumner przez chwilę mi się przygląda. Odwzajemniam jego spojrzenie. Tutaj nie wolno okazywać strachu. Nigdy. Nawet przez sekundę. Właśnie dlatego rzuciłem takim tekstem. Choćbyście mieli ochotę milczeć, nie możecie pozwolić, by inni weszli wam na głowę, bo jeśli tego nie zrobicie, sytuacja szybko wymknie się spod kontroli.

Ross Sumner jeszcze przez kilka sekund patrzy mi w oczy, a potem odrzuca głowę do tyłu i wybuchają śmiechem. Wszyscy się na nas oglądają.

– To było naprawdę zabawne! – woła, odzyskawszy oddech. – Właśnie o to mi chodziło. Po to tutaj usiadłem. Szukałem takich słownych przepychanek. Takiej stymulacji. Dziękuję. Dziękuję, David.

Nie odpowiadam.

Wciąż się śmieje, kiedy wstaje od stołu.

– Idę po tosty. Przynieść ci coś?

– Nie trzeba.

Na chwilę zamykam oczy i masuję skronie. Ból huczy w mojej głowie jak pociąg towarowy. To się zaczęło po pierwszym pobiciu. Wciąż odczuwam skutki wstrząśnienia mózgu i pęknięcia czaszki. Więzienny lekarz nazwał to klasterowym bólem głowy. Wciąż masuję skronie i głupio tracę czujność, a wtedy ktoś chwyta mnie od tyłu za szyję. Zanim mam okazję zareagować, napastnik szarpie mnie do tyłu, miażdżąc mi tchawicę. Mam wrażenie, że moja krtań za chwilę przebije kark. Wyrzeszczam oczy i bezsilnie szarpniętym przedramięm.

Ross Sumner wzmacnia uścisk. Jeszcze silniej ciągnie mnie do tyłu. Wiergam nogami, uderzam piszczelami o stół. Naczynia podskakują. Zaczynam się przewracać. Sumner zwalnia żelazny uścisk, a ja uderzam tyłem głowy o posadzkę.

Gwiazdy stają mi przed oczami.

Mrugam, a kiedy podnoszę wzrok, Sumner wyskakuje w powietrze. Chłopięcy uśmiech ustępuje miejsca grymasowi szaleńca. Próbuję się odtoczyć, zasłonić dłońmi, ale jestem zbyt wolny. Ross opada na mnie całym ciężarem ciała, trafiając obydwoma kolanami w moje żebra.

Widzę jeszcze więcej gwiazd.

Próbuję wzywać pomocy i uwolnić się z uścisku, ale Sumner siada na mnie okrakiem. Czeka, aż zacznę tłuc mnie pięściami, i zastanawiam się, jak mogę go powstrzymać. Ale on tego nie robi. Szeroko otwiera usta i zbliża twarz do mojej piersi.

Pomimo więziennego kombinezonu jego zęby przebijają skórę.

Wyję. Ross głębiej zatapia zęby w moim ciele poniżej sutka. Ból jest nie do zniesienia. Inni więźniowie szybko otaczają nas i chwytają się pod ręce, żeby nie dopuścić strażników. Ale i tak wiem, że żaden strażnik nie zareaguje. Przynajmniej na razie. Dopóki jeden z nas nie straci przytomności. Tak jest dla nich bezpieczniej. Strażnicy nie lubią ryzykować obrażeń.

Jestem zdany na siebie.

Wciąż leżę na plecach, a Ross gryzie mnie do krwi. Przywołuję resztki sił, podnoszę ręce i najmocniej, jak potrafię, uderzam napastnika w uszy. Nie trafiam precyzyjnie, ale Sumner i tak rozwiera usta. Na więcej nie mogę liczyć. Przewracam się na bok, starając się go zrzucić, a on poddaje się temu ruchowi. Kiedy dotyka stopami podłogi, wskakuje mi na plecy. Ponownie otacza ręką moją szyję.

Jego uścisk przybiera na sile.

Nie mogę nabrać powietrza.

Wiję się na wszystkie strony. Ross mnie trzyma. Staram się go zrzucić, ale nie zwalnia uchwytu. Ciśnienie w mojej głowie rośnie. Płuca domagają się powietrza. Znow pojawiają się wirujące gwiazdy, lecz przede wszystkim widzę ciemność. Walczę o chociaż jeden oddech – bezskutecznie.

Nie mogę oddychać.

Moje oczy zaczynają się zamykać. Wiwaty więźniów zlewają się ze sobą. Ross Sumner pochyła się nade mną.

– To ucho wygląda smakowicie – mówi.

Zaraz zaciśnie na nim zęby. Niewiele mnie to obchodzi. Znow próbuję go zrzucić, ale nie mam sił. Myślę tylko o tym, żeby zaczerpnąć powietrza. Wystarczy jeden oddech. To wszystko. Jego usta są tuż przy moim uchu. Walczę jak zdychająca ryba złapana na haczyk.

Gdzie, do diabła, są strażnicy?

Już powinni zainterweniować. Po co im martwy więzień? To nikomu nie służy. Nagle przypominam sobie jednak, że rodzina Sumnera słynie z bogactwa oraz skłonności do łapówek, i uświadamiam sobie, że nikt mnie nie ocali.

Jeśli stracę przytomność – a za chwilę do tego dojdzie – to umrę.

A jeśli umrę, to co się stanie z Matthew?

Kiedy dzieli mnie kilka sekund od utraty przytomności, a naczynka krwionośne w moich otwartych oczach zaczynają pękać, opuszczam brodę i rozluźniam mięśnie. Nie jest to łatwe, bo działam wbrew instynktowi. Ale jakoś mi się udaje. Pozostaje tylko jedno: zwalczyć ogień ogniem.

Otwieram usta i gryzę Rossa Sumnera w rękę.

Mocno.

Jego krzyk bólu jest najbardziej satysfakcjonującym dźwiękiem, jaki słyszałem od dawna.

Ucisk na moją tchawicę natychmiast słabnie, kiedy Sumner próbuje cofnąć rękę. Łapczywie chwytam powietrze przez odchylone wargi, nie rozwierając zębów. Sumner znów wrzeszczy. Jeszcze mocniej zaciskam szczęki. Macha ręką, ja jednak trzymam ją jak buldog. Czuję na twarzy dotyk włosków z jego przedramienia. Gryzę jeszcze mocniej.

Jego krew wpływa mi do ust. Nie dbam o to.

Sumner zdołał wstać. Ja klęczę. Uderza mnie pięścią. Chyba trafia mnie w czubek głowy, ale tego nie czuję. Próbuje znaleźć punkt oparcia i uwolnić rękę, lecz jestem na to przygotowany. Gapie są teraz po mojej stronie. Uderzam go łokciem w krocze. Ross Sumner zapada się w sobie jak składane krzesło. Jego ręka uwalnia się z moich ust, a kawałek ciała zostaje między moimi zębami.

Wypluwam go.

Skaczę na Sumnera, siadam mu okrakiem na piersi i zaczynam go okładać pięściami.

Rozbijam mu nos. Czuję pod knykciami ustępującą chrząstkę. Potem chwytam go za kołnierz i pociągam ku górze. Bez pośpiechu biorę zamach i mocno uderzam

go w twarz. Plask. Powtarzam to. I jeszcze raz. Głowa Sumnera kołysze się bezwładnie, jakby zamiast szyi miał sprężynę. Kręci mi się w głowie. Mam wytrzeszczone oczy. Ponownie biorę zamach, ale wtedy ktoś chwyta mnie za rękę i odciąga do tyłu.

Strażnicy przygważdżają mnie do podłogi. Nie stawiam oporu. Nie spuszczam wzroku ze zmasakrowanego człowieka, który leży przede mną.

Przez krótką chwilę się uśmiecham.

Rozdział 5

Samolot Philipa Mackenziego wylądował na lotnisku w Bostonie bez zakłóceń. Naczelnik wychował się o rzut kamieniem od lotniska Logana, w pobliskim Revere. W tamtych czasach nad jego domem stale przelatywały samoloty. Dla małego chłopca huk ich silników był ogłuszający. Dwaj starsi bracia, z którymi dzielił pokój, jakimś cudem byli w stanie to przespać, ale mały Philip kurczowo trzymał się poręczy na górnym pościeliu piętrowego łóżka, które trzęsło się tak bardzo, że bał się upadku. Czasami wydawało mu się, że samoloty za chwilę zerwą podniszczony dach domu.

Wtedy w Revere Beach mieszkali głównie pracownicy fizyczni. Od tamtej pory niewiele się zmieniło. Ojciec Philipa był malarzem pokojowym, a mama nie pracowała (w tamtych czasach zamężne kobiety zostawały w domu, a wolne mogły zostać nauczycielkami, pielęgniarkami albo sekretarkami), tylko zajmowała się szóstką dzieci – trzema chłopcami, którzy mieszkali w jednym pokoju, i trzema dziewczynkami zajmującymi drugi. Wszyscy mieli do dyspozycji jedną łazienkę.

Taksówka podwiozła Philipa do znajomego czterorodzinnego domu przy Dehon Street. Budynek zbudowano z cegły, na której było widać upływ czasu. Z drzwi wejściowych łuszczyła się wyblakła zielona farba. Wysoka weranda, na której Philip jako dziecko spędził niezliczone godziny z kumplami, zwłaszcza z Lennym Burroughsem, była zbudowana z kruszonego betonu. Przez trzydzieści lat rodzina Burroughsów zajmowała wszystkie cztery mieszkania. Rodzina Lenny'ego mieszkała na parterze po prawej stronie. Jego kuzynka Selma, która wcześniej owdowiała, i jej córka Deborah miały mieszkanie na piętrze. Ciocia Sadie i wujek Hymie mieszkali na parterze po lewej. A inni krewni – kłębiąca się zbieranina ciotek, wujków i kuzynów – na zmianę wprowadzali się do czwartego mieszkania,

nad Hymiem i Sadie. Tak wtedy wyglądała ta dzielnica. Imigranci – rodzina Philipa pochodziła z Irlandii, a krewni Lenny’ego byli Żydami – przez trzydzieści lat napływali zza Atlantyku. Ci, którzy już zakorzenili się w Ameryce, zawsze przyjmowali bliskich i pomagali im znaleźć pracę. Niektórzy krewni całymi tygodniami, a nawet miesiącami spali na kanapie albo na podłodze. Nie mogli liczyć nawet na odrobinę prywatności, ale im to nie przeszkadzało. Te domostwa przypominały żywe organizmy i stale były w ruchu. Rodzina i znajomi bezustannie krążyli po korytarzach i schodach, niczym krew w żyłach. Nikt nie zamykał drzwi na klucz, nie dlatego, że było bezpiecznie – nie w tej okolicy – ale dlatego, że członkowie rodziny nigdy nie musieli pukać ani nie odprawiano ich z kwitkiem. Mieszkańcy tego domu nie znali pojęcia „prywatność”. Wszyscy żyli sprawami innych. Cieszyli się ich sukcesami i opłakiwali ich porażki. Byli jednością.

Rodziną.

Tamten świat odszedł wraz z nadejściem tak zwanego postępu. Większość Burroughsów i Mackenziech wyprowadziła się. Teraz mieszkali w niby-posiadłościach na zamożniejszych przedmieściach, takich jak Brookline czy Newton, gdzie ludzie mieli żywopłoty, ogrodzenia, eleganckie marmurowe łazienki i baseny, a idea wielopokoleniowej rodziny była czymś koszmarnym i niezrozumiałym. Inni krewni przeprowadzili się na ogrodzone osiedla w cieplejszych stanach, na przykład na Florydzie albo w Arizonie, chlubil się ciemną opalenizną i złotymi łańcuchami. W starych domach zamieszkała nowa fala imigrantów – z Kambodży, Wietnamu i tak dalej. Oni także ciężko pracowali i przyjmowali do siebie dalszych krewnych, powtarzając ten sam cykl.

Philip zapłacił taksówkarzowi i wysiadł na popękany chodnik. Wciąż czuł słabą woń oceanu dobiegającą z odległości dwóch przecznic. Revere Beach nigdy nie była efektownym miejscem. Już w jego młodości zaniedbane pole do minigolfa, zardzewiała kolejka górską, zużyte maszyny do Skee-Balla i automaty do gry rozstawione na promenadzie ledwo się trzymały. Oczywiście to nie przeszkadzało Philipowi, Lenny’emu i ich kolegom. Przesiadali na tyłach pizzerii U Sala, palili papierosy, popijali piwo Old Milwaukee, ponieważ było najtańsze, i grali w kości.

Chłopcy, z którymi wtedy spędzali czas – Carl, Ricky, Heshy, Mitch – zostali lekarzami albo prawnikami i dawno się wyprowadzili. Lenny i Philip nie wyjechali z Revere Beach i pracowali w policji.

Rozważał szybki spacer Shirley Avenue, żeby zobaczyć dom, w którym on i Ruth wychowali piątkę dzieci, ale zrezygnował. To były przyjemne wspomnienia, a teraz nie mógł się rozpraszać.

Wspomnienia zawsze wywołują ból, prawda? Zwłaszcza te dobre.

Betonowe stopnie były tak cholernie wysokie. Jako dzieciak, nastolatek i młodzieniec bez trudu przeskakiwał po dwa naraz. Teraz krzywił się, słysząc chrupanie w kolanach. Tylko w jednym z czterech mieszkań wciąż mieszkali Burroughsowie. Lenny, jego najstarszy przyjaciel i były partner w miejscowej policji, zajmował to samo mieszkanie na parterze po prawej, w którym jego rodzina zadomowiła się siedemdziesiąt lat wcześniej. Mieszkał tam obecnie z siostrą, Sophie, która z jakiegoś powodu się nie wyprowadziła, jakby uważała, że ktoś musi zostać i pilnować dawnego domostwa.

Philip pomyślał o synu Lenny'ego, odsiadującym dożywocie w Briggs. Ta sprawa była niezwykle przygnębiająca. Z Davidem działo się coś niedobrego, to oczywiste. Philip był jego ojcem chrzestnym, chociaż utrzymywali to w tajemnicy, dzięki czemu udało im się załatwić umieszczenie Davida w Briggs. David nie miał rodzeństwa (żona Lenny'ego, Maddy, miała jakieś problemy zdrowotne, w tamtych czasach nie rozmawiało się o tym jednak); najstarszy syn Philipa, Adam, został jego najlepszym przyjacielem, a ich relacja nieco przypominała tę, która łączyła Philipa i Lenny'ego. Adam spędzał całe godziny w tym czterorodzinnym domu. Domostwo Burroughsów było niegdyś osobliwym i cudownym miejscem. Kiedy Philip był młody – a nawet później, gdy urodził się Adam – ten dom był pełen ciepła i radości. Burroughsowie żyli pełną piersią, głośno jak radio rozkręcone na pełny regulator. Intensywnie przeżywali każdą emocję. Kiedy się kłócili – a robili to często – podchodzili do tego z pasją.

Potem zmarła matka Davida, Maddy, i wszystko się zmieniło.

Teraz budynek był cichy, pozbawiony radości, jak zmarniałe widmo. Philip przez chwilę nie był w stanie się poruszyć. Stał na werandzie i wbijał wzrok w wejście. Właśnie miał zapukać, gdy wyblakłe zielone drzwi się otworzyły. Zamarł. Przed chwilą czuł się dezorientowany, ale teraz całkowicie stracił głowę. Wizyta w znajomej okolicy wzbudziła w nim nostalgię, ale widok twarzy Sophie, wciąż pięknej pomimo upływu lat, cofnął go w czasie. Choć ona także zbliżała się do siedemdziesiątki, Philip widział tylko tamtą zdyszana nastolatkę, która otworzyła mu drzwi w dniu balu maturalnego. Wieki temu Philip i Sophie byli parą. Chyba się w sobie zakochali, ale byli tacy młodzi. Coś się wydarzyło – nikt już nie pamiętał co. Wojsko, akademia policyjna. Nieważne. Minęło pięćdziesiąt lat. Sophie wyszła za Franka, żołnierza z Lowell. Jej mąż zginął podczas ćwiczeń wojskowych w Ramstein i została wdową przed dwudziestymi piątymi urodzinami. Po śmierci Maddy zamieszkała z Lennym, żeby pomóc mu wychować Davida, i nie wyszła ponownie za mąż. Philip przez ponad czterdzieści lat był żonaty z Ruth, ale czasami wracał myślami do Sophie, chociaż się do tego nie przyznawał. Droga, którą nie poszedł. Wielka niewiadoma. Dziewczyna, którą wypuścił z rąk.

Czy to była zbrodnia?

Teraz wpatrywał się w Sophie, wciąż przemierzając w myślach alternatywny wszechświat, w którym nie pozwolił jej odejść.

Oparła dłonie na biodrach.

– Coś mi utknęło w zębach, Philip?

Pokręcił głową.

– Więc dlaczego tak się gapisz?

– Bez powodu – odparł, ale po chwili dodał: – Dobrze wyglądasz, Sophie.

Przewróciła oczami.

– Wejdz, złotousty. Twój urok osobisty zwała mnie z nóg.

Wszedł do domu. Prawie nic tu się nie zmieniło. Czuł otaczające go duchy.

– Odpoczywa – powiedziała Sophie, ruszając korytarzem. Podążył za nią. – Niedługo powinien się obudzić. Napijesz się kawy?

– Chętnie.

Dotarli do kuchni, która została odnowiona. Sophie korzystała teraz z nowoczesnego ekspresu, jak niemal wszyscy. Wręczyła mu gruby kubek, nie spytawszy, na jaką kawę ma ochotę. Wiedziała.

– Co tutaj robisz? – rzuciła.

Zmusił się do uśmiechu ponad krawędzią kubka.

– Nie można tak po prostu odwiedzić starego przyjaciela i jego pięknej siostry?

– Pamiętasz, co mówiłam o twoim uroku osobistym?

– Pamiętam.

– Żartowałam.

– Domyśliłem się. – Odstawił kubek. – Muszę z nim porozmawiać, Sophie.

– Chodzi o Davida?

– Owszem.

– Wiesz, że jest chory... Mówię o Lennym.

– Wiem.

– Prawie całkowicie sparaliżowany. Już nie może mówić. Nawet nie jestem pewna, czy wie, kim jestem.

– Przykro mi.

– Czy to go zdenerwuje?

Philip przez chwilę się zastanawiał.

– Nie wiem.

– Czy to konieczne?

– Hm...

– Wy dwaj tacy już jesteście. – Sophie westchnęła.

– Tak.

Odwróciła się w stronę okna.

– Lenny nie chciałby, żebym go chroniła. Idź do niego. Znasz drogę.

Odstawił kubek i wstał. Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć słów. Sophie nie patrzyła na niego, kiedy wychodził z kuchni. Skręcił w prawo i skierował się do sypialni w głębi domu. W korytarzu wciąż znajdował się stojący zegar. Maddy kupiła go na wyprzedaży w Everett wieki temu, a Lenny i Philip przywieźli go tutaj jego pick-upem. Ustrojstwo ważyło ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. Długo zajęło, zanim je rozebrali i przenieśli. Musieli owinąć wahadło, główną sprężynę, kabel, łańcuchy, ciężarki, kuranty i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze, grubymi kocami i folią bąbelkową. Maddy była zachwycona, a Lenny zrobiłby dla niej wszystko.

Zatrzymał się przed wejściem do sypialni. Wziął głęboki oddech i zmusił się do uśmiechu. Kiedy wszedł, starał się nie zmieniać wyrazu twarzy, mając nadzieję, że w jego oczach nie da się dostrzec smutku i oszołomienia. Przez chwilę stał za progiem i wpatrywał się w to, co kiedyś było jego najlepszym przyjacielem. Pamiętał, jak silny był Lenny. Składał się z samych mięśni, był zbudowany jak bokser wagi koguciej. Miał fioła na punkcie zdrowego stylu życia, zanim to stało się modne, i na długo przed wszystkimi dbał o swój jadłospis. Każdego ranka robił sto pompek. Nie mniej i nie więcej. Bez żadnej przerwy. Jego przedramiona przypominały stalowe liny i odznaczały się na nich grube żyły. Teraz te potężne ręce wyglądały jak mlecznobiałe trzciny. Zasnute mgłą oczy wpatrywały się w dal, jak u weteranów, którzy widzieli zbyt dużo w Wietnamie. Miał bezbarwne usta i skórę jak pergamin.

– Lenny – odezwał się Philip.

Żadnej reakcji. Zmusił się do podejścia o krok bliżej do łóżka.

– Lenny, co, u diabła, dzieje się z Celtics? Jak myślisz? Co się z nimi stało?

Wciąż nic.

– No a Patriots? Tak długo byli świetni, więc nie mamy prawa narzekać, ale dajcie spokój. – Uśmiechnął się i przysunął bliżej. – Pamiętasz, jak spotkaliśmy Yaza po meczu z Orioles? To było coś. Świetny gość. Ale sam wtedy

przepowiedziałeś, że jak zawodnicy zaczną sami decydować, gdzie grać, zabiją wiele drużyn.

Cisza.

Od strony wejścia do pokoju dobiegł głos Sophie.

– Usiądź obok niego i weź go za rękę. Możliwe, że ściśnie twoją dłoń.

Zostawiła ich samych. Philip usiadł obok Lenny'ego. Nie wziął go za rękę. To nie było w ich stylu. Nie byli mięczakami. Może David i Adam to lubili, ale nie on i Lenny. Philip nigdy nie powiedział przyjacielowi, że go kocha, i Lenny również. Nie musieli. I mimo tego, co powiedział David, Lenny nigdy nie twierdził, że Philip jest mu coś winien. Oni nie myśleli w taki sposób.

– Muszę z tobą pogadać, Lenny.

Zaczął mówić. Opowiedział o wizycie Davida. Wszystko zrelacjonował. Wszystko, co zdołał zapamiętać. Lenny oczywiście nie odpowiadał. Jego oczy się nie zmieniały. Wydawało się, że zrobił nieco bardziej ponurą minę, ale Philip podejrzewał, że to tylko jego wyobraźnia. Równie dobrze mógłby rozmawiać z ramą łóżka. Po jakimś czasie – kiedy zbliżał się do końca opowieści – położył rękę na dłoni przyjaciela. Nie przypominała w dotyku ludzkiej dłoni, tylko jakiś kruchy przedmiot, na przykład martwe pisklę.

– Nie jestem pewien, co mam robić – wyznał, nieco się uspokajając. – Właśnie dlatego tu jestem. Obaj widzieliśmy, jak więźniowie próbują udawać niewinnych albo usprawiedliwiać to, co zrobili. Przez całe nasze zawodowe życie słuchaliśmy tego bełkotu. Ale tym razem to coś innego. David wierzy, że jego syn żyje. Oczywiście się myli. Bardzo chciałbym, żeby było inaczej... Bóg mi świadkiem... ale Matthew został zabity. David zrobił to w stanie ograniczonej poczytalności. Tak uważam. Już o tym rozmawialiśmy. Niczego nie pamięta, a ja nie wiem, czy można go obwiniać. Obaj nie lubiliśmy, kiedy obrońcy odwoływali się do niepoczytalności sprawcy, ale wiemy, że David to dobry chłopak. Zawsze taki był.

Popatrzył na Lenny'ego. Wciąż żadnej reakcji. Tylko falująca pierś mężczyzny świadczyła o tym, że Philip nie mówi do trupa.

– Sprawy mają się tak. – Lekko się nachylił i z jakiegoś powodu ściszył głos. – David prosi, żebym pomógł mu uciec z więzienia. To wariactwo. Obaj to wiemy. Nie mam takich wpływów. A nawet gdybym miał, to dokąd by poszedł? Wszyscy by na niego polowali i pewnie by go zastrzelili. Nie chcemy dla niego takiego losu. Wciąż żałuję, że nie próbował szukać pomocy, doprowadzić do nowego procesu. To jego największa szansa, rozumiesz?

Rozległo się stukanie w rurze od kaloryfera. Philip pokręcił głową z uśmiechem. Cholerna rura. Stukała od jakichś czterdziestu czy pięćdziesięciu lat. Pamiętał, że razem z Lennym próbowali spuszczać wodę z kaloryferów, ale nigdy nie udało im się odkryć, co powoduje to stukanie. Może uwięzione powietrze. Po naprawie przez kilka tygodni był spokój, a potem stukanie powracało.

– Jesteśmy już starzy, Lenny. Za starzy na takie akcje. W przyszłym roku odchodzę z roboty. Dostanę podwójną emeryturę. Mogę wszystko stracić, jeśli to spieprzę. Rozumiesz, co mówię? Nie mogę ryzykować. To nie byłoby w porządku wobec Ruth. Upatrzyła sobie jakieś ogrodzone osiedle w Karolinie Południowej. Ładna pogoda przez cały rok. Ale wiesz, że zawsze będę opiekował się Davidem. Niezależnie od wszystkiego, tak jak obiecałem. Jest twoim synem. Rozumiem to. Dlatego chciałem, żebyś wiedział. Będę o niego dbał...

Przestał mówić. Oddychał szybko. Uświadomił sobie, że zapewne widzi Lenny'ego po raz ostatni. Ta myśl spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Była jak niespodziewany cios. Poczuł, że łzy napływają mu do oczu, ale je powstrzymał. Zamrugał i odwrócił głowę. Potem wstał i położył dłoń na ramieniu przyjaciela. Nie wyczuł ciała. Miał wrażenie, że dotyka gołej kości.

– Lepiej już pójdę, Lenny. Dbaj o siebie, dobrze? Do zobaczenia niedługo.

Wyszedł z pokoju. Sophie czekała na niego za progiem.

– W porządku? – spytała.

Pokiwał głową, nie ufając własnemu głosowi.

Sophie popatrzyła mu w oczy. Z trudem to zniósł. Potem przeniosła wzrok na przykutego do łóżka brata. Gestem zachęciła Philipa, żeby się obejrzał. Powoli

podążył za jej wzrokiem. Lenny się nie poruszył. Jego twarz wciąż przypominała pośmiertną maskę. W jego oczach nadal nie było życia, a usta otwierały się w paskudnym niemym krzyku. Ale Philip zauważył, co Sophie próbowała mu pokazać.

Na bladej skórze Lenny'ego lśnił ślad po łzie.

Philip odwrócił się w stronę Sophie.

– Muszę już iść.

Poprowadziła go korytarzem, obok stojącego zegara i pianina. Otworzyła drzwi i Philip wyszedł na werandę. Ucieszyło go świeże powietrze. Słońce zaświeciło mu w oczy. Osłonił je i uśmiechnął się słabo.

– Miło było cię zobaczyć, Sophie.

Posłała mu nerwowy uśmiech.

– No co? – spytał.

– Lenny zawsze powtarzał, że byłeś najsilniejszym mężczyzną, jakiego znał.

– Byłem – podkreślił. – Czas przeszły.

– A teraz?

– Teraz jestem po prostu stary.

Sophie pokręciła głową.

– Nie jesteś stary. Po prostu się boisz.

– Nie wiem, czy to nie to samo.

Odwrócił się. Nie oglądał się, schodząc po betonowych stopniach, ale czuł na sobie jej ciężkie spojrzenie, w którym po tylu latach zapewne nie było wyrozumiałości.

Rozdział 6

Jestem zbyt zmęczony, żeby spać.

Spaceruję po swojej malutkiej celi. Dwa kroki, nawrót, dwa kroki, nawrót. Adrenalina wciąż krąży mi w żyłach po bójce z Rossem Sumnerem. W nocy nie mogłem zasnąć. Nie jestem pewien, kiedy znów mi się to uda.

– Odwiedziny. – To znów Kędzior.

Nie kryję zaskoczenia.

– Wciąż wolno mi przyjmować gości?

– Dopóki ktoś nie powie mi, że jest inaczej.

Boli mnie całe ciało, ale to dobry ból. Kiedy strażnicy zainterweniowali, obu nas zabrano na oddział szpitalny; ja mogłem tam pójść o własnych siłach, ale Rossa Sumnera zanieśli na noszach. Takie życie. Pielęgniarka połała ślady po ugryzieniach i zadrapania wodą utlenioną, po czym odesłała mnie do celi. Sumner miał mniej szczęścia. O ile wiem, wciąż nie wyszedł z oddziału szpitalnego. Nie powinienem się tym chełpić. Powinienem zdawać sobie sprawę, że zadowolenie, jakie odczuwam, jest podsycane przez prymitywną część mojej natury, która rozwinęła się w więzieniu, ale nic mnie to nie obchodzi.

Cierpienie Sumnera sprawia mi satysfakcję.

Kędzior w milczeniu prowadzi mnie znajomą trasą do sali odwiedzin. Dzisiaj idę dumnym krokiem.

– Ta sama osoba? – pytam, żeby sprawdzić, czy usłyszę jakąś odpowiedź.

Żadnej reakcji.

Siadam na tym samym stołku. Rachel tym razem nawet nie próbuje ukrywać przerażenia.

– Mój Boże, co ci się stało?

Uśmiecham się i rzucam tekstem, którego bym się po sobie nie spodziewał:

– Szkoda, że nie widziałaś tego drugiego gościa.

Przez dłuższą chwilę przygląda się mojej twarzy. Wczoraj starała się być bardziej skryta. Teraz porzuca wszelkie pozory. Wskazuje na mnie podbródkiem.

– Skąd masz te blizny?

– A jak sądzisz?

– Twoje oko...

– Niewiele na nie widzę. Ale to nic. Mamy większe zmartwienia.

Nie przestaje się we mnie wpatrywać.

– Daj spokój, Rachel. Musisz się skupić. Zapomnij o mojej twarzy, dobrze?

Jeszcze przez kilka sekund wodzi wzrokiem po moich bliznach. Nie ruszam się, pozwalając jej się napatrzeć. W końcu zadaje oczywiste pytanie:

– Więc co zrobimy?

– Muszę się stąd wydostać – odpowiadam.

– Masz jakiś plan?

Kręcę głową.

– Kiedyś w ramach ćwiczeń intelektualnych, żeby do reszty nie zwariować, obmyślałem sposoby wydostania się z tego miejsca. No wiesz, plany ucieczki. Nigdy nie zamierzałem wprowadzić ich w życie. Robiłem to dla rozrywki.

– No i co?

– No i wykorzystując swoje zdolności analityczne, nie wspominając o wrodzonym sprycie, doszedłem do wniosku, że... – wzruszam ramionami – to niemożliwe.

Rachel kiwa głową.

– Nikt nie uciekł z Briggs od osiemdziesiątego trzeciego... Nie, był jeden, ale złapali go po trzech dniach.

– Widzę, że się przygotowałaś.

– Stare nawyki. Więc co zamierzasz?

– Na razie o tym zapomnijmy. Chcę, żebyś sprawdziła dla mnie kilka rzeczy.

Kiedy Rachel wyjmuje znajomy dziennikarski kołnotatnik, dziesięć na dwadzieścia centymetrów, nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Używała takich całymi latami, jeszcze zanim dostała pracę w „Globe”, i zawsze wyglądała, jakby przebierała się za dziennikarkę, jakby za chwilę miała założyć kapelusz z karteczką PRASA wciśniętą w rondo.

– Mów – pogania mnie.

– Po pierwsze, musimy ustalić, kto naprawdę był ofiarą.

– Ponieważ już wiemy, że to nie był Matthew.

– „Wiemy” to nieco zbyt optymistyczne słowo, ale tak.

– Dobrze, zacznę od Państwowego Centrum Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci.

– Ale nie poprzestawaj na tym. Odwiedzaj strony internetowe, profile w mediach społecznościowych, przeglądaj stare gazety i tak dalej. Zaczniemy od sporządzenia listy białych chłopców między drugim a czwartym rokiem życia, którzy zaginęli w okresie dwóch miesięcy przed datą zabójstwa. Na razie ogranicz się do promienia trzystu kilometrów, potem możesz go rozszerzyć i przyrzeć się nieco młodszym i starszym dzieciom, zresztą sama wiesz.

Rachel wszystko notuje.

– Mam jeszcze kilka źródeł w FBI, których nie spaliłam – mówi. – Może jedno z nich mi pomoże.

– Źródeł, których nie spaliłaś?

Ignoruje moje pytanie.

– Co jeszcze? – rzuca.

– Hilde Winslow.

Oboje przez chwilę milczymy.

– Co z nią? – pyta w końcu Rachel.

Zaciska mi się gardło. Nie mogę wydobyć z siebie głosu.

– David?

Pokazuję, że nic mi nie jest. Powoli biorę się w garść. W końcu znów mogę zaufać swojemu głosowi.

– Pamiętasz jej zeznanie?

– Oczywiście.

Hilde Winslow, starsza wdowa o idealnym wzroku, zeznała, że widziała, jak zakopuję coś w lesie pomiędzy naszymi domami. Policja rozkopała to miejsce i odkryła narzędzie zbrodni pokryte moimi odciskami palców.

Czuję na sobie pełne wyczekiwania spojrzenie Rachel.

– Nigdy nie potrafiłem tego wyjaśnić – mówię z trudem, próbując zdystansować się od tej sprawy, jakby chodziło o kogoś innego, nie o mnie. – Początkowo sądziłem, że widziała kogoś podobnego. Że z kimś mnie pomyliła. W końcu było ciemno. Czwarta nad ranem. Poza tym to było dosyć daleko od jej okna.

– Florio powiedział to samo podczas procesu.

Tom Florio był moim adwokatem.

– Zgadza się – przyznaję. – Ale niewiele zdziałał.

– Hilde Winslow była ważnym świadkiem – zauważa Rachel.

Kiwam głową, czując, że znów wzbierają we mnie emocje.

– Wszyscy uważali ją za miłą staruszkę o doskonałej pamięci. Nie miała powodu, żeby kłamać. Jej zeznanie mnie pogrążyło. Wtedy także moi najbliżsi zaczęli mieć poważne wątpliwości. – Podnoszę wzrok. – Nawet ty, Rachel.

– Ty także.

Patrzy na mnie bez mrugnięcia okiem. To ja odwracam wzrok.

– Musimy ją znaleźć – mówię.

– Po co? Jeśli się pomyliła...

– Nie pomyliła się – przerywam jej.

– Nie nadążam.

– Hilde Winslow skłamała. To jedyne wytłumaczenie. Skłamała w sali sądowej i musimy się dowiedzieć dlaczego.

Rachel nie odpowiada. Jakaś młoda kobieta, na pewno jeszcze nastolatka, przechodzi za jej plecami i siada na sąsiednim stołku. Potężny więzień, którego nie kojarzę, pokryty tatuażami wykonanymi żyłką, zajmuje miejsce naprzeciwko niej. Bez żadnego wstępu zaczyna się wydierać w nieznanym mi języku, energicznie przy tym gestykulując. Dziewczyna zwiesza głowę i milczy.

– Dobrze – odzywa się Rachel. – Co jeszcze?

– Przygotuj się.

– To znaczy?

– Jeśli masz jakieś sprawy do załatwienia, zajmij się nimi teraz. Codziennie wypłacaj maksymalną ilość gotówki z bankomatu. Z banku też. Ale nie przekraczaj dziesięciu tysięcy dolarów dziennie, żeby nie zwracać na siebie uwagi władz. Zacznij dzisiaj. Będziemy potrzebowali jak najwięcej pieniędzy, na wszelki wypadek.

– Co to znaczy „na wszelki wypadek”?

– Jeśli uda mi się stąd wydostać. – Nachylam się. Wiem, że mam przekrwione oczy, a sądząc po jej minie, wyglądam... dziwnie. Może nawet groźnie. – Posłuchaj – szepczę – wiem, że teraz powinienem ci ze szczegółami opowiedzieć o tym, jak ucieknę... wiem o tym, ale wysłuchaj mnie. Jeśli mi się uda, będziesz winna udzielenia pomocy federalnemu więźniowi, a to jest przestępstwo. Gdybym był lepszym człowiekiem, powiedziałbym, że to moja walka, nie twoja, ale prawda jest taka, że sam sobie nie poradzę. Bez ciebie nie mam żadnych szans.

– On jest moim siostrzeńcem – odpowiada i prostuje się na stołku.

„Jest”. Użyła czasu teraźniejszego. Wierzy w to. Niech Bóg ma nas oboje w opiece, naprawdę wierzymy w to, że Matthew wciąż żyje.

– Co jeszcze, David?

Nie odpowiadam. Uciekam spojrzeniem w bok, skubię palcami dolną wargę.

– David...

– Matthew gdzieś tam jest – mówię. – Był tam przez cały ten czas.

Moje słowa wiszą w nieruchomym więziennym powietrzu.

– Ostatnie pięć lat było dla mnie piekłem, ale jestem jego ojcem. Wytrzymam. –
Patrzę jej prosto w oczy. – Co musiał przez ten czas czuć mój syn?

– Nie wiem – odpowiada Rachel. – Ale musimy go znaleźć.

• • •

Ted Weston lubił używać przydomka Kędzior w pracy.

W domu nikt go tak nie nazywał. Tylko tutaj, w Briggs. Dzięki temu dystansował się od szumowin, z którymi musiał mieć do czynienia każdego dnia. Wolał, żeby ci ludzie nie mówili do niego po imieniu, a nawet go nie znali. Po skończonej pracy brał prysznic w szatni dla strażników więziennych. Zawsze. Nigdy nie wracał do domu w mundurze. Stał pod strumieniem bardzo gorącej wody i dokładnie zmywał z siebie to miejsce, tych strasznych ludzi i ich straszne oddechy, którymi nasiąkały jego ubrania i włosy, ich pot oraz DNA, ich zło, w jego oczach przypominające żyjącego pasożyta, który wnika w zdrowy mikrokosmos, żeby go pożreć. Ted zmywał to wszystko, szorując ciało twardą szczotką i przemysłowym mydłem i polewając je ukropem, a następnie starannie przebierał się w cywilne ubranie, swój prawdziwy strój, i wracał do domu, do Edny i dwóch córek, Jade i Izzy. Tam ponownie brał prysznic, by upewnić się, że ani odrobina tego miejsca nie skazi jego domu i rodziny.

Jade miała osiem lat i chodziła do trzeciej klasy. Izzy miała sześć lat i zdiagnozowany autyzm, a przynajmniej znajdowała się w jego spektrum, jak twierdzili tak zwani specjaliści, którzy badali najśłodsza dziewczynkę, jaką stworzył Bóg. Ted kochał obie córki z całego serca tak bardzo, że gdy czasami patrzył na nie ponad kuchennym stołem, miłość zalewała jego ciało, jakby miała go rozsadzić.

Ale teraz, kiedy stał na oddziale szpitalnym przy łóżku wyjątkowo podłego więźnia, Rossa Sumnera, karcił się za to, że w ogóle myśli o córkach i pozwala, by

te czyste istoty pojawiały się w jego głowie w obecności takiego potwora.

– Pięćdziesiąt kawałków – powiedział Sumner.

Ross Sumner leżał na oddziale szpitalnym. Dobrze. David Burroughs nieźle go sponiewierał. Kto mógłby przypuszczać, że jest do tego zdolny? Co prawda Ted żadnego z tych dwóch nie nazwałby „zatwardziałym” przestępcą, po prostu byli paskudnymi ludźmi. Mimo wszystko piękna twarzyczka Sumnera poważnie ucierpiała. Miał złamany nos. Opuchlizna prawie zakryła mu oczy. Wyglądało na to, że bardzo go boli, a Teda to cieszyło.

– Słyszałeś, Theodore?

Sumner oczywiście znał jego prawdziwe imię. Tedowi to się nie podobało.

– Słyszałem.

– I co?

– Odpowiedź brzmi: nie.

– Pięćdziesiąt kawałków. Przemyśl to.

– Nie.

Sumner spróbował się podnieść.

– Ten człowiek zamordował własne dziecko.

Ted Weston pokręcił głową.

– To ty jesteś zabójcą, nie ja.

– Zabójcą? Och, Ted, wszystko ci się pomieszało. Nie byłbyś zabójcą, tylko bohaterem. Aniołem zemsty. Z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w kieszeni.

– Dlaczego tak bardzo ci zależy na jego śmierci?

– Popatrz na moją twarz. Tylko popatrz, co Burroughs mi zrobił.

Ted Weston popatrzył. Ale wciąż tego nie kupował. Musiało chodzić o coś jeszcze.

– Sto tysięcy – powiedział Sumner.

Ted przełknął ślinę. Sto tysięcy. Pomyślał o Izzy i pieniądzach, które płacili specjalistom.

– Nie mogę.

– Oczywiście, że możesz. Już nam powiedziałaś, że Burroughsa odwiedził ktoś ze zdjęciem.

– To była... To była tylko drobna przysługa.

Sumner uśmiechnął się pod sińcami.

– Więc potraktuj to jako kolejną przysługę. Może nieco większą, ale mam plan. Nieskazitelnny plan.

– Jasne – prychnął Ted. – Nigdy wcześniej nie słyszałem tutaj takiego tekstu.

– Więc może powiem ci, o czym myślę? Czysto teoretycznie. Po prostu mnie posłuchaj, dobrze? Dla rozrywki.

Ted nie odmówił ani nie kazał mu się zamknąć. Nie odszedł ani nawet nie pokręcił głową. Po prostu stał przy łóżku.

– Powiedzmy, że strażnik więzienny... ktoś taki jak ty, Ted... przynosi mi nóż. W więzieniu nazywamy go kosą. Jak wiesz, jest tutaj mnóstwo takich przedmiotów. Powiedzmy, czysto hipotetycznie, że zaciskam na tym nożu dłoń, żeby zostawić odciski palców. A strażnik nosi rękawiczki. Na przykład takie, które można znaleźć na tym oddziale szpitalnym. – Ross uśmiechnął się pomimo bólu. – Potem wezmę na siebie winę i do wszystkiego się przyznam, w końcu nie mam nic do stracenia. Jeśli już, to dzięki temu będę miał szansę wyjść na wolność.

Ted Weston zmarszczył czoło.

– Jaką szansę?

– Moja apelacja opiera się na niepoczytalności. Zabicie Burroughsa sprawi, że wyjdę na jeszcze większego wariata. Nie rozumiesz? Będą mieli narzędzie zbrodni z moimi odciskami palców oraz moje przyznanie do winy. Kilkudziesięciu świadków widziało naszą bójkę, prawie na śmierć i życie, co zapewni mi motyw. – Uniósł obie otwarte dłonie. – Sprawa zamknięta.

Ted Weston kręcił się niespokojnie. Sto tysięcy. To więcej, niż zarabiał przez rok. A nawet przez dwa lata, skoro dostałby gotówkę, od której nie musiałby płacić podatku. Rozmyślał o tym, co on i Edna mogliby zrobić z taką furą pieniędzy. Tonęli w długach. Taki zastrzyk gotówki byłby jak koło ratunkowe. A raczej

elegancki jacht. Ted nie wątpił, że Sumner dysponuje taką kasą. Wszyscy o tym wiedzieli. Już wcześniej przelał jemu i Bobowi po dwa tysiące, żeby nie interweniowali w stołówce, dopóki nie zrobi się naprawdę groźnie.

Ale przymknijcie oka za dwa patyki to jedno, podobnie jak pięćset dolarów miesięcznie za przekazywanie wieści o poczynaniach Burroughsa, co Ted robił od kilku lat. Sto tysięcy było oszałamiającą sumą. Wystarczyło dźgnąć nożem bezwartościowego dzieciobójcę, który i tak powinien trafić na krzesło elektryczne i który i tak był trupem, skoro Sumnerowi na tym zależało. A zatem w czym problem?

Sumner miał rację. Nikt nie podejrzewałby Teda. Nawet gdyby coś poszło nie tak. Był tutaj lubiany. Koledzy stanęliby za nim murem.

To byłoby takie proste.

– Theodore?

Ted pokręcił głową.

– Nie mogę.

– Jeśli próbujesz wynegocjować większe pieniądze...

– Nie próbuję. Po prostu nie jestem takim człowiekiem.

Sumner się roześmiał.

– Aha, więc sądzisz, że jesteś ponad to?

– Muszę być w porządku wobec rodziny – odparł Ted. – Wobec Boga.

– Boga? – Sumner znów się roześmiał. – Wierzysz w te zabobony? W Boga, który codziennie dopuszcza, żeby tysiące dzieci umierały z głodu, ale pozwala mi żyć, mordować i gwałcić? Nigdy się nad tym nie zastanawiasz, Theodore? Czy twój Bóg patrzył, jak torturuję ludzi? Był zbyt słaby, żeby mnie powstrzymać... a może chciał, żeby moje ofiary zginęły w męczarniach?

Ted nie próbował odpowiedzieć. Wbiął wzrok z podłogę, a jego twarz coraz bardziej czerwieniała.

– Nie masz wyboru, Theodore.

Podniósł wzrok.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że chcę, żebyś to zrobił. Już brałeś od nas pieniądze. Mogę o tym powiedzieć twoim przełożonym... nie wspominając o lokalnych władzach, prasie, twojej rodzinie. Nie chcę tego robić. Lubię cię. Jesteś dobrym człowiekiem. Ale jesteśmy zdesperowani, a ty tego nie dostrzegasz. Chcemy, żeby Burroughs umarł.

– Wciąż powtarzasz „my”. O kogo ci chodzi?

Sumner popatrzył mu w oczy.

– Wolałbyś nie wiedzieć. Chcemy, żeby umarł, i to jeszcze dzisiaj w nocy.

– Dzisiaj? – Ted nie wierzył własnym uszom. – Nawet gdybym...

– Mogę posunąć się do kolejnych gróźb, jeśli chcesz. Mogę przypomnieć ci o naszym bogactwie. Przypomnieć, że wciąż dysponujemy ogromnymi zasobami na zewnątrz. Przypomnieć, że wiemy o tobie wszystko, wiemy, gdzie twoja rodzina...

Ted błyskawicznie zacisnął dłoń na gardle Rossa Sumnera, ale ten nawet nie mrugnął. To oczywiście nie trwało długo. Ted niemal natychmiast go puścił.

– Możemy zmienić twoje życie w koszmar, Theodore. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Ted czuł się zagubiony. Tracił grunt pod nogami.

– Ale skończmy z tymi nieprzyjemnościami, dobrze? W końcu jesteśmy przyjaciółmi, a przyjaciele sobie nie grożą. Stoimy po tej samej stronie. Najlepsze są takie związki międzyludzkie, w których obie strony coś zyskują. Czuję, że zachowywałem się niewłaściwie. Proszę, przyjmij moje przeprosiny. Oraz dodatkowe dziesięć tysięcy dolarów. – Sumner oblizał usta. – Sto dziesięć tysięcy dolarów. Pomyśl o tych pieniądzach.

Tedowi zrobiło się niedobrze. Ludzie tacy jak Ross Sumner nie mają w zwyczaju blefować.

Ted rzeczywiście nie miał wyboru. Musiał przekroczyć granicę, zza której nie było odwrotu.

– Powiedz mi jeszcze raz, jaki masz plan – poprosił.

Rozdział 7

Po powrocie do swojego pokoju Rachel popatrzyła na zdjęcie, które być może przedstawiało Matthew, wzięła do ręki telefon i przez chwilę rozważała, czy zadzwonić do Cheryl i wyrzucić jej świat do góry nogami.

Dziwne, że David nie poprosił jej o ponowne pokazanie fotografii. Była na to gotowa, bo kiedy nie ma się zdjęcia przed oczami, pojawiają się wątpliwości. Natomiast kiedy się na nie patrzy, czuje się pewność, że to musi być Matthew. Ale gdy tylko się je odłoży i polega wyłącznie na wyobraźni, a nie na konkretnym obrazie, to przekonanie wydaje się absurdalne. To niedorzeczność myśleć, że niewyraźny wizerunek dziecka stanowi dowód na to, że zamordowany pięć lat wcześniej malec wciąż żyje.

Nie mogła zadzwonić do siostry. Powinna jej tego oszczędzić.

Ale czy miała prawo podjąć taką decyzję?

Zatrzymała się w motelu Briggs Motor Lodge, który zapewne słynął z tego, że jego ściany zbudowano z gazy. W tej chwili słyszała, jak sąsiedzi oddają się energicznym igraszkom, zupełnie jakby dzieliła z nimi łóżko. Kobieta pokrzykiwała: „Och, Kevin!”, „Dalej, Kevin!” i „Tak, Kevin!”, a nawet – Rachel miała nadzieję, że wołała to pod wpływem pożądania, a nie dla żartu – „Weź mnie do nieba, Kevin!”.

Miłe popołudniowe rozrywki, pomyślała z odrobiną goryczy. Na pewno dobrze się bawią.

Kiedy ona spędzała w ten sposób popołudnie?

Nie warto było o tym myśleć. Rachel wciąż dochodziła do siebie po ataku paniki, który prawdopodobnie po części wywołało spotkanie z Davidem, a po

części odstawienie środków przeciwlękowych. Leki w jej wypadku nie działały. Zażywała xanax, licząc na to, że stłumi ból związany z odpowiedzialnością za śmierć człowieka, ale chociaż poczucie winy stało się nieco bardziej ulotne, wciąż jej towarzyszyło.

Zamrugnęła, próbując skupić się na podjęciu właściwej decyzji.

Mogła zadzwonić do siostry i o wszystkim jej powiedzieć. Tego sama by chciała, gdyby zamieniły się rolami i to Cheryl dysponowała zdjęciem. Wzięła do ręki telefon. Na wsi w Maine czasem zanikał zasięg. To było więzienne miasteczko. Wszyscy mieszkańcy motelu byli w jakiś sposób powiązani z zakładem karnym Briggs – odwiedzający, sprzedawcy, dostawcy, kurierzy i tak dalej.

Okazało się, że sygnał jest wystarczająco silny, by połączenie się udało. Dotknęła ikony kontaktów i zjechała do imienia Cheryl. Jej palec zawisł nad ikoną słuchawki.

Nie rób tego.

Obiecała sobie, że zachowa to przed siostrą w tajemnicy, dopóki nie będzie miała pewności. Chciała ją chronić. W tej chwili, po odstawieniu na bok emocji, musiała przyznać, że wciąż niczego nie wie. Miała zdjęcie chłopca, który przypominał jej martwego siostrzeńca. Tylko tyle. Koniec kropka. Pomimo entuzjazmu Davida nie mieli żadnych konkretów.

Włączyła telewizor. Szyld przed motelem dumnie głosił, że we wszystkich pokojach znajdują się kolorowe telewizory, a każdą literę zapisano innym kolorem – K na pomarańczowo, O na zielono, L na niebiesko – by podkreślić ten fakt, chociaż Rachel uważała, że prawdziwą atrakcją byłoby, gdyby w motelu zamontowano czarno-białe odbiorniki. Zaczęła przerzucać kanały. Wszędzie natrafiała albo na talk-show, albo na mało profesjonalne miejscowe serwisy informacyjne. Wszystkie reklamy – kup złoto, zaciągnij drugi kredyt hipoteczny, skonsoliduj długi, zainwestuj w kryptowaluty – kojarzyły jej się z piramidami finansowymi.

Amerykańska gospodarka opiera się na oszustwie w większym stopniu, niż nam się wydaje.

Impreza za ścianą osiągnęła kulminację, gdy Kevin kilkakrotnie oznajmił z wielkim entuzjazmem, że zbliża się do mety. Kilka sekund później rozległ się symboliczny dźwięk gongu i zapadła cisza. Rachel miała ochotę bić brawo. David spytał o jej dziennikarską karierę, a ona wymigała się od odpowiedzi. Nie widziała powodu, by tłumaczyć, że wszystko schrzaniła, została zwolniona i upokorzona, a ta historia może być dla niej jedyną szansą na wskrzeszenie kariery. Nie warto o tym rozmawiać. Lepiej skupić się na tym, co jest naprawdę ważne. I tak by się tutaj pojawiła. Powtarzała to sobie i zapewne nie kłamała.

Jej telefon leżał na łóżku.

Do diabła z tym.

Podniosła go i zanim zdążyła to sobie wyperswadować, wybrała numer siostry, pierwszy na liście ulubionych. Przyłożyła telefon do ucha. Wciąż nie słyszała dzwonka. Jeszcze mogła się rozłączyć. Zamknęła oczy, kiedy rozległ się pierwszy sygnał. Nadal miała czas. Po drugim sygnale ktoś odebrał. W telefonie odezwał się urywany głos, który nie należał do jej siostry.

– Halo?

To był Ronald, nowy mąż Cheryl.

– Cześć, Ronald, mówi Rachel – powiedziała, chociaż jej imię z pewnością wyświetliło się na ekranie.

– Dzień dobry, Rachel. Jak się masz?

– Dobrze. Czy to nie jest telefon Cheryl?

– Owszem – przyznał Ronald. Zawsze nazywano go Ronaldem, nie Ronem, Ronnym czy Ronsterem, co wiele mówiło o jego wymowie i sposobie bycia. – Twoja siostra właśnie zażywa kąpieli, więc pozwoliłem sobie odebrać telefon zamiast niej.

Cisza.

– Jeśli zechcesz chwilę zaczekać, z pewnością wkrótce podejdzie – dodał.

– Zaczekam.

Słyszała, jak odkłada telefon. Rachel czuła lekkie zawroty głowy wywołane alkoholem, ale panowała nad sytuacją. Rozległy się stłumione głosy, a potem odezwała się nieco zmęczona Cheryl.

– Cześć, Rach.

Rachel zdawała sobie sprawę, że ktoś mógłby uznać jej niechęć wobec Ronalda Dreasona za przesadzoną lub niesprawiedliwą. Oczywiście miałyby rację. To była wina Cheryl. Wybrała kiepski moment na wprowadzenie nowego mężczyzny do swojego życia.

– Cześć – wykrztusiła Rachel. Niemal usłyszała, jak siostra marszczy czoło.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Piłaś?

Cisza.

– Co się stało?

Rachel przygotowywała to, co zamierzała powiedzieć, od chwili, gdy wróciła do pokoju, ale teraz wszystkie słowa uciekły jej z głowy.

– Po prostu sprawdzam, co słyhać. Jak się czujesz?

– Całkiem dobrze. Poranne mdłości ustąpiły. W czwartek idziemy na USG.

– Świetnie. Poznacie płęć?

– Tak, ale nie martw się, nie urządzamy z tego powodu imprezy.

Dzięki Bogu, pomyślała Rachel.

– Świetna sprawa – powiedziała na głos.

– Tak, Rach, świetnie, cudownie i tak dalej. A teraz przestań grać na czas i mów, co się dzieje.

Rachel wzięła do ręki zdjęcie. Irene, Królik Bugs i profil chłopca. Przypomniała sobie poranioną twarz Davida za szybą z pleksiglasu, jego delikatnie przechyloną głowę, gdy podniósł palec, by dotknąć chłopca na fotografii, oraz nagi, niepokojący ból w jego pustych oczach. Powiedziała prawdę. David nie miał

niczego. Cheryl miała życie. Wiele wycierpiała, gdy straciła dziecko, a potem dowiedziała się, że odpowiada za to jej mąż. Rachel nie miała prawa wszystkiego burzyć, prawdopodobnie bez powodu.

– Ej – odezwała się Cheryl. – Ziemia do Rachel.

Rachel przełknęła ślinę.

– Nie przez telefon.

– Słucham?

– Muszę się z tobą zobaczyć. Jak najszybciej.

– Przerażasz mnie, Rach.

– Nie mam takiego zamiaru.

– Dobrze, przyjedź do mnie.

– Nie mogę.

– Dlaczego? – spytała Cheryl.

– Nie jestem w domu.

– A gdzie jesteś?

– W Maine. W zakładzie karnym Briggs.

Cisza była przytłaczająca. Rachel ścisnęła telefon i czekała z zamkniętymi oczami. Kiedy Cheryl wreszcie się odezwała, jej głos zmienił się w udręczony szept.

– Co ty próbujesz mi zrobić, do diabła?

– Jutro stąd wyjeżdżam. Spotkajmy się u mnie. O dwudziestej. Nie bierz ze sobą Ronalda.

• • •

W Briggs trudno nakreślić granicę między dniem a nocą.

O dwudziestej drugiej „gasimy światła”, ale tak naprawdę tylko je przygaszamy. Tutaj nigdy nie robi się całkowicie ciemno. Może to dobrze, sam nie wiem. Każdy z nas siedzi sam w celi, więc i tak nie przeszkadzalibyśmy sobie

nawzajem. Mam u siebie lampkę, więc mogę czytać do późna. Można by pomyśleć, że będę tutaj dużo czytał i pisał, ale mam trudności z koncentracją, częściowo ze względu na kłopoty z okiem po pierwszym pobiciu. Po zaledwie godzinie patrzenia na tekst zaczyna mnie boleć głowa. Może problem nie jest wyłącznie fizyczny, ale bardziej psychosomatyczny. Nie mam pojęcia.

Dzisiaj jednak splatam dłonie za głową i kładę się na cienkiej poduszce. Po raz pierwszy, odkąd tutaj trafiłem, otwieram umysłowe śluzy i wpuszczam do głowy Matthew. Nie powstrzymuję obrazów. Nie blokuję ich ani nie filtruję. Pozwalam, by napływały i mnie otaczały. Praktycznie się w nich kąpię. Myślę o ojcu, zapewne właśnie umierającym w pokoju, który kiedyś dzielił z moją matką. Myślę o matce, która umarła, kiedy miałem osiem lat, i zdaję sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę się z tym nie uporałem. Już nie widzę jej twarzy, od lat nie potrafię przywołać jej w myślach, więc muszę polegać na zdjęciach, które trzymaliśmy na pianinie. Wspominam ciocię Sophie, moją cudowną Sophie, serdeczną i szczodłą kobietę, która wychowała mnie po śmierci mamy; niebiańską istotę, którą kocham bezwarunkowo. Wciąż jest uwięziona w tamtym domu i opiekuje się moim ojcem, póki ten nie wyda ostatniego tchnienia.

Obracam głowę, kiedy słyszę jakiś odgłos za drzwiami celi.

Nocne hałasy nie są tutaj rzadkością. To paskudne dźwięki, mrozące krew w żyłach, nieuniknione i nieprzerwane. W tym skrzydle mało jest ludzi, którzy spokojnie śpią. Wielu osadzonych krzyczy przez sen. Inni lubią siedzieć do późna i gawędzić przez kraty. Przesławiają swoje wewnętrzne zegary, siedzą całymi nocami jak wampiry, a potem śpią w dzień. Dlaczego nie? Tutaj tak naprawdę nie ma dnia ani nocy.

Oczywiście są też mężczyźni, którzy masturbują się z pożądliwą dumą i bez cienia dyskrecji.

Ale ten odgłos, który sprawia, że obracam głowę, jest inny. Nie dobiega z innej celi, budki strażników ani bloku ogólnego, tylko od drzwi mojej celi.

– Kto tam?

Nagle oślepia mnie światło latarki. Wcale mi się to nie podoba. Zasłaniam twarz dłonią i mrużę oczy.

– Kto tam?

– Nie ruszaj się, Burroughs.

– Kędzior?

– Powiedziałem, żebyś się nie ruszał.

Nie wiem, co się dzieje, więc jestem posłuszny. W Briggs nie ma tradycyjnych zamków ani kluczy. Drzwi mojej celi są zabezpieczone tak zwanym zamkiem zatrzaskowym, elektromechanicznym systemem, który zamyka się w sposób automatyczny. Steruje się nim za pomocą dźwigni w pokoju strażników. Klucze są wykorzystywane tylko w sytuacjach awaryjnych.

A Kędzior właśnie to robił.

Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby używał klucza.

– Co się dzieje? – pytam.

– Zabieram cię na oddział szpitalny.

– Nie ma potrzeby – odpowiadam. – Czuję się dobrze.

– Nie ty o tym decydujesz – odpowiada szeptem.

– A kto?

– Ross Sumner złożył oficjalną skargę.

– I co w związku z tym?

– Lekarz musi ci wykonać obdukcję.

– Teraz?

– Jesteś zajęty?

Jak zwykle jest sarkastyczny, ale w jego głosie słychać napięcie.

– Już późno – zauważam.

– Potem się wyśpisz. Rusz dupę.

Nie jestem pewien, co innego mogę zrobić, więc wstaję.

– Możesz nie świecić mi w oczy? – mówię.

– Po prostu chodź.

– Dlaczego szepczesz?

– Ty i Sumner wywołaliście niezłe zamieszanie. Myślisz, że chcę powtórki?

To ma sens, choć jego słowa i tak brzmią dziwnie pusto. Tylko czy mam jakiś wybór? Muszę iść. Nie jestem zachwycony, ale to nie koniec świata. Pójdę. Zobaczę się z lekarzem. Może przy okazji pośmieję się z Sumnera przykutego do łóżka.

Wychodzimy z bloku i ruszamy korytarzem. Dalekie okrzyki dobiegające z bloku ogólnego odbijają się od betonowych ścian niczym gumowe piłeczki. Światła są przygaszone. Mam na nogach więzienne płócienne kapcie, ale czarne buty Kędziora stukają o posadzkę. Nieco zwalnia. Robię to samo.

– Nie zatrzymuj się, Burroughs.

– Słucham?

– Po prostu idź.

Trzyma się pół kroku za mną. Jesteśmy sami w korytarzu. Oglądam się przez ramię. Kędzior jest blady jak ściana. Jego oczy lśnią. Dolna warga drży. Wygląda, jakby miał się rozpląkać.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Nie odpowiada. Mijamy punkt kontrolny, na którym nie ma strażnika. To dziwne. Kędzior otwiera duże drzwi za pomocą jakiegoś breloka, a kiedy docieramy do rozwidlenia korytarzy, dotyka mojego łokcia i kieruje mnie w prawo.

– Na oddział szpitalny idzie się tamtędy – protestuję.

– Najpierw musisz wypełnić kilka formularzy.

Idziemy kolejnym korytarzem. Odgłosy więzienia całkowicie milkną. Jest tak cicho, że słyszę ciężki oddech Kędziora. Nie znam tej części więzienia. Nigdy tutaj nie byłem. Nie ma tu cel. Drzwi ze szkła marmurkowego kojarzą się z kabinami prysznicowymi. Philip miał takie drzwi w swoim gabinecie. Zakładam, że tutaj mają swoje siedziby urzędnicy, a ja spotkam się z kimś, kto pomoże mi wypełnić papiery. Ale za drzwiami nie świecą się światła. Mam wrażenie, że jesteśmy sami.

Zauważam coś, co wcześniej mi umknęło.

Kędzior ma na dłoniach rękawiczki.

Z czarnego lateksu. Strażnicy rzadko je noszą. Dlaczego teraz ma je na rękach? Dlaczego akurat dzisiaj? Nie należę do osób, które zawsze słuchają intuicji albo podążają za pierwotnym instynktem. To często droga na manowce. Ale kiedy dodaję do siebie te wszystkie elementy – przecucie, instynkt, późną porę, wymówkę, rękawiczki, naszą trasę, zachowanie i wygląd Kędziora – dochodzę do wniosku, że coś jest bardzo nie w porządku.

Kilka dni temu niespecjalnie bym się tym przejął. Ale teraz wszystko się zmieniło.

– Naprzód – odzywa się Kędzior. – Ostatnie drzwi po lewej.

Serce tłucze mi się w piersi. Patrzę na wskazane drzwi. One też są ze szkła marmurkowego i nie świeci się za nimi światło.

Niedobrze.

Zamieram. Kędzior staje za mną. On także się nie porusza. Wydaje z siebie jakiś cichy odgłos. Powoli się odwracam. Łzy spływają mu po twarzy.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Nagle zauważam błysk stali.

Ostrze zmierza prosto w stronę mojego brzucha.

Nie mam czasu do namysłu, muszę reagować. Przechylam się w bok i uderzam przedramieniem od góry w rękę Kędziora. Ostrze zmienia kierunek i mija mój prawy bok o kilka centymetrów. Strażnik gwałtownie przyciąga do siebie nóż, rozcinając skórę na mojej ręce. Leje się krew, ale nie czuję bólu. Przynajmniej na razie.

Odskakuję do tyłu. Dzieli nas zaledwie metr i obaj uginamy kolana, szykując się do walki.

Kędzior płacze. Trzyma przed sobą ostrze, jakby odgrywał *West Side Story* dla ubogich. Pot pokrywa jego twarz i miesza się ze łzami.

– Przepraszam, Burroughs.

– Co ty robisz?

– Tak mi przykro.

Poprawia uchwyt na nożu. Trzymam się za przedramię, próbując zatamować krew, która przecieka mi przez palce.

– Nie musisz tego robić – mówię.

Ale Kędzior nie słucha. Rzuca się na mnie. Odskakuję, słysząc szum w uszach. Nie wiem, co robić. Nie mam pojęcia o walce na noże.

Dlatego robię najprostszą rzecz.

– Pomocy! – wrzeszczę na całe gardło. – Niech mi ktoś pomoże!

Oczywiście nie liczę na wiele. To więzienie, a ja jestem osadzonym. Ludzie przez całą dobę wykrzykują tutaj różne głupoty. Ale zaskakuję Kędziora i się waha. Wykorzystuję to. Odwracam się i biegnę korytarzem w stronę, z której przyszliśmy. Ściga mnie.

– Pomocy! On próbuje mnie zabić! Pomocy!

Nie oglądam się. Nie wiem, czy wciąż mnie goni. Nie mogę ryzykować. Gnam przed siebie i wrzeszczę. Ale zbliżam się do końca korytarza i punktu kontrolnego, który wcześniej mijaliśmy. Nikogo tu nie ma.

Taranuję wysoką bramkę. Bezskutecznie. Zaczynam ją szarpać.

Nic z tego. Jest zamknięta na klucz.

Co teraz?

– Pomocy!

Oglądam się przez ramię. Kędzior się zbliża. Znalazłem się w potrzasku. Odwracam się w jego stronę, wciąż wzywając pomocy. Zatrzymuje się. Próbuję wyczytać coś z jego twarzy. Zagubienie, rozpacz, wściekłość, strach – to wszystko na niej jest. Wiem, że strach zawsze jest najbardziej przytłaczający. Kędzior się boi. A jedyny sposób na pozbycie się strachu to uciszenie mnie.

Cokolwiek go do tego doprowadziło, wątpliwości, które odczuwa, nie mogą się równać z jego wolą przetrwania. Przede wszystkim martwi się o siebie.

To oznacza, że zamierza mnie zabić.

Opieram się plecami o bramkę i nie mam dokąd uciec. Właśnie ma się na mnie rzucić, gdy nagle za moimi plecami odzywa się czyjś głos.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

Zalewa mnie fala ulgi. Chcę się odwrócić i wyjaśnić, że Kędzior próbuje mnie zabić, ale czuję, jak coś twardego uderza mnie w tył głowy. Uginają się pode mną kolana i ogarnia mnie ciemność.

Po chwili już niczego nie widzę.

Rozdział 8

Cheryl zabrała filiżankę kawy oraz kilka stron porannej gazety i usiadła w kąciku śniadaniowym naprzeciwko męża. Była szósta rano, a to stało się ich ukochanym porannym rytuałem. Ona i Ronald mieli na sobie identyczne bawełniane szlafroki z grubymi kołnierzami i mankietami. Ronald zamówił je dla nich podczas pobytu w luksusowym hotelu Fairmont Princess w Scottsdale.

Większość ludzi czytała gazety online, ale Ronald upierał się na klasyczną codzienną dostawę prasy. Zaczynał lekturę od pierwszego działu, podczas gdy Cheryl najpierw zabierała się do wiadomości biznesowych. Sama nie wiedziała dlaczego. Nie znała się na biznesie, ale traktowała zachodzące w nim zmiany jak dobrą operę mydlaną. Dzisiaj, chociaż próbowała się skupić, niczego nie rozumiała. Słowa przepływały obok niej pozbawionymi znaczenia falami. Ronald, który zazwyczaj na bieżąco komentował czytane teksty, co uważała w równej mierze za urocze i irytujące, dzisiaj milczał. Wiedziała, że jej się przygląda. Nie spała dobrze po telefonie od siostry. Wyraźnie chciał spytać ją, co się stało, ale tego nie robił. Jedną z zalet Ronalda było cudowne wyczucie, kiedy nie należy się narzucać.

– O której godzinie masz pierwszego pacjenta? – spytał.

– O dziewiątej.

Cheryl przyjmowała pacjentów trzy razy w tygodniu i zawsze zaczynała równo o dziewiątej. Była transplantolożką, co uważała za niewątpliwie najciekawszą dziedzinę medycyny. Zajmowała się głównie przeszczepami nerek i wątroby, od których zależało ludzkie życie i które stanowiły spore wyzwanie, ale jej pacjenci potrzebowali opieki po operacji, często nawet całymi latami, dzięki czemu mogła oglądać owoce swojej pracy. Żeby zostać transplantologiem, trzeba zacząć od chirurgii ogólnej (w jej wypadku było to sześć lat w Boston General), potem przez

rok prowadzić badania i dodatkowo przez dwa lata praktykować na oddziale transplantologii. Była to bardzo trudna droga, ale po życiowych tragediach, które ją spotkały, to właśnie centrum medyczne, edukacja, praca zawodowa, jej powołanie i pacjenci utrzymywali ją na powierzchni.

Praca. No i oczywiście Ronald.

Popatrzyła mężowi w oczy i uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech. Dostrzegła troskę wyrytą na jego przystojnej twarzy. Lekko pokiwała głową, jakby chciała go zapewnić, że wszystko jest w porządku. Ale nie było.

Dlaczego Rachel pojechała do zakładu karnego Briggs?

To jasne. Odwiedziła Davida. W porządku, to jej sprawa. David i Rachel zawsze byli blisko, a on siedział w więzieniu już od prawie pięciu lat. Może Rachel czuła, że to wystarczy. Może uznała, że powinna się do niego odezwać, ponieważ zasługiwał na jakiś rodzaj wsparcia. Może w obliczu zawodowych i osobistych zawirowań, jakie spadły na nią w ostatnim roku, Rachel poczuła się lepiej, gdy odwiedziła człowieka, który zawsze wierzył w nią i jej marzenia.

Nie.

Musiało chodzić o coś innego. Tak jak Cheryl uwielbiała chirurgię, tak samo Rachel kochała pracę dziennikarki śledczej. Straciła ją nagle, być może niesprawiedliwie, i od tamtej pory nie była sobą. To proste. Została zraniona. To doświadczenie ją zmieniło, zdecydowanie nie na lepsze. Na Rachel kiedyś można było polegać. Teraz Cheryl stale kwestionowała jej decyzje.

Po co jednak pojechała do Briggs?

Być może dostrzegła w Davidzie szansę. On nigdy nie rozmawiał z prasą. Ani razu. Nigdy nie opowiedział swojej wersji tej historii – jakby taka istniała – ani nie próbował rozwinąć swojej teorii dotyczącej tego, co wydarzyło się tamtej straszliwej nocy. Więc może o to jej chodziło. Rachel w głębi serca wciąż była dziennikarką śledczą, więc możliwe, że odwiedziła Davida pod pretekstem troski o jego los. Potrafiła słuchać, a ludzie chętnie się przed nią otwierali. Może postanowiła wydobyć z Davida historię nadającą się na pierwsze strony gazet albo

do podcastu kryminalnego, a niewykluczone, że zamierzała w ten sposób odzyskać dawną pozycję i wrócić do łask.

Ale czy naprawdę by to zrobiła?

Czy Rachel ponownie wyciągałaby na światło dzienne ten koszmar i rozrywała szwy na ranach siostry (używając chirurgicznej analogii) tylko po to, by wrócić do gry? Czy mogła być aż tak wyrachowana?

– Jak się czujesz? – spytał Ronald.

– Świetnie.

Uśmiechnął się do niej.

– Czy to będzie z mojej strony ckliwe lub romantyczne, jeśli powiem, że moja żona wygląda wyjątkowo seksownie w ciąży?

– Ani takie, ani takie – odpowiedziała. – Raczej będzie świadczyło o tym, że jesteś napalony i masz na mnie ochotę.

Ronald udał, że z oburzeniem wstrzymuje oddech, i uniósł dłoń do piersi.

– *Moi?*

Pokręciła głową.

– Mężczyźni.

– Jesteśmy przewidywalni.

Cheryl była w ciąży. To takie cudowne i tym razem udało się bez żadnych problemów. Ronald wciąż się jej przyglądał, więc zmusiła się do uśmiechu. W zeszłym roku wyremontowali kuchnię: zburzyli jedną ścianę, zyskując pięć metrów przestrzeni, dodali przedsionek (w którym zostawiali ubłocone buty po przyjściu z podwórka), zamontowali okna sięgające podłogi i zwieńczyli dzieło sześciopalnikową kuchenką Viking oraz ogromną lodówką i zamrażarką Northland Master Series. To Ronald zaprojektował kuchnię. Lubił gotować.

A może sprawa wygląda jeszcze prościej, pomyślała Cheryl. Może Rachel doszła do wniosku, że nareszcie przyszła chwila, by odezwać się do byłego szwagra. Cheryl potrafiła to zrozumieć. Czy ona także nie próbowała stać murem za ówczesnym mężem? Czy nie była przy jego boku, nawet gdy śledczy zaczęli się

nim interesować? Myśl o tym, że David mógłby skrzywdzić Matthew, wydawała się niedorzeczna. Wtedy prędzej uwierzyłyby, że za zabójstwo są odpowiedzialni kosmici niż jej mąż.

Ale kiedy dowodów przybywało, wątpliwości zaczęły wwiercać się w jej skórę i tworzyć ropiejące rany. Nie układało im się od miesięcy; ich małżeństwo przypominało pikujący samolot, chociaż Cheryl powtarzała sobie, że na pewno w porę zdążą wyrównać lot. Byli ze sobą od tak dawna – od pierwszej klasy liceum. Trzymali się razem w dobrych i złych chwilach. Na pewno by im się udało.

Ale czy rzeczywiście?

Może nie tym razem. Tak to już jest z zaufaniem. Odkąd David przestał jej ufać, nic już nie było takie samo. A kiedy ona przestała ufać jemu...

Gdy pojawiły się wątpliwości, próbowała udawać, że wciąż wspiera męża, ale David ją przejrzał i odepchnął od siebie. Ciężar stał się nie do wytrzymania. Zanim rozpoczął się proces i wyszły na jaw sądowe niespodzianki, ich małżeństwo było już przeszłością.

Okazało się, że David zamordował ich synka, a Cheryl była jednym z głównych powodów.

Ronald głośno siorbnął kawę, gwałtownie wrywając żonę z zamyślenia w słonecznym kąciku śniadaniowym. Podniosła wzrok, zaskoczona. Ronald odstawił kubek.

– Mam pomysł – powiedział.

Posłała mu sztuczny uśmiech.

– Myślę, że już go jasno wyraziłeś.

– Może dziś wieczorem pójdziemy na kolację do Albert's Café? Tylko we dwoje.

– Nie mogę – odparła.

– Jak to?

– Nie mówiłam ci? Jestem umówiona z Rachel.

– Nie, nie mówiłaś.

– To nic wielkiego.

– Wszystko u niej dobrze?

– Chyba tak. Po prostu poprosiła, żebym do niej przyjechała. Dawno się nie widziałyśmy.

– Rzeczywiście – przyznał.

– Dlatego pomyślałam, że wpadnę do niej po dyżurze. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

– Oczywiście, że nie – powiedział Ronald z nieco przesadną pewnością. Gwałtownie otworzył gazetę i wrócił do lektury. – Baw się dobrze.

Cheryl poczuła, jak wzbiera w niej gniew. Dlaczego? Dlaczego Rachel jej to robi? Jeśli siostra postanowiła przebaczyć Davidowi, to proszę bardzo. Ale po co ją w to wciąga? Właśnie teraz, kiedy odbudowywała swoje życie i spodziewa się dziecka? Rachel na pewno wiedziała, jak stresujący będzie jej telefon. Dlaczego to zrobiła?

To pytanie nie dawało jej spokoju. Rachel była dobrą siostrą. Najlepszą. Zawsze mogły na siebie liczyć, w dobrych i złych chwilach. A chociaż Cheryl była starsza o dwa lata, to Rachel – przynajmniej do niedawna – była bardziej roztropna i opiekuńcza. Wiedziała, jak wiele wysiłku kosztowało Cheryl wstawanie z łóżka po śmierci Matthew. Co do Davida, to nie ma sensu ukrywać, że Cheryl wyrzuciła go ze swojego życia i myśli. Żeby móc dalej żyć, postanowiła udawać, że nigdy nie istniał. Ale Matthew...

To zupełnie inna historia.

Nie mogła zapomnieć swojego pięknego chłopczyka. Nigdy. Ani na chwilę. Zrozumiała, że czegoś takiego nie da się zostawić za sobą, trzeba nauczyć się z tym żyć. Bez względu na to, jak bardzo boli, nie walczy się z takim cierpieniem. Nie odpycha się go od siebie. Przyjmuje się je i pozwala, by stało się częścią nas. To jedyny sposób.

Jedyną rzeczą boleśniejszą od wspomnienia Matthew była myśl, że mogłaby go zapomnieć.

Z jej ust wyrwał się jęk. Szybko stłumiła go dłonią. To nie był pierwszy raz. Żal rzadko atakuje z otwartą przyłbicą. Woli zakradać się w najmniej spodziewanych chwilach. Ronald poprawił się w fotelu, ale nie podniósł wzroku ani o nic nie spytał. Była mu za to wdzięczna.

Ponownie zbudziło się w niej pytanie: Co Rachel chce mi powiedzieć?

Jej siostra nie miała w zwyczaju dramatyzować, więc musiało chodzić o coś ważnego. Bardzo ważnego. Może o coś, co dotyczyło Davida.

Ale raczej o coś, co dotyczyło Matthew.

Rozdział 9

– *Dzień doobry, gwiazdko z nieeeba! Ziemia mówi „witaj”...*

Pewnie umarłem, myślę. Poszedłem do piekła, gdzie siedzę w ciemności i słucham, jak Ross Sumner przez całą wieczność kaleczy ścieżkę dźwiękową z musicalu *Hair*. Moja głowa pulsuje, jakby ktoś wbijał mi w czoło kołek. Zaczynam dostrzegać światło przebijające się przez mrok. Mrugam.

– *Migoczesz nad nami, migoczymy pod tobą...* – Znowu Ross Sumner.

– Zamknij ryj! – woła ktoś.

Odzyskuję świadomość. Otwieram oczy i patrzę na fluorescencyjne światła na suficie. Próbuje usiąść, ale nie daję rady. Nie powstrzymują mnie wyczerpanie, ból ani obrażenia. Patrzę w bok. Mój lewy nadgarstek jest przykuty do poręczy łóżka. Podobnie jak prawy i obie kostki. Klasyczne czteropunktowe więzy.

Ross Sumner wybucha obłąkańczym śmiechem.

– Jak ja to kocham! Cóż to za radość!

Wciąż nie widzę wyraźnie. Uspokajam oddech i rozglądam się. Zielonoszare betonowe ściany. Mnóstwo pustych łóżek, jeśli nie liczyć mojego i Rossa. Jego twarz wciąż wygląda makabrycznie; zakleili mu złamany nos. Oddział szpitalny. Jestem na oddziale szpitalnym. Dobrze. Przynajmniej wiem, gdzie się znajduję. Odwracam się w drugą stronę i widzę nie jednego, nie dwóch, ale trzech strażników przy moim łóżku. Dwóch siedzi obok mnie, jakby przyszli w odwiedziny. Jeden krąży za ich plecami.

Wszyscy patrzą na mnie groźnie.

– Teraz naprawdę masz przerąbane, staruszkule – odzywa się Ross Sumner. – Naprawdę przerąbane.

Mam wrażenie, jakbym przeżuwał piasek, ale udaje mi się wykrztusić:

– Hej, Ross?

– Tak, David?

– Ładny nos, dupku.

Sumner przestaje się śmiać.

Nigdy nie okazuj innym więźniom strachu.

Znów patrzę na strażników. Wobec nich obowiązuje ta sama zasada: nigdy nie okazywać strachu. Kolejno patrzę im w oczy. Nie podoba mi się wściekłość, którą tam widzę. Są wyraźnie wkurzeni i wygląda na to, że na mnie.

Ciekawe, gdzie jest Kędzior.

Jakaś kobieta, zapewne lekarka, podchodzi do mojego łóżka.

– Jak się pan czuje? – pyta, nawet nie próbując udawać, że jej zależy.

– Oszołomiony.

– Tego się można spodziewać.

– Co się ze mną stało?

Kobieta zerka na surowych strażników.

– Wciąż próbujemy to ustalić – mówi jeden z nich.

– Czy moglibyście przynajmniej mnie rozwiązać?

Lekarka wskazuje strażników.

– To nie ode mnie zależy.

Patrzę na trzy niewzruszone twarze i nie dostrzegam ani odrobiny sympatii. Lekarka wychodzi z sali. Nie jestem pewien, co mogę zrobić albo powiedzieć, więc postanawiam milczeć. Na ścianie wisi biały zegar z czarnymi wskazówkami. Przypomina ten w mojej podstawówce w Revere, na który gapiłem się bezustannie, licząc, że zacznie chodzić szybciej.

Jest nieco po ósmej. Podejrzewam, że raczej rano niż wieczorem, ale skoro nie ma okien, nie mogę mieć pewności. Boli mnie głowa. Próbuję poskładać w całość to, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru, aż do chwili, gdy usłyszałem głos,

który miał mnie uratować. Pamiętam głównie twarz Kędziora, jego paniczny strach.

Co się wydarzyło?

Strażnik, który krąży po sali, jest wysoki, szczupły i ma nadmiernie wystające jabłko Adama. Ma na imię Hal, ale wszyscy nazywają go Chudym. Jak powiedział jeden z więźniów: „Hal musi stale podciągać spodnie, bo nie ma dupy”. Chudy podchodzi szybkim krokiem i nachyla się nade mną, tak że nasze nosy niemal się stykają. Wciskam głowę w poduszkę, żeby zyskać nieco przestrzeni. Nic z tego. Ma paskudny oddech, jakby jakiś gryzoń wlaźł mu do ust, zdechł i zaczął się rozkładać.

– Jesteś trupem, Burroughs – syczy mi prosto w twarz.

Niemal się krztuszę pod wpływem smrodu. Mam ochotę rzucić ripostą dotyczącą jego oddechu, ale w porę zwycięża we mnie rozsądek i powstrzymuję się. Jeden z pozostałych strażników, całkiem porządny gość o imieniu Carlos, upomina kolegę.

– Hal.

Chudy go ignoruje.

– Trupem – powtarza.

Wszystko, co mógłbym teraz powiedzieć, byłoby bezużyteczne lub tylko by mi zaszkodziło, więc milczę.

Hal znów zaczyna krążyć. Carlos i trzeci strażnik, niejaki Lester, zostają na miejscach. Kładę głowę na poduszce i zamykam oczy.

Nie jestem uzbrojony, a jednak przywiązano mnie do łóżka i pilnuje mnie trzech strażników. Trzech. Jednocześnie.

To chyba lekka przesada.

Co tu się dzieje, do diabła? No i gdzie jest Kędzior?

Czyżbym zrobił mu krzywdę?

Mam wrażenie, że wszystko pamiętam, ale zważywszy na moją historię, czy mogę być tego pewien? Może straciłem świadomość. Może tamten strażnik, który

mnie usłyszał, nie zdążył otworzyć wysokiej bramki na czas. Może wyrwałem Kędziorowi kosę i...

O cholera.

Podczas gdy te teorie wirują w mojej głowie, największe tornado nadal szaleje i odrzuca wszystko inne na bok: czy mój syn wciąż żyje?

Przyciskając tył głowy do poduszki, próbuję uwolnić ręce i nogi, ale są unieruchomione. Czuję się bezradny. Czas płynie. Nie wiem, jak długo tu jestem. Próbuję coś wymyślić, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Dzwoni telefon na ścianie. Carlos wstaje, podchodzi do aparatu i podnosi słuchawkę. Odwraca się do mnie plecami i mówi coś cicho. Nie jestem w stanie go dosłyszeć. Po kilku sekundach odkłada słuchawkę. Lester i Hal odwracają się w jego stronę. Carlos kiwa głową.

– Już czas – mówi.

Hal wyjmuje niewielki kluczyk. Najpierw zdejmuję więzy z moich kostek, potem z nadgarstków. Carlos i Lester stają nade mną, jakby spodziewali się, że spróbuję uciec. Oczywiście tego nie robię. Masuję nadgarstki.

– Wstawaj – rzuca Chudy.

Kręci mi się w głowie. Powoli siadam – zbyt wolno dla Chudego. Chwyta mnie za włosy i stawia na nogi. Krew odpływa mi z głowy i cały świat zaczyna wirować.

– Powiedziałem, że masz wstać – syczy Chudy przez zaciśnięte zęby.

Zrywa ze mnie koc. Słyszę, że Sumner znów się śmieje. Chudy podnosi moje stopy i zrzuca je z posłania. Podążam za tym ruchem i udaje mi się stanąć na podłodze. Nogi mam jak z gumy. Robię krok i zataczam się jak marionetka.

Ross Sumner doskonale się bawi.

– *Na na na, na na na, hej hej hej...* – śpiewa.

Czuję łupanie pod czaszką.

– Dokąd idziemy? – pytam.

Carlos kładzie dłoń na moim karku i lekko mnie popycha. Prawie się przewracam.

– Chodź – nakazuje.

Chudy i Lester stają po moich obu stronach. Chwytają mnie za ręce, mocno ściskając czułe miejsca pod łokciami. Na wół wyprowadzają, na wół wywlekają mnie z oddziału szpitalnego.

– Dokąd mnie zabieracie?

Ale odpowiada mi tylko głos Rossa Sumnera, który kończy pierwszą zwrotkę i macha mi na pożegnanie.

– *Do widzenia!*

Próbuję się otrząsnąć, ale wciąż jestem otumaniony. Carlos prowadzi. Lester idzie po mojej prawej stronie, a Chudy po lewej. Wzrok Chudego promieniuje namacalną nienawiścią. Moje tętno przyśpiesza. Co teraz? Dokąd idziemy, do diabła? Nagle sobie przypominam.

Wczoraj wieczorem jeden ze strażników próbował mnie zabić.

To najważniejsza informacja, prawda? Kędzior zaprowadził mnie do opuszczonego korytarza i próbował dźgnąć kosą. Rana od ostrza na moim przedramieniu jest opatrzona grubą gazą, ale wciąż pulsuje bólem.

Włeczemy się korytarzem i tunelem, który oświetlają żarówki zabezpieczone metalowymi kratkami. Ten spacer dobrze mi robi. Odzyskuję jasność umysłu. Nie całkowicie, ale w wystarczającym stopniu. Na końcu tunelu wspinamy się po schodach. Za oknem widzę światło dnia. A więc zegar pokazywał ósmą rano, a nie wieczorem. To ma sens. Tabliczka informuje, że weszliśmy do SKRZYDŁA ADMINISTRACYJNEGO. Panuje tutaj spokój, ale wiem, że biura zaczynają pracować dopiero o dziewiątej.

Więc po co teraz tutaj przyszliśmy?

Rozważam, czy nie wykonać jakiegoś ruchu, choćby po to, by ktoś wiedział, gdzie jestem. Ale co by mi to dało? Jak już wspomniałem, jest nieco po ósmej rano. Nikogo tu nie ma.

Carlos zatrzymuje się przed zamkniętymi drzwiami. Puka, a ktoś stłumionym głosem zaprasza go do środka. Carlos przekręca gałkę. Drzwi się otwierają.

Zaglądam do środka.

Stoi tam Kędzior.

Czuję ucisk w żołądku. Próbuję się cofnąć, ale Hal i Lester trzymają mnie za ręce i popychają naprzód.

Kędzior uśmiecha się kpiąco.

– Ty sukinsynu.

Patrzemy sobie w oczy. Znów próbuje udawać twardziela, ale widzę, że jest wystraszony i bliski łez. Chcę zaprotestować i spytać, dlaczego próbował mnie zabić, ale w jakim celu miałbym to robić? Co tu jest grane?

Nagle słyszę znajomy głos.

– W porządku, Ted, wystarczy.

Zalewa mnie fala ulgi.

Wchodzę do pokoju i skręcam w prawo. To wujek Philip.

Jestem bezpieczny. Chyba.

Usiłuję złowić jego spojrzenie, ale nawet nie zerka w moim kierunku. Ma na sobie granatowy garnitur i czerwony krawat. Jeszcze przez chwilę stoi przy oknie, a potem przecina pokój i ściska dłoń Kędziora.

– Dziękuję za współpracę, Ted.

– Oczywiście, panie naczelniku.

Philip Mackenzie omiata mnie wzrokiem i zauważa trzech strażników, którzy mnie eskortowali.

– Teraz ja zajmę się osadzonym – mówi. – Możecie wracać do swoich obowiązków.

– Tak jest – odpowiada Carlos.

Nie myślałem o tym wcześniej, ale wciąż mam na sobie tylko cienki szpitalny fartuch z rozcięciem z tyłu, a na stopach szpitalne skarpety. Gdzieś zniknęły moje płócienne kapcie. Nagle czuję się obnażony, ale oni wszyscy i tak nie widzą we mnie zagrożenia.

Kędzior idzie w moją stronę albo w stronę drzwi, trudno powiedzieć. Kiedy się zbliża, zwalnia i próbuje posłać mi groźne spojrzenie, ale nic się za nim nie kryje. Robi to tylko na pokaz.

Jest przerażony.

Kiedy dociera do drzwi, Philip Mackenzie woła za nim:

– Ted?!

Strażnik odwraca się w stronę naczelnika.

– Osadzony spędzi ze mną resztę dnia. Kto ma dyżur na twoim bloku?

– Ja – odpowiada Ted. – Aż do trzeciej.

– Nie spałeś całą noc.

– Dobrze się czuję.

– Na pewno? Możesz zrobić sobie wolne. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

– Wolę pracować, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Niech będzie. Ale wątpię, żebyśmy się z nim uwinęli do końca twojej zmiany.

Powiadom swoje zastępstwo.

– Tak jest, panie naczelniku.

Kędzior wychodzi z pokoju. Chudy Hal wita go klepinięciem w plecy. Philip wciąż prawie na mnie nie patrzy. Kędzior i Hal ruszają korytarzem. Lester podąża za nimi. Carlos zagląda do gabinetu.

– Jestem panu potrzebny?

– Teraz nie. Odezwę się do ciebie, jeśli będę potrzebował zeznania.

Carlos patrzy na mnie, a potem na Philipa.

– W porządku.

– Carlos?

– Tak?

– Proszę, zamknij drzwi, kiedy będziesz wychodził.

– Na pewno, panie naczelniku?

– Tak, na pewno.

Carlos kiwa głową i zamyka drzwi. Philip i ja zostajemy sami. Zanim mam okazję cokolwiek powiedzieć, gestem nakazuje mi usiąść. Robię to, a on zostaje w pozycji stojącej.

– Ted Weston powiedział, że wczoraj wieczorem próbowałeś go zabić.

Cóż za niespodzianka.

Philip krzyżuje ręce na piersi i nachyla się nad biurkiem.

– Twierdzi, że udawałeś chorobę, by nakłonić go do zaprowadzenia cię na oddział szpitalny. Uwierzył ci na słowo ze względu na obrażenia, które odniosłeś podczas wcześniejszej bójki z Rossem Sumnerem.

Philip patrzy w prawo i wskazuje nóż – zapewne ten sam, którego Kędzior użył wieczorem – leżący na jego biurku. Ostrze jest zapieczętowane w foliowej torebce.

– Twierdzi ponadto, że kiedy zostaliście sami, wyciągnąłeś tę broń i próbowałeś go dźgnąć. Zaczęliście walczyć. Wyrywając ci nóż, skaleczył cię w rękę. Potem uciekłeś korytarzem. Inny strażnik usłyszał hałas i cię obezwładnił.

– To kłamstwo.

Philip nie odpowiada.

– Jaki mógłbym mieć motyw?

– Czy ja wiem? Czy nie przyszedłeś do mnie wczoraj i nie prosiłeś, żebym pomógł ci uciec?

– No i...?

– No i może byłeś zdesperowany, więc wdałeś się w bójkę z niebezpiecznym więźniem...

– Ten psychol zaatakował mnie z zaskoczenia...

– ...dzięki czemu trafiłeś na oddział szpitalny. Może to była część twojego planu ucieczki, nie wiem. A może dostałeś broń od Rossa Sumnera, gdy obaj się tam znaleźliście. Może pracujecie razem.

– Philip, Kędzior kłamie.

– Kędzior?

– Tak go nazywamy. Nie zrobiłem tego. Obudził mnie, zaprowadził do tamtego korytarza i próbował zabić. Zostałem ranny, kiedy się broniłem.

– Jasne, i zapewne oczekujesz, że uwierzę... podobnie jak cały świat... skazanemu dzieciobójcy, a nie strażnikowi więziennemu z piętnastoletnim stażem, który cieszy się nienaganną reputacją.

Na razie nic nie mówię.

– Wczoraj widziałem się z twoim ojcem.

– Co?

– A także z twoją ciocią Sophie.

Odwraca wzrok.

– Jak się czują?

– Twój ojciec nie może mówić. Umiera.

Kręcę głową.

– Po co u niego byłeś?

Nie odpowiada.

– I to akurat wczoraj. Dlaczego pojechałeś do Revere, Philip?

Rusza w stronę drzwi.

– Chodź ze mną.

Nie pytam, dokąd idziemy. Wstaję i podążam za nim, najpierw korytarzem, a potem w dół schodów. Idziemy obok siebie. Philip jest wyprostowany jak struna i patrzy przed siebie.

– Masz szczęście, że obezwładnił cię Carlos – mówi, nie patrząc w moją stronę.

– Dlaczego?

– Ponieważ od razu do mnie zadzwonił, żeby to zgłosić, a ja natychmiast poleciłem, żeby trzech dodatkowi funkcjonariusze, wliczając Carlosa, pilnowali cię przez całą dobę.

Zatrzymuję się i chwytam Philipa za rękaw.

– Żeby nikt nie mógł dokończyć dzieła – mówię. – Bałeś się, że ktoś mnie zabije.

Patrzy na moją dłoń zaciśniętą na jego rękawie. Powoli rozluźniam uchwyt.

– Wciąż nie jesteś bezpieczny – rzuca. – Nawet jeśli zamknę cię w izolatce. Nawet jeśli załatwię ci pilne przeniesienie. Jeden ze strażników, który teraz ma pretekst do zemsty, chce twojej śmierci, a dodatkowo masz przeciwko sobie Rossa Sumnera i jego pieniądze... To wszystko nie zwiastuje szczęśliwego zakończenia.

– Więc co mam robić? – pytam.

Philip w odpowiedzi otwiera drzwi do swojego gabinetu, w którym byłem zaledwie wczoraj. Kiedy widzę w środku jego syna Adama w pełnym mundurze policyjnym, po raz pierwszy od dawna robi mi się lekko na sercu. Przez chwilę tylko wbijam wzrok w najlepszego przyjaciela. Uśmiecha się i kiwa głową, jakby chciał mnie zapewnić, że jest prawdziwy i stoi przede mną. Przez chwilę cofam się myślami do innej epoki, do szatni przed treningami koszykówki w liceum, do podwójnych randek z siostrami Hancock w knajpce Friendly's oraz do ostatniego rzędu trybun w Fenway Park, skąd obśmiewaliśmy prawoskrzydłowego przeciwnej drużyny.

Adam rozkłada ręce i podchodzi, a ja tonę w jego mocarnych objęciach. Zaciskam powieki, żeby się nie rozpłakać. Czuję, że uginają się pode mną nogi, ale Adam mnie podtrzymuje. Kiedy ostatnio ktoś okazywał mi czułość? Przed pięciu laty. Kto był ostatnią osobą, która szczerze mnie uściskała? Mój ojciec, który teraz leży na łożu śmierci, zrobił to w dniu, gdy ława przysięgłych orzekła o mojej winie. Ale nawet w uścisku ojca, którego kochałem jak nikogo innego, wyczułem wahanie. Kochał mnie, ale – choć może to tylko moje złudzenie – nie dawały mu spokoju wątpliwości, jakby nie był pewien, czy obejmuje syna, czy potwora.

W uścisku Adama nie ma ani odrobiny wahania.

Uwalniam się w końcu z jego objęć i cofam się o krok. Nie wiem, czy będę w stanie się odezwać. Philip już zamknął drzwi. Staje obok syna.

– Mamy plan – oznajmia.

Rozdział 10

– Jaki plan? – pytam.

Philip Mackenzie wskazuje głową syna.

Adam uśmiecha się i zaczyna rozpinać koszulę.

– Za chwilę staniesz się mną – mówi.

– Możesz powtórzyć?

– Chciałbym mieć więcej czasu, żeby coś wymyślić, ale mówiłem serio – odpowiada Philip. – Jeśli tu zostaniesz, źle się to dla ciebie skończy, choćbym próbował cię ochronić. Musimy to zrobić teraz.

Adam podaje mi swoją koszulę od munduru.

– Założyłem najmniejszy numer, jaki mam, ale i tak będzie za luźna.

Biorę od niego koszulę, a on zaczyna rozpinać pasek.

– Oto nasz plan w pigułce – ciągnie Philip. – Wystawiłeś nas, David.

– Naprawdę?

– Wczoraj przyszedłeś do mnie po raz pierwszy... to spotkanie jest w kartotece... i powiedziałaś, że chcesz odpokutować swoje zbrodnie. Opowiedziałaś mi ckliwą historię o tym, że chcesz zadośćuczynić za swoje winy, wyznać całą prawdę i znaleźć pomoc.

Zdejmuję szpitalny fartuch i wciągam przez głowę białą koszulę Adama. Potem wkładam mundur.

– Mów dalej – rzucam.

– Błagałeś, żebym przyprowadził twojego dawnego kumpla Adama. Od tego chciałeś zacząć... od spotkania z kimś, kto cię wysłucha i zaakceptuje. Za względu na lojalność wobec przyjaciela... twojego ojca... dałem się na to nabrać. Uznałem,

że to ma sens. Jeśli ktoś może cię wyciągnąć z otchłani i namówić do wyznania prawdy, to właśnie Adam.

Adam wręcza mi swoje spodnie. Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Dlatego umówiłem was na długie spotkanie... tak jak powiedziałem strażnikom. Ty i Adam mieliście spędzić razem dzień.

Spodnie są za długie. Podwijam nogawki.

– Ale nie wiedziałem, że masz pistolet.

Marszczę czoło.

– Pistolet?

– Tak. Wymierzyłeś do nas z broni. Zmusiłeś Adama, żeby się rozebrał, a potem związałeś go i zamknąłeś w szafie.

Adam się uśmiecha.

– Chociaż boję się ciemności.

Odwzajemniam uśmiech i przypominam sobie, że w dzieciństwie miał przy łóżku nocną lampkę ze Snoopym. Czasami, kiedy u niego nocowałem, nie mogłem przez nią zasnąć. Wpatrywałem się w Snoopy'ego i nie byłem w stanie zamknąć oczu.

Dziwne, jakie wspomnienia z nami pozostają.

– Potem ubrałeś się w mundur Adama, jego trencz i czapkę – ciągnie Philip. – Celując do mnie z broni, zmusiłeś mnie, żebym cię stąd wyprowadził.

– Skąd wziąłem broń, do diabła? – pytam.

Philip wzrusza ramionami.

– To więzienie. Ludzie przemycają tutaj rozmaite rzeczy.

– Ale nie pistolety. Poza tym właśnie spędziłem noc na oddziale szpitalnym, pilnowany przez trzech strażników. Nikt tego nie kupi.

– Słuszna uwaga – przyznaje Philip. – Zaraz, chwileczkę. – Otwiera szufladę biurka i wyciąga Glocka 19. – Zabrałeś moją broń.

– Co?

Odchyła połą marynarki, pokazując pustą kaburę.

– Miałem pistolet przy sobie. Wspominaliśmy dawne czasy. Zaczęłeś płakać. Popełniłem głupstwo i podszedłem, żeby cię pocieszyć, a wtedy mnie zaskoczyłeś i odebrałeś mi broń.

– Jest naładowana?

– Nie, ale... – Philip Mackenzie sięga do szuflady i wyjmuję pudełko amunicji.

– Teraz już tak.

Ten plan to szaleństwo. Ma wiele poważnych niedociągnięć. Ale porywa mnie prąd wydarzeń. Nie mam czasu się zastanawiać. Oto moja szansa. Muszę się stąd wydostać. A jeśli Philip i Adam będą musieli ponieść konsekwencje lub coś poświęcić, to trudno. Mój syn żyje i gdzieś jest. Może działam samolubnie, ale ta świadomość przyćmiewa wszystko inne.

– No dobrze, co dalej? – pytam.

Adam rozebrał się do bielizny. Siadam na krześle, wciągam jego skarpety i zabieram się do zakładania butów. Adam jest ode mnie o pięć centymetrów wyższy, a chociaż kiedyś ważyliśmy tyle samo, teraz zapewne jest o dziesięć albo piętnaście kilogramów cięższy. Zaciskam pasek, żeby nie spadły mi spodnie. Narzucam na siebie płaszcz, co trochę pomaga.

– Poprosiłem Adama, żeby przyszedł w czapce – mówi Philip, rzucając mi policyjne nakrycie głowy. – Zakryje twoje włosy. Idź szybkim krokiem i nie podnoś głowy. Po drodze na parking jest tylko jeden punkt kontrolny. Kiedy dotrzemy do mojego samochodu, rozkażesz mi... oczywiście grożąc bronią... żebym zawiózł cię do swojego domu. Straszny ze mnie głupek, wczoraj poszedłem do banku i wypłaciłem pięć tysięcy dolarów. Wypłaciłbym więcej, ale to byłoby zbyt podejrzane.

Adam rzuca mi swój portfel.

– Tutaj mam tysiąc dolców. Poza tym może zapomnę zablokować jedną z kart. Na przykład Mastercard. W końcu nigdy jej nie używam.

Kiwam głową, próbując nie okazywać emocji. Muszę się skupić na działaniu, analizować wszystko na bieżąco. Na przykład karta Mastercard. Czy mogę jej

użyć? A może wtedy będzie mnie można łatwo namierzyć?

Później, karzę się w myślach. Zastanowisz się nad tym później. Skup się.

– Kiedy pójdziemy do twojego samochodu?

Philip zerka na zegarek.

– Teraz. Powinniśmy dotrzeć do mojego domu przed dziewiątą. Zwiążesz mnie, ale zdołam zerwać więzy... powiedzmy, że o osiemnastej. To powinno dać ci sporą przewagę. Kiedy wreszcie się uwolnię, będę spanikowany, w końcu zostawiłeś mojego syna związanego w szafie. Natychmiast tu wrócę, żeby go wypuścić, i dopiero później powiem innym, co się stało. Ogłoszę alarm prawdopodobnie około dziewiętnastej. Będziesz miał dziesięć godzin przewagi.

Mocniej zaciągam sznurówki w butach Adama, żeby ich nie zgubić. Czapkę naciągnąłem na oczy. Adam rozważa założenie szpitalnego fartucha, ale to nie ma sensu.

– Wchodź do szafy – nakazuje Philip synowi.

Adam odwraca się w moją stronę. Padamy sobie w objęcia.

– Znajdź go – mówi. – Znajdź mojego chrześniaka.

Philip rzuca mu kilka batoników oraz sznur, którym mam go związać. Nie wiem, czy ktokolwiek da się na to nabrać, ale przy odrobinie szczęścia Adam zostanie znaleziony dopiero wieczorem, i to przez ojca. Philip zamyka drzwi szafy na klucz. Podnosi pistolet i za pomocą przycisku na rękojeści wysuwa magazynek. Wiem, że glock mieści piętnaście naboji, ale jego ładowanie trwa długo. Trzeba ręcznie wkładać kolejne naboje do magazynka, umieszczając je zaokrągloną stroną ku przodowi. Philip ładuje siedem naboji, a następnie chowa magazynek w rękojeści.

Wręcza mi broń.

– Nie używaj go, zwłaszcza na mnie – prosi.

Udaje mi się uśmiechnąć.

– Gotowy? – pyta.

Czuję przypływ adrenaliny.

– Zróbmy to.

• • •

Philip Mackenzie jest jednym z tych gości, którzy emanują pewnością siebie i siłą. Kiedy idzie, kroczy pewnie i zdecydowanie. Stawia długie kroki. Głowę trzyma wysoko. Próbuję za nim nadążyć, naciągając czapkę Adama na oczy, żeby choć trochę się zamaskować, ale nie na tyle, by wzbudzać podejrzenia. Zatrzymujemy się przy windzie.

– Wciśnij strzałkę w dół – mówi Philip.

Robię, o co mnie prosi.

– W windzie jest kamera. Pokaż, że masz broń. Możesz mi grozić. Bądź subtelny, ale upewnij się, że widać pistolet.

– W porządku.

– Kiedy tutaj wrócę, będą mi zadawać pytania. Lepiej dla mnie, jeśli zobaczą, że groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Rozlega się dzwonek i drzwi windy się rozsuwają. Jest pusta.

– Rozumiem – mówię, kiedy wsiadamy. Trzymam broń w kieszeni płaszcza. Czuję, że to wygląda tak sztucznie, jakbym groził mu palcem. Wyjmuję pistolet i trzymam go przy boku, ale na widoku kamery pod sufitem. Odchrząkuję i ostrzegam, żeby Philip nie wykonywał gwałtownych ruchów. Brzmie jak aktor w kiepskim serialu. Philip nie podnosi rąk ani nie panikuje, co dodaje nieco realizmu mojej „groźbie”.

Kiedy winda zatrzymuje się na parterze, chowam pistolet do kieszeni. Philip pośpiesznie wychodzi, a ja próbuję za nim nadążyć.

– Nie zatrzymuj się – odzywa się cichym głosem. – Idź przed siebie i nie nawiązuj z nikim kontaktu wzrokowego. Trzymaj się nieco za mną po prawej stronie. Zasłonię cię przed ochroniarzami.

Kiwam głową. Przed nami widzę wykrywacz metalu. Niemal się zatrzymuję, ale nagle zdaję sobie sprawę, że służy do sprawdzania tylko wchodzących osób.

Nikt nie zwraca większej uwagi na tych, którzy wychodzą, ale w końcu to dział administracyjny. Osadzeni się tutaj nie pojawiają. Wyjścia pilnuje tylko jeden strażnik. Z daleka wygląda na młodego i znudzonego, jak upalony woźny w liceum.

Zostało nam dziesięć metrów. Philip kroczy bez wahania. Na zmianę zwalniam i przyśpieszam, oceniając, pod jakim kątem mam się ustawić, żeby jego szerokie ramiona zasłoniły moją twarz. Kiedy się zbliżamy, młody strażnik zauważa nadchodzącego naczelnika i wstaje. Najpierw patrzy na przełożonego, potem na mnie.

Coś pojawia się na jego twarzy.

Jesteśmy tak blisko tych cholernych drzwi.

Uświadamiam sobie z przerażeniem, że wciąż mam pistolet w dłoni. Trzymam rękę w kieszeni. Nieświadomie mocniej zaciskam ją na rękojeści. Przesuwam palec na spust.

Czy byłbym gotowy strzelić? Naprawdę zastrzeliłbym tego faceta, żeby uciec?

Philip kiwa głową, patrząc z surową miną na strażnika. Ja też to robię, bo uznaję, że właśnie tak zachowałby się Adam.

– Miłego dnia, panie naczelniku – mówi strażnik.

– Wzajemnie, synu.

Jesteśmy przy wyjściu. Philip mocno napiera na poręcz i otwiera drzwi.

Dwie sekundy później zmierzamy do jego samochodu.

• • •

Ted „Kędzior” Weston siedział w świetlicy, kryjąc twarz w dłoniach. Nie mógł przestać dygotać.

Dobry Boże, co on narobił?

Ted spał to. Całkowicie to spał. Powinien mieć więcej rozumu. Próbował żyć porządnie. „Solidna praca za solidną płacę”. Tak zawsze powtarzał jego ojciec, który był rzeźnikiem w olbrzymich zakładach mięsnych. Wstawał o trzeciej

w nocy, spędzał cały dzień w chłodni, a wieczorem wracał na kolację i od razu kładł się spać, żeby wstać do pracy. Tak wyglądało jego życie, dopóki nie umarł na zawał serca w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat.

Ted przez większość czasu grał zgodnie z zasadami. Czy czasami się sprzedawał? Owszem. Jak każdy. W życiu tak naprawdę wszyscy się sprzedajemy. Tak już jest. Każdy z nas stara się oszukać innych. Ted nie zawsze miał takie podejście, ale kiedy zarabiasz gówniane pieniądze, musisz kombinować, żeby wyjść na swoje. Żeby dorobić do pensji. Tak to się robi w Ameryce. Nie da się wyżyć z tego, co płaci Walmart, a Walmart dobrze o tym wie. Ale wie także, że rząd wyrówna różnicę w kuponach na jedzenie, opiece medycznej i tak dalej. Więc może Ted usprawiedliwiał sam siebie, ale kiedy ktoś każe wam mieć oko na jakiegoś więźnia, jak przez lata robił z Burroughsem, albo kiedy rodzina osadzonego chce wam dać napiwek – Ted właśnie tak to postrzegał – w zamian za przekazanie krewnemu jakiegoś przedmiotu, to dlaczego, u diabła, miałbyś tego nie robić? Gdyby odmówił, zgodziłby się ktoś inny. Wszyscy się tego spodziewają. Każdy tak postępuje. Dzięki temu świat się kręci. Nie wolno wywracać łódki.

Ale nigdy nikogo nie skrzywdził.

To było dla niego ważne. Być może przymykał oko, kiedy te zwierzęta chciały tłuc się nawzajem. Dlaczego nie? I tak znalazłyby jakiś sposób. Kiedyś Ted zainterweniował podczas jednej z takich awantur, i wtedy więzień, który wyglądał jak chodząca choroba weneryczna, dotkliwie go podrapał. W ranę wdało się zakażenie i Ted musiał przez dwa miesiące brać antybiotyki.

Powinien był trzymać się z dala od Rossa Sumnera.

Owszem, pieniądze były niemałe. Co prawda nie potrzebował „lepszego życia” – był zadowolony z tego, które miał – ale możliwość wygrzebania się spod sterty rachunków, w których tonął, przeżycia chociaż kilku dni bez martwienia się o pieniądze, może nawet zabrania Edny na dobrą kolację to chyba nie tak wiele?

Sprawdził, czy na stole nie ma pączków, ale nie było. Psiakrew. Jakiś osioł zamiast nich przyniósł croissanty. Próbowaliście kiedyś zjeść croissanta i nie

zasypać się okruchami? To niemożliwe. Ale taka teraz była moda. Ktoś powiedział, że to francuskie jedzenie, a Francuzi są kulturalni i mają klasę.

To jakiś żart?

Dwaj jego koledzy po fachu, strażnicy Moronski i O'Reilly, opychali się croissantami, a okruchy sypały się z ich ust jak wióry z maszyny do rozdrabniania drewna, podczas gdy rozprawiali na temat najlepszych ujęć kobiecych piersi na Instagramie. Moronski wołał „głębokie dekolty”, podczas gdy O'Reilly rozplątywał się nad widokami z boku.

No tak, croissanty z pewnością dodają im klasy, pomyślał Ted.

– Hej, Ted, masz na ten temat swoje zdanie?

Zignorował ich. Patrzył na rogaliki i zastanawiał się, czy się nie skusić. Już po jednego sięgał, ale zauważył, że trzęsą mu się ręce.

– Wszystko w porządku? – spytał O'Reilly.

– Tak, nic mi nie jest.

– Słyszeliśmy, co się stało – powiedział Moronski. – Nie mogę uwierzyć, że Burroughs czegoś takiego próbował. Wkurzyłeś go czymś?

– Chyba nie.

– Nie wiem, po co zabierałeś go na oddział szpitalny, nie uprzedziwszy Kelseya.

– Próbowałem skontaktować się z nim przez interkom, ale nie odpowiedział – skłamał Ted.

– Mimo wszystko. Dlaczego nie zaczekałeś?

– Burroughs naprawdę źle wyglądał – tłumaczył się Ted. – Nie chciałem, żeby nam tu umarł.

– Daj mu spokój, O'Reilly – rzucił Moronski.

– No co? Tak tylko pytam.

Dosyć, pomyślał Ted. Oto podstawowe pytanie: co Burroughs właśnie opowiadał naczelnikowi? Pewnie swoją wersję prawdy, czyli że to Ted zaatakował go nożem. Ale co z tego? Kto uwierzy dzieciobójcy? A niezależnie od pytań

O'Reilly'ego inni strażnicy poprą Teda. Nawet Carlos, który sprawiał wrażenie wstrząśniętego, gdy pojawił się na miejscu wydarzeń, stanie za nim murem. Nikt tutaj nie będzie robił afery. Nikt nie podważy działania systemu ani nie weźmie strony osadzonego.

Więc dlaczego nie czuł się bezpieczny?

Musiał przemyśleć swój kolejny ruch. Przede wszystkim powinien zapomnieć o tym, co się stało. Wrócić do pracy. Zachowywać się, jakby to nie było nic wielkiego.

Ale jak to zrobić po czymś takim?

To prawda, że Sumner zapędził go w kozi róg i szantażował, ale gdyby Tedowi się udało, zabiłby człowieka. Zamordowałby bliźniego. Nie potrafił się z tym pogodzić. On, Ted Weston, usiłował zabić człowieka. Zastanawiał się nawet, czy sam podświadomie nie pokrzyżował sobie szyków. Może to nie Burroughs tak skutecznie się bronił, ale on wiedział, że nie może wykonać zadania. A gdyby ostrze trafiło w cel? Gdyby przebiło serce Burroughsa i musiałby patrzeć, jak z więźnia ucieka życie?

Ogarnęła go panika. Czy byłby w lepszej sytuacji, gdyby mu się udało?

Wziął kubek z kawą i zerknął na zegar. Czas zacząć zmianę. Wyszedł ze świetlicy.

Właśnie ruszał w górę schodów, wciąż czując krążący w żyłach strach, gdy coś za zakratowanym oknem przyciągnęło jego uwagę. Stanął jak wryty, jakby jakaś olbrzymia dłoń chwyciła go za ramię i szarpnęła do tyłu.

Co, do...?

Okno wychodziło na parking dla kadry kierowniczej. Wąźniacy zostawiali tam samochody. Zwykli strażnicy, tacy jak Ted, musieli parkować na tyłach i dojeżdżać do swoich skrzydeł busami. Ale w tej chwili nie to irytowało Teda. Zmrużył oczy i wyteżył wzrok. Naczelnik wyraził się jasno: zamierzał spędzić z Burroughsem kilka godzin, może nawet cały dzień.

Mniejsza z tym.

Ale w takim razie dlaczego właśnie wsiadał do swojego auta?

No i kto mu towarzyszył?

Ted poczuł lodowaty dreszcz na plecach. Nie był pewien dlaczego. W sumie to nie było nic wielkiego. Patrzył, jak naczelnik siada za kierownicą. Jego towarzysz – facet w czapce i trenczu – zajął miejsce pasażera.

Skoro naczelnik wyjeżdża, to gdzie, u diabła, jest David Burroughs? Ted miał przy sobie krótkofalówkę. Nikt nie informował o odbiorze więźnia. Może naczelnik zamknął Burroughsa w izolatce? Nie, o tym też poinformowałby Teda. Więc może zostawił więźnia z którymś z podwładnych, by później go przesłuchać.

Ale Ted wiedział, że tak się nie stało. Czuł to w kościach. Coś tutaj było nie tak. Bardzo nie tak.

Pośpiesznie podszedł do telefonu na ścianie.

– Mówi Weston, sektor czwarty. Chyba mamy problem.

Rozdział 11

Nie mogę uwierzyć, że jestem w samochodzie Philipa.

Wyglądam przez przednią szybę. Jest szary poranek. Niedługo się rozpada, czuję to na twarzy. Słyszałem o osobach dotkniętych reumatyzmem, które potrafią przewidywać burze za sprawą bólu stawów. Jakkolwiek dziwnie to brzmi, ja czuję to w policzkach i szczęce, które zostały połamane podczas pierwszego więziennego pobicia. Za każdym razem, gdy zbliża się burza, kości dokuczają mi jak wyrzynający się ząb mądrości.

Philip uruchamia silnik, wrzuca wsteczny bieg i wyjeżdża z parkingu. Patrę przez szybę na przypominający fortecę gmach i dygoczę. Już tu nie wrócę. Choćby nie wiem co się działo. Nie pozwolę na to.

Zwracam się w stronę Philipa. W skupieniu marszczy krzaczaste brwi. Ścisną grubymi dłońmi kierownicę, jakby chciał ją wyrwać.

– Ludzie będą się zastanawiać, jak zdobyłem twój pistolet – mówię.

Wzrusza ramionami.

– Podejmujesz duże ryzyko.

– Nie przejmuj się tym.

– Robisz to z powodu tego, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, czy wierzysz mi, że Matthew wciąż żyje? – pytam.

Staruszek przez chwilę się zastanawia.

– To ma jakieś znaczenie?

– Pewnie nie.

Zapada milczenie. Wjeżdżamy na rondo. Przed nami widzę wieżę strażniczą i bramy wyjazdowe, przez które niedługo przejedziemy. Dzieli nas od nich niecałe

sto metrów. Odchylam się na oparcie siedzenia i próbuję zachować spokój.

Już niedługo.

• • •

Siedząc w ciemnej szafie, Adam Mackenzie próbował znaleźć wygodną pozycję. Wiedział, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, spędzi tutaj dziesięć albo jedenaście godzin. Oparł się plecami o tylną ściankę. Zostawił telefon w samochodzie ojca, ponieważ niemożliwe, by „szaleniec David Burroughs” pozwolił mu go zatrzymać. Ale dziesięć albo jedenaście godzin w ciemności? Adam pokręcił głową. Powinien był zabrać latarkę i coś do czytania.

Zamknął oczy. Był wyczerpany. Ojciec zadzwonił do niego po północy i opowiedział o incydencie ze strażnikami oraz dziwnym przekonaniu Davida, że Matthew żyje. To oczywiście bzdury. Na pewno. Adam pamiętał, jak David zaproponował mu, by został ojcem chrzestnym Matthew, podobnie jak kiedyś ojciec Davida poprosił o coś takiego ojca Adama. Poczł się wtedy taki dumny. Jego relacja z Davidem zawsze napełniała go dumą. David był kimś wyjątkowym. Mężczyźni chcieli być jak on, kobiety go uwielbiały, ale w jego życiu czaiły się demony. Dlatego kiedy Adam po raz pierwszy usłyszał spekulacje, że to David dokonał zabójstwa, pozornie w to nie uwierzył, ale jakaś częśćka niego nie dawała mu spokoju i podsuwała wątpliwości. David miał wybuchowy temperament. Adam przypomniał sobie bójkę, do której doszło w ostatniej klasie liceum. Adam zdobywał najwięcej punktów i gromadził najwięcej zbiórek dla szkolnej drużyny, ale to Davida, agresywnego obrońcę z charakterem, koledzy wybrali na kapitana. Zawsze tak było. Adam, finezyjny gracz, i David, popularny brutal. W każdym razie w ostatniej klasie drużyna z Revere przegrała z odwiecznymi rywalami z Brookside 77:78, a Adam, który zdobył 24 punkty, nie trafił z dwutaktu na kilka sekund przed końcem meczu. To pudło nie dawało mu spokoju. Wspominał je do dzisiaj. Ale tamtego wieczoru, kiedy kilku gości z Brookside zaczęło go wyśmiewać, David wziął sprawy w swoje ręce. Z furią rzucił się na dwóch

chłopaków i spuścił im solidne lanie. Adam musiał go od nich odciągnąć i wepchnąć do samochodu.

No i nie można było zapominać o ojcu Davida, Lennym. Lenny i ojciec Adama... Jak brzmiało to powiedzenie?

Grzechy ojców przechodzą na synów.

Od początku powinien był odwiedzać przyjaciela w więzieniu. Dlaczego tego nie robił? David początkowo nie chciał przyjmować gości. No tak, ale on mógł bardziej się postarać, a tymczasem po prostu dał za wygraną. Zabrakło mu siły. Tak sobie powtarzał. Człowiek, którego zamknięto w tym piekle, nie był jego najlepszym przyjacielem. Jego przyjaciel odszedł. Został zakatowany razem ze swoim synem.

Adam właśnie miał zmienić położenie nóg, gdy usłyszał, jak drzwi gabinetu ojca się otwierają.

– Co tu się dzieje, do diabła? – spytał ktoś szorstkim głosem.

O cholera.

Adam chwycił sznur i zaczął owijać nim nogi. Podniósł chustkę do ust, żeby wyglądała jak knebel. Plan był prosty. Gdyby ktoś znalazł go przed powrotem ojca, miał udawać, że właśnie uwalnia się z więzów.

– Mówiłem ci, nie ma go – odezwał się ktoś inny.

– Jak to go nie ma?

– O co ci chodzi?

– Gdzie jest więzień?

– Chcesz powiedzieć, że nie odprowadził go przed wyjściem?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Pracuję w tym skrzydle. Chyba wiedziałbym, że więzień, który próbował mnie zabić, wrócił do swojej celi.

Adam starał się być bardzo cicho.

– Może ktoś inny odprowadził Burroughsa.

– Nie, to byłoby moje zadanie.

– Przecież powiedziałeś, że miałeś przerwę. Może naczelnik się śpieszył. Może poprosił o to innego strażnika.

– Może. – Ten z szorstkim głosem wyraźnie miał wątpliwości.

– Zadzwoń i się dowiem. Nie wiem, czym się tak martwisz.

– Właśnie z kimś go widziałem. To znaczy naczelnika. Na parkingu.

– Pewnie z synem.

– Z synem?

– Tak, to gliniarz.

– Przyprowadził dzisiaj do pracy syna?

– Tak.

– Po co?

– Skąd mam wiedzieć, do diabła?

– Nie rozumiem. Naczelnik otrzymuje wiadomość, że jeden z jego strażników prawie został zamordowany przez osadzonego... i postanawia urządzić wycieczkę po zakładzie dla syna?

– Nie wiem. Być może.

– Myślisz, że powinniśmy wszcząć alarm? – pyta ten z szorstkim głosem.

– Z jakiego powodu? Nie wiemy, czy Burroughs zniknął. Zadzwońmy na twój blok i do izolatki. Najpierw sprawdźmy, czy tam nie ma Burroughsa.

– A jeśli go nie ma?

– Wtedy ogłosimy alarm.

Przez chwilę panowała cisza.

– No dobrze, zadzwońmy – odezwał się ten z szorstkim głosem.

– Możemy skorzystać z mojego telefonu. Jest w sąsiednim pokoju.

Adam usłyszał, że dwaj mężczyźni wyszli. Wstał. Nagle zaczął się dusić w ciasnej szafie. Czuł się uwięziony, ogarniała go klaustrofobia. Poruszył gałką.

Zamknięte. Oczywiście. Ojciec go zamknął, żeby wszystko wyglądało przekonująco.

Chryste, co teraz?

Sytuacja szybko się rozwijała. Za chwilę wykonają telefon i dowiedzą się, że David nie wrócił. Rozlegnie się alarm. Cholera. Adam mocniej szarpnął gałką. Bezskutecznie.

Nie miał wyboru.

Musiał wyważyć drzwi. Wiedział, że jeśli spróbuje to zrobić ramieniem, tylko je zwicznie. Oparł się plecami o tylną ściankę i uniósł stopę. Sprawdził sposób mocowania zawiasów. Gdyby drzwi otwierały się do wewnątrz, szanse powodzenia byłyby niewielkie. Ale w tym wypadku było inaczej. Raczej nie spotyka się szaf, które otwierają się do środka. Nie ma w nich na to miejsca. Poza tym zawsze należy kopać w tę stronę drzwi, po której znajduje się zamek. To najłabsza część. Używając ściany szafy jako oparcia, Adam mocno uderzył piętą tuż pod gałką. Po trzecim kopnięciu drzwi wreszcie ustąpiły. Zamrugnął pod wpływem światła i chwiejnym krokiem podszedł do biurka ojca.

Wziął do ręki słuchawkę telefonu stacjonarnego. Potrzebował kilku sekund, by przypomnieć sobie numer ojca – jak większość osób nie widział potrzeby uczenia się go na pamięć – ale w końcu mu się udało.

Wybrał numer i usłyszał sygnał w słuchawce.

• • •

Kiedy samochód Philipa zatrzymuje się za dużą białą ciężarówką, strażnik podchodzi do nas z jakimś urządzeniem w dłoni.

– Trzymaj czapkę naciągniętą na czoło – radzi Philip.

Strażnik okrąża samochód, wpatrując się w urządzenie. Zatrzymuje się przy bagażniku, a potem kontynuuje kontrolę.

– Co to jest? – pytam.

– Pulsometr – odpowiada Philip. – Jest w stanie wykryć bicie serca nawet przez ścianę.

– Więc gdyby ktoś ukrywał się w bagażniku...

Philip kiwa głową.

– Znalezlibyśmy go.

– Jesteście bardzo dokładni – przyznaję.

– Nikt nie uciekł z Briggs, odkąd jestem naczelnikiem.

Patrzę w drugą stronę, dopóki strażnik nie wróci do budki. Kiwa głową do Philipa, a on po przyjacielsku macha ręką. Czekam, aż otworzy się elektronicznie sterowana brama. Mam wrażenie, że trwa to nienaturalnie długo, ale to pewnie tylko złudzenie. Zerkam na czterometrową siatkę zwieńczoną drutem kolczastym. Trawa wzdłuż ogrodzenia jest zaskakująco bujna i zielona, niczym na polu golfowym. Po drugiej stronie gęsto rosną drzewa.

Zaczynam szybciej oddychać. Sam nie wiem dlaczego. Mam wrażenie, że hiperwentyluję, i może tak jest.

Muszę się stąd wydostać.

– Spokojnie – ostrzega Philip.

Wtedy dzwoni telefon.

Jest podpięty do samochodu, więc dzwonek brzmi ogłuszająco. Patrzę na ekran i widzę, że to zastrzeżony numer. Patrzę na Philipa. Jest wyraźnie zbity z tropu. Przykłada telefon do ucha.

– Słucham?

Głos na drugim końcu linii chyba należy do Adama. Nie rozumiem, co mówi, ale słyszę panikę w jego tonie. Zamykam oczy i staram się wyciszyć. Brama zaczyna się uchylać ze zgrzytem, jakby nie chciała się poruszyć. Biała ciężarówka przed nami wciąż stoi.

– Cholera – rzuca Philip.

– Co jest? – pytam.

Philip mnie ignoruje.

– Ile mamy czasu, zanim...?

Nieruchome powietrze przeszywa syrena alarmowa.

• • •

Wycie jest ogłuszające. Patrzę na Philipa. Jak można się spodziewać, ma ponurą minę. Brama, która już prawie była otwarta, nieruchomieje, a następnie zaczyna się zamykać. Widzę, że strażnik rozmawia z kimś przez telefon. Upuszcza słuchawkę i bierze do ręki karabin.

– Philip?

– Wyceluj we mnie z pistoletu, David.

Nie proszę o wyjaśnienie. Robię to, co mi każe. Philip wciska pedał gazu. Odbija w prawo i wjeżdża przed białą ciężarówką, kierując się w stronę zamykającej się bramy. Próbuje się w niej zmieścić. Nic z tego. Otwór jest już zbyt wąski, żebyśmy się przedostali. Philip mimo wszystko w niego wjeżdża i wciska gaz do podłogi. Koła buksują. Nie cofa nogi z pedału. Brama lekko się uchyla, ale niewystarczająco.

Strażnik z karabinem wybiega z budki.

– Celuj we mnie! – woła Philip.

Tak robię.

Strażnik nagle się zatrzymuje i kieruje broń w stronę samochodu.

Philip wrzuca wsteczny. Wycofuje i boki samochodu szorują po skrzydłach bramy. Potem zmienia bieg, wciska gaz i taranuje bramę. Ta tylko lekko się porusza. Pędzą w naszą stronę dwaj strażnicy, uzbrojeni w pistolety. Patrzę, jak się zbliżają. Czuję ciężar broni w ręce.

Już prawie są przy nas. Syrena dalej wyje.

Patrzę na pistolet w swojej dłoni.

– Philip?

– Trzymaj się.

Samochód wyrywa do przodu. Rozlega się chrzęst. Brama nieco się otwiera i przód auta w niej utyka. Philip wciska gaz, potem na chwilę odpuszcza i znów go wciska. Silnik dudni i warczy.

Strażnicy coś do nas krzyczą, ale syrena ich zagłusza.

Samochód zaczyna przeciskać się przez otwór. Już prawie jesteśmy na zewnątrz, ale brama wciąż się zamyka, miażdżąc auto. Przypomina mi się scena w zgniatarce do śmieci w *Gwiezdnym wojnach* i wszystkie stare seriale telewizyjne, w których bohaterowie są uwięzieni w pokoju, a ściany zbliżają się do siebie.

Pierwszy ze strażników staje przy drzwiach po mojej stronie. Krzyczy, ale nie wiem i nie chcę wiedzieć, o co mu chodzi. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Zaczyna unosić broń. Nie mam wyboru. Nie mogę się wycofać. Nie mogę się poddać. Celuję w Philipa, ale nagle obracam się w stronę strażnika.

Celuj w nogi, myślę.

– Nie! – krzyczy Philip.

Strażnik mierzy do mnie. Albo on, albo ja. Tak to wygląda. Waham się, ale nie mam wyjścia. Właśnie mam strzelić, gdy samochód nagle wyrywa do przodu i moja głowa odskakuje. Brama powstrzymuje nas jeszcze przez sekundę, aż w końcu uwalniamy się przy wtórze ostatniego zgrzytu.

Strażnicy biegną za nami, ale Philip wciska gaz do dechy. Samochód przyśpiesza do pełnej prędkości i mkniemy szosą. Oglądam się. Strażnicy stoją w miejscu. Podobnie jak zakład karny Briggs, stają się coraz mniejsi i mniej wyraźni, aż w końcu ich nie widzę.

Ale nadal słyszę syrenę.

Rozdział 12

Rachel też usłyszała syrenę.

Właśnie jadła śniadanie w Nesbitt Station Diner, knajpie urządzonej w dwóch wagonach kolejowych, gdzie menu było tylko nieco krótsze od typowej powieści. Jej ulubioną pozycją w jadłospisie, umieszczoną pod czterdziestoma różnymi typami burgerów (z wołowiny, bizona, kurczaka, indyka, wapiti, pieczarek, dzikiego łososia, dorsza, czarnej fasoli, wegetariańskiego kotleta, wieprzowiny, oliwek i tak dalej), było *Mojej żonie niczego nie brakuje*. Pod tą nazwą kryła się największa porcja frytek oraz dwa paluszki smażonej mozzarelli. Na drzwiach lokalu wisiała tabliczka z napisem: *Otwarte przez 24 godziny, ale nie z rzędu. Od 5.00 do 2.00, od poniedziałku do soboty*. Kolejny szyld głosił: *Możesz przyjść z własną butelką, ale musisz poczęstować kelnera*.

Cheeseburger, którego jadła poprzedniego wieczoru, był całkiem dobry, ale Rachel przyciągało tu przede wszystkim doskonałe wi-fi. Internet w motelu był tak kiepski, że kiedy próbowała się połączyć, miała wrażenie, że słyszy pischczenie telefonicznego modemu. W motelu nie było także baru ani restauracji, a recepcja oferowała wyłącznie śniadanie kontynentalne, co było dość szumnym określeniem czerstwej bułki i porcji na w pół roztopionej margaryny.

Na zegarze w Nesbitt Station znajdowały się same cyfry 5 oraz napis: NIE PIJEMY PRZED PIĄTĄ. Pozostała jeszcze godzina do pory odwiedzin, więc Rachel mogła wrócić do swojego śledztwa. Właśnie dlatego spędziła tutaj wieczór i dzisiejszy ranek, popijając kawę i od czasu do czasu coś zamawiając, by nikt nie miał do niej pretensji o blokowanie boksu.

Jej laptop szumiał całą noc, wyszukując rozmaite informacje. Niestety, nie udało jej się znaleźć zaginionego białego chłopca w wieku od dwóch do czterech

lat, który pięć lat później wciąż byłby uznawany za zaginionego i którego zniknięcie czasowo pasowałoby do sprawy Matthew. Ani jednego. Niektórzy chłopcy w tym wieku zginęli. Inni zostali porwani, zazwyczaj w ramach walki o prawo do opieki, ale w końcu się odnaleźli. Trzej zniknęli aż na osiem miesięcy, a później odkryto ich zwłoki.

Jak dotąd żadne z dzieci nie spełniało kryteriów, co rodziło niepokojące pytanie: jeśli to, co David zobaczył w pokoju syna, nie było ciałem Matthew, to czym?

Rachel zamierzała zwiększyć zasięg, poszerzyć ramy czasowe i teren poszukiwań, sprawdzić inne bazy danych. Może martwy chłopiec w łóżku Matthew – Boże, to brzmiało jak szaleństwo – był młodszy albo starszy, może był jasnoskórym Afroamerykaninem, Azjatą albo kimś jeszcze innym. Rachel zamierzała sprawdzić każdy szczegół. Zanim znalazła się w centrum skandalu, uznawano ją za niepowstrzymaną tropicielkę. Ale nie dało się ukryć, że brak ciała stanowił cios dla teorii, według której Matthew wciąż żył.

Matthew żył. Cóż za zwariowany pomysł.

Lepsze wieści, jeśli można tak powiedzieć, dotyczyły głównego świadka zeznającego przeciwko Davidowi, „uroczej staruszki” (jak określały ją media) Hilde Winslow. Odnalezienie starszej wdowy w teorii nie powinno stanowić problemu. Kiedy okazało się, że nie jest to takie proste, Rachel zaczęła się zastanawiać, czy kobieta przypadkiem nie zmarła w ciągu ostatnich pięciu lat. Udało jej się znaleźć tylko dwie osoby o takim nazwisku. Jedna miała trzydzieści lat i mieszkała w Portlandzie w Oregonie. Druga była czwartoklasistką z Crystal River na Florydzie.

Ani ta, ani ta.

Imię Hilde pochodziło od bardziej pospolitego imienia Hilda. Nie było to zaskakujące. W dokumentach sądowych z procesu Davida oraz doniesieniach medialnych kobietę nazywano Hilde, ale dla pewności Rachel poszukała także Hildy Winslow. Znalazła dwie kobiety o takim imieniu i nazwisku, żadna jednak

nie pasowała do szukanego profilu. Potem spróbowała panińskiego nazwiska – kobiety często do niego wracają – ale również bezskutecznie.

Ślepa uliczka.

Syrena – Rachel przypuszczała, że to alarm pożarowy – nie przestawała wyć.

Telefon Rachel zabrzączał. Sprawdziła numer i zobaczyła, że oddzwania do niej Tim Doherty, jej stary znajomy z czasów „Globe”. Tim jako jeden z niewielu stanął przy jej boku, kiedy wszystko się posypało. Oczywiście nie publicznie. To byłoby zawodowe samobójstwo. Nie chciała takiego losu dla niego ani nikogo innego.

– Mam – oznajmił Tim.

– Wszystkie akta dotyczące zabójstwa?

– Dokumenty sądowe i transkrypty z procesu. Nie ma mowy, żeby gliny pozwoliły mi zajrzeć do swojej kartoteki.

– Udało ci się zdobyć numer ubezpieczenia społecznego Hilde Winslow?

– Tak. Mogę wiedzieć, po co go potrzebujesz?

– Muszę ją znaleźć.

– Domyśliłem się. Dlaczego nie skorzystasz z oficjalnych kanałów?

– Próbowałam.

– Bez skutku – odgadł.

Usłyszała w jego głosie, że lekko się ożywił.

– Właśnie – rzuciła. – A co? Czego się dowiedziałeś?

– Pozwoliłem sobie sprawdzić jej numer.

– No i co?

– Dwa miesiące po procesie twojego szwagra Hilde Winslow zmieniła nazwisko na Harriet Winchester.

Strzał w dziesiątkę, pomyślała Rachel.

– Kurczę.

– Właśnie. Poza tym sprzedała dom i przeprowadziła się do mieszkania przy Dwunastej Ulicy na Manhattanie – wyrecytował adres. – A, właśnie... w tym tygodniu kończy osiemdziesiąt jeden lat.

– Dlaczego kobieta w tym wieku zmieniła nazwisko i przeprowadziła się? – spytała Rachel.

– Z powodu zainteresowania prasy po procesie?

– Tak?

– To była duża sprawa – zauważył Tim.

– Owszem, ale bez przesady. Po tym, jak złożyła zeznania, nikt więcej się nią nie interesował.

Dziennikarze byli jak najgorszy typ uwodziciela. Kiedy już im się udało – metaforycznie – zaciągnąć kogoś do łóżka, szybko się nudzili i szukali nowych podbojów. Zmiana nazwiska, choć dało się ją wytłumaczyć, była ekstremalnym i zastanawiającym rozwiązaniem.

– Racja – przyznał Tim. – Myślisz, że skłamała w sprawie twojego szwagra?

– Nie wiem.

– Rachel?

– Tak?

– Wpadłaś na trop czegoś dużego, prawda?

– Tak sądzę.

– Normalnie poprosiłbym, żebyś się ze mną podzieliła, ale potrzebujesz tego bardziej niż ja. Zasługujesz na kolejną szansę, a ten świat nie lubi ich dawać, więc jeśli będziesz czegoś ode mnie potrzebowała, daj mi znać.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Jesteś najlepszy, Tim.

– Wiem o tym. Do usłyszenia wkrótce.

Gdy Tim się rozłączył, otarła oczy. Wyjrzała przez okno jadłodajni na zatłoczony parking. W oddali wciąż wyla syrena. Możliwe, że świat jednak da Rachel kolejną szansę, ale nie była pewna, czy na nią zasłużyła. Minęły dwa lata, odkąd przyczyniła się do śmierci Catherine Tullo.

Catherine nie otrzyma drugiej szansy. Dlaczego miałyby to spotkać ją?

To była najważniejsza historia w jej karierze. Po wyczerpującym ośmiomiesięcznym dochodzeniu niedzielne wydanie „Globe” miało wydrukować jej artykuł, w którym nie tylko ujawniała, że szanowany rektor Uniwersytetu Lemhall, Spencer Shane, przez dwadzieścia lat przymykał oko na przypadki molestowania seksualnego, przemocy i niewłaściwego zachowania ze strony niektórych wykładowców, ale też uczestniczył w zorganizowanym systemie nadużyć i ukrywania przestępstw w jednej z najbardziej elitarnych amerykańskich instytucji. To była sprawa tak wyjątkowa, a zarazem frustrująca i śliska, że Rachel miała na jej punkcie obsesję, jak na dziennikarkę przystało. Doceniała rozmiar tych zbrodni – trudno było powstrzymać oburzenie – ale nie wzięła pod uwagę delikatności ofiar.

Uniwersytet Lemhall, jej Alma Mater, zdołał doprowadzić do podpisania licznych umów poufności, przez co nikt nie mógł oficjalnie wypowiadać się w jego sprawach. Rachel ukrywała to przed redaktorami, ale będąc na pierwszym roku, sama była zmuszana do podpisania takiego dokumentu po pewnym niepokojącym incydencie podczas przyjęcia halloweenowego. Odmówiła, a uczelnia zamiotła jej sprawę pod dywan.

Może właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Wtedy przegrała. Nie zamierzała jednak dopuścić, by to się powtórzyło.

Posunęła się za daleko.

Ostatecznie zarzuty były zbyt poważne, by „Globe” mógł je wydrukować, ponieważ nikt nie był w stanie podważyć umów poufności. Rachel nie mogła w to uwierzyć. Udała się do prokuratora okręgowego, ale ten nie miał ochoty atakować tak szanowanej instytucji. Dlatego wróciła do dawnej koleżanki z roku, Catherine Tullo, i błagała ją, by zerwała umowę poufności. Catherine chciała to zrobić, ale się bała. Nie dawała się przekonać. W ten oto sposób śledztwo miało zostać zduszone w zarodku, a instytucja, która swego czasu zatuszowała sprawę Rachel, miała pozostać nieskazitelna.

Nie mogła na to pozwolić.

Nie miała innego wyjścia, więc przycisnęła Catherine mocniej: „Zrób to, co trzeba, albo sprawa i tak wyjdzie na jaw”. Skoro Catherine nie chciała zadbać o interesy ofiar, Rachel nie widziała powodu, by ją chronić. Zamierzała samodzielnie opublikować artykuł w internecie i ujawnić swoje źródła. Catherine zaczęła płakać. Rachel nie ustępowała. Pół godziny później koleżanka wreszcie zmieniła zdanie. Nie potrzebowała pieniędzy z ugody. Nie dbała o umowę poufności. Obiecała, że postąpi właściwie. Uściskała Rachel i zapowiedziała, że następnego dnia udzieli jej długiego oficjalnego wywiadu. A potem, tego samego wieczoru, po tym, jak Rachel wyszła z jej mieszkania, Catherine Tullo napełniła wannę wodą i podcięła sobie żyły.

Wciąż nie dawała Rachel spokoju. Była z nią także teraz: siedziała po drugiej stronie stołu z typowym dla siebie niepewnym uśmiechem, mrugając nerwowo, jakby spodziewała się ciosu... Wreszcie do Rachel dotarło, jak niebieskowłosa kelnerka mówi do klienta przy sąsiednim stoliku:

– Kiedy ostatnio ją włączali, Cal?

Mężczyzna, zapewne Cal, odpowiedział:

– Och, nie robili tego od lat.

– Myślisz, że...?

– Nie, pewnie w Briggs mają ćwiczenia. Na pewno nic się nie stało.

Rachel zamarła.

– Skoro tak mówisz – rzuciła kelnerka, ale sądząc po minie, nie do końca w to wierzyła.

Rachel nachyliła się nad stolikiem.

– Przepraszam, nie chcę wyjść na wścibską, ale czy ten dźwięk syreny dobiega z zakładu karnego Briggs?

Cal i kelnerka wymienili spojrzenia. Potem mężczyzna pokiwał głową i posłał jej pogardliwy uśmiech.

– Nie musi pani sobie tym zaprzętać swojej pięknej główki. To pewnie tylko ćwiczenia.

– Jakiego rodzaju ćwiczenia?

– Na wypadek ucieczki – wyjaśniła kelnerka. – Dmuchać w ten gwizdek tylko wtedy, kiedy ucieka więzień.

Telefon Rachel zabrzączał. Odsunęła się od stolika i przyłożyła komórkę do ucha.

– Słucham?

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział David.

Rozdział 13

Gonią nas trzy radiowozy z błyskającymi światłami.

Czuję się otępiały. Jestem poza murami Briggs po raz pierwszy od pięciu lat. Jeśli mnie złapią, już nigdy się nie wydostanę. Nigdy. Wiem o tym. Tam nie ma drugich szans. Moje palce zaciskają się na pistolecie. Metal wydaje się dziwnie ciepły i kojący.

Radiowozy ustawiają się w literę V.

Odwracam się do Philipa.

– To już koniec, prawda?

– Chcesz zaryzykować życie?

– Czyje?

Kiwa głową.

– Wyceluj we mnie, David. Tak, żeby widzieli.

Robię, o co mnie prosi. Broń jest coraz cięższa, a ręka mi się trzęsie. Adrenalina, która towarzyszyła mi podczas bójki z Sumnerem, ataku Kędziora i chaotycznej ucieczki, zaczyna się ulatniać. Philip wciska gaz. Radiowozy siedzą nam na ogonie.

– Co teraz? – pytam.

– Czekaemy.

– Na co?

Jak na zawołanie dzwoni telefon w samochodzie. Twarz Philipa przypomina maskę.

– Pamiętaj, że jesteś zdesperowany – instruuje mnie. – Zachowuj się w taki sposób.

Kiwam głową.

Philip odbiera połączenie i mówi drżącym głosem „Halo”.

– Pański syn jest bezpieczny, naczelniku – od razu odzywa się czyjś głos. – Zdołał uwolnić się z więzów i wyważyć drzwi.

– Z kim rozmawiam, do diabła? – pyta Philip oschłym i wrogim tonem.

Osoba na drugim końcu linii przez chwilę się waha.

– Eee... z tej strony...

– Pytałem, z kim rozmawiam, do diabła! – ryczy Philip.

– Detektyw Wayne Semsey...

– Semsey, ile pan ma lat?

– Słucham, panie naczelniku?

Philip zerka na mnie.

– Zdesperowany więzień celuje mi w głowę z pistoletu. Czy pan to rozumie, Semsey?

Przyciskam mu broń do ucha.

– Eee, tak jest.

– Więc niech mi pan powie: czy najlepszym rozwiązaniem jest drażnienie tego więźnia?

– Nie...

– W takim razie dlaczego te radiowozy siedzą mi na ogonie?

Philip lekko kiwa głową. Rozumiem, co mam zrobić.

– Daj mi to! – wołam i odbieram mu telefon. Staram się brzmieć jak obłąkany, jak człowiek na krawędzi. Nie muszę specjalnie udawać. – Nie mam ochoty na pogawędki, więc posłuchajcie! – wrzeszczę, wypluwając kolejne słowa i starając się brzmieć groźnie. – Dam wam dziesięć sekund. Nawet nie będę liczył. Dziesięć sekund. Jeśli po upływie tego czasu zobaczę obok nas jakiegoś gliniarza, wpakuję naczelnikowi kulkę w łeb i sam siądę za kierownicą. Słyszycie, co do was mówię?

– Jezu, David, nie chcesz tego zrobić, na miłość boską! – mówi głośno Philip.

Boję się, że trochę przesadziłem, ale niepotrzebnie.

– Spokojnie, David – odpowiada Semsey. – Uspokójmy się wszyscy na chwilę, dobrze?

– Semsey? – rzucam.

– Słucham?

– Odsiaduję dożywocie. Jeśli zabiję naczelnika, zostanę najpopularniejszym gościem z Briggs. Rozumiesz?

– Oczywiście, David. Oczywiście. Radiowozy już zwalniają, zobacz.

Patrzę przez szybę. Policja daje nam trochę przestrzeni.

– Nie chcę, żeby trzymały się na dystans, tylko zniknęły.

– Posłuchaj, David – odzywa się Semsey kojącym głosem. – Mogę ci mówić po imieniu? Nie masz nic przeciwko?

Strzelam przez tylną szybę. Zaskoczony Philip unosi brew.

– Następną kulka trafi naczelnika między oczy.

Philip całkowicie wchodzi w swoją rolę.

– Jezu, nie. Semsey, posłuchaj go!

Semsey zaczyna panicznie wypluwać kolejne słowa.

– Dobrze, dobrze, zaczekaj, David. Już stają, widzisz? Obiecuję. Wyjrzyj przez szybę. Popatrz. Jeszcze możemy się dogadać. Na razie nikomu nic się nie stało. Pogadajmy o tym, w porządku?

– Jaki jest twój numer telefonu? – pytam.

– Słucham?

– Widzę na ekranie NUMER ZASTRZEŻONY. Za chwilę się rozłączę. Oddzwonię za pięć minut i przedstawię swoje żądania. Jaki jest twój numer?

Semsey mi go podaje.

– Przygotuj kartkę i długopis. Oddzwonię.

– Już mam kartkę i długopis, David. Może powiesz mi teraz? Na pewno będziemy mogli...

– Trzymajcie się z dala, a nikomu nie stanie się krzywda – przerywam mu. – Jeśli choćby wyczuję w pobliżu radiowóz, on skończy z kulką w głowie.

Rozłączam się i patrzę na Philipa.

– Ile czasu zyskamy? – pytam.

– Najwyżej pięć minut. Pewnie już podrywają śmigłowiec. Będą mogli nas śledzić z powietrza.

– Masz jakiś pomysł?

Philip przez chwilę się zastanawia.

– Za parę kilometrów dotrzemy do dużego centrum handlowego – mówi w końcu. – Jest tam podziemny parking. Znikniemy im z oczu na jakieś dziesięć sekund. Będziesz mógł niezauważony wyskoczyć z auta. Tuż obok jest hotel Hyatt. Kiedyś znajdował się tam postój taksówek, ale w erze Ubera pewnie już go nie ma. Dalej będziesz zdany na siebie. W odległości półtora kilometra znajdziesz dworzec kolejowy i autobusowy, jeśli cię to interesuje.

To mi się nie podoba.

– Kiedy zobaczą, że zjeżdżamy pod ziemię, nie domyślą się, co się święci?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

Oglądam się. Nie widzę żadnych radiowozów, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Opuszczam szybę i wystawiam głowę. Ani śladu śmigłowca. Nie słyszę odgłosu wirnika. Mógłbym oddzwonić do Semseya i jeszcze mu pogrozić; może wtedy dłużej trzymaliby się z dala i nie zauważyli, że wjeżdżamy do centrum handlowego. Ale czy to by podziałało? Nie wiem. Policjanci nie są czarodziejami. Może tak nam się wydaje, kiedy oglądamy ich w telewizji, ale tak nie jest. Mamy trochę czasu. Śmigłowiec jeszcze nie wystartował. Jeśli używają długodystansowych urządzeń obserwacyjnych – teleskopów, kamer i tak dalej – to potrzebują czasu na ich rozstawienie. To samo dotyczy namierzenia telefonu Adama lub Philipa.

Mam czas. Ale nie za wiele.

– Jak daleko jesteśmy od podziemnego parkingu? – pytam.

– Trzy, może cztery minuty.

Coś przychodzi mi do głowy. To nie jest idealny pomysł, ale ojciec gliniarz, który zawsze martwił się moim perfekcjonizmem, cytował czasami Voltaire'a: *Niech idealne nie stanie się wrogiem dobrego*. Nie jestem pewien, czy ten pomysł można nazwać dobrym, ale nie mam innych.

Szyba wciąż jest opuszczona. Teraz obaj słyszymy odgłos śmigłowca.

– Cholera – rzuca Philip.

– Daj mi swój portfel.

– Masz jakiś plan?

– Kieruj się w stronę podziemnego parkingu. Tam wysiądę. Ukradnę twój portfel. Powiedz im, że miałeś przy sobie tylko dwadzieścia dolarów. Adam powinien powiedzieć to samo. Będą śledzić historię twojej karty kredytowej, ale będę używał tylko gotówki.

– W porządku.

– Zadzwoń do Semseya z twojej komórki i zacznę stawiać absurdalne żądania.

– A co potem?

– Kiedy będę z nim rozmawiał, wjedziemy na podziemny parking. Szybko wysiądę, prawie nie będziesz musiał się zatrzymywać. Tylko że zabiorę twój telefon i będę dalej rozmawiał z Semseyem.

Philip kiwa głową, rozumiejąc, do czego zmierzam.

– Pomyślą, że wciąż jesteś w samochodzie.

– Właśnie. Nie zatrzymuj się. Śmigłowiec jest nad nami, ale nie zobaczą, że wysiadam. Jeśli cały czas będę mówił, uznają, że jestem z tobą. Odjedź najdalej, jak zdołasz. A ja za dokładnie dziesięć minut się rozłączę. Znajdź inny podziemny parking, może w innym centrum handlowym? Albo w jakimś biurowcu?

– Po co?

– Przejedź przez niego i zatrzymaj się na dole na kilka sekund. Udawaj, że zmusiłem cię do zatrzymania się i właśnie wtedy uciekłem z auta.

– Podczas gdy naprawdę będziesz tutaj – mówi Philip.

– Otóż to.

– Potem wyjadę spod ziemi i dam im sygnał, że uciekłeś. Nie będę mógł zadzwonić, ponieważ zabierzesz mój telefon.

– Zgadza się.

– Więc będą cię szukać tam, a nie tutaj.

– Tak.

Philip przez chwilę się zastanawia.

– Cholera, to może się udać.

– Tak sądzisz? – pytam.

– Niezupełnie. – Zerka na mnie. – Nie dadzą się długo wodzić za nos, David.

– Wiem.

– Wsiądź do pierwszego pociągu albo autobusu. Znasz się na survivalu?

– Nie bardzo.

– Las zapewni ci dobrą kryjówkę. Poślą za tobą psy, ale nie mogą być wszędzie. Nie odwiedzaj ojca. Wiem, że masz ochotę, ale na pewno będą obserwować jego dom. To samo dotyczy byłej żony i szwagierki. Wszystkich krewnych. Nie możesz polegać na żadnej bliskiej osobie. Będą pod stałym nadzorem.

Nie mam już nikogo bliskiego, ale rozumiem jego argumenty.

– Ja porozmawiam z twoim tatą – obiecuje. – Powiem mu, że ci wierzę... że tego nie zrobiłeś.

– Naprawdę tak uważasz?

Philip głęboko oddycha, skręcając w prawo w stronę zjazdu prowadzącego do centrum handlowego Lamy.

– Tak, David, naprawdę.

– W jakim on jest stanie?

– Kiepskim, ale pozna prawdę. Obiecuję ci to.

Oglądam się. Wciąż nie widzę radiowozów. Teraz albo nigdy. Mam wypchane kieszenie – telefon i portfel Adama, portfel Philipa, gotówka, którą mi dali.

– Jeszcze jedno – odzywa się Philip.

– Tak?

– Zostaw pistolet.

– Dlaczego?

– Zamierzasz go użyć?

– Nie, ale...

– Więc go zostaw. Jeśli będziesz uzbrojony, prawdopodobnie nie będą próbowali schwytać cię żywego.

– Nie chcę, żeby mnie schwytali – odpowiadam. – Zresztą dlaczego miałbym zostawić broń? Kto to kupi? Domyślą się, że byłeś w to zaplątany.

– David...

Ale nie mamy czasu dłużej dyskutować. Biorę do ręki telefon i wybieram numer Semseya. Detektyw od razu odbiera.

– Cieszę się, że oddzwoniłeś, David. Wszystko u was w porządku?

– Obaj jesteśmy cali i zdrowi – odpowiadam. – Na razie. Ale będę potrzebował drogi wyjścia. Na początek jakiegoś środka transportu.

– Dobrze, David, oczywiście. – Semsey spoufała się ze mną, jakbyśmy tkwili w tym razem. Jest teraz spokojniejszy i bardziej opanowany. Te pięć minut mu pomogło. – Możemy spróbować to załatwić.

– Żadne „spróbować” – odpowiadam ostro.

Dotarliśmy do centrum handlowego. Philip odbija w lewo. Zjeżdżamy w stronę podziemnego parkingu. Chwytam kłamkę drzwi i przygotowuję się.

– Chcę, żebyście to załatwili – mówię. – Żadnych wymówek.

– David, odłóż broń – odzywa się Philip, żeby zapewnić dodatkowe atrakcje Semseyowi. – On zrobi to, o co go poprosisz.

– Potrzebuję śmigłowca – rzucam. – W pełni zatankowanego.

Dialog rodem ze starego serialu. Ale Semseyowi najwyraźniej to nie przeszkadza. Odgrywa swoją rolę.

– To może zająć kilka godzin, David.

- Gówno prawda. Macie śmigłowiec w powietrzu. Uważacie mnie za idiotę?
- To nie jest nasza maszyna. Pewnie należy do drogówki. Albo to prywatny śmigłowiec. Nie możesz oczekiwać, że zamkniemy...
- Kłamiesz.
- Posłuchaj, zachowajmy spokój.
- Chcę, żeby ten śmigłowiec odleciał. Natychmiast.
- Nasi ludzie już dzwonią do najbliższych lotnisk.
- A potem chcę dostać własną maszynę. Z pełnym bakiem i pilotem, oczywiście nieuzbrojonym.

Philip wskazuje coś głową. Jestem gotowy.

- W porządku, David, żaden problem – odpowiada Semsey. – Ale musisz nam dać trochę czasu.

Philip zatrzymuje samochód. Szarpnię za klamkę, otwieram drzwi i wytaczam się na zewnątrz. Kiedy tylko padam na ziemię, Philip odjeżdża. Wszystko trwa dwie, może trzy sekundy. Kucam za szarym hyundaiem.

- Ile czasu? – pytam, nie tracąc wątku. – Nie chcę być zmuszony do zastrzelenia naczelnika.

- David, wiemy, że nie żartujesz. Właśnie dlatego trzymamy się na dystans. Po prostu bądź rozsądny, dobrze? Jakoś się dogadamy.

Przemykam pomiędzy samochodami w stronę wejścia do galerii. Żadne auto za nami nie podążało. W okolicy nie ma nikogo podejrzanego.

- Posłuchaj, Semsey, oto czego dokładnie potrzebuję.

Wchodzę na parter centrum handlowego i jadę na górę windą.

Jestem wolny. Na razie.

Rozdział 14

Max – agent specjalny FBI Max Bernstein – wściekle krążył po recepcji przed gabinetem naczelnika.

Stale był w ruchu. Jego mama mawiała, że ma robaki w tyłku. Nauczyciele skarżyli się, że przeszkadza w prowadzeniu lekcji, ponieważ stale się wiercił. Jedna z nauczycielek w czwartej klasie, pani Matthis, błagała dyrektora, żeby pozwolił jej przywiązywać go do krzesła. W tej chwili, jak zawsze, gdy odwiedzał nowe miejsce, Max krążył po pomieszczeniu jak pies przyzwyczajający się do nieznanego otoczenia. Często mrugał. Rozglądał się na wszystkie strony, ale unikał wzroku ludzi. Obgryzał paznokcie. Wyglądał niechlujnie w za dużym służbowym płaszczu. Był niewysoki i miał przypominające wełnę stalową gęste włosy, których nie był w stanie uczesać, chociaż kilka razy w roku próbował. Jego bezustanne gwałtowne ruchy sprawiły, że koledzy z Biura nazywali go Drgawą. Przynajmniej dopóki nie dokonał coming outu, w czasach, gdy żaden inny agent by się na to nie zdobył. Wtedy ci niezwykle kreatywni homofobi zaczęli go przezywać – ha, ha, ha – Babą.

Federalni potrafią być zabawni.

– Uciekł – poinformował go detektyw Semsey, miejscowy gliniarz, który bez powodzenia próbował zająć się tą sprawą.

– Słyszeliśmy – odparł Max.

Założyli centrum dowodzenia w sekretariacie naczelnika Philipa Mackenziego, ponieważ jego gabinet wciąż był uznawany za miejsce przestępstwa. Na ścianie wisiała mapa hrabstwa, na której żółtym markerem zaznaczono trasę samochodu naczelnika. Stara szkoła, pomyślał Max. To mu się podobało. Na laptopie oglądali obraz z kamery śmigłowca. Semsey i jego ludzie widzieli wszystko na żywo. Kiedy

Max i jego partnerka, agentka specjalna Sarah Jablonski, przybyli na miejsce, było już po wszystkim.

W sekretariacie przebywało siedem innych osób, ale Max znał tylko Sarah. Od szesnastu lat była jego partnerką, porucznikiem, prawą ręką, niezastąpioną asystentką i tak dalej, w każdym razie uwielbiał ją i jej potrzebował. Sarah była potężną rudowłosą kobietą, która mierzyła ponad metr osiemdziesiąt, miała szerokie barki i górowała nad Maxem, niższym o ponad piętnaście centymetrów. Ta różnica wzrostu sprawiała, że robili zabawne wrażenie i skrupulatnie wykorzystywali to dla własnych potrzeb.

W pomieszczeniu znajdowali się dwaj agenci z Marshals Service, którzy podlegali Maxowi. Pozostałą czwórkę stanowili pracownicy więzienia i lokalni policjanci. Max usiadł przed laptopem. Jego prawa noga zaczęła gwałtownie podskakiwać, co zapewne można by uznać za objaw zespołu niespokojnych nóg, gdyby zależało mu na diagnozie. Wszyscy w pokoju patrzyli na niego, gdy kilkakrotnie odtwarzał końcówkę nagrania.

– Masz coś, Max? – spytała Sarah.

Nie odpowiedział, a ona nie naciskała. Oboje rozumieli, co to znaczy.

– Kto z obecnych tutaj pracowników więzienia jest najwyższy rangą? – spytał Max, wpatrując się w ekran.

– Ja – odrzekł masywny mężczyzna ubrany w przepoconą koszulę z krótkimi rękawami. – Nazywam się...

Maxa nie obchodziły jego nazwisko ani ranga.

– Będziemy potrzebowali kilku rzeczy, i to szybko.

– Na przykład?

– Na przykład listy osób, które odwiedzały Burroughsa w ciągu ostatnich kilku dni.

– W porządku.

– Nazwisk jego krewnych i przyjaciół oraz osadzonych, którzy z nim rozmawiali albo zostali zwolnieni. Będzie próbował szukać pomocy na zewnątrz.

Miejmy ich wszystkich na oku.

– Załatwione.

Max wstał z krzesła i znów zaczął krążyć. Gryzł paznokieć palca wskazującego, nie delikatnie, tylko jak rottweiler, który dostał nową zabawkę. Pozostali wymieniali spojrzenia. Sarah była przyzwyczajona.

– Sarah, naczelnik już wrócił?

– Właśnie przyjechał.

– Jesteśmy gotowi?

– Jesteśmy gotowi – potwierdziła.

Nie zatrzymując się, pokiwał głową. W końcu stanął przed laptopem i ponownie odtworzył nagranie. Na filmie naczelnik Philip Mackenzie wysiadał ze swojego samochodu i machał rękami w stronę nagrywającego go śmigłowca. Max się przyglądał. Potem znów puścił nagranie. Sarah stała za jego plecami.

– Mam go teraz przyprowadzić? – spytała.

– Jeszcze raz, Sarah.

Puścił film od początku. Co jakiś czas podbiegał z gracją rannej gazeli od komputera do mapy i przesuwał ogryzionym paznokciem po trasie samochodu. Jednocześnie bawił się dwunastoma gumkami recepturkami – dokładnie dwunastoma, nigdy jedenastoma czy trzynastoma – które nosił na nadgarstku.

– Semsey – warknął.

– Jestem.

– Niech mi pan zrelacjonuje końcówkę nagrania.

– Słucham?

– Kiedy Burroughs wysiadł z samochodu?

– W tunelu Wilmington. Widzi pan? – Semsey wskazał na mapie. – Tutaj samochód naczelnika wjechał do tunelu.

– Rozmawiał pan z Burroughsem?

– Tak.

– Kiedy wjeżdżali do tunelu?

– Rozłączył się tuż przed tym.

– O ile wcześniej?

– Eee, nie jestem pewien. Może o minutę. Mogę sprawdzić dokładny czas.

– Niech pan to zrobi później. – Max wciąż wpatrywał się w ekran. – Jak zakończyła się rozmowa?

– Miałem do niego oddzwonić, kiedy śmigłowiec będzie gotowy.

– Tak panu powiedział?

– Tak.

Max zmarszczył czoło, patrząc na Sarah. Ta wzruszyła ramionami.

– Proszę mówić dalej.

– Cała reszta jest na nagraniu – powiedział Semsey. – Kiedy samochód naczelnika wjeżdża do tunelu, tracimy go z oczu.

Odtworzyli ten fragment na ekranie.

– Burroughs o tym wiedział, prawda? – spytał Max.

– Wiedział...?

– Wspominał, że macie w powietrzu śmigłowiec, tak?

– Chyba tak. Zauważył go jakieś piętnaście minut wcześniej. Kazał nam go wycofać.

– Ale nie posłuchaliście.

– Nie. Po prostu trzymaliśmy się dalej, żeby go nie widział ani nie słyszał.

– No dobrze, a więc wjeżdżają do tunelu...

– Wjeżdżają. Nasz śmigłowiec czeka po drugiej stronie, ponieważ nie może zajrzeć do środka. Przejazd z jednego końca na drugi nie powinien potrwać dłużej niż dwie minuty.

– Ale trwał dłużej – stwierdził Max.

– Samochód naczelnika nie wyjeżdżał przez ponad sześć minut.

Max przewija nagranie do przodu. Wciska PLAY, kiedy auto naczelnika wyłania się z tunelu. Samochód niemal natychmiast zjeżdża na pobocze. Naczelnik

wysiada z za kierownicy i zaczyna rozpaczliwie machać rękami.

Koniec.

– I co pan o tym sądzi? – spytał Max.

– O czym?

– O tym, co się stało z Burroughsem.

– Aha. No cóż, teraz już wiemy. Naczelnik nam powiedział. Burroughs zdawał sobie sprawę, że załoga śmigłowca nie będzie go widziała w tunelu, więc kazał naczelnikowi zatrzymać się w połowie, a następnie ukradł jakiś samochód. Już rozstawiliśmy blokady.

– Czy w tunelu jest monitoring?

– Nie. Mają tam budkę strażnika, ale rzadko ktoś w niej przebywa. Cięcia budżetowe.

– Aha. Sarah?

– Słucham, Max.

– Gdzie jest syn naczelnika?

– Na oddziale szpitalnym razem z ojcem.

– Coś mu się stało?

– Nie, to tylko formalności.

– Przyślij tutaj naczelnika i jego syna. Niech wszyscy pozostali wyjdą.

Ludzie opuścili pomieszczenie, a pięć minut później Sarah otworzyła drzwi i weszli Philip oraz Adam Mackenzie. Max nawet nie zerknął w ich stronę. Wciąż wpatrywał się w ekran.

– Ciężki dzień, prawda, panowie?

– Można tak powiedzieć – przyznał Philip Mackenzie. Podszedł do Maxa i wyciągnął dłoń. Agent udał, że tego nie zauważył. Przeskakiwał jak kula bilardowa pomiędzy monitorem a mapą.

– Skąd on wziął pistolet? – spytał.

Philip Mackenzie odchrząknął.

– Zabrał mi go z zaskoczenia. Widzi pan, przyprowadziłem osadzonego...

– Osadzonego?

– Tak.

– Tak go nazywacie?

Philip Mackenzie otworzył usta, ale Max lekceważąco machnął ręką.

– Nieważne. Detektyw Semsey wszystko mi opowiedział. O tym, jak Burroughs odebrał panu pistolet i zmusił pana syna do oddania munduru, a następnie, grożąc bronią, nakłonił pana do wpuszczenia go do pańskiego samochodu. Już to wszystko wiem. – Max zatrzymał się i patrzył na mapę, marszcząc czoło. – Chciałbym jedynie spytać: dlaczego pan kłamie?

W pomieszczeniu zapadła cisza. Philip Mackenzie wpatrywał się w Maxa, ale ten wciąż był do niego odwrócony plecami. Naczelnik zwrócił wściekłe spojrzenie w stronę Sarah, a ta tylko wzruszyła ramionami.

– Co pan powiedział? – zagrzemiał Philip Mackenzie.

Max westchnął.

– Naprawdę muszę się powtarzać? Sarah, czy nie wyraziłem się jasno?

– Jasno jak słońce, Max.

– Jak panu się wydaje, z kim pan rozmawia, agencie Bernstein?

– Z naczelnikiem, który właśnie pomógł skazanemu dzieciobójcy uciec z więzienia.

Philip zacisnął pięści. Poczzerwieniał na twarzy.

– Niech pan na mnie popatrzy, do cholery – zażądał.

– Nie.

Zbliżył się o krok.

– Kiedy nazywa się kogoś kłamcą, trzeba być gotowym spojrzeć mu w oczy.

Max pokręcił głową.

– Nigdy tego nie kupowałem.

– Czego?

– Tego całego patrzenia w oczy. Kontakt wzrokowy jest przeceniany. Najlepsi kłamcy, jakich znam, potrafią godzinami patrzeć innym w oczy. To strata czasu

i energii. Mam rację, Sarah?

– Całkowitą, Max.

– Panie naczelniku?

– Słucham?

– To się źle dla pana skończy. Bardzo źle. Nic na to nie poradzę. Ale dla pańskiego milczącego syna być może jeszcze jest nadzieja. Tylko że jeśli dalej będzie pan kłamał, pogrążę was obu. Już robiliśmy takie rzeczy, prawda, Sarah?

– Lubimy to, Max.

– Na swój sposób nas to kręci – dodał.

– Czasami nagrywam takie chwile, a potem puszcza je sobie podczas gry wstępnej – powiedziała Sarah.

– Dotknij moich sutków, Sarah. – Max wypiął pierś. – Są twarde jak kamyki.

– Nie chcę znów dostać nagany.

– Ach, kiedyś byłaś bardziej wyluzowana.

– Może później, Max. Kiedy już ich skujemy.

Philip Mackenzie wycelował palec w Maxa, a następnie w Sarah.

– Skończyliście?

– Staranował pan bramę samochodem – powiedział Max.

– Tak.

– Przebił się pan przez na wpół zamkniętą bramę na pełnej prędkości.

Philip uśmiechnął się, starając się wyglądać na pewnego siebie.

– To ma czegoś dowodzić?

– Dlaczego z takim entuzjazmem wcisnął pan gaz?

– Ponieważ zdesperowany więzień celował mi w głowę z pistoletu.

– Słyszałaś, Sarah?

– Stoję tuż obok, Max.

– Wielki Phil się bał.

– Kto by się nie bał – odparł Mackenzie. – Osadzony miał broń.

– Pańską broń.

– Tak.

– Której według pańskiej sekretarki nigdy pan nie nosi i nie łąduje.

– Ona się myli. Noszę pistolet w kaburze pod marynarką, żeby ludzie go nie widzieli.

– Bardzo dyskretnie – zauważyła Sarah.

– A jednak Burroughs nie tylko ją zobaczył, ale też zdołał ją panu odebrać i zagrozić wam obu – ciągnął Max.

– Zaskoczył nas.

– Sprawia pan wrażenie niekompetentnego.

– Popeliłem błąd. Pozwoliłem osadzonemu za bardzo się zbliżyć.

Max uśmiechnął się do Sarah, a ona wzruszyła ramionami.

– Wciąż nazywa go pan osadzonym – zauważył Max.

– Ponieważ nim jest.

– Tak, ale przecież go pan zna, prawda? Przecież dla pana jest Davidem? Jego ojciec jest pana starym kumplem, a pana syn... jak dotąd milczący Adam... wychowywał się razem z nim.

Na twarzy naczelnika pojawiło się zaskoczenie, ale szybko wziął się w garść.

– To prawda – przyznał, nieco bardziej się prostując. – Nie zaprzeczam temu.

– Jaki pomocny – stwierdziła Sarah.

– Prawda?

– I właśnie dlatego... – zaczął Philip.

– Chwileczkę, niech pan nie mówi. Dlatego Burroughs był w stanie zbliżyć się do pana i zabrać broń, której według pana sekretarki nigdy pan przy sobie nie nosi...

– Ani nie łąduje – dodała Sarah.

– Ani nie łąduje. Dziękuję, Sarah. Mimo wszystko Burroughs zdołał sięgnąć pod pańską marynarkę, rozpiąć kaburę i wyciągnąć naładowany pistolet, podczas gdy wy dwaj beczynnienie na to patrzyliście. Tak było, panie naczelniku?

– Właśnie tak – odezwał się Adam po raz pierwszy.

– Ojej, Sarah, on mówi.

– Może jednak nie powinien.

– Zgadza się. Zadam kolejne pytanie, panie naczelniku, jeśli to panu nie przeszkadza. Dlaczego wczoraj odwiedził pan ojca Davida Burroughsa?

Philip Mackenzie sprawiał wrażenie oszołomionego.

– Sarah, uzupełnisz luki w wiedzy pana naczelnika?

– Jasne, Max. – Odwróciła się w stronę Philipa. – Wczoraj o ósmej piętnaście rano poleciał pan liniami American Eagle do Bostonu. Lot trzysta dwa, jeśli to pana interesuje.

Cisza.

– Słyszę, jak kółka zębate obracają się w jego głowie, Sarah.

– Naprawdę, Max?

Max pokiwał głową.

– Zastanawia się: czy powinienem przyznać się, że odwiedziłem starego kumpla Lenny’ego Burroughsa, czy raczej utrzymywać, że poleciałem do Bostonu w innym celu? Oczywiście ma ochotę zrobić to drugie, ale problem polega na tym... i dobrze pan o tym wie, naczelniku... że jeśli pan skłamię, to Sarah i ja będziemy mogli namierzyć kierowcę ubera albo taksjarza, który zawiózł pana z lotniska do domu Burroughsów w Revere.

– Albo z powrotem – dodała Sarah.

– Zgadza się, albo z powrotem. Możemy znaleźć taksówkę, która odwiozła pana na lotnisko. A zanim pan odpowie, ostrzegam: Sarah jest w tym cholernie dobra.

– Dzięki, Max.

– Mówię szczerze, jesteś najlepsza.

– Zaraz się zarumienię.

– Do twarzy ci z rumieńcami. – Max wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę ojca i syna. – To trudny wybór. Nie wiem, co bym zrobił na pana miejscu.

Philip odchrząknął.

– Byłem w Bostonie, żeby odwiedzić chorego przyjaciela. Nie ma w tym niczego złego.

Max wyjął portfel i uśmiechnął się.

– Kurczę, Sarah, miałaś rację.

Wyciągnęła dłoń.

– Pięć dolców.

– Mam tylko dychę.

– Potem wydam ci resztę.

Max wręczył jej dziesięciodolarowy banknot.

Philip Mackenzie brnął dalej:

– Oczywiście, ma pan rację. Jestem blisko związany z Davidem. A on ostatnio zachowywał się nieracjonalnie. Z tego powodu chciałem porozmawiać z jego ojcem. Jak pan wspomniał, Lenny i ja znamy się od...

– Chwileczkę, niech zgadnę – przerwał mu Max. – Właśnie z tego powodu sprowadził pan tutaj syna. Ponieważ Adam i David dobrze się znali, a David zachowywał się tak nieracjonalnie.

– Owszem, tak właśnie było.

Max uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń. Sarah zmarszczyła czoło i oddała mu banknot.

– Uważacie, że jesteście zabawni? – burknął Philip.

– Nie bez powodu w Biurze nazywają nas Lucy i Desi, prawda, Sarah?

– Głównie dlatego, że jestem ruda, Max, a nie dlatego, że jesteśmy zabawni.

Max zmarszczył czoło.

– Naprawdę?

Ktoś zapukał do drzwi. Do pomieszczenia weszli masywny strażnik więzienny i Semsey.

– David Burroughs miał tylko jednego gościa przez cały okres odsiadania kary – oznajmił strażnik. – To była jego szwagierka. Nazywa się Rachel Anderson.

Była tutaj wczoraj i przedwczoraj.

– Chwileczkę, jego jedyny gość pojawił się wczoraj i przedwczoraj? – Max uniósł dłoń do piersi. – Ojej. Niech mnie, Sarah. Kolejny zbieg okoliczności.

– Świat jest ich pełen.

– Czegoś na pewno jest pełen. Co pan na to, panie naczelniku?

Tym razem Philip Mackenzie się nie odezwał.

Max zwrócił się do masywnego mężczyzny:

– Wie pan, gdzie zatrzymała się jego szwagierka?

– Zapewne w Briggs Motor Lodge. Większość odwiedzających tam nocuje.

Max popatrzył na Semseya.

– Już to sprawdzam – odezwał się policjant.

– Albo mogła się zatrzymać w hotelu Hyatt niedaleko centrum handlowego.

– Kurczę.

Max obejrzał się gwałtownie, jakby ktoś pociągnął za sznurek przywiązany do jego głowy. Przebierając nogami, wrócił do mapy. W pokoju zapadła cisza. Przystudiował trasę samochodu. Potem doskoczył do monitora.

– Strzał w dziesiątkę, Sarah.

– To znaczy?

– Semsey?

Detektyw wystąpił naprzód.

– Jestem.

– Powiedział pan, że rozmawialiście z Burroughsem przez telefon tuż przed tym, jak wjechał do tunelu, zgadza się?

– Tak.

– To Burroughs do pana zadzwonił?

– Tak. Poprosił o pięć minut, a potem do mnie oddzwonił.

– O której to było godzinie? Dokładnie? Proszę sprawdzić telefon.

– O ósmej piętnaście.

– Więc samochód był wtedy... – Max go odnalazł. – Tutaj. Na Green Street. Tuż przed wjazdem na podziemny parking. – Odwrócił się do naczelnika. – Dlaczego przejechał pan przez ten parking?

Philip posłał mu surowe spojrzenie.

– Ponieważ osadzony mi kazał. Mierząc do mnie z broni.

Max doskoczył do mapy. Wskazał centrum handlowe Lamy i powiódł palcem po jego bezpośrednim otoczeniu.

– Sarah, widzisz to samo co ja?

– Dworzec kolejowy.

Max pokiwał głową.

– Semsey?

– Słucham?

– Zatrzymajcie pociągi. Jeśli któryś z nich odjechał po ósmej piętnaście, wejdźcie do środka. Niech wszyscy policjanci skierują się do tego centrum handlowego.

– Zrozumiałem.

Rozdział 15

W Muzeum Sztuki Payne'a w Newport w Rhode Island osiemdziesięciodwuletnia matrona rodu Payne'ów z Nowej Anglii, Gertrude Payne, patrzyła, jak jej wnuk Hayden staje na podeście. Hayden miał trzydzieści siedem lat i chociaż większość ludzi spodziewała się po nim dystyngowanego lub patrycjuszowskiego wyglądu, bardziej przypominał swojego praprapradziadka Randalla Payne'a, szorstkiego mężczyznę, który w 1868 roku założył spółkę Payne Kentucky Bourbon i zapoczątkował dynastię.

– W imieniu mojej rodziny, a zwłaszcza babci Pixie... – zaczął Hayden.

To Gertrude była Pixie. Taki przydomek nadał jej ojciec, chociaż nikt nie rozumiał dlaczego. Hayden odwrócił się i uśmiechnął do niej. Odwzajemniła uśmiech.

– ...niezmiernie cieszymy się, że tak licznie zjawiliście się na naszym dorocznym charytatywnym lunchu. Wszystkie dochody z dzisiejszej uroczystości zostaną przekazane na akcję charytatywną Maluj z Payne'em, która wspiera rozwój poprzez sztukę i zapewnia zajęcia oraz materiały dla niezamożnej młodzieży z okolic Providence. Dziękuję za waszą szczodrość.

Grzeczne oklaski odbiły się echem w wyłożonej marmurem sali balowej domu Payne'a przy Ochre Point Avenue. Posiadłość wybudowano w 1892 roku; z jej okien rozciągał się widok na Atlantyckie Ocean. W 1968 roku, wkrótce po tym, jak w wyniku małżeństwa stała się częścią rodziny, Gertrude zaproponowała stworzenie muzeum sztuki i sprzedaż domu towarzystwu ochrony zabytków. Dom Payne'a był piękny i majestatyczny, ale zarazem pełen przeciągów i zimny, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Większość ludzi uważa, że posiadłości oddaje się po to, by inni mogli z nich korzystać, ale tak się dzieje tylko wtedy, gdy

jest to finansowo korzystne dla rodziny. Większość słynnych posiadłości udostępnianych turystom, jak The Breakers, Marmurowy Dom czy właśnie dom Payne'a, została sprzedana z zyskiem towarzystwom ochrony zabytków przez zamożnych właścicieli.

Gertrude wiedziała, że bogaci ludzie nigdy nie robią niczego bezinteresownie.

– Ten rok zapowiada się wyjątkowo emocjonująco – ciągnął Hayden. – A kiedy już skończymy pyszny posiłek przygotowany przez lokalną firmę cateringową, boski Hans Laaspere...

Rozległy się gromkie oklaski.

– ...oprowadzi was, naszych głównych dobroczyńców, po muzeum, a także, co oczywiście stanowi główny punkt programu i powód, dla którego większość z was jest tutaj, zaprezentuje wam niesławny obraz, którego nie pokazywano publicznie od ponad dwudziestu lat, *Dziewczynę siedzącą przy klawesynie* Johanna Vermeera.

Rozległy się westchnienia zachwytu.

Wspomniany obraz niemal ćwierć wieku wcześniej został skradziony z kolekcji rodziny Lockwoodów, kuzynów Gertrude, i dopiero niedawno pojawił się na miejscu osobliwego zabójstwa na Upper West Side na Manhattanie. Obraz, mający niecałe pięćdziesiąt centymetrów wysokości, już wcześniej był uznawany za bezcenne arcydzieło, ale nowe okoliczności – kradzież, morderstwo, terroryzm – sprawiły, że stał się jednym z najcenniejszych dzieł sztuki na świecie. Skoro wreszcie został odzyskany, kuzyn Gertrude, Win, uznał, że obraz nie powinien wisieć w obskurnej posiadłości Lockwoodów, ale raczej jeździć po świecie ku uciechu tysięcy, a nawet milionów. Skradziony Vermeer wkrótce miał rozpocząć tournée po muzeach na całym świecie, a pierwszy miesiąc spędzał na wystawie w Newport.

Zapewnienie sobie pierwszeństwa w wystawieniu Vermeera było niezwykłym wyczynem. Ceny biletów na dzisiejszy lunch zaczynały się od pięćdziesięciu tysięcy dolarów za osobę. Oczywiście pieniądze nie miały znaczenia. Payne'owie

dysponowali miliardami, ale filantropia wśród bogaczy zawsze była powiązana ze wspinaczką po drabinie społecznej, czasem doprawioną nutą poczucia winy. To był pretekst do spotkań towarzyskich, ponieważ zwykła zabawa na przyjęciu zorganizowanym przez nieprzychylnie bogatych ludzi zostałaby uznana za nietakt, brak dobrego smaku i ostentację. Stąd element charytatywności, który służył jako przykrywka; Gertrude wiedziała, że to tylko pic na wodę. Bogacze zgromadzeni w tej sali mogliby po prostu wystawić czek, żeby wesprzeć niezamożną młodzież. Nawet nie zauważyliby tego wydatku. Ale ci tutaj nie tylko się nie wykosztowują, ale też dbają o to, by nie odczuć najmniejszej straty. Gertrude rozumiała, że nikt rozmyślnie nie pomniejsza swojego majątku. Możemy twierdzić, że zależy nam na losie ludzi mniej uprzywilejowanych – i być może jest to prawda – ale nie chcemy sami ponosić ofiar. Już dawno pojęła, że właśnie dzięki temu bogaci ludzie mogą sprawiać wrażenie tak paskudnych.

Hayden mówił dalej:

– Programy Fundacji Payne’a skierowane do zaniedbanej młodzieży pomogły dziesiątkom tysięcy dzieci, odkąd nasz patron Bennett Payne w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku założył pierwszy sierociniec dla chłopców.

Wskazał duży olejny portret Bennetta Payne’a.

Ach, cudowny i podziwiany wujek Bennett, pomyślała Gertrude. Niewiele osób wiedziało, że wuj Bennett był pedofilem w czasach, gdy takie słowo jeszcze nie istniało. „Szczodry” Bennett postanowił pracować z biednymi dziećmi z prostego powodu: dzięki temu miał do nich nieograniczony dostęp. Wujek Bennett oczywiście trzymał swoje skłonności w tajemnicy, ale, jak większość ludzi, usprawiedliwiał swoje występki. Przekonywał siebie, że robi więcej dobrego niż złego. Te dzieci, zwłaszcza najuboższe, umarłyby bez pomocy fundacji. Bennett karmił je, ubierał, kształcił – a czyż seks nie sprawia przyjemności obu stronom? Co w tym złego? Wujek Bennett podróżował po świecie, często w towarzystwie podobnych sobie misjonarzy, żeby móc się kochać – dziś zgodnie z prawdą nazywano to gwałtem – z całą gamą dzieci.

Jeśli zastanawiacie się nad karmą i nad tym, czy Bennett Payne, który nigdy nie zaznał głodu, pragnienia ani niewygód, nigdy nie wykonywał prawdziwej pracy ani nie znał niczego poza ogromnym bogactwem, w końcu zapłacił za swoje grzechy, odpowiedź, niestety, brzmi: nie. Wujek Bennett zmarł z naturalnych przyczyn we śnie w pięknym wieku dziewięćdziesięciu trzech lat. Nigdy go nie zdemaskowano. Po dziś dzień jego portrety wiszą we wszystkich siedzibach charytatywnej Fundacji Payne'a.

Ironia polega na tym, że fundacja obecnie robi wiele dobrego. Organizacja, która początkowo miała ułatwić wujkowi Bennettowi gwałcenie dzieci, dziś rzeczywiście pomaga nieuprzywilejowanym. Jak to pogodzić? Gertrude wielokrotnie była świadkiem, jak dobre intencje prowadziły do czegoś paskudnego i zepsutego. Eric Hoffer powiedział kiedyś: „Każda wielka idea rodzi się jako ruch, potem staje się biznesem, a ostatecznie machlojką”. Szczera prawda. Ale co, jeśli dzieje się odwrotnie?

Gertrude wierzyła, że wszyscy mężczyźni mają w sobie cechy socjopatyczne oraz cudowną umiejętność usprawiedliwiania wszelkich działań. Owszem, generalizowała, słyszała nawet, jak ktoś z głębi pomieszczenia woła: „Wcale nie wszyscy!”. Ale była bliska prawdy. Jej ojciec był alkoholikiem, który bił jej matkę i domagał się posłuszeństwa. Usprawiedliwiał to cytatami z Biblii. Mąż Gertrude, George, był seryjnym flirciarzem. Usprawiedliwiał to naukowymi argumentami, że monogamia jest „nienaturalna”. Z kolei wujek Bennett... No cóż, o tym już mówiliśmy. Zresztą nie był jedynym członkiem rodziny o takich skłonnościach. Gertrude miała tylko jednego syna, ojca Haydena, Wade'a, który w jej oczach był wyjątkiem potwierdzającym regułę, ale być może patrzyła na niego wzrokiem matki. Wade zginął w wieku trzydziestu jeden lat w katastrofie prywatnego samolotu, gdy razem z matką Haydena zmierzali do Vail na narty, być może zanim socjopatyczne skłonności zdążyły się w nim ujawnić. Jego śmierć ją zdruzgotła. Osierocony Hayden miał wtedy zaledwie cztery latka. Gertrude musiała go wychować i kiepsko sobie poradziła. Niewystarczająco o niego dbała, a on przez to cierpiał.

Zabrzączał jej telefon. Nowinki techniczne fascynowały Gertrude. Oczywiście, jak wiele rzeczy we współczesnym świecie, prowadziły do obsesji, ale sama myśl, że można w każdej chwili komunikować się z całym światem albo przeglądać zasoby bibliotek w dowolnym miejscu na ziemi za pomocą urządzenia, które mieści się w torebce... Jak można tego nie doceniać?

– Dlatego raz jeszcze chcę wam podziękować za wsparcie tego cudownego celu – zakończył Hayden. – Odwiedzimy skradzionego Vermeera za piętnaście minut. Nacieszcie się deserem.

Podczas gdy Hayden uśmiechał się i machał do ludzi, Gertrude zerknęła na telefon. Kiedy przeczytała wiadomość, jej serce na chwilę stanęło. Hayden ruszył w stronę jej stolika.

– Wszystko w porządku, Pixie? – spytał, gdy zobaczył jej twarz.

Oparła się dłonią o stół.

– Przejdź się ze mną – poprosiła.

– Ale...

– Weź mnie pod rękę. Natychmiast.

– Oczywiście, Pixie.

Nie przestając się uśmiechać, wyszli z sali balowej. Jedną ze ścian pokrywały lustra. Tuż przed wyjściem Gertrude zauważyła swoje odbicie i zdziwiła się, kim jest ta staruszka.

– Co się stało, Pixie?

Wręczyła Haydenowi telefon. Przeczytał wiadomość i wytrzeszczył oczy.

– Uciekł?

– Na to wygląda.

Gertrude popatrzyła w stronę otwierających się drzwi. Stephano, wieloletni szef ochrony rodziny, zawsze był w zasięgu wzroku. Popatrzył jej w oczy, a ona lekko przechyliła głowę, dając mu znak, że potem będą musieli porozmawiać. Stephano skinął głową, zachowując dystans.

– Może to znak – odezwał się Hayden.

Gertrude znów zwróciła wzrok na wnuka.

– Znak?

– Nie w sensie religijnym, chociaż może to też prawda. Mam raczej na myśli okazję.

Czasami bywał taki głupi.

– To nie jest okazja, Hayden – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Pewnie złapią go w ciągu jednego dnia.

– Powinniśmy mu pomóc?

Gertrude wpatrywała się we wnuka, dopóki nie odwrócił wzroku.

– Myślę, że powinniśmy stąd wyjść – odezwała się w końcu.

Wskazał dłonią salę balową.

– Ależ, Pixie, goście...

– Chcą tylko zobaczyć Vermeera – odparła. – Nie obchodzi ich, czy my tam będziemy. Gdzie Theo?

– Chciał obejrzeć obraz.

Minęła dwóch ochroniarzy i weszła do dawnego pokoju muzycznego, gdzie teraz wisiał Vermeer. Przed obrazem stał chłopiec, odwrócony do niej plecami.

– Theo, możemy już wyjść?

– Tak, Pixie – odpowiedział chłopiec. – Jestem gotowy.

Kiedy ośmiolatek odwrócił się w jej stronę, wzrok Gertrude spoczął na charakterystycznym znamieniu na jego policzku. Z trudem przełknęła ślinę i podała mu rękę.

– Więc chodźmy.

Część druga

Dwanaście godzin później

Rozdział 16

Max i Sarah zajęli miejsca przy stole w pokoju przesłuchań. Rachel Anderson siedziała samotnie naprzeciwko nich. Przedstawili się i jeszcze raz spytali, czy nie chce rozmawiać z nimi w obecności prawnika. Rachel zrzekła się tego prawa.

– Na początku chciałbym podziękować, że zgodziła się pani z nami spotkać – zaczął Max.

– Nie mogłam odmówić – odparła Rachel, patrząc na niego szeroko otwartymi niewinnymi oczami. – Ale czy mogą mi państwo powiedzieć, o co chodzi?

Max zerknął na Sarah, a ona przewróciła oczami.

Znajdowali się w siedzibie FBI w Newark w stanie New Jersey, osiemset kilometrów od zakładu karnego Briggs. Policja z Port Authority wreszcie odpowiedziała na wydany przez nich alert, gdy jedna z kamer wychwyciła tablicę rejestracyjną samochodu Rachel Anderson na moście Waszyngtona. Auto jechało na zachód z Nowego Jorku do New Jersey. Wezwano posiłki – według alertu uciekinier David Burroughs był uzbrojony i niebezpieczny – i policja stanowa z New Jersey zatrzymała białą toyotę camry na drodze numer 4 w Teaneck.

David Burroughsa nie było w pojeździe.

Max postanowił spróbować bezpośredniego podejścia.

– Gdzie jest pani były szwagier, pani Anderson?

Rachel opadła szczęka.

– David?

– Tak, David Burroughs.

– W więzieniu – odpowiedziała. – Odsiaduje wyrok w zakładzie karnym Briggs w Maine.

Max i Sarah wbijali w nią wzrok.

Sarah westchnęła.

– Naprawdę, Rachel? – rzuciła.

– Słucham?

– Właśnie tak chcesz to rozegrać?

Max położył dłoń na ramieniu partnerki.

– Zdajemy sobie sprawę, że zrezygnowała pani z obecności prawnika, ale mogę dać pani kilka gwarancji.

– Gwarancji? – powtórzyła Rachel.

Lekko ścisnął ramię Sarah, powstrzymując jej kolejną ripostę.

– Zapewnimy pani pełną nietykalność, pod warunkiem że powie nam pani prawdę.

Rachel przeniosła wzrok z Sarah na Maxa.

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

Agentka pokręciła głową.

– Mój Boże – westchnęła.

– W takim razie pozwoli pani – ciągnął jej partner – że wyjaśnię, co mam na myśli, mówiąc o „nietykalności”. Założmy... to tylko strzał w ciemno... że pomogła pani Davidowi Burroughsowi uciec z więzienia. Jeśli powie nam pani, gdzie jest albo jaką rolę odegrała pani w tym poważnym przestępstwie federalnym...

– ...za które może pani trafić za kratki na długie, długie lata – dodała Sarah.

– Właśnie – potwierdził Max. – Dziękuję. Nie zostanie pani oskarżona, tylko puszczona wolno.

– Chwileczkę. – Rachel przycisnęła dłoń do piersi. – David uciekł?

Sarah odchyliła się na oparcie krzesła i zaczęła skubać dolną wargę. Przez chwilę przyglądała się Rachel, aż w końcu machnęła w jej stronę ręką.

– Co o tym myślisz, Max?

– Bardzo dobrze gra swoją rolę. A ty jak uważasz?

– Sama nie wiem. Nie wydaje ci się, że trochę przeszarżowała z szokiem?

– Może odrobinę – przyznał. – To „chwileczkę” przed „David uciekł” było nieco przesadzone.

– No i to uniesienie dłoni do piersi. Przedobrzyła. Gdyby nosiła naszyjnik z pereł, pewnie by go ścisnęła.

– Mimo wszystko wyczuwam potencjał na Oscara – powiedział Max.

– Najwyżej na nominację, ale nie na wygraną – zaproponowała Sarah.

Oboje zaklaskali. Rachel milczała.

– Kiedy David Burroughs uciekł, wysłaliśmy swojego człowieka do pani motelu – oznajmił Max. – Oczywiście pani tam nie było. W recepcji poinformowano nas, że zapewne znajdziemy panią w restauracji Nesbitt. Podobno narzekała pani na jakość wi-fi w motelu.

– I co z tego? – odparła Rachel. – Czy to przestępstwo pójść do restauracji?

– Kelnerka powiedziała nam, że wkrótce po tym, jak zabrzmiała syrena alarmowa, pośpiesznie wyszła pani z lokalu.

– A tuż przedtem ktoś do ciebie zadzwonił – dodała Sarah.

Rachel wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Co w związku z tym?

– Pamięta pani, kto to był? – spytał Max.

– Nie pamiętam. Możliwe, że nie odebrałam. Często tak robię.

– Kelnerka twierdzi, że pani odebrała.

– W takim razie to pewnie był telemarketer. Stale do mnie wydzwanają.

– Wcale nie – rzuciła Sarah. – To był David Burroughs.

Rachel zmarszczyła czoło.

– David jest w więzieniu federalnym. Skąd miałby telefon?

– O rany. – Sarah teatralnie załamała rękę.

– Ukradł go podczas ucieczki – wyjaśnił Max. Naturalnie nie wierzył, że Burroughs korzystał ze skradzionego telefonu. Uważał, że to Philip i Adam Mackenzie dali mu swoje w ramach planu ucieczki, ale nie widział powodu, żeby

teraz to ujawniać. – Na ekranie pojawiło się nazwisko *Adam Mackenzie*. Wie pani, kto to jest?

– Jasne. Adam wychowywał się z Davidem.

– Pamięta pani, jak odebrała ten telefon?

– Nie, przykro mi. – Rachel posłała mu sztuczny przeprasający uśmiech. – Może od razu połączył się z pocztą głosową. Chcecie, żebym sprawdziła?

Max i Sarah znów wymienili spojrzenia. Zapowiadała się trudna przeprawa.

– Dokąd pani pojechała po wyjściu z restauracji? – spytał Max.

– Mieszkam tutaj, w New Jersey.

– Tak, wiemy.

– A więc właśnie tam się kierowałam. Do domu. Byłam już prawie na miejscu, kiedy zatrzymali mnie policjanci stanowi z wyciągniętą bronią. Wystraszyli mnie na śmierć. Następnie przywieźli mnie tutaj.

– Więc zamierzała pani pojechać prosto do domu? – upewnił się Max.

– Tak.

– Ale nie wymeldowała się pani z motelu. Pani ubrania wciąż są w pokoju. Podobnie jak inne rzeczy osobiste.

– Zamierzałam tam wrócić.

– Co?

– Pokój jest tańszy, gdy wynajmie się go na cały tydzień, więc postanowiłam się nie wymeldowywać. Wracałam do domu, żeby załatwić kilka spraw, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i tak dalej. Planowałam, że wrócę do Maine w czwartek. – Nachyliła się. – Czuję się bardzo zagubiona, detektywie.

– Agencie specjalny – poprawiła ją Sarah. – To agent specjalny Max Bernstein z Federalnego Biura Śledczego. A ja jestem agentka specjalna Sarah Jablonski.

Rachel popatrzyła jej w oczy.

– Agentka specjalna. Pewnie jest pani bardzo dumna.

Max nie chciał, żeby rozmowa zboczyła z kursu.

– Po wyjściu z jadalni pojechała pani prosto do domu, pani Anderson?

Rachel odchyliła się na oparcie krzesła.

– Możliwe, że zatrzymałam się gdzieś po drodze.

– Osiem minut po telefonie od Davida Burroughsa kamery monitoringu nagrały pani toyotę niedaleko centrum handlowego Lamy.

– Zgadza się. Postanowiłam zrobić zakupy. – Odwróciła się do Sarah. – Jest tam sklep Tory Burch.

– Zrobiłaś je?

– Co?

– Zakupy.

– Nie.

– Dlaczego?

– Zmieniłam zdanie.

– Więc udałaś się tam, a potem od razu odjechałaś?

– Coś w tym rodzaju.

– Czyli to tylko niezwykły zbieg okoliczności, że właśnie w centrum handlowym Lamy David Burroughs ukrył się po ucieczce?

– Nic mi o tym nie wiadomo. David naprawdę uciekł?

Sarah zignorowała jej pytanie.

– Poprosiliśmy operatora o dane dotyczące lokalizacji twojego iPhone'a. Wiesz, co się okazało?

Rachel wzruszyła ramionami.

– Przez całą drogę miałaś wyłączoną komórkę, więc nie mogliśmy jej namierzyć.

– To mnie obciąża?

– Owszem.

– Dlaczego? Czasami wyłączam telefon, kiedy prowadzę. Nie lubię, gdy coś mnie rozprasza.

– Nie, Rachel, wcale tego nie robisz – odburknęła Sarah. – Według twojego operatora nie zrobiłaś tego ani razu w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Wiem także, że wyłączyłaś go piętnaście kilometrów na północ od centrum handlowego Lamy, czyli pojechałaś w przeciwnym kierunku niż New Jersey.

Rachel ponownie lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Chciałam trochę pozwiedzać przed powrotem do domu.

– Jasne, to brzmi logicznie – odparła Sarah beznamietnym tonem. – Twój były szwagier ucieka z więzienia. Wkrótce potem dzwoni do ciebie z telefonu, który ukradł. A ty jedziesz do centrum handlowego, gdzie się ukrył. Potem, choć twierdzisz, że pojechałaś do domu, nie wymeldowawszy się z motelu, z jakiegoś powodu ruszasz w przeciwnym kierunku, po czym nagle wyłączasz komórkę, po raz pierwszy, odkąd cztery miesiące temu aktualizowałaś oprogramowanie. Wszystko się zgadza?

Rachel uśmiechnęła się do agentki, a potem zwróciła się do Maxa:

– Czy jestem aresztowana, agencie specjalny Bernstein?

– Nie, jeśli będzie pani z nami współpracować – powiedział.

– Więc gdybym postanowiła wstać i wyjść?

– Powstrzymajmy się przed gdybaniem – odparł Max. – Wiemy także, że po wyłączeniu telefonu jechała pani drogą międzystanową numer dziewięćdziesiąt pięć. Mniej więcej czterdzieści pięć kilometrów dalej David Burroughs, używając skradzionej karty kredytowej, kupił sprzęt survivalowy... namiot, scyzoryki, śpiwór i tym podobne... w sklepie wielobranżowym w Katahdin. Właściciel sklepu go zidentyfikował. Jakoś to pani skomentuje?

Rachel pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– W tamtych okolicach są tylko parki narodowe i lasy. Ciągają się całymi kilometrami. Ktoś mógłby tam wysiąść i zniknąć. I powoli przedostać się do granicy z Kanadą.

Rachel Anderson nie odpowiedziała.

Sarah postanowiła wrzucić wyższy bieg. Liczyli na to, że uda im się wytrącić Rachel z równowagi i zaskoczyć ją ilością informacji, które udało im się zgromadzić w ciągu zaledwie kilku godzin.

- Dlaczego postanowiłaś odwiedzić Davida Burroughsa?
- Jest moim szwagrem. Kiedyś byliśmy ze sobą blisko.
- Ale to była twoja pierwsza wizyta w Briggs.
- Owszem.
- A on spędził tam... ile?... cztery, pięć lat?
- Mniej więcej.

Sarah rozłożyła ręce.

- Więc dlaczego akurat teraz, Rachel?
- Nie wiem. Po prostu poczułam... że to właściwy moment.
- Wierysz, że David Burroughs zabił twojego siostrzeńca?

Rachel uciekła wzrokiem w lewo.

- Tak.
- Nie sprawiasz wrażenia przekonanej.
- Jestem przekonana. Ale myślę, że nie miał takiego zamiaru. Podejrzewam, że to było jakiegoś rodzaju zaćmienie albo załamanie.

– Więc go pani nie obwinia? – spytał Max.

– Raczej nie.

– O czym rozmawialiście podczas pani odwiedzin?

– Po prostu spytałam go, jak się czuje.

– I co odpowiedział?

– Wciąż był załamany. Nie chciał przyjmować gości. Wolał, żeby zostawiono go w spokoju.

– Mimo wszystko wróciła pani następnego dnia.

– Tak.

– I zamierzała pani odwiedzić go ponownie.

– David i ja byliśmy blisko. Przed tym wszystkim... ja także mu się zwierzałam.

– Może pani powiedzieć z czego?

– To bez znaczenia. Miałam swoje problemy.

– Więc uznała pani, że on panią wysłucha?

– Coś w tym rodzaju – odparła Rachel cichym głosem.

– Czy mówiąc o problemach, masz na myśli niedawny rozwód? – spytała Sarah.

– Albo skandal, który położył kres pani karierze? – dodał Max.

Rachel znieruchomiała.

Max nachylił się bliżej. Już nie było potrzeby bawić się w subtelności.

– Wszystko zaczyna się układać w całość, pani Anderson. Wie pani o tym, prawda?

Nie chwyciła przynęty.

– Niech pani zobaczy, jak dużo Sarah dowiedziała się w kilka godzin. Złapiemy go. To nie ulega wątpliwości. Jeśli będzie miał szczęście, schwytamy go żywego, ale David Burroughs jest skazanym dzieciobójcą, który ukradł broń palną naczelnikowi więzienia, więc... – Max wzruszył ramionami, żeby pokazać, że to nie zależy od niego. – Kiedy tylko go złapiemy... zapewne w ciągu następnych kilku godzin... Sarah i ja skupimy się na sporządzeniu aktu oskarżenia przeciwko pani w związku z udzieleniem pomocy przestępcy.

– Spędzisz za kratami wiele lat – dodała Sarah.

– To nie są czcze pogróżki – zapewnił Max.

– Nic z tych rzeczy. – Sarah przeszyła Rachel spojrzeniem. – Nie mogę się doczekać, żeby wpakować cię do więzienia.

– Chyba że...

– Chyba że co, Max?

– Chyba że zgodzi się współpracować. Tu i teraz.

Sarah zmarszczyła czoło.

– Myślę, że nie jest nam potrzebna.

– Pewnie masz rację, ale może pani Anderson nie wiedziała, w co się angażuje.

Może nie rozumiała, co robi.

– Ależ na pewno rozumiała.

– A jednak... zgodziliśmy się, że jeśli teraz powie nam wszystko, co wie, to zagwarantujemy jej nietykalność.

– To było wcześniej, Max. Teraz chcę, żeby trafiła do paki za to, że tak z nami pogrywa.

– Masz sporo racji, Sarah.

Rachel się nie odzywała.

– To pani ostatnia szansa – powiedział Max. – Pani karta wyjścia z więzienia traci ważność za trzy minuty.

– Potem ją aresztujemy?

– Potem ją aresztujemy.

Sarah zaplotła palce i oparła dłonie na blacie.

– Co na to powiesz, Rachel?

– Zmieniłam zdanie. Chcę porozmawiać ze swoją prawniczką.

Rozdział 17

– No dobrze, Sarah, przedstaw mi najbardziej prawdopodobną roboczą teorię – powiedział Max.

Zmierzali w stronę lotniska Newark, żeby złapać lot powrotny do Maine. Okazało się, że prawniczką, do której zadzwoniła Rachel Anderson, była niesławna Hester Crimstein, i szybko doprowadziła do jej zwolnienia za kaucją.

– Przestań obgryzać paznokcie, Max.

– Daj mi spokój.

– To obrzydliwe.

– Ale pomaga mi myśleć.

Sarah westchnęła.

– A więc jaką mamy roboczą teorię? – spytał Max.

– Burroughs ucieka z pomocą Philipa i Adama Mackenziech – zaczęła Sarah.

– Jesteśmy pewni, że ci dwaj są w to zamieszani?

– Chyba tak.

– Też tak myślę – przyznał. – Kontynuuj.

– Burroughs wysiada z samochodu naczelnika na podziemnym parkingu w centrum handlowym. Dzwoni do Rachel Anderson, która czeka na jego telefon w restauracji Nesbitt. Rachel jedzie do centrum handlowego. Nadążasz, Max?

– Tak. Mów dalej.

– Spotyka się z Burroughsem. Burroughs wsiada do jej samochodu.

– A potem?

– Ruszają na północ. Mamy ostatni sygnał z jej telefonu.

– Co jest dziwne.

– Co cię dziwi?

– Dlaczego wyłączyła telefon właśnie wtedy? – spytał Max. – Dlaczego nie wcześniej?

– Gdyby wyłączyła go w centrum handlowym, wiedzielibyśmy, że właśnie tam pojechała.

Max zmarszczył czoło.

– Pewnie masz rację.

– Ale?

Machnął ręką.

– Mów dalej – zachęcił partnerkę.

– Jadą do tego sklepu wielobranżowego...

– W Katahdin w Millinocket – uzupełnił Max.

– Właśnie. On kupuje sprzęt do survivalu. Na podstawie natężenia ruchu ulicznego i chronologii wydarzeń, którą opracowałam, przypuszczam, że mogła wieźć go na północ jeszcze przez jakieś pół godziny. Tak czy inaczej, Rachel wysadza Burroughsa w gęstym lesie. Przeszukujemy okolicę z wykorzystaniem śmigłowców i psów, ale to teren wielki jak czarna dziura.

– A potem?

Sarah wzruszyła ramionami.

– To już wszystko.

– Więc co Burroughs dalej zamierza?

– Nie jestem pewna, Max. Może chce się ukrywać w parkach narodowych. Przeczekać nas. Może chce prześlizgnąć się przez granicę do Kanady.

Max zapalczywie gryzł paznokieć.

– Nie kupujesz tego – stwierdziła Sarah.

– Nie kupuję.

– Powiedz dlaczego.

– Ta teoria ma za dużo luk. Burroughs to chłopak z miasta. Ma jakiegokolwiek doświadczenie w survivalu?

– Niewykluczone. Albo wydaje mu się, że to nic trudnego. Może uważa, że nie ma wyboru.

– To nie trzyma się kupy, Sarah.

– Dlaczego?

– Zaczniemy od początku. Czy ta ucieczka była wcześniej zaplanowana?

– Musiała być.

– Jeśli tak, to wymyślili wyjątkowo zwariowany plan.

– Czy ja wiem? Raczej genialny – odparła Sarah.

– Dlaczego tak uważasz?

– Jest taki prosty. Burroughs chwytą broń i wychodzi z więzienia z Mackenzie. Żadnego kopania tuneli. Żadnego porywania ciężarówek ani ukrywania się w kubłach ze śmieciami. Nic z tych rzeczy. Gdyby tamten strażnik... Jak on się nazywał?

– Weston. Ted Weston.

– Właśnie. Gdyby Weston nie wyjrzał przez okno we właściwej chwili i nie zauważył, jak naczelnik i Burroughs wsiadają do samochodu, upiekłoby im się. Przez wiele godzin nikt nie zgłosiłby zniknięcia Burroughsa.

Max przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Więc podążmy tym tropem, dobrze?

– Okej – zgodziła się Sarah.

– Sądzisz więc, że kiedy wszystko się posypało... kiedy Weston wszczął alarm... byli zmuszeni improwizować?

– Zgadza się.

Max się zamyślił.

– To by tłumaczyło telefon Burroughsa do Rachel, kiedy była w jadłodajni – powiedział po chwili. – Gdyby Rachel od początku była wtajemniczona w ich plan, nie musiałyby do niej dzwonić. Czekałaby na miejscu, żeby go odebrać.

– Ciekawe – przyznała Sarah. – Czyli teraz zakładamy, że Rachel Anderson nie była częścią pierwotnego planu ucieczki?

- Nie wiem.
- Ale to nie był zbieg okoliczności, że odwiedziła go w dniu, w którym uciekł.
- Nie. – Max zaczął obgryzać kolejny paznokieć. – Tylko że...
- Co?
- Wciąż czegoś nie zauważamy. Czegoś ważnego.

Rozdział 18

Stoję przy Dwunastej Ulicy w Nowym Jorku i zajadam kawałek najcudowniejszej na świecie pizzy pepperoni z lokalu Zazzy's.

Jestem wolny.

Chyba nadal w to nie wierzę. Znacie to uczucie, kiedy sen staje się tak zwariowany – w tym wypadku w pozytywnym sensie – że nagle, w połowie nocnej podróży, uświadamiacie sobie, że to tylko wam się śni, i boicie się, że za chwilę się zbudzicie, więc staracie się kurczowo trzymać blaknących obrazów w waszej głowie? Właśnie tego doświadczam od kilku godzin. Jestem przerażony, że wkrótce moje oczy się otworzą i znajdę się z powrotem w Briggs, a nie na tej cuchnącej moczem (cieszy mnie ta woń, ponieważ we śnie podobno nie czuje się zapachów) ulicy.

Stoję naprzeciwko mieszkania Harriet Winchester, znanej także jako Hilde Winslow.

Uciekłem dzisiaj. Wciąż mnie to oszałamia. Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu strażnik więzienny w Briggs próbował mnie zamordować. Potem, kiedy wydawało się, że to mnie, ofiarę, oskarżą o napaść, Philip i Adam pomogli mi uciec. Szalone wydarzenia tego dnia – który wciąż trwa – gwałtownie do mnie powracają. Próbuję je odepchnąć i skupić się na obecnym zadaniu.

Hilde Winslow skłamała w sądzie i pomogła doprowadzić do mojego skazania. Moim pierwszym krokiem na drodze do uratowania syna jest odkrycie, dlaczego to zrobiła.

Uratowania mojego syna.

Za każdym razem, gdy o tym myślę, muszę powstrzymać łzy i przypominać sobie, o jaką stawkę toczy się gra. Przed odwiedzinami Rachel mój syn był martwy, zamordowany, być może przeze mnie. Teraz wierzę w coś zgoła przeciwnego: Matthew żyje, a ja zostałem wrobiony. Dlaczego i jak? Nie mam pojęcia. Na wszystko przyjdzie czas.

Pierwszym krokiem jest Hilde Winslow.

Kiedy wytoczyłem się z samochodu Philipa w centrum handlowym, zadzwoniłem do Rachel, żeby mnie odebrała. Akurat była w restauracji. Poszedłem na parking dla pracowników. Sklepy dopiero się otwierały, więc większość osób zaczynała swoją zmianę. To mi dało trochę czasu. Wiedziałem, że Rachel mieszka w New Jersey. Kiedy policja z Maine wyda nakaz jej zatrzymania, właśnie na to zwrócą największą uwagę – na tablice rejestracyjne z New Jersey. Znalazłem poobijaną hondę civic i zdjąłem z niej obie tablice. Czy właściciel to zauważy? Pewnie nie od razu. Większość ludzi przed odjazdem nie sprawdza stanu tablic. Ale nawet jeśli właściciel poobijanej hondy zwróci na to uwagę, stanie się to dopiero za kilka godzin, kiedy skończy pracę. Będziemy mieli niezbędną przewagę na starcie.

Rachel na szczęście mnie posłuchała i wypłaciła pieniądze z bankomatu. Użyła trzech kart kredytowych, dwóch z limitem dziennym ośmiuset i jedną z limitem sześciuset dolarów. Łącznie z pieniędzmi, które dostałem od Mackenziech, miałem wystarczające fundusze, by jakiś czas przetrwać. Policja w końcu odkryje, gdzie Philip tak naprawdę mnie wysadził. Jego wersja wydarzeń, cokolwiek wymyśli, utrzyma się najwyżej przez dzień albo dwa.

Kiedy Rachel pojawiła się na parkingu centrum handlowego, gdzie się ukrywałem, wskoczyłem do jej auta i poprosiłem, żeby jechała przed siebie. Trzy kilometry dalej zauważyliśmy zamkniętą restaurację. Poleciałem, żeby się za nią zatrzymała. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku, szybko zamieniłem tablice, dzięki czemu jej biała toyota camry, jeden z najbardziej pospolitych samochodów na świecie, otrzymała obywatelstwo stanu Maine.

– Co teraz? – spytała Rachel.

Wiedziałem, że wkrótce rozpocznie się potężne polowanie, ale zarazem zdawałem sobie sprawę, że policja nie dysponuje nieograniczonymi środkami. Kluczem do każdego planu jest jasno wytyczony cel. Ja miałem taki: znaleźć syna. Koniec kropka. Nic więcej. Tylko na tym się skupiałem.

Co to oznaczało w praktyce?

Sprawdzić każdy trop. Najważniejszym – i jedynym – który miałem, była Hilde Winslow. Nie tylko skłamała w sądzie, ale też zmieniła nazwisko i przeprowadziła się do Nowego Jorku. Właśnie taki miałem plan: jak najszybciej dotrzeć do Hilde Winslow. Odkryć, dlaczego skłamała.

Skoro już miałem cel, musiałem skupić się na odwróceniu uwagi i zmyleniu pościgu. Wiedziałem, że policja wkrótce dowie się, że Rachel odwiedziła mnie w więzieniu, i namierzy jej telefon. A także telefony Philipa i Adama, które miałem przy sobie. Już je wyłączyłem.

– Masz włączony telefon? – spytałem.

– Tak. O cholera, mogą go namierzyć, prawda? Mam go wyłączyć?

– Zaczekaj jeszcze.

– Dlaczego?

Kiedy telefon zostanie wyłączony, operator już nie będzie mógł nas namierzać, ale przekaże policji, skąd dobiegł ostatni sygnał. Poprosiłem Rachel, żeby pojechała w przeciwnym kierunku niż ten, w którym zamierzałem się udać. Przewidywałem, że jeśli ruszymy na północ, policja uzna, że zmierzamy ku kanadyjskiej granicy, a nie do Nowego Jorku. Po jakimś czasie kazałem Rachel wyłączyć komórkę. Nie chcieliśmy przesadzić w drugą stronę. Teraz wyglądało na to, że rozpoczęliśmy ucieczkę, a po kwadransie uświadomiliśmy sobie, że musimy wyłączyć telefon.

– Co dalej? – spytała Rachel.

Właśnie miałem poprosić, żeby zawróciła i pojechała w stronę Nowego Jorku, ale nie byłem pewien, czy sygnał z telefonu wystarczy, by zmylić pościg.

– Jedź dalej na północ – powiedziałem.

Dwadzieścia minut później zatrzymaliśmy się w sklepie w Katahdin, gdzie sprzedawano sprzęt do survivalu. Sprawdziłem, czy przy pompach na stacji benzynowej nie ma kamer. Nie było. Oczywiście nie miało to znaczenia. Wkrótce odkryją, że tu byłem. Rachel zatankowała samochód, a ja, działając szybko, lecz bez wzbudzania podejrzeń (przynajmniej taką miałem nadzieję), kupiłem trochę sprzętu, jaki według mnie przydałby się ludziom, którzy planowali dłuższe obozowanie pod gołym niebem. Zapłaciłem za wszystko kartą Mastercard, którą Adam „zapomniał” zablokować. Podejrzywałem, że policja dowie się o niej, choć nie od razu. A kiedy roześle moje zdjęcie, staruszek ze sklepu przypomni sobie moją twarz.

To także mi nie przeszkadzało.

Następnie Rachel i ja kierowaliśmy się na północ jeszcze przez niecały kilometr (na wypadek gdyby ktoś spytał, w którą stronę odjechaliśmy), po czym zawróciliśmy na południe. Znaleźliśmy kontener Armii Zbawienia za biurowcem na przedmieściach Bostonu. Wrzuciłem do niego kupiony sprzęt. Według tabliczki na kontenerze zawartość miała zostać zabrana dopiero za cztery dni. Gdyby ludzie z Armii Zbawienia z jakiegoś powodu nabrali podejrzeń i zadzwonili na policję, nie miałyby to większego znaczenia. A nawet gdyby wypatrzyli nas na nagraniach z monitoringu, to co? Już dawno by nas tutaj nie było. Miałem tylko nadzieję, że władze uwierzą, że ukrywam się w lesie.

Rozpoczęliśmy długą podróż na południe. W drogerii niedaleko Milfordu w Connecticut Rachel kupiła mi jednorazowy telefon, maszynkę do strzyżenia, przybory do golenia oraz okulary zerówki. Ostatecznie zdecydowała się na okulary przeciwsłoneczne o szklach, które jaśniały w zamkniętych pomieszczeniach. Idealny wybór. Podczas następnego postoju wszedłem do łazienki w czapce baseballowej naciągniętej na oczy. W więzieniu rzadko się goliłem, może raz w tygodniu, gdy broda zaczynała mnie drażnić, więc byłem nieco zarosnięty. Teraz zostawiłem sobie tylko wąsy. Następnie ściałem włosy, ogoliłem głowę maszynką i założyłem okulary.

Nawet Rachel była pod wrażeniem mojej przemiany.

– W pierwszej chwili nie chciałam cię wpuścić do samochodu.

Kiedy zbliżyliśmy się do mostu Waszyngtona, poprosiłem ją, żeby skręciła w Jerome Avenue na Bronxie. Stanęliśmy w miejscu, gdzie mogłem dyskretnie założyć tablice z New Jersey. Wyrzuciłem te z Maine do kubła na śmieci. Jeśli policja już zajmowała się tą sprawą – a podejrzewałem, że tak jest – to zapewne wychwyci tablice toyoty Rachel na moście. Przestrzegłem ją przed tym. Powtarzaliśmy, co ma powiedzieć policji, kiedy zostanie zatrzymana albo funkcjonariusze odwiedzą ją w domu.

– Narobiłem ci mnóstwo problemów – mówię.

– Nie przejmuj się – odpowiada Rachel. – On jest moim siostrzeńcem, pamiętasz?

– Byłaś dobrą ciocią.

– Najlepszą – rzuca z cieniem uśmiechu.

– Ale jeśli sprawy źle się potoczą, jeśli zostaniesz zatrzymana...

– Poradzę sobie.

– Wiem. Ale jeżeli zapędzą cię w kozi róg, powiedz, że zmusiłem cię do tego, grożąc bronią.

– Lepiej już idź.

Kawałek dalej znajdował się nasz następny przystanek, przy stacji metra Mount Eden Avenue. Wsiadłem do pociągu linii 4 i po trzydziestu pięciu minutach podróży na południe znalazłem się na Union Square na Manhattanie. Tam wszedłem do sklepu Nordstrom Rack i kupiłem najtańszą sportową marynarkę, koszulę i krawat. Być może przesadziłem z ogoloną głową i wąsami, ale gdyby ktoś dowiedział się, że jestem w Nowym Jorku, na pewno nie szukałby mężczyzny w marynarce i pod krawatem.

Dzieliło mnie dziesięć minut piechotą od mieszkania Hilde Winslow przy Dwunastej Ulicy. Po drodze zatrzymałem się, żeby kupić pepsi i kawałek pizzy z pepperoni. Kiedy ugryzłem pierwszy kęs, zakręciło mi się w głowie. Wiem, że zbaczam z tematu, ale chyba jeszcze nigdy nie doświadczyłem niczego tak

cudownie przyziemnego jak ten pierwszy kęs nowojorskiej pizzy na wolności. Rozniecił we mnie dawno wygaszony płomień, napełnił wspomnieniami, barwami i fakturami. Znów znalazłem się w knajpce Sala w Revere Beach, gdzie przesiadywałem z Adamem, Eddiem, TJ-em i całą bandą. To było wspaniałe uczucie.

Teraz czekam.

Oczywiście myślę o Rachel. Policja prawdopodobnie już ją zatrzymała. Czy zdołała wrócić do domu? A może gliniarze zatrzymali ją po drodze? Jak poważne ma kłopoty? Myślę o Philipie i Adamie, o czekających ich konsekwencjach. W końcu myślę o Cheryl, byłej żonie i matce Matthew. Co pomyśli o mojej ucieczce? Co sobie pomyśli ciocia Sophie? No i tata, jeśli będzie w stanie zrozumieć, co się stało.

To bez znaczenia. W tej chwili to nieistotne.

Przechodzę na drugą stronę ulicy. Czy Hilde Winslow vel Harriet Winchester wie, że uciekłem? Nie mam pojęcia. W budynku nie ma portiera. Lokatorzy wpuszczają gości za pomocą domofonu. WINCHESTER, H mieszka pod numerem 4B. Wciskam guzik. Słyszę dzwonek. Dzwoni raz, drugi, trzeci. Po czwartym sygnale odzywa się trzeszczący głos, który wciąż pamiętam z procesu.

– Tak?

Potrzebuję chwili, żeby się pozbierać. Maskuję swój głos za pomocą żalosnego wschodnioeuropejskiego akcentu.

– Przesyłka.

– Proszę ją zostawić w holu.

– Musi pani pokwitować.

Przez kilka godzin planowałem, co zrobię, ale teraz, gdy jestem tak blisko, wszystko psuję. Nie jestem ubrany jak kurier. Nie mam paczki w rękach.

– Chociaż jeśli wyrazi pani ustną zgodę, mogę zostawić paczkę tutaj – improwizuję. – Czy mam pani zgodę na pozostawienie przesyłki w holu?

Zapada cisza, a ja zastanawiam się, czy mnie nie zdemaskowała. W końcu Hilde Winslow odzywa się powoli:

– Ma pan moją zgodę na pozostawienie przesyłki.

Rozłączam się. Właśnie mam odejść i zaplanować następny krok, gdy widzę na klatce mężczyznę, który schodzi w stronę drzwi wejściowych. Przez chwilę zastanawiam się, czy Hilde nie poprosiła któregoś z sąsiadów o przyniesienie paczki, ale to niemożliwe, minęło za mało czasu. Kiedy mężczyzna otwiera drzwi, przykładam telefon do ucha i mówię:

– Dobrze, wniosę ją na górę.

Nie musiałem się kłopotać, ponieważ mężczyzna mija mnie z beztroską miną.

Zatrzymuję drzwi stopą i wślizguję się do środka. Czekam, aż się za mną zamkną.

Następnie wspinam się do mieszkania 4B.

• • •

Telefon Sarah zabręczał. Popatrzyła na otrzymaną wiadomość.

– Miałeś rację, Max.

– W jakiej sprawie?

– Tablic rejestracyjnych.

Max uznał to za osobliwe, że nikt nie zauważył samochodu Rachel Anderson podczas jej długiej podróży z Maine do New Jersey. Najpierw podejrzewali, że trzymała się bocznych dróg, ale po zapoznaniu się z danymi dotyczącymi natężenia ruchu doszli do wniosku, że nie zdążyłaby wrócić, gdyby omijała płatne autostrady.

– Niejaki George Belbey zauważył, że jego tablice zniknęły, gdy skończył swoją zmianę w L.L. Bean.

– Zakładam, że George Belbey mieszka w Maine.

– Owszem.

– Więc Burroughs albo Rachel podmienili tablice. Zamiast tych z New Jersey założyli skradzione z Maine.

– Tylko że kiedy zauważono jej samochód na moście...

– Znów miała swoje tablice – dokończył Max. – Pytanie brzmi, kiedy je założyła. No i dlaczego?

– Znamy powód, prawda?

– Chyba tak.

Telefon Sarah ponownie zabrzączał. Popatrzyła na ekran.

– Ojej.

– Co jest?

– Sprawdzaliśmy najnowszą historię połączeń z telefonu Rachel Anderson.

– Tak?

– Po odwiedzinach u Burroughsa odezwała się do starego kolegi z „Globe” i poprosiła o przysługę.

– Jakiego rodzaju przysługę?

– Chciała dotrzeć do akt dotyczących zabójstwa Matthew Burroughsa.

Max przez chwilę się zastanawiał.

– Jej kolega ma dostęp do takich materiałów?

– Nie, ale Rachel poprosiła o konkretną informację.

– Jaką?

– Chciała poznać numer ubezpieczenia społecznego jednego ze świadków z procesu. Niejakiej Hilde Winslow.

– Pamiętam to nazwisko.

– Winslow zeznała, że widziała, jak Burroughs zakopuje kij baseballowy.

– Zgadza się. To starsza pani, jeśli się nie mylę.

– Owszem, ale tutaj sytuacja przybiera dziwny obrót. Wygląda na to, że Hilde Winslow wkrótce po procesie zmieniła nazwisko na Harriet Winchester.

Popatrzyli na siebie nawzajem.

– Dlaczego to zrobiła? – spytał Max.

– Nie mam pojęcia. Ale teraz prawdziwa bomba: Hilde-Harriet przeprowadziła się do Nowego Jorku. – Sarah zmrużyła oczy i popatrzyła na telefon. – A dokładniej na Zachodnią Dwunastą Ulicę pod numer sto trzydzieści pięć.

Max przestał obgryzać paznokcie. Opuścił rękę.

– Więc Rachel Anderson odwiedza Davida Burroughsa w więzieniu. Po tym spotkaniu szuka informacji o kluczowym świadku w sprawie... któremu Burroughs zarzucał kłamstwo... i dowiaduje się, że ta kobieta zmieniła nazwisko i przeprowadziła się. – Podniósł wzrok. – Jak myślisz, dokąd kieruje się Burroughs?

– Chce stawić jej czoło?

– Albo gorzej. – Max ruszył w stronę wyjścia z lotniska. – Sarah?

– Słucham?

– Załatw nam transport do Nowego Jorku i zadzwoń do siedziby Biura na Manhattanie. W mieszkaniu Hilde Winslow ma się za chwilę zaroić od policjantów.

Rozdział 19

Staję przed drzwiami mieszkania Hilde Winslow.

Co teraz?

Oczywiście mógłbym zapukać, ale skoro na dole jest domofon, a ona już jest czujna, to raczej nie byłoby właściwe rozwiązanie. Spytałaby, kim jestem. Wyrżałaby przez wizjer. Czyby mnie rozpoznała? Pewnie nie. Chyba że oglądała serwisy informacyjne, w których informowano o mojej ucieczce. Tak czy inaczej, nie otworzy mi.

Dlatego opcja numer jeden, czyli pukanie do drzwi, zapewne nic nie da.

Mam na głowie czapkę New York Yankees, którą kupiłem na straganie przy Szóstej Alei, więc jeśli Hilde będzie mnie opisywała, nie powie, że mam ogoloną głowę. Zamierzam wyrzucić tę czapkę po wyjściu od niej.

Opcja numer dwa: mógłbym wyważyć drzwi albo przestrzelić zamek. Ale bez przesady. Zaczęłaby wrzeszczeć wniebogłosy. Sąsiedzi poinformowaliby policję o strzałach. Opcja numer dwa to głupota.

Opcja numer trzy... nie istnieje. Przynajmniej na razie. Ale nie mogę po prostu czaić się na korytarzu. Ktoś w końcu mnie zauważy i zainteresuje się, co tutaj robię. Nie przemyślałem tego za dobrze, prawda? Spędziłem dzisiaj – dzisiaj! – tyle godzin w samochodzie z Rachel, ale nie opracowałem solidnego planu. Teraz płacę za to cenę.

Po lewej stronie znajdują się drzwi prowadzące na schody przeciwpożarowe. Może mógłbym się tam schować i wypatrywać, kiedy kobieta otworzy drzwi. Ale robi się późno. Hilde/Harriet ma ponad osiemdziesiąt lat. Czy jeszcze dzisiaj wyjdzie z mieszkania? Prawdopodobnie nie.

Wciąż obmyślam następny ruch, gdy gałka w drzwiach mieszkania 4B zaczyna się obracać.

Ktoś otwiera drzwi.

Nie mam planu, więc działam instynktownie. Nie wiem, dlaczego drzwi się otwierają, choć przypuszczam, że Hilde Winslow jest zaintrygowana przesyłką zostawioną w holu i postanowiła po nią pójść. To bez znaczenia. Nie waham się ani chwili. Kiedy tylko drzwi się uchylają, napieram na nie ramieniem.

Otwierają się na oścież.

Przez chwilę martwię się, że byłem zbyt agresywny i przewróciłem staruszkę, ale kiedy wpadam do środka, Hilde Winslow wciąż stoi i wytrzeszcza na mnie oczy. Cofa się i otwiera usta do krzyku. Jakaś pierwotna część mojego mózgu przejmuję nade mną kontrolę, więc ponownie się nie waham. Podbiegam do Hilde i niezdarnie zakrywam jej usta dłonią. Jednocześnie kopnięciem zatrzasnęję za sobą drzwi. Przyciągam kobietę do siebie, tak że tył jej głowy przywiera do mojej piersi.

– Nie chcę pani skrzywdzić – szepczę.

Naprawdę to powiedziałem? Jeśli tak, to moje słowa raczej jej nie uspokajają. Wije się i chwyta mnie za rękę. Broni się. Trzymam ją mocno. Chcę być łagodny, racjonalny i grzeczny, ale wiem, że takie podejście w niczym nie pomoże ani mnie, ani Matthew.

Dlatego wolną ręką wyciągam broń i pokazuję ją Hilde.

– Tylko porozmawiamy, w porządku? Kiedy poznam prawdę, pójdę sobie. Proszę pokiwać głową, jeśli pani rozumie.

Udaje jej się skinąć głową, mimo że przyciskam jej potylicę do swojej piersi.

– Teraz zabiorę rękę. Proszę, niech pani nie zmusza mnie, żebym panią skrzywdził.

Mówię jak postać ze starego filmu, ale naprawdę nie wiem, jak inaczej mógłbym się zachować w takiej sytuacji. Puszczam ją, licząc na to, że nie będzie

krzyczała; nie mam zamiaru jej zastrzelić. Nie uderzę jej też rękojeścią pistoletu. A może jednak?

Hilde Winslow skłamała na mój temat. Skłamała pod przysięgą i pomogła skazać mnie za zabójstwo własnego dziecka.

Jak daleko się posunę? Mam nadzieję, że nie będę musiał się o tym przekonać.

Hilde Winslow obraca się w moją stronę.

– Czego pan chce?

– Czy pani wie, kim jestem? – pytam.

– Jesteś David.

Ma zaskakująco spokojny i pewny głos. Nie odwraca wzroku. Nie patrzy na mnie wyzywająco, ale też nie wydaje się zastraszona.

– Co tu robisz?

– Skłamała pani.

– O czym ty mówisz?

– O moim procesie. Pani zeznanie było kłamstwem.

– Wcale nie.

Naprawdę nie mam wyjścia. Przyciskam lufę broni do czoła kobiety.

– Niech mnie pani posłucha – mówię, mając nadzieję, że nie załamie mi się głos. – Nie mam niczego do stracenia. Rozumie to pani, prawda? Jeśli ponownie mnie pani okłamie, jeśli nie powie mi pani prawdy, będę zmuszony panią zabić. Nie chcę tego. Ale w tej chwili muszę wybierać między synem a panią.

Zaczyna gwałtownie mrugać.

– No właśnie – ciągnę. – Mój syn wciąż żyje. Nie, nie sędzę, żeby mi pani uwierzyła, i nie mam czasu pani przekonywać. Ale najważniejsze dla pani powinno być to, że ja w to wierzę, więc nie będę miał oporów, by panią zabić, jeśli to pozwoli mi go odnaleźć. Czy wyrażam się jasno?

– Nie wiem, co mam powiedzieć...

Uderzam ją w policzek lufą pistoletu.

Nie, to nie jest dla mnie łatwe. Zresztą nie uderzam jej mocno. To tylko muśnięcie, nic więcej. Ale wystarczy, żeby przekazać jej wiadomość, a mnie napęlić wstydem.

– Zmieniła pani nazwisko i miejsce zamieszkania. A wszystko dlatego, że skłamała pani w sądzie i musiała uciec. Nie szukam zemsty. Jednak z jakiegoś powodu pani skłamała, a ten powód może mnie doprowadzić do syna. Dlatego albo poznam prawdę, albo panią zabiję.

Wpatruje się we mnie. Odwzajemniam spojrzenie.

– Jesteś obłąkany – mówi w końcu.

– Możliwe.

– Chyba nie sądzisz, że twój syn żyje.

– Owszem, sądzę.

Hilde podnosi dłoń do ust. Kręci głową i zamyka oczy. Nie opuszczam broni. Kiedy otwiera oczy, widzę, że coś się w nich zmieniło. Defensywny ton i opór zniknęły.

– Nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteś, David.

Nie odzywam się.

– Nagrywasz to? – pyta.

– Nie. – Szybko pokazuję jej telefon. Potem rzucam go na stół, na potwierdzenie swoich słów. – Ta rozmowa zostanie między nami.

– Jeśli komukolwiek powiesz, wszystkiego się wyprę.

Czuję, że tętno mi przyśpiesza.

– Rozumiem.

– A jeśli ktoś inny to nagrywa, to informuję, że opowiadam nieprawdziwą historię, żeby uspokoić szalonego zabójcę, który grozi mi bronią.

Zachęcająco kiwam głową.

Hilde Winslow patrzy mi w oczy.

– Od dawna wyobrażałam sobie tę chwilę. Stoisz przede mną, a ja wyznaję prawdę.

Bierze głęboki oddech. Ja wstrzymuję powietrze, bojąc się, że nawet najdrobniejszy ruch może sprawić, że czar pryśnie.

– Początkowo usprawiedliwiałam to, co zrobiłam, ponieważ byłam zdania, że moje zeznanie nie ma znaczenia. I tak zostałambyś skazany, moje słowa były tylko wisienką na torcie. Tak sobie powtarzałam. Poza tym szczerze wierzyłam w to, że popełniłeś to morderstwo. To mnie przekonało... pomagałam wsadzić za kraty zabójcę. Chcesz poznać prawdę, David?

Kiwam głową.

– Wciąż uważam, że to zrobiłeś. Dowody przeciwko tobie były przytłaczające. To pomaga mi spokojnie spać w nocy. Wiedza... pewność... że jesteś winny. Ale to mnie nie usprawiedliwia, prawda? Wykładałam filozofię na Uniwersytecie Bostońskim. Wiedziałeś o tym?

Wiedziałem. Moi prawnicy dokładnie zbadali jej przeszłość, szukając czegoś, co będą mogli wykorzystać podczas procesu. Wiedziałem, że owdowiała w wieku sześćdziesięciu lat, ma troje dzieci, które założyły własne rodziny, i czworo wnucząt.

– Dobrze wiem, jak ludzie usprawiedliwiają swoje działania, twierdząc, że „cel uświęca środki”. Ja też to robiłam, próbując bronić swoich decyzji, ale nie da się ukryć, że moje zeznanie wypaczyło twój proces. A co gorsza, wpłynęło na to, jak postrzegałam siebie.

Jej telefon brzęczy. Hilde podnosi na mnie wzrok. Kiwam głową, pozwalając jej zerknąć na ekran.

– Zastrzeżony numer – mówi.

– Niech pani nie odbiera.

– Dobrze.

– Proszę mówić dalej.

– Chodziło o moją synową, Ellen. Jest lekarką w Revere.

Pamiętam to z akt sprawy.

– Jest żoną pani najstarszego syna, Marty’ego.

– Tak.

– Co z nią?

– Miała... zapewne wciąż ma... problem z hazardem. Poważny problem. Wtedy o tym nie wiedziałam. Jest szanowaną ginekolożką. Pomogła przyjść na świat wnukom moich przyjaciół. Marty próbował wszystkiego. Anonimowych Hazardzistów, psychiatrów, terapii, ograniczania jej dostępu do pieniędzy. Ale wiesz, jak to jest z nałogami. Zawsze znajdzie się jakiś sposób. Ellen wpakowała się po uszy i nie potrafiła się wydostać. Narobiła sobie potwornych długów, ale pojawiła się szansa, żeby się od nich uwolniła... pod warunkiem że wyświadczę komuś małą przysługę.

Masuje sobie twarz i zamyka oczy. Nie poruszam się.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego zeznawałam przeciwko tobie. Właśnie dlatego. Odwiedził mnie pewien mężczyzna. Był bardzo grzeczny. Dobre maniere. Szeroki uśmiech. Ale jego oczy... były czarne. Martwe. Znasz takich ludzi?

Kiwam głową.

– Miał poliozę.

– Co?

Wskazała swoje czoło.

– Jeden biały lok. Czarne włosy i biały kosmyk na samym środku.

Zamieram.

– A więc ten człowiek powiedział mi, jak wygląda sytuacja Ellen. Tłumaczył, że wyświadczę światu przysługę, jeśli im pomogę. Przekonywał, że na pewno to zrobię, zatłukę własne dziecko kijem baseballowym, ale wywiniesz się, ponieważ twój ojciec jest skorumpowanym gliniarzem.

Przełykam ślinę. Biały lok. Znam człowieka, o którym mówi.

– Ten mężczyzna wspomniał o moim ojcu?

– Tak, wymienił go z nazwiska. Lenny Burroughs. Twierdził, że właśnie dlatego mnie potrzebują. Żeby sprawiedliwości stało się zadość. Jeśli im pomogę,

oni pomogą Ellen. Nosił drogie mokasyny, bez skarpet. Wszystko mi wyjaśnił. Chcesz wiedzieć, co odpowiedziałam?

Kiwam głową.

– Odmówiłam. Powiedziałam, że tego nie zrobię. Ellen znajdzie jakiś sposób na spłacenie długów. Właśnie tak powiedziałam. A ten człowieczek odparł: „W porządku”. Tak po prostu. Nie próbował dyskutować. Nie groził. Następnego dnia zadzwonił do mnie rano i odezwał się grzecznym tonem: „Pani Winslow? Niech pani posłucha”. A potem... – Kobieta mocno zaciska powieki. – Usłyszałam głośny trzask i Marty zaczął krzyczeć. Nie Ellen, tylko mój Marty. Ten człowieczek złamał mojemu synowi środkowy palec, jakby to był ołówek.

Z oddali dobiegają odgłosy miasta – szum samochodów, ciche wycie syren, piszczenie cofającej ciężarówki, szczekanie psa, śmiech.

– Więc zgodziła się pani im pomóc?

– Nie miałam wyboru. Sam rozumiesz.

– Rozumiem – odpowiadam, chociaż wcale nie jestem tego pewien. – Pani Winslow, jak się nazywał ten mężczyzna?

– Myślisz, że zostawił wizytówkę? Nie podał mi swojego nazwiska, a ja nie pytałam.

To bez znaczenia. Wiem, kim jest.

– Nie pytała pani o niego Marty’ego albo Ellen?

– Nie. Nigdy. Zrobiłam to, czego ode mnie zażądał. Potem sprzedałam dom, zmieniłam nazwisko i przeprowadziłam się tutaj. Nie rozmawiałam z Martym ani Ellen od pięciu lat. I wiesz co? Oni też się ze mną nie kontaktowali. Nikt nie chce do tego wracać.

Nagle na ulicy rozlegają się krzyki.

To jakaś młoda kobieta. Początkowo nie jestem w stanie dosłyszeć, co woła. Hilde i ja patrzymy na siebie nawzajem. Podchodzę do okna. Kobieta wciąż krzyczy, ale teraz ją rozumiem.

– Uwaga! Jebane gliny tu są! Powtarzam: przyjechały faszystowskie świnie!

Ktoś jej wtóruje, wykrzykując to samo. Potem kolejna osoba dołącza do chóru.

Wyglądam przez okno i zauważam radiowozy zaparkowane przed wejściem do budynku. Czterech umundurowanych policjantów biegnie do drzwi. Kolejne dwa samochody pędzą Dwunastą Ulicą.

O cholera.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że przyjechali po mnie. Muszę się stąd wydostać... i to natychmiast. Biegnę do drzwi wyjściowych, ale kiedy je otwieram, słyszę kakofonię kroków na schodach. Hałas przybiera na sile. Od ścian odbijają się głosy i trzeszczenie krótkofalówek.

Zbliżają się.

Pędzę korytarzem do wyjścia ewakuacyjnego i otwieram drzwi. Kolejne głosy i trzaski.

Nadchodzą z obu stron. Jestem uwięziony.

Hilde wciąż stoi w drzwiach.

– Wracaj do środka – mówi. – Szybko.

Nie mam wyboru. Z powrotem wbiegam do mieszkania, a ona zatrzaskuje drzwi.

– Idź do okna w mojej sypialni! – woła. – Skorzystaj ze schodów przeciwpożarowych. Ja spróbuję ich zatrzymać.

Nie mam czasu na wahanie ani zastanawianie się. Biegnę do sypialni i gwałtownie otwieram okno. Podmuch powietrza jest zaskakująco odświeżający. Przez głowę przelatuje mi myśl, czy policja obstawiała podwórko. Jeszcze nie. Przynajmniej tak sędzę. Pode mną jest bardzo ciemno. Odległość między budynkiem Hilde a domem przy Jedenastej Ulicy wynosi najwyżej sześć metrów. Wypęlam na schody i zamykam za sobą okno.

Co teraz?

Zaczynam schodzić po metalowych stopniach, gdy nagle znów słyszę skrzeczenie policyjnych krótkofalówek i głosy funkcjonariuszy.

Ktoś jest pode mną.

Jest późny wieczór. Schody właściwie nie są oświetlone, co działa na moją korzyść. Z mieszkania Hilde dobiega odgłos walenia w drzwi, a potem rozlegają się krzyki. Hilde woła, że już idzie otworzyć.

Nie mogę zejść. Nie mogę wrócić do środka. Zostaje mi jedna droga ucieczki. Do góry. Zaczynam się wspinać na piąte piętro. Nie pamiętam, ile pięter ma budynek. Pięć, najwyżej sześć. Zatrzymuję się na podeście przy oknie na piątym piętrze. W mieszkaniu jest ciemno. Nikogo nie ma w domu. Próbuję otworzyć okno. Zamknięte. Rozważam wybicie szyby łokciem, ale nie wiem, jak mógłbym to zrobić bez hałasu. A nawet gdyby mi się udało, to czy policja by mnie nie znalazła? Nie mogę bez końca ukrywać się w czyimś mieszkaniu.

Nie zatrzymuj się.

Wspinam się wyżej, licząc na to, że znajdę otwarte okno. Ale budynek nie ma już więcej pięter i docieram na dach. Podciągam się i na niego wchodzę. Serce tłucze mi się w piersi. Jest pewien stereotyp dotyczący więziennego życia, który pokrywa się z rzeczywistością. Rzeczywiście dużo się tam ćwiczy. Kiedy tylko miałem okazję, korzystałem z hantli na podwórku, ale także stworzyłem własny obóz treningowy w celi – ćwiczenia na poręczach, pchnięcia i wyskoki z przysiadu, i przede wszystkim pompki. Robię ich co najmniej pięćset każdego dnia, w rozmaitych stylach – klasyczne, na złączonych dłoniach, na szeroko rozstawionych rękach, z kłaśnięciem, z dłońmi przy biodrach, na jednej nodze, na jednej ręce, na palcach. Nie jestem pierwszą osobą, która dostrzega ironię tego, że umieszczamy ludzi skazanych za brutalne zbrodnie w środowisku, w którym mogą się rozwijać wyłącznie fizycznie, ale prawda jest taka, że wcześniej nie byłem w dobrej formie, a teraz wreszcie to się zmieniło.

Mam nadzieję.

W jaki sposób gliny tak szybko mnie znalazły? Chyba że Rachel... nie. Niemożliwe. Muszą mieć inne metody. Mój plan nie był doskonały. Działam w pośpiechu i wiele przegapiam. To bolesne przypomnienie, że wcale nie jestem taki sprytny, za jakiego się uważam.

Ale najważniejsze, że zdążyłem porozmawiać z Hilde Winslow i nie jestem szalony. Ona rzeczywiście skłamała w sądzie. Nie zakopałem kija baseballowego w stanie niepoczytalności.

Hilde skłamała.

A ja wiem, kto ją do tego zmusił.

Mam trop.

Muszę uciec. Jeśli mnie złapią, trop ostygnie.

Więc jaki powinien być mój następny krok?

Rozważam ukrycie się na dachu. Wygląda na to, że Hilde chwilowo jest po mojej stronie. Być może powie policjantom, że mnie nie widziała. Albo powie im, że byłem u niej, ale już wyszedłem. Mógłbym tutaj poczekać i zejść na ulicę, kiedy okolica opustoszeje. Ale czy Hilde okłamie policję, zwłaszcza jeśli ją przycisną? Czy naprawdę jest po mojej stronie, czy raczej wysłała mnie na schody przeciwpożarowe, ponieważ chciała się mnie pozbyć dla własnego bezpieczeństwa? Może w tej chwili właśnie im o mnie opowiada?

Czy w końcu i tak przeszukają dach?

Muszę zakładać, że tak.

Nocne niebo nad Manhattanem jest bezchmurne. Empire State Building jest rozświetlony na czerwono, choć nie mam pojęcia dlaczego. Mimo wszystko to oszałamiający widok. Jak wszystko. Mówi się, że nigdy nie doceniamy tego, co jest nam dane. Ale to nie do końca prawda. To zwykłe warunkowanie. Uznajemy za pewnik to, do czego przywykliśmy. Tak działa ludzka natura. Chciałbym ponapawać się tym widokiem przez kilka minut, ale, niestety, to niemożliwe. Już wcześniej wspominałem, że nigdy nie bałem się życia za kratami. Matthew odszedł z mojego powodu, więc byłem zadowolony – jeśli to właściwe słowo – że moje życie się skończyło. Nie chciałem niczego czuć. Ale teraz wyszedłem na wolność i kręci mi się w głowie, gdy smakuję miejskie powietrze, czuję w nim elektryczność, chłonę dźwięki i barwy.

Kiedy gliniarze otwierają drzwi na dach, jestem gotowy. Planowałem ten skok od chwili, gdy tu wszedłem. Nie wiem, jaka to odległość. Nie wiem, czy mi się uda. Staję jednak na południowo-wschodnim narożniku budynku i zaczynam biec, mocno machając rękami. Wiatr szumi mi w uszach, ale i tak docierają do mnie ostrzeżenia.

– Stać! Policja!

Nie słucham. Wątpię, żeby zaczęli strzelać, ale jeśli to zrobią, trudno. Przyspieszam i wybijam się lewą stopą kilka centymetrów od północno-zachodniego narożnika dachu.

Lecę w powietrzu.

Przebieram nogami i wciąż wymachuję rękami. Sąsiedni dach jest pogrążony w ciemności. Przez chwilę nie jestem pewien, czy mi się uda. Przypominam sobie kreskówki, które oglądałem jako dzieciak, i zastanawiam się, czy zatrzymam się w powietrzu niczym kojot goniący Strusia Pędziwiatra, a następnie runę jak kamień. Czuję, jak moje ciało wytraca pęd, a grawitacja ciągnie mnie w dół.

Zaczynam spadać. Zamykam oczy. Kiedy ląduję na dachu, zwijam się w kłębek i przetaczam.

– Stój!

Nie słucham. Zrywam się na nogi i ponownie robię to samo: biegnę, skaczę, ląduję na sąsiednim dachu. Potem na kolejnym. Już się nie boję. Sam nie wiem dlaczego. Czuję euforię. Biegnę, skaczę, biegnę, skaczę. Czuję, że mógłbym to robić całą noc, jakbym był cholernym Spider-Manem albo kimś w tym rodzaju.

Kiedy docieram na dach całkowicie pogrążony w ciemności i uznaję, że wystarczająco oddaliłem się od policjantów stojących na dachu domu Hilde Winslow, zatrzymuję się i nasłuchuję. Wciąż słyszę hałasujących gliniarzy, ale mam wrażenie, że ich głosy dobiegają z oddali. Na dachu jest ciemno, a poza tym jak długo jeszcze mogę bawić się w Spider-Mana?

Znajduję schody przeciwpożarowe i na wpół zbiegam, na wpół ześlizguję się po nich. Zatrzymuję się dopiero trzy metry nad ziemią. Rozglądam się i nasłuchuję.

Droga wolna. Zawisam na dolnym szczeblu drabinki i zeskakuję. Łąduję na zgiętych nogach, z uśmiechem na twarzy.

Kiedy się prostuję, słyszę za sobą głos.

– Ani kroku.

Moje serce zamiera, kiedy się odwracam. To policjant. Celuje we mnie z pistoletu.

– Nie ruszaj się.

Czy mam jakiś wybór?

– Trzymaj ręce na widoku.

Policjant wygląda na młodego i jest sam. Celując do mnie, nachyla się do mikrofonu przypiętego do munduru. Jeśli z niego skorzysta, na podwórzu za chwilę zaroi się od glin.

Nie mam wyjścia.

Nie waham się, nie próbuję go zwieść. Po prostu rzucam się na niego.

Nie minęła nawet sekunda od chwili, gdy kazał mi się nie ruszać. Mam nadzieję, że gwałtowność mojego ataku go zaskoczy. To niebezpieczny ruch – w końcu to on ma broń – ale widzę na jego twarzy wahanie i strach. Może to zadziała na moją korzyść, a może nie.

Co innego mogę zrobić?

Jeżeli do mnie strzeli, to trudno. Zapewne nie zginę. A jestem gotów podjąć takie ryzyko. Bardziej prawdopodobne, że zostanę ranny i wrócę do więzienia. Jeśli się poddam, znajdę się w tej samej sytuacji. Za kratami.

Nie mogę do tego dopuścić.

Dlatego schylam głowę i szarżuję na niego. Ma czas, żeby ponownie zawołać: „Ani kroku!”, ale dopadam go, zanim skończy okrzyk. Chwytam go wpół, zaciskając ręce na grubej kamizelce kuloodpornej i pasie z różnymi sprzętami, które krępują w dzisiejszych czasach ruchy policjantom.

Taranuję go jak kafar i powalam na betonowy chodnik za kamienicą. Mocno uderza o ziemię plecami i słyszę, jak gwałtownie wypuszcza powietrze z płuc.

Nie może złapać oddechu.

Nie odpuszczam.

Nie sprawia mi to przyjemności. Nie chcę nikogo skrzywdzić. Wiem, że on tylko wykonuje swoją pracę i stoi po właściwej stronie. Ale muszę wybierać pomiędzy nim a Matthew i ponownie nie mam wyjścia.

Odchylam głowę, a następnie uderzam go czołem w nos. Cios jest potężny, jakby kula armatnia trafiła w porcelanowy dzban.

Słyszę trzask i jego ciało ustępuje pod uderzeniem. Czuję na twarzy coś lepkiego i uzmysławiam sobie, że to krew.

Policjant wiotczeje.

Zrywam się na nogi. Porusza się i jęczy, co witam zarazem z lękiem i ulgą. Mam ochotę jeszcze raz go uderzyć, ale uznaję, że nie ma takiej potrzeby, jeśli tylko nie będę zwlekał.

Biegając w stronę Szóstej Alei, zdejmuję sportową marynarkę i ścieram krew z twarzy. Wyrzucam marynarkę i czapkę w zarośla.

Kiedy docieram do ulicy, próbuję uspokoić oddech.

Nie zatrzymuj się, powtarzam sobie.

Na ulicy zgromadzili się gapie. Większość osób przystaje na kilka sekund, żeby popatrzeć. Inni czekają, co się wydarzy. Opuszczam głowę i wtapiam się w tłum. Moje tętno wróciło do normy. Zaczynam pogwizdywać, kierując się na wschód. Tak bardzo staram się wyglądać niepozornie, że zapewne rzucam się w oczy jak papieros w klubie fitness.

Kilka przecznic dalej ryzykuję i oglądam się za siebie. Nikt za mną nie idzie. Nikt mnie nie ściga. Zaczynam pogwizdywać głośniej, a na moją twarz wypływa uśmiech.

Jestem wolny.

Rozdział 20

Kiedy Rachel wreszcie dotarła do swoich drzwi, wyczerpana jak nigdy wcześniej, jej siostra Cheryl już nerwowo krążyła przed progiem.

– Co, u diabła, Rachel?

– Wejdźmy do domu.

– Pomogłaś Davidowi uciec?

Rachel otworzyła i zamknęła usta.

– Po prostu wejdź.

– Rachel...

– Do środka.

Wyciągnęła klucze z torebki. Mieszkała w lokalu, który szumnie nazywano „mieszkaniem z ogrodem”. Ostatnio starała się o pracę w redakcji lokalnej darmowej gazety, choć miała o wiele za wysokie kwalifikacje, ale nie mogła być wybredna. Redaktorka naczelna, Kathy Corbera, jedna z jej ulubionych wykładowczyń z wydziału dziennikarstwa, próbowała się za nią wstawić, ale wydawca znał przeszłość Rachel i chciał uniknąć choćby pozorów skandalu. To zrozumiałe w dzisiejszych czasach.

Rachel otworzyła drzwi i skierowała się prosto do kuchni. Cheryl deptała jej po piętach.

– Rachel?

Nie miała ochoty odpowiadać. Jej obolałe ciało domagało się otępienia. Jeszcze nigdy nie miała takiej ochoty na drinka. W szafce obok lodówki stała butelka Woodford Reserve.

– Napijesz się?

Cheryl zmarszczyła czoło.

– Jestem w ciąży, pamiętasz?

– Jeden drink nie zaszkodzi – odparła Rachel, wyjmując szklankę z szafki. –

Gdzieś to przeczytałam.

– Chyba żartujesz?

– Na pewno nie chcesz?

Cheryl posłała jej mordercze spojrzenie.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Rachel napełniła szklankę lodem i alkoholem.

– To nie tak, jak myślisz – rzuciła.

– Wczoraj dzwonisz do mnie i jesteś strasznie tajemnicza. Mówisz, że pojechałaś odwiedzić Davida, ot tak, po prostu. Mówisz, że kiedy wrócisz, będziemy musiały porozmawiać, a teraz...?

Rachel wypła łyk.

– Właśnie to chciałaś mi powiedzieć? – pyta Cheryl. – Że zamierzasz pomóc mu w ucieczce?

– Oczywiście, że nie. Nie miałam pojęcia, że chce uciec.

– Więc twoja wizyta w Briggs to tylko zbieg okoliczności?

– Nie.

– Powiedz, co się dzieje, Rach.

Jej siostra. Jej piękna ciężarna siostra. Cheryl przeszła przez piekło. Pięć lat temu zabójstwo Matthew rzuciło ją na kolana i Rachel nie przypuszczała, że siostra kiedykolwiek się pozbiera. W oczach świata rozpoczęła nowe życie. Nowy mąż, ciąża, nowa praca. Ale to nieprawda. Przynajmniej nie do końca. Próbowwała coś zbudować, coś świeżego i silnego, ale Rachel wiedziała, że ta budowla nie ma fundamentów. Życie jest kruche nawet w najlepszych chwilach. Grunt stale porusza nam się pod nogami.

– Proszę – odezwała się Cheryl. – Powiedz mi, co się dzieje.

– Próbuję.

Siostra nagle wydała się Rachel drobna i słaba. Niemal się kuliła, jakby czekała na nadchodzący cios. Rachel próbowała przeciwżyć w myślach to, co zamierzała powiedzieć, ale jej słowa za każdym razem brzmiały sztucznie i dziwnie. Mogła zerwać ten plaster powoli albo szybko, ale nie dało się tego zrobić bezboleśnie.

- Chcę ci coś pokazać.
- W porządku.
- Ale nie chcę, żebyś straciła głowę.
- Serio?

Rachel oddała Davidowi wydruk zdjęcia, które zdobyła od Irene, ale miała je także w telefonie. Wypiła jeszcze jeden łyk bourbona, zamknęła oczy i czekała, aż alkohol ją rozgrzeje. Potem chwyciła telefon, otworzyła galerię i zaczęła przerzucać zdjęcia. Cheryl przysiadła obok niej. Patrzyła siostrze przez ramię.

Rachel zatrzymała się na szukanym zdjęciu.

- Nie rozumiem – odezwała się Cheryl. – Kim jest ta kobieta z dziećmi?

Rachel dotknęła kciukiem i palcem wskazującym twarzy chłopca, który stał w tle, i powiększyła obraz.

Rozdział 21

Furgonetka FBI, którą jechali Max i Sarah, zahamowała przed domem Hilde Winslow. Max zauważył sześć radiowozów i karetkę. Sarah wpatrywała się w ekran komputera i rozmawiała z kimś przez telefon przez douszną słuchawkę. Pokazała Maxowi, że to ważne i powinien pójść sam, a on pokiwał głową. Drzwi furgonetki się rozsunęły.

– Agent specjalny Bernstein? – odezwał się agent, którego Max nie znał. – Podejrzany uciekł.

– Słyszałem przez radio.

– Policja rozpoczęła pościg. Są przekonani, że go złapią.

Ale Max wcale nie był tego taki pewien. To było duże miasto, pełne zakamarków i ludzi. Zawsze łatwiej jest ukryć się na widoku. Oglądał z Sarah próbę zatrzymania w nowoczesnej furgonetce FBI, śledząc na żywo obraz z kamer przy mundurach czterech funkcjonariuszy wspinających się na dach.

Coś nie dawało mu spokoju.

– Gdzie jest Hilde Winslow?

Agent zmarszczył czoło i zajrzał do notatnika.

– Teraz nazywa się Harriet...

– Winchester, tak, wiem – przerwał mu Max. – Gdzie ona jest?

Młody agent wskazał karetkę. Przez otwarte tylne drzwi widać było Hilde Winslow, która siedziała owinięta kocem i sączyła sok przez słomkę. Max podszedł i się przedstawił. Hilde Winslow popatrzyła mu prosto w oczy. Była drobna i zasuszone, ale miała błyszczące oczy i sprawiała wrażenie twardszej od pancernika.

– Dobrze się pani czuje? – spytał.

– Jestem tylko trochę roztrzęsiona – odpowiedziała. – Ale uparli się, że się mną zaopiekują.

– Proszę się odprężyć, pani Winchester – odezwała się ratowniczką medyczną, Azjatka z długim kucykiem.

– Chciałabym wrócić do domu – odparła staruszka.

– Wróci pani, kiedy policja na to pozwoli.

Hilde Winslow uśmiechnęła się do niej słodko i wypła kolejny łyk soku jabłkowego. W oczach Maxa wyglądała zarazem jak staruszka i mała dziewczynka.

– Mówił pan, że jest agentem specjalnym FBI – zagadnęła.

– Zgadza się. Moje zadanie polega na schwytaniu Davida Burroughsa.

– Rozumiem.

Czekał, aż Hilde powie coś więcej, ale tylko sączyła sok.

– Czy może pani zrelacjonować, co powiedział pan Burroughs?

– Nic specjalnego.

– Nic?

– Nie zdążył.

– Więc nie wie pani, czego chciał?

– Nie mam pojęcia.

– Możemy zacząć od początku, pani Winslow?

Rozmyślnie użył jej dawnego nazwiska. Czekał, aż go poprawi, ale tego nie zrobiła.

– Co dokładnie się wydarzyło? – spytał.

– Zapukał do moich drzwi. Otworzyłam...

– Spytała pani najpierw, kim jest?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Nie, chyba nie.

– Usłyszała pani pukanie i po prostu otworzyła drzwi?

- Tak.
- Zawsze pani tak robi? Otwiera bez pytania?
- Żeby wejść do budynku, trzeba zadzwonić domofonem.
- Pani wpuściła go do budynku?
- Nie.
- A jednak otworzyła pani drzwi?

Uśmiechnęła się do Maxa.

- To przyjazna okolica. Myślałam, że to któryś z sąsiadów.
- Rozumiem.

Zastanawiał się, dlaczego go okłamuje.

– Poza tym jestem stara, więc bywam zapominalska. Ale ma pan rację, agencie specjalny Bernstein. Popełniłam błąd. W przyszłości będę ostrożniejsza.

Pogrywała sobie z nim. Podobnie jak Rachel Anderson. Max rozumiał, dlaczego robi to kochająca szwagierka, ale jaki motyw miała Hilde Winslow?

- Więc David Burroughs zapukał do drzwi, a pani mu otworzyła.

– Tak.

- Rozpoznała go pani?

– Ależ nie, na Boga.

- Jak wyglądał?

– Jak... no cóż... zwykły mężczyzna. Próbowałam opisać go policjantom, ale wszystko wydarzyło się tak szybko.

- Co mu pani powiedziała?

– Nic.

- A co on powiedział pani?

– Nie było na to czasu. Otworzyłam drzwi i nagle na dole wybuchło potężne zamieszanie. Policja dostała się do budynku i biegła na moje piętro.

- Rozumiem. Co było dalej?

– Chyba się spłoszył.

– David Burroughs?

– Tak.

– Co zrobił spłoszony David Burroughs?

– Wpadł do mojego mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

– Musiała się pani wystraszyć.

– O tak. – Zwróciła się do ratowniczkii: – Annie?

– Tak, pani Winchester?

– Mogę dostać jeszcze jeden soczek?

– Oczywiście. Dobrze się pani czuje?

– Jestem trochę zmęczona – odparła Hilde Winslow. – Muszę odpowiadać na tyle pytań.

Annie posłała Maxowi nieprzychylnie spojrzenie. Zignorował ją i spróbował utrzymać na powierzchni ten tonący statek.

– Więc Burroughs jest z panią w mieszkaniu, a drzwi są zamknięte?

– Tak.

– Stała pani w progu, prawda? Przepchnął się obok pani? Czy może się pani cofnęła?

– Hmm. – Efektowna pauza. – Nie pamiętam. Czy to ważne?

– Chyba nie. Krzyczała pani?

– Nie, nie chciałam go zdenerwować.

– Powiedziała pani coś?

– Na przykład co?

– Na przykład „Kim pan jest”, „Co pan tu robi”, „Proszę wyjść” albo coś w tym rodzaju?

Przez chwilę się zastanawiała. Kiedy Annie wróciła z soczkiem, uśmiechnęła się i jej podziękowała.

– Pani Winslow? – Znow zwrócił się do niej dawnym nazwiskiem.

– Możliwe. Pewnie tak. Ale to wszystko działo się tak szybko. Podbiegł do okna i je otworzył.

– Prosto do okna. Bez słowa.

– Tak.

– A to okno było w pani sypialni? – spytał Max.

– Owszem.

– Okna w salonie chyba są bliżej drzwi?

– Nie wiem. Nigdy nie mierzyłam odległości. Pewnie ma pan rację.

– Ale nie prowadzą do schodów przeciwpożarowych, prawda?

– Zgadza się.

– Na schody można się dostać tylko przez okno w pani sypialni – zauważył Max i przechylił głowę w prawo. – Jak pani myśli, skąd Burroughs o tym wiedział?

– Nie mam pojęcia.

– Nie powiedziała mu pani?

– Oczywiście, że nie. Może wcześniej zapoznał się z planem budynku.

– Zdaje sobie pani sprawę, że David Burroughs uciekł z więzienia dopiero dzisiaj rano?

– Powiedział mi o tym jeden z tych miłych policjantów.

– Wcześniej pani o tym nie wiedziała?

– Oczywiście, że nie. Niby skąd?

– Dzwoniłem do pani pół godziny temu i nagrałem się na pocztę głosową.

– Naprawdę? Nigdy nie odbieram telefonu. Ciągle dzwonią jacyś oszuści, którzy próbują wykiwać staruszkę. Czekam, aż nagrają się na pocztę głosową, ale prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, jak ona działa.

Max wbił w nią wzrok. Nie wierzył w ani jedno jej słowo.

– Jak pani myśli, dlaczego Burroughs przyjechał prosto do pani?

– Słucham?

– To pierwsze, co zrobił po ucieczce z więzienia. Pojechał do Nowego Jorku, żeby się z panią zobaczyć. Dlaczego?

– Nie wiem... – Nagle Hilde szeroko otworzyła oczy. – O mój Boże!

– Tak?

– Sądzi pan... sądzi pan, że chciał mnie skrzywdzić? – Uniosła drżącą dłoń do ust. – Tak pan uważa?

– Nie – odparł Max.

– Ale właśnie pan powiedział...

– Gdyby chciał panią skrzywdzić, raczej by panią popchnął po wejściu do mieszkania. Albo uderzył. Albo zrobił coś w tym rodzaju. – Nagle Max coś zauważył. – Czy ma pani ślad na policzku?

– To nic takiego – rzuciła trochę zbyt pośpiesznie.

– David Burroughs ma broń palną. Widziała ją pani?

– Broń? Ależ nie, na Boga.

– Niech się pani zastanowi. Jest pani Davidem Burroughsem. Spędza pani pięć lat w więzieniu. W końcu udaje się pani uciec. Kieruje się pani prosto do mieszkania świadka, który według pani skłamał w sądzie...

– Agencie specjalny Bernstein...

– Słucham.

– To był ciężki dzień – odparła słodkim głosem. – Powiedziałam panu wszystko, co wiem.

– Chciałbym tylko zadać pani kilka pytań dotyczących pani zeznania.

– Nie – odparła.

– Nie?

– Nie mam zamiaru ponownie tego wszystkiego wywlekać i... – Odwróciła się.
– Annie?

– Tak, pani Winchester?

– Nie czuję się najlepiej.

– Mówiłam, że powinna pani odpocząć.

Max właśnie miał zaprotestować, gdy usłyszał głos Sarah.

– Max?

Odwrócił się. Jego partnerka stała w otwartych drzwiach furgonetki i gorączkowo go przyzywała. Ruszył ku niej, nie pożegnawszy się ze staruszką. Sarah zobaczyła jego minę.

– No i co? – spytała.

– Ona kłamie.

– W jakiej sprawie?

– W każdej. – Podciągnął spodnie. – W porządku, co jest takie ważne?

– Mam nagranie z monitoringu z odwiedzin Rachel w więzieniu. Na pewno będziesz chciał to zobaczyć.

• • •

Cheryl wpatrywała się w zdjęcie.

– Zrobiono je w parku rozrywki – odezwała się Rachel.

– Widzę – odburknęła jej siostra. – Co w związku z tym?

Rachel nie traciła czasu na opowieści o Irene i całej reszcie. Powiększyła zdjęcie chłopca w tle – nie za bardzo, żeby obraz nie był rozmazany. Podała telefon siostrze. Ta wciąż wbijała wzrok w zdjęcie.

– Cheryl?

– Co ty chcesz mi zrobić? – wyszeptała Cheryl, nie odrywając wzroku od fotografii.

Rachel nie odpowiedziała.

Pojawiły się łzy.

– Pokazałaś to Davidowi – odezwała się jej siostra.

Rachel nie była pewna, czy to było pytanie.

– Tak.

– Właśnie po to pojechałaś do Briggs.

– Tak.

Cheryl patrzyła na ekran telefonu, kręcąc głową.

– Skąd to masz?

Rachel delikatnie odebrała jej go i przywróciła zdjęcie do pierwotnej skali.

– To moja przyjaciółka. Pojechała do parku Six Flags ze swoją rodziną. Jej mąż zrobił to zdjęcie. Pokazywała mi je i wtedy...

– I wtedy co? – przerwała jej Cheryl lodowatym tonem. – Zobaczyłaś chłopca, który przypomina mojego nieżyjącego syna, i postanowiłaś wyrzucić wszystkim życie do góry nogami?

Nie tobie, pomyślała Rachel, ale uznała, że nie powinna tego mówić.

– Rachel?

– Nie wiedziałam, co robić.

– Więc pokazałaś to Davidowi?

– Tak.

– Dlaczego?

Rachel wolała nie mówić, że pragnęła ochronić ją, więc nic nie odpowiedziała.

– Co on na to? – drażyła Cheryl.

– Był w szoku.

– Ale co powiedział?

– Uważa, że to Matthew.

Cheryl poczerwieniała.

– Oczywiście, że tak. Jeśli rzucisz tonącemu kowadło, pomyśli, że to koło ratunkowe.

– Gdyby David zabił Matthew, raczej wiedziałby, że to kowadło, nie uważasz?

– spytała Rachel.

Jej siostra tylko pokręciła głową.

– To od początku nie miało sensu, Cheryl. David jako zabójca. Daj spokój. Nawet w stanie niepoczytalności. Poza tym cała ta historia z zakopaniem narzędzia

zbrodni. Po co miałyby to robić? Nie jest głupi. No a ta kobieta świadek, Hilde Winslow. Po procesie zmieniła nazwisko i miejsce zamieszkania. Dlaczego to zrobiła?

– Mój Boże. – Cheryl wbiła wzrok w siostrę. – Ty wierzysz w te bzdury.

– Po prostu nie wiem, jak było.

– Jak to nie wiesz? A może też jesteś zdesperowana.

– Słucham?

– Rozpaczliwie potrzebujesz nowego tematu.

– Mówisz poważnie?

– Chcesz odkupić winy. Dostać następną szansę. Gdyby się okazało, że mój syn żyje, byłaby to nie lada historia, prawda? Telewizja, pierwsze strony gazet...

– Chyba nie...

– A jeśli nawet to nie Matthew, tylko jakiś podobny chłopiec, całe to zamieszanie... ucieczka Davida i fakt, że po tylu latach zgodził się z kimś porozmawiać... też da się niezłe sprzedać.

– Cheryl...

– Mój zamordowany syn może być twoim biletem powrotnym.

Rachel cofnęła się, jakby została spoliczkowana.

– Wcale tak nie myślę – szybko dodała Cheryl łagodniejszym tonem.

Rachel milczała.

– Posłuchaj mnie – ciągnęła Cheryl. – Matthew nie żyje. Podobnie jak Catherine Tullo.

– To nie ma z nią nic wspólnego.

– Nie odpowiadasz za jej śmierć, Rachel.

– Oczywiście, że odpowiadam.

Cheryl pokręciła głową i położyła dłonie na ramionach siostry.

– Wcześniej nie mówiłam poważnie.

– Owszem, mówiłaś – odparła Rachel.

– Wcale nie. Przysięgam.

– Ale może miałaś rację. Użalam się nad sobą i tęsknię za tym, co straciłam. Ale przycisnęłam za mocno i Catherine Tullo nie żyje. Umarła przeze mnie. Dostałam to, na co zasłużyłam.

Cheryl pokręciła głową.

– To nieprawda. Po prostu...

– Po prostu co?

– Byłaś za blisko tej sprawy – stwierdziła Cheryl. – Myślisz, że zapomniałam?

Rachel nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Halloweenowe przyjęcie – dodała jej siostra. – Pierwszy rok.

Rachel się odwróciła. Zamknęła oczy i próbowała odepchnąć wspomnienia.

– Rach?

– Może masz rację – przyznała i popatrzyła na zdjęcie. – Może widzę to, co chcę zobaczyć. Może to samo dotyczy Davida. To bardzo prawdopodobne. Ale istnieje niewielka szansa, prawda? Jemu nic nie zostało i jest w fatalnym stanie. Więc pozwólmy mu szukać. To mu nie zaszkodzi. Nie może się znaleźć w gorszej sytuacji. Właśnie dlatego nie pokazałam ci tego zdjęcia. Jeśli okaże się, że to nieprawda... a szanse na to są dosyć duże... cała sprawa na tym się zakończy. Nikt nie ucierpi. Wrócimy do punktu wyjścia, zupełnie jakbyś o niczym się nie dowiedziała. Ale jeśli to jest Matthew...

– To nie on.

– Tak czy inaczej, pozwól Davidowi i mnie działać – nalegała Rachel.

• • •

– Oto nagranie z pierwszej wizyty Rachel Anderson w więzieniu – powiedziała Sarah Maxowi. – Jak już wspominałam, to były pierwsze odwiedziny u Burroughsa, odkąd pięć lat temu trafił do Briggs.

Furgonetka FBI była zmodyfikowanym fordem. Tylne szyby wyglądały na przyciemniane, ale tak naprawdę zamalowano je na czarno, żeby zapewnić

całkowitą prywatność. Zewnętrzny świat można było oglądać – bardzo szczegółowo – dzięki strategicznie rozmieszczonym ukrytym kamerom. Max i Sarah siedzieli obok siebie na wygodnych rozkładanych siedzeniach przy stanowisku pracy wyposażonym w trzy monitory. Miejsce było wygodniejsze, niż można by się spodziewać, ponieważ musieli w nim spędzać całe godziny. Dwaj kolejni agenci siedzieli w kabinie kierowcy. Jeden był technikiem, ale nikt nie znał tego systemu lepiej niż Sarah.

– Możesz zwiększyć głośność? – poprosił ją Max.

– Tu nie ma regulacji głośności.

Zmarszczył czoło.

– Dlaczego nie?

– Kilka lat temu ktoś nas pozwał – wyjaśniła Sarah. – Poszło o pogwałcenie prywatności.

– Przecież monitoring miejski nie narusza prywatności.

– Kiedy ludzie z Briggs stracili prawo do wykorzystywania nagrań dźwiękowych w sądzie, stwierdzili, że materiały wideo służą ochronie bezpieczeństwa i nie stanowią naruszenia prywatności.

– Sąd to kupił?

– Owszem.

Max wzruszył ramionami.

– Więc co chciałaś mi pokazać?

– Popatrz.

Sarah uruchomiła nagranie. Kamera znajdowała się na suficie za ramieniem Davida Burroughsa. Zobaczyli ujęcie Rachel, która usiadła po drugiej stronie pleksiglasowej szyby. Sarah włączyła przewijanie i obie postacie zaczęły gwałtownie się poruszać. Kiedy Rachel wyjęła coś, co wyglądało jak koperta, Sarah uruchomiła normalne odtwarzanie. Max patrzył na ekran ze zmarszczonym czołem. Rachel spoglądała w dół, jakby próbowała zebrać siły. Potem wyjęła coś z koperty i przycisnęła to do szyby.

Max zmrużył oczy.

– To jakieś zdjęcie?

– Tak sądzę.

– Co przedstawia?

Mimo że nagranie było nieme i przeciętnej jakości, Max poczuł, że atmosfera w sali odwiedzin uległa zmianie. Burroughs zeszytniał.

– Jeszcze nie wiem – powiedziała Sarah.

– Może to plan ucieczki.

– Bawiłam się obrazem, zanim przyszedłeś.

– Co udało ci się zobaczyć?

– Ludzi. Jeden z nich może być Batmanem.

– Słucham?

– Być może, nie jestem pewna. Potrzebuję więcej czasu.

– Znajdźmy też specjalistę od czytania z ruchu warg.

– Już się tym zajęłam. Dział prawny twierdzi, że musimy wnioskować o nakaz.

– Chodzi o tamtą sprawę o naruszenie prywatności?

– Tak. Ale mimo wszystko złożyłam wniosek. Chociaż obawiam się, że nagranie ma zbyt małą rozdzielczość.

– Możesz bardziej przybliżyć?

– To najlepsza jakość, jaką udało mi się uzyskać. – Sarah wcisnęła guzik i obraz się powiększył. Zatrzymała odtwarzanie, żeby nabrał ostrości, ale i tak był niewyraźny.

Max znów zmrużył oczy.

– Zapytajmy o to Rachel Anderson – zaproponował.

– Prawniczka zabroniła jej odpowiadać na jakiekolwiek pytania.

– Musimy spróbować. Wciąż mamy na nią oko, prawda?

– Prawda. Jest w domu. Odwiedziła ją siostra.

– Była żona Burroughsa?

Sarah pokiwała głową.

– Jest w ciąży – dodała.

– Kurczę – rzucił Max. – Założyliśmy podsłuchy na ich telefonach?

– Owszem. Na razie niczego nie mamy.

– Rachel Anderson woziła Burroughsa całymi godzinami. Wyraźnie to zaplanowali. Nie będzie na tyle głupia, żeby korzystać z telefonu.

– Zgadzam się.

– Oboje znamy jej przeszłość – zauważył Max.

– Chodzi ci o ten artykuł o molestowaniu?

Pokiwał głową.

– To może mieć z tym jakiś związek? – spytał.

– Nie wydaje mi się. Ty tak uważasz?

Przez chwilę się zastanawiał. Nie, przynajmniej na razie.

– Co odkryłaś po zagłębieniu się w finanse?

– Wciąż to sprawdzamy – odparła Sarah.

Max wiedział, że dokładne przeanalizowanie czyichś finansów wymaga czasu.

Dzięki temu większość skorumpowanych urzędników może kraść latami.

– Ale mam coś nowego – rzuciła Sarah.

– Co?

– Chodzi o Teda Westona.

– Strażnika więziennego, którego Burroughs próbował zabić?

Pokiwała głową.

– Facet tkwi po uszy w długach, ale ostatnio otrzymał dwie wpłaty po dwa tysiące dolarów.

– Od kogo?

– Jeszcze nie wiemy.

Max się wyprostował.

– Łapówka?

– Prawdopodobnie.

– To od początku nie miało dla mnie sensu.

– Co dokładnie?

– Że Burroughs próbował zabić Westona. – Max zaczął gryźć paznokiec. –

Mam wrażenie, że to nie jest zwykła ucieczka z więzienia.

– Niewykluczone. Wiesz, jak możemy się upewnić?

– Jak?

– Wykonajmy swoją robotę. Nie rozpraszajmy się. Złapmy Burroughsa.

– Święta prawda, Sarah. Dobierzmy się Westonowi do tyłka, zanim zasłoni się prawnikiem.

Rozdział 22

Gertrude stała na krawędzi urwiska w posiadłości Payne'ów. Blask księżyca odbijał się od kipiących wód Atlantyku. Rozpuściła siwe włosy i zamknęła oczy. Wiatr przyjemnie muskał jej twarz. Huk fal ją uspokajał. Słyszała, że Stephano się zbliża, ale jeszcze przez dziesięć sekund nie otwierała oczu.

- Nie dopadłeś go – odezwała się w końcu.
- Ross Sumner nas zawiódł.
- A tamten strażnik, który powiedział ci o odwiedzinach siostry?
- Także się nie sprawdził.

Odwróciła się od oceanu. Stephano był masywnym mężczyzną o kruczoczarnych włosach ostrzyżonych na pazia, przez co wyglądał jak podstarzała gwiazda rocka, która próbuje kurczowo trzymać się młodości. Miał na sobie szyty na miarę garnitur, który i tak wyglądał na nim jak kartonowe pudło.

- Nie rozumiem. – Gertrude westchnęła. – Jak to możliwe, że uciekł?
- Czy to ważne?
- Pewnie nie.
- W końcu nam nie zagraża.

Uśmiechnęła się.

- Uważa pani, że jest inaczej?

Wiedziała, że David Burroughs ma niewielkie szanse na pokrzyżowanie im planów, lecz zdawała sobie sprawę, że ich rodzina nie wspięłaby się na sam szczyt bez odrobiny paranoi.

Wiedziała także, jak działa świat. Nie można być niczego pewnym. Można wierzyć, że jest się bezpiecznym i wzięło się pod uwagę wszystkie możliwości, ale

to zawsze tylko złudzenie. Świat nie działa w taki sposób.

Nie ma ludzi nieomylnych.

– Pani Payne?

– Musimy być gotowi, Stephano.

Rozdział 23

Pośpiesznie przemierzam pieszo ulice Manhattanu.

Nie chcę zwracać na siebie uwagi, więc nie biegnę, ale chcę się jak najbardziej oddalić od mieszkania przy Dwunastej Ulicy. Kieruję się na północ. Mijam stację metra przy Czternastej Ulicy, a następnie kolejną przy Dwudziestej Trzeciej, powstrzymując chęć zejścia pod ziemię, ponieważ jeśli policja na mnie poluje, to zapewne obstawiała wszystkie pobliskie stacje.

Albo i nie.

Tak naprawdę nie mam pojęcia.

Oczywiście znam swój cel.

Revere w Massachusetts. Moje rodzinne miasteczko.

Mężczyzna, który szantażował Hilde Winslow, ten z jasnym lokiem. Właśnie tam mieszka.

Znam go.

Zakładam, że FBI obserwuje dom mojego ojca, ale policja nie może być wszędzie. Filmy i seriale rozwinęły w nas takie przekonanie, ponieważ w nich każdy przestępca szybko zostaje schwytany dzięki niczym nieograniczonej inwigilacji, pojedynczemu odciskowi palca lub próbce DNA.

Nie wiem także, co Hilde Winslow powiedziała glinom. Miałem wrażenie, że ze mną sympatyzuje, no i pomogła mi uciec. Ale nie mogę mieć pewności. Mogła tylko udawać. Niewykluczone, że bała się, co się stanie, jeśli policja wpadnie do jej mieszkania, a ja będę stał przy niej. Sam nie wiem.

Ale nie mam wyboru. Muszę zaryzykować wyprawę do Revere.

Kiedy pół godziny później docieram na Times Square, uświadamiam sobie, w co się wpakowałem. Zamierzałem wykorzystywać takie zatłoczone miejsca – ludzi, hałas, jaskrawe światła, wielkie ekrany, neony – ale nie jestem gotowy na to, czego teraz doświadczam. Zatrzymuję się. Przytłaczają mnie bodźce. Szturm szumów, barw, zapachów, twarzy – życia – przyprawia mnie o zawrót głowy. Jestem jak człowiek, który spędził pięć lat w ciemnym pomieszczeniu, a teraz ktoś świeci mu latarką w oczy. Jestem tak oszołomiony, że muszę oprzeć się o ścianę, by nie upaść.

Adrenalina, która mnie podtrzymała, ulatuje jak dym i rozwiewa się na wieczornym wietrze. Czuję wyczerpanie. Jest późno. Pociągi i autobusy do Bostonu i okolic już nie kursują. Muszę to mądrze rozegrać. Wiem, co powinienem zrobić po powrocie do Revere, a żeby to osiągnąć, muszę być w pełni sił. Innymi słowy, muszę się przespać.

W okolicy jest wiele stacji metra – policja nie jest w stanie obstawić ich wszystkich – ale ostatecznie postanawiam pójść piechotą. Ogolona głowa powinna ich zmylić – Hilde Winslow widziała mnie tylko w czapce baseballowej – a dodatkowo noszę maseczkę. Niewiele osób jeszcze z nich korzysta, więc obawiam się, że będę rzucał się w oczy, ale to jednocześnie świetne przebranie. Powinienem ją wyrzucić? Trudna decyzja. Podobnie jak wybór miejsca do spania. Rozważam wędrowkę na północ do Central Parku. Jest tam wiele kryjówek, ale czy policja nie obstawiła właśnie takich miejsc? Zerkam na ekran jednorazowego telefonu. Tylko Rachel, która mi go kupiła, zna jego numer. Czekam, aż się do mnie odezwie, lecz jeszcze tego nie zrobiła. Nie jestem pewien, co to oznacza. Pewnie obawia się, że jest obserwowana.

Obmyślam plan. Zostawiam maseczkę na twarzy i idę do Central Parku. Skręcam w ścieżkę prowadzącą do bujnego parku naturalnego niedaleko Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Drzewa rosną tutaj gęściej. Znajduję najbardziej odosobniony zakątek. Rozkładam wokół siebie gałęzie, licząc na to, że dzięki temu usłyszę, jak ktoś będzie się zbliżał, i zdążę zareagować. Kładę się i słucham

bulgoczącego strumyka oraz odgłosów miasta. Potem zamykam oczy i zapadam w sen, miłosiernie pozbawiony marzeń.

Czekam do godzin szczytu, gdy dworzec Penn jest zatłoczony, i wsiadam do pociągu Amtrak do Bostonu. Mam głowę ogoloną na łyso. Noszę maseczkę. Po drodze dociera do mnie, że przebywam na wolności już od dwudziestu czterech godzin. Cały czas jestem spięty, ale kiedy idę do toalety i przeglądam się w lustrze, uświadamiam sobie, że to praktycznie niemożliwe, by ktoś mnie rozpoznał. Nie wiem, jak bardzo ryzykuję, korzystając z pociągu, ale jakie mam wyjście?

Godzinę przed dotarciem do Bostonu słyszę, że mój telefon wreszcie dzwoni. Nie rozpoznaję numeru. Odbieram połączenie, ale się nie odzywam. Trzymam telefon przy uchu i czekam.

– Alpaka – mówi Rachel.

Ogarnia mnie ulga. Ustaliliśmy siedem słów, od których będziemy zaczynali rozmowy. Jeśli ona nie wypowie hasła, będzie to znaczyło, że nie możemy bezpiecznie rozmawiać, ponieważ ktoś ją podsłuchuje lub zmusza, by do mnie zadzwoniła. Jeśli ponownie użyje starego hasła – na przykład podczas kolejnej rozmowy znów powie „alpaka” – będę wiedział, że ktoś nas podsłuchuje.

– Wszystko dobrze? – pytam.

Sam nie muszę odpowiadać za pomocą hasła. Nie widzę takiej potrzeby. Ostrożność od absurdu oddziela cienka granica.

– Na tyle, na ile można się spodziewać.

– Policja cię przesłuchiwała?

– FBI.

– Domyślili się, dokąd jadę – informuję.

– Federalni?

– Tak. Prawie mnie złapali u Hilde.

– Niczego im nie powiedziałam, przysięgam.

– Wiem.

– Więc skąd się dowiedzieli?

- Nie jestem pewien.
- Ale im uciekłeś?
- Na razie.
- Udało ci się z nią porozmawiać?

Oczywiście chodzi jej o Hilde Winslow. Potwierdzam i przekazuję jej część zdobytych informacji. Mówię, że Hilde przyznała się do kłamstwa w sądzie, ale nie wspominam o hazardowych długach ani związkach z Revere. Jeśli ktoś nas słucha – kurczę, naprawdę można popaść w paranoję – to lepiej nie podpowiadać mu, gdzie się teraz znajduję.

– Staram się zgromadzić jak najwięcej gotówki – mówi Rachel. – Znajdę sposób na zgubienie FBI, tak jak ustaliliśmy.

– Ile czasu ci to zajmie?

– Godzinę, może dwie. Prześlij mi swoją lokalizację, kiedy już dotrzesz do celu. Przyjadę do ciebie.

– Dzięki.

– Jeszcze jedno – rzuca Rachel, kiedy milknę.

Czekam.

– Wczoraj wieczorem odwiedziła mnie Cheryl.

Czuję ucisk w piersi.

– I jak poszło?

– Pokazałam jej zdjęcie. Uważa, że oboje zwariowaliśmy.

– Trudno z tym dyskutować.

– Ale powiedziała także, że moje osobiste problemy mnie zaślepiają.

– Jakie problemy?

– Prześlę ci kilka linków. Przeczytaj je, proszę. Tak będzie łatwiej.

• • •

Rachel przesyła mi linki do trzech różnych artykułów dotyczących jej materiału o molestowaniu oraz późniejszego samobójstwa młodej kobiety, niejkiej Catherine Tullo. Siadam i czytam wszystkie trzy. Staram się obiektywnie przeanalizować sytuację, jakby nie dotyczyła osoby, którą uwielbiam.

Ale trudno zachować obiektywizm, z wielu powodów.

Mam do Rachel kilka pytań, mogą jednak poczekać.

Kładę się i leżę z zamkniętymi oczami, aż słyszę komunikat, że zbliżamy się do dworca North Station w Bostonie. Kiedy zatrzymujemy się na peronie, wyglądam przez okno, obawiając się, że zobaczę mnóstwo policjantów. Zauważam kilku pojedynczych gliniarzy, co jest chyba normalne, ale nie sprawiają wrażenia szczególnie czujnych. To jeszcze o niczym nie świadczy, wolę jednak taki widok od setki funkcjonariuszy z bronią w ręce. Wsiadam z pociągu i ruszam w głąb mojego rodzinnego miasta. Uśmiecham się wbrew sobie. Wędruję Causeway Street i wstępuję do jednego z wszechobecnych w Bostonie lokali Dunkin' Donuts na rogu Lancaster Street. Kupuję sześć paczków – dwa francuskie, dwa czekoladowe z glazurą, jednego kokosowego i jednego klasycznego – oraz duży kubek czarnej kawy bez dodatków smakowych, ponieważ ich nie znoszę, zwłaszcza w Dunkin'.

Idę Lancaster Avenue z torbą słodkości w dłoni. Wciąż mam na twarzy maseczkę, ale w końcu zaryzykuję jej zdjęcie, żeby zjeść paczka. Ślinię się na samą myśl. Piętnaście minut później jestem przy stacji metra na Bowdoin Street, skąd niebieską linią można pojechać do Revere Beach. Wspominam dawne czasy, gdy odbywałem tę podróż jako chłopak. Miałem wtedy paczkę kumpli ze szkoły średniej. Najbliżej przyjaźniłem się z Adamem Mackenzie, ale byli także TJ, Billy Simpson oraz gość, którego właśnie zamierzam odwiedzić, Eddie Grilton.

Rodzina Eddiego miała aptekę na rogu Centennial Avenue i North Shore Road, rzut beretem od stacji Revere Beach. Interes założył jego dziadek. Wszyscy, których znam, realizowali tam recepty, natomiast dziadek Eddiego, a potem także jego ojciec byli bukmacherami na usługach przestępczej rodziny Fisherów.

Niewielki parking na tyłach apteki był całkowicie oddzielony od ulicy. Kiedyś było to nasze główne miejsce spotkań. Piliśmy tutaj piwo i paliliśmy trawkę. Oczywiście to było dawno temu. Tamta ekipa już się rozproszyła. TJ został lekarzem w Newton. Billy otworzył bar w Miami. I choć to Eddie najbardziej chciał wyjechać z miasta i uciec od szemranych interesów dziadka i ojca, którzy zmuszali go do pracy w aptece, gdy był nastolatkiem, wciąż tutaj mieszkał. Poszedł na farmację, tak jak chciał ojciec. Po studiach pracował za tym samym kontuarem, aż w końcu ojciec, tak samo jak wcześniej dziadek, zmarł na atak serca. Teraz apteka należała do Eddiego, przynajmniej dopóki sam nie kopnie w kalendarz.

Kiedy wysiadam w Revere Beach, znów staję się czujny, nie dlatego, że spodziewam się policji, ale ponieważ to moje stare śmieci, gdzie ludzie bez trudu przejrzą moje przebranie. Jestem kilkaset metrów od rodzinnego domu, pizzerii U Sala, apteki Griltonów i tak dalej.

Apteka sprawia wrażenie nieco zaniedbanej, ale od zawsze stopniowo podupadała. Cegły traciły czerwony kolor. Neon nad wejściem rdzewiał na krawędziach, a kiedy go włączano, litery migotały. Nie podnoszę głowy i idę uliczką w stronę naszego dawnego miejsca spotkań na tyłach. Znajdowało się tam pojedyncze miejsce parkingowe. Pamiętam, że tata Eddiego zawsze trzymał tam swojego cadillaca. Ten samochód był dla niego ważny, więc dbał, by karoseria zawsze była idealnie nawoskowana. Teraz Eddie parkuje w tym samym miejscu swojego cadillaca ATS. Czasy się zmieniają, a jednak wszystko pozostaje takie samo.

Kiedy jestem zmęczony, mam skłonność do głębokich przemyśleń.

Przysiadam za kontenerem na śmieci. Kawa wciąż jest gorąca. Jak to w Dunkin' Donuts. Pochłaniam francuskiego pączka i zwalniam dopiero w połowie kokosowego. Więzienie ma wiele wad, ale dotąd nie zwracałem uwagi na to, jak okrutnie obchodziło się z moimi kubkami smakowymi. Kręci mi się w głowie pod wpływem cukru. A może oszałamia mnie wolność. Za kratami łatwo jest zamknąć się w sobie, zobojętnieć, zablokować uczucia i przyjemne doznania. To pomocne. Dzięki temu przetrwałem. Ale odkąd zostałem zmuszony do wyjścia z tej

ochronnej skorupy, pozwalam sobie na myśli o Matthew i odkupieniu win, a uczucia zalewają mnie potężną falą.

Zerkam na zegarek. Nikt nie korzysta z tego tylnego wejścia. Wiem, bo spotykaliśmy się tutaj latami. Jestem pewien, że wkrótce się doczekam, i rzeczywiście, drzwi się otwierają i wychodzi Eddie z papierosem dyndającym w kąciку ust. W dłoni trzyma zapalniczkę, a gdy tylko oszklone drzwi zamykają się za nim, przypala papierosa. Opuszcza powieki i zaciąga się głęboko.

Wygląda starzej. Jest chudy, garbi się i ma brzusek. Jego niegdyś niepokorne włosy przerzedziły się, a zakola zapowiadają łysinę. Ma cienki wąsik i zapadnięte oczy. Nie wiem, jak to rozegrać, więc po prostu wychodzę z ukrycia.

– Cześć, Eddie.

Opada mu szczeka, kiedy mnie widzi. Papieros wypada mu z ust, ale łapie go w powietrzu. Uśmiecham się. Nikt nie miał takich szybkich rąk jak Eddie. Najlepiej z nas grał w ping-ponga, poola, gry wideo, na flipperach, w kręgle i minigolfa – wszystko, co wymagało dobrej koordynacji wzrokowo-ruchowej.

– Jasna cholera – mówi.

– Muszę cię prosić, żebyś nie krzyczał?

– Kurwa, no co ty? – Podchodzi do mnie szybkim krokiem. – Tak się cieszę, że cię widzę, stary.

Ściska mnie mocno – to zarazem nowe i znajome doznanie – a ja sztywnieję, bojąc się, że jeśli się temu poddam, upadnę i już nie wstanę. Ale jego uścisk sprawia mi przyjemność. Cieszy mnie nawet smród papierosa.

– Ja też, Eddie.

– Widziałem w telewizji, że uciekłeś. – Wskazuje czubek mojej głowy. – Ty też tracisz włosy?

– Nie, to kamuflaż.

– Sprytne – przyznaje Eddie. – Możemy od razu wyjaśnić sobie jedną sprawę?

– Jasne.

– Nie zabiłeś Matthew, prawda?

– Nie zabiłem.

– Wiedziałem. Masz jakiś plan? Zresztą nieważne, im mniej wiem, tym lepiej.

Potrzebujesz gotówki?

– Tak.

– W porządku. Interes ledwo się kręci, ale mam trochę forsy w sejfie. Możesz zabrać wszystko.

Próbuję powstrzymać łzy wzruszenia.

– Dziękuję, Eddie.

– Po to tu przyjechałeś?

– Nie.

– No to słucham.

– Wciąż zajmujesz się bukmacherką?

– Nie, właśnie dlatego tak cienko przędę. Kiedyś wszyscy się tym zajmowaliśmy. Dziadek prowadził losowania, tata przyjmował zakłady. Gliny uznały ich obu za przestępców. Bez obrazy dla twojego staruszka.

– Nie ma sprawy.

– A właśnie... jak on się miewa?

– Pewnie wiesz więcej ode mnie, Eddie.

– Masz rację. O czym to ja mówiłem?

– Gliny uznały twoją tatę i dziadka za przestępców.

– Właśnie. Ale wiesz, kto ostatecznie nas pogrążył? Rząd. Kiedyś losowania były nielegalne, ale potem rząd nazwał je loterią, dał ludziom dużo gorsze szanse wygranej niż my i bum, nagle wszystko jest zgodne z prawem. Podobnie było z hazardem, dopóki jakiś dupek nie kupił kilku polityków i teraz możesz robić zakłady online. To samo z marihuaną, chociaż jej mój stary akurat nie sprzedawał.

– Ale pięć lat temu jeszcze prowadziłeś zakłady?

– Właśnie wtedy wszystko zaczęło się sypać. Dlaczego pytasz?

– Pamiętasz klientkę Ellen Winslow?

Zmarszczył czoło.

– Nie była jedną z moich. To Reggie przy Shirley Avenue przyjmował jej zakłady.

– Ale słyszałeś to nazwisko?

– Owszem, tkwiła po uszy w długach. Nie wiem, dlaczego cię to interesuje.

Eddie wciąż ma na sobie apteczny fartuch. Wygląda jak lekarz albo sprzedawca kosmetyków.

– Więc była winna pieniądze braciom Fisher?

Eddie wyraźnie nie jest zachwycony przebiegiem tej rozmowy.

– Chyba tak. Po co mnie o to wypytyjesz?

– Muszę porozmawiać z Kyle'em.

Cisza.

– Chodzi ci o Kyle'a Skunksa?

– Nadal tak go nazywają?

– Lubi to.

Takie przezwisko przyłgnęło do niego, kiedy byliśmy dziećmi. Nie pamiętam, kiedy Kyle sprowadził się do miasteczka. Chyba kiedy byliśmy w pierwszej, może drugiej klasie. Już wtedy miał czarne włosy i biały lok z przodu. Dzieci, jak to dzieci, natychmiast zaczęły go nazywać Skunksem. Ktoś inny mógłby znienawidzić takie przezwisko, ale młody Kyle był zachwycony.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – odzywa się Eddie. – Chcesz porozmawiać z Kyle'em Skunksem o jakimś dawnym długu?

– Tak.

Eddie zagwizdał.

– Pamiętasz go, prawda? – spytał.

– Tak.

– Pamiętasz, jak zepchnął Lisę Millstone z dachu, kiedy mieliśmy dziewięć lat?

– Owszem.

– A pamiętasz koty pani Bailey, które zaczęły znikać, kiedy mieliśmy dwanaście lat?

- Tak.
 - A córkę Pallone’ów? Jak ona miała na imię? Mary Anne...
 - Pamiętam – odpowiadam.
 - Skunks wcale nie stał się lepszy.
 - Wiem. Zakładam, że wciąż pracuje dla Fisherów.
- Eddie energicznie masuje się prawą ręką po twarzy.
- Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

Nie widzę żadnych przeciwwskazań.

- Myślę, że Fisherowie porwali mojego syna i wrobili mnie w morderstwo.

Zapoznaję go ze skróconą wersją. Eddie nie mówi, że oszalałem, ale na pewno tak myśli. Pokazuje mi zdjęcie z parku rozrywki. Zerka na nie pośpiesznie, ale głównie skupia wzrok na mnie. Upuszcza niedopałek papierosa na popękany chodnik i zapala kolejnego. Nie przerywa mi.

Kiedy kończę, mówi:

- Nie zamierzam cię od tego odwozić. Jesteś dużym chłopcem.
- Doceniam to. Możesz nas umówić?
- Mogę zadzwonić.
- Dziękuję.
- Wiesz, że stary Fisher przeszedł na emeryturę?
- Nicky Fisher już nie pracuje? – dziwię się.
- Zgadza się, przeprowadził się w jakieś ciepłe miejsce. Słyszałem, że codziennie gra w golfa. Przez całe życie mordował, kradł, wymuszał, rabował, kaleczył, a teraz, jako osiemdziesięciolatek, gra w golfa i cieszy się masażami i wystawnymi kolacjami na Florydzie. Karma, co?
- Więc kto teraz jest szefem?
- Jego syn NJ.
- Myślisz, że ze mną porozmawia?

– Zapytam. Ale jeśli jest tak, jak myślisz, to nie licz na to, że przyznają się do winy.

– Nie chcę wpakować nikogo w kłopoty.

– Dobrze, ale to nie wszystko. Jeśli rzeczywiście wrobili cię w zabójstwo twojego dziecka... nie będę wymieniał miliona powodów, dla których to nie ma sensu... to dlaczego nie mieliby teraz oddać cię w ręce glin?

– Fisherowie mieliby wezwać policję?

– Przyznaję, że nie wyglądałoby to najlepiej. Oczywiście mogą cię też zabić. To bardziej w ich stylu niż ta intryga rodem z hrabiego Monte Christo, o której mówisz.

– Nie mam wyjścia, Eddie. To mój jedyny trop.

Eddie kiwa głową.

– W porządku. Zadzwonię do nich.

Rozdział 24

Rachel nie wiedziała, czy ktoś ją śledzi. Zapewne tak.

Nieważne. Miała plan.

Poszła na dworzec kolejowy i wsiadła do pociągu linii Main–Bergen. O tej godzinie nie było tłoku. Rozglądała się uważnie i dwukrotnie zmieniała wagony. Wyglądało na to, że nikt za nią nie idzie ani jej nie obserwuje, ale może po prostu znali się na rzeczy.

Wysiadła przy Secaucus Junction i przeszła na peron, z którego odchodził pociąg jadący na dworzec Penn w Nowym Jorku. Właściwie wszyscy jej towarzysze podróży zrobili to samo. Cały czas się rozglądała, ale nie zauważyła nikogo podejrzanego.

Nieważne. Miała plan.

Przez następne czterdzieści pięć minut, klucząc, wędrowała ulicami Manhattanu, aż dotarła do wieżowca przy skrzyżowaniu Park Avenue i Czterdziestej Szóstej Ulicy, gdzie kazała jej się udać prawniczka, Hester Crimstein. Czekał tam na nią jakiś młodzieniec. Nie spytał Rachel o nazwisko. Po prostu uśmiechnął się i poprosił, żeby poszła za nim. Drzwi windy były otwarte. W milczeniu wjechali na czwarte piętro. Kiedy drzwi ponownie się otworzyły, młodzieniec powiedział:

– W głębi korytarza po lewej. – Zaczekał, aż wysiądzie z windy, i ruszył przodem. Kiedy dotarli do drzwi, Rachel je otworzyła i weszła do pomieszczenia. Kolejny mężczyzna stał przy umywalce.

– Usiądź, proszę – powiedział.

Usiadła, zwrócona plecami do umywalki. Mężczyzna pracował szybko. Ostrzygł ją i ufarbował jej włosy na lekko rudy kolor. Przez cały czas nie zamienili ani słowa. Kiedy skończył, do pokoju wrócił młodzieniec. Odprowadził Rachel do windy. Wcisnął guzik podpisany P3, co zapewne oznaczało trzeci poziom parkingu. W windzie wręczył jej kluczyki do samochodu oraz kopertę. W środku znajdowały się pieniądze, prawo jazdy wystawione na Rachel Anderson (jej panięskie nazwisko), dwie karty kredytowe i telefon. Telefon był klonem, co oznaczało, że Rachel mogła odbierać połączenia i SMS-y, ale FBI nie było w stanie namierzyć jej położenia. Przynajmniej tak jej wyjaśnił młodzieniec.

Kiedy dotarli na poziom P3, drzwi windy się rozsunęły.

– Miejsce parkingowe czterdzieści siedem – oznajmił młody człowiek. – Proszę jechać ostrożnie.

To była honda accord. Nie została skradziona ani wypożyczona, a Hester zapewniła ją, że nikt nie powiąże tego auta z żadnym z nich. Siadając za kierownicą, Rachel zerknęła na ekran telefonu. David właśnie wysłał jej swoją lokalizację.

Kurczę.

Zaskoczyło ją, że jest w Revere, niedaleko swojego dawnego domu. Przez chwilę o tym rozmyślała. Powrót do domu nie był częścią planu. Prawdę mówiąc, David podkreślał, jak niebezpieczne może być zbliżanie się do znajomych miejsc.

Najwyraźniej coś, co powiedziała mu Hilde Winslow, sprowadziło go z powrotem do Revere.

Rachel nie rozumiała dlaczego, ale na razie nie musiała. Uruchomiła silnik, wyjechała z parkingu i ruszyła na północ.

• • •

Eddie się rozłącza i zapowiada, że spotkanie odbędzie się za kilka godzin.

– Chcesz zaczekać w pokoju na tyłach? – pyta.

Kręcę głową i podaję mu numer jednorazowej komórki.

– Zadzwonisz do mnie, kiedy będziesz znał dokładną godzinę?

– Jasne.

Dziękuję mu i przechodzę na drugą stronę ulicy. Znam tę okolicę jak własną kieszeń. Świat się zmienia, ale nie w takich miejscach. Co innego przy plaży, gdzie wznosi się kilka nowych wieżowców. Ale tutaj, gdzie się wychowałem, wszystko wygląda tak samo, może poza świeżą farbą, aluminiowymi panelami czy kilkoma dobudówkami. W dzieciństwie stale chodziłem na skróty przez te podwórka, żeby zaoszczędzić nieco czasu, ukryć się albo przeżyć jakąś przygodę.

Jestem już tak blisko ojca.

Uświadamiam sobie zagrożenie. Jestem pewien, że policja na mnie poluje, a to może oznaczać, że obserwują mój rodzinny dom, gdzie wciąż mieszkają ojciec i ciotka. To ma sens. Ale, jak już zauważyłem wcześniej, gliny nie mogą być wszędzie. Wiedzą, że wczoraj wieczorem byłem w Nowym Jorku. Czy uważają, że mógłbym przyjechać do Revere? To pewnie zależy od tego, co im powiedziała Hilde Winslow, ale wątpię, by przyznała się do składania fałszywych zeznań podczas mojego procesu.

Rozglądam się na wszystkie strony i zanurzam w podwórka mojej młodości. Uświadamiam sobie, że policja wcale nie musi mieć furgonetki zaparkowanej przed domem, by go obserwować, ale nie widzę niczego niepokojącego. Zastanawiam się, czy jestem bezpieczny i czy to w ogóle ma jakiś sens. Przemysłmy to: po co spotykać się z tatą i ciocią Sophie po tylu latach? Czy moje odwiedziny nie będą dla nich tylko stresem?

Ciągnie mnie jednak do dawnego domu. Jestem zbiegłym więźniem, mam kilka godzin do zabicia i chcę zobaczyć ludzi, których najbardziej kocham. Czy to takie dziwne? Nie. Ale moim głównym celem jest odnalezienie Matthew.

Czuję się bezpieczny na podwórkach między Thornton i Highland. Domy, w większości wielorodzinne, stoją tak blisko siebie, że nie wiadomo, gdzie dokładnie zaczyna się i kończy dana posiadłość. Na przestrzeni lat doprowadziło to do wielu ciekawych starć. Kiedy miałem czternaście lat, Siegelmanowie

stwierdzili, że ogródek pana Crestina zachodzi na ich działkę, więc zażądali, by przekazał im część swoich wielokrotnie nagradzanych pomidorów. Teraz mijam tę sporną granicę i docieram do domu pani Bordio. Mieszkała tutaj z synem, Patem, którego przezywaliśmy Ślepakiem. Wyprowadzili się na początku lat dwutysięcznych, ale wygląda na to, że nowi właściciele dbają o dom. Pan Bordio, ojciec Pata, zginął w Wietnamie i ich podwórko zawsze było zarośnięte. Mój ojciec w końcu zebrał okolicznych mężczyzn i zobowiązali się na zmianę kosić trawnik pani Bordio, a ta odwzajemniała im się ciastem orzechowym. Pan Ruskin – właśnie mijam jego posiadłość – poświęcił całe lato na budowę z cegieł i betonu ogromnego pieca do pizzy, który oczywiście wciąż stoi, mimo że Ruskinowie wyprowadzili się w 2007 roku. Gdyby tornado kiedyś zdmuchnęło tę dzielnicę, ostałby się tylko ten piec.

Przed sobą widzę rodzinny dom.

Jest otoczony gęstszymi zaroślami. Jedno z moich pierwszych wspomnień – miałem wtedy trzy albo cztery lata – dotyczy dnia, w którym tata i wujek Philip zbudowali huśtawkę na podwórku. Adam i ja z podziwem patrzyliśmy na naszych ojców. To był upalny dzień i pamiętam przede wszystkim to, jak mój tata unosił do ust butelkę budweisera. Wypijał spory łyk, odsuwał ją od ust, patrzył na mnie i mrugał.

Oczywiście pamiętam także swoją licealną dziewczynę, Cheryl.

Kiedy zbliżam się do domu, w moim umyśle pojawia się świętokradcze wspomnienie. Pan Diamond każdego roku rozstawiał namiot, by uczcić Święto Szalasów. Taki namiot zazwyczaj przypomina chatkę z małych i dużych gałęzi, bez dachu. Stawia się go na zewnątrz. To niezwykle ważne. Już nie pamiętam wszystkich religijnych szczegółów. Więźniowie, o dziwo, są najbardziej religijnymi ludźmi, jakich spotkałem. Ja nie należę do tej grupy.

W każdym razie namiot Diamondów był najlepszy w całej dzielnicy. Był ogromny, niezwykle barwny i zdobiły go hebrajskie litery. Pewnego chłodnego październikowego wieczoru, kiedy Cheryl i ja mieliśmy po siedemnaście lat, zakradliśmy się do tego namiotu i przeżyliśmy tam nasz pierwszy raz.

Tak po prostu.

Kiedy to wspominam, uśmiecham się i krzywię jednocześnie.

Cholera, naprawdę ją kochałem.

Podobała mi się od chwili, gdy zamieszkała z rodziną przy Shirley Avenue. Byliśmy oboje wtedy w ósmej klasie, ale dopiero przed balem na zakończenie szkoły Cheryl zwróciła na mnie uwagę, a nawet wtedy poszliśmy na bal jako „przyjaciele”. Wiecie, jak to jest. Byliśmy w podobnych grupach rówieśniczych i żadne z nas nie miało partnera. Tamtego wieczoru zaczęliśmy się całować, w jej wypadku głównie z nudy.

W ten sposób zostaliśmy parą.

Opieram się o drzewo na dawnym podwórku Diamondów. Cheryl i ja długo byliśmy szczęśliwi. W college’u rozstaliśmy się na chwilę, głównie z mojej winy. Wszyscy powtarzali nam, że jesteśmy za młodzi, by się ustatkować, i że jeszcze się nie wyszumieliliśmy. Spróbowaliśmy spotykać się z innymi partnerami, ale jeśli o mnie chodzi, nikt nie mógł się równać z Cheryl. Zaręczyliśmy się na ostatnim roku studiów, obiecując sobie, że pobierzemy się, dopiero kiedy Cheryl skończy medycynę. Trzymaliśmy się tego planu. W końcu wzięliśmy ślub, Cheryl dostała pracę marzeń i postanowiliśmy pójść za ciosem i postarać się o dzieci.

Wtedy wszystko zaczęło się sypać.

Cheryl – a może raczej my oboje? – nie mogła zajść w ciążę.

Jeśli macie problemy z płodnością, wiecie, jakie to stresujące. Cheryl i ja chcieliśmy mieć dzieci, i to bardzo. Nigdy nie braliśmy pod uwagę innej możliwości. Planowaliśmy czwórkę. Tak się umówiliśmy. Ale próbowaliśmy bezskutecznie długimi miesiącami. Kiedy staracie się o dziecko, wydaje się wam, że wszyscy wokół zachodzą w ciążę, nawet najgorsi ludzie, którzy na to nie zasługują i nie chcą mieć dzieci. Wszyscy poza wami.

Odwiedzaliśmy specjalistów, a ci przeprowadzili całą masę badań i odkryli, że to ja jestem winowajcą. Jasne, wszyscy wiemy, że „to nie jest niczyja wina”, „tkwimy w tym razem”, „nie umniejsza to wartości mężczyzny”, bla, bla, bla, ale

odkrycie, że mam zbyt małe stężenie plemników, by mieć dzieci, było dla mnie potężnym ciosem. Dziś jestem mądrzejszy. Wiem, czym jest toksyczna męskość i tak dalej, ale mężczyzna, który dorasta w takich warunkach i takim miejscu jak ja, wie, że spoczywają na nim pewne obowiązki, a skoro nawet nie potrafi spłodzić dziecka, to co z niego za facet?

Czułem wstyd. Wiem, że to głupie. Ale naszych uczuć to nie obchodzi.

Trzykrotnie bez powodzenia próbowaliśmy zapłodnienia in vitro. Napięcie między nami rosło. Każda rozmowa dotyczyła dziecka, a nawet kiedy próbowaliśmy się na tym nie skupiać – powiedziano nam, że czasem, jeśli para się odpręży, problem może w czarodziejski sposób zniknąć – wciąż to nad nami wisiało, w codziennym życiu i w sypialni. Nie dawało nam spokoju nawet na chwilę.

Cheryl dobrze sobie z tym radziła.

A przynajmniej tak sądziłem.

Nigdy mnie nie obwiniała, ale byłem idiotą o niskim poczuciu własnej wartości, więc puszczałem wodze wyobraźni. Sądziłem, że inaczej na mnie patrzy, jakby zauważała moje braki. Że spogląda na innych – płodnych – mężczyzn i zastanawia się, jak to się stało, że skończyła u boku takiego nieudacznika.

To prawie nas zniszczyło.

A potem otrzymaliśmy dobre wieści. Jeden ze starych kumpli mojego taty z Revere pracował jako lekarz w New Hampshire. Doktor Schenker powiedział mi, że miał taki sam problem jak ja i zdołał go usunąć za pomocą operacji powróżka nasiennego. Nie chcę wchodzić w szczegóły, a wy też wolelibyście ich nie znać, ale w skrócie polega to na usunięciu żyłaków z moszny. W każdym razie zabieg się udał i stężenie plemników w moim nasieniu poszybowało powyżej normy.

Cztery miesiące później Cheryl zaszła w ciążę i czekaliśmy na narodziny Matthew.

Wszystko znów było dobrze.

Ale tak nam się tylko wydawało.

Całe lata spędzone w piekle bezpłodności wywróciły nasz związek do góry nogami. Sądziłem, że kiedy Matthew przyjdzie na świat, pozostawimy to wszystko za sobą. Tak było, dopóki nie dowiedziałem się, że chociaż Cheryl nie robiła mi wyrzutów, za moimi plecami poszła do innej kliniki, żeby poszukać dawcy nasienia. Ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu, o czym wielokrotnie przypominała. Dokładnie mi wszystko wyjaśniła: nie tylko rozpaczliwie pragnęła mieć dziecko, ale też chciała wyzwolić nas oboje z tego zakłętego kręgu i dlatego przez krótką głupią chwilę rozważała potajemne skorzystanie z dawcy nasienia, na co ja nigdy bym się nie zgodził.

Przyznała, że to był paskudny pomysł, i wylewnie mnie przeprosiła. Ale nie przyjąłem jej przeprosin. Przynajmniej nie od razu. Byłem zraniony. To, co zrobiła, zbudziło we mnie wszystkie durne kompleksy, więc się wściekłem. Zawiodła moje zaufanie, a ja dodatkowo pogorszyłem sytuację, źle na to reagując.

W oknie na tyłach mojego domu dostrzegam jakiś ruch. Chowam się za krzakiem, a kiedy widzę, jak ciocia Sophie wchodzi do kuchni i siada przy stole, moje serce eksploduje. Jest ubrana w niebieską bezkształtną domową sukienkę. Lekko się garbi. Włosy spięła w kok, ale kilka kosmyków wydostało się i opada na twarz. Przenika mnie mieszanka emocji. Ciocia Sophie. Moja cudowna, szczodra, serdeczna, zawzięta ciocia, która wychowywała mnie po tym, jak mama zmarła na raka. Sprawia wrażenie znużonej, zmęczonej i przedwcześnie postarzałej. Życie wysssało z niej energię. A może zrobiła to choroba mojego ojca?

Albo ja?

Ciocia Sophie zawsze we mnie wierzyła. Inni się poddali, ale ona nigdy.

Nie jestem pewien, jak to rozegrać, ale ostrożnie zbliżam się do okna. Sophie słucha radia. Zawsze uwielbiała puszczać muzykę w kuchni. Klasycznego rocka. Oczywiście to wcale nie musi być radio, tylko Alexa albo jakiś inny sprzęt z głośnikiem. Słyszę, jak Pat Benatar wyśpiewuje, że jesteśmy młodzi i mamy zbolełe serca. Sophie uwielbiała Pat Benatar, Stevie Nicks, Chrissie Hynde i Joan Jett. Bez namysłu wspinam się na werandę i delikatnie pukam w okno.

Sophie podnosi wzrok i mnie zauważa.

Spodziewam się, że będzie oszołomiona, zagubiona albo przynajmniej zaskoczona moim nagłym pojawieniem się w domu. Spodziewam się zrozumiątego wahania, ale w wypadku cioci Sophie nie może być o czymś takim mowy. Zawsze kochała mnie szaloną, bezwarunkową miłością i właśnie to teraz w niej dostrzegam. Zrywa się od stołu i pędzi prosto do drzwi. Na jej twarzy już gości szeroki uśmiech, a policzki są mokre od łez. Otwiera drzwi na oścież i rozgląda się z taką troską, że robi mi się ciepło na sercu.

– Wchodź do środka.

Robię, co mi każe. Oczywiście. Przypominam sobie dni, gdy tata wracał z nocnej zmiany i pytał, gdzie jestem, a ciocia wymyślała jakąś wymówkę, po czym potajemnie wpuszczała mnie tylnymi drzwiami. Wchodzę do domu i zamykam za sobą drzwi. Sophie mnie przytula. Wydaje się drobniejsza i bardziej krucha. Początkowo boję się ją mocno ścisnąć, ale nie pozostawia mi wyboru.

Chcę trzymać się na dystans, zachować czujność, nie poddawać się emocjom, ale nie mam szans. Nie wobec cioci Sophie. Obejmuje mnie z takim zapalem, że uginają się pode mną kolana i chyba wydaję z siebie cichy okrzyk, ale ta krucha starsza pani o ogromnej sile mnie podtrzymuje.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnia.

A ja jej wierzę.

Rozdział 25

Strażnik więzienny Ted Weston trzykrotnie opowiedział Maxowi i Sarah swoją wersję wydarzeń. Agenci specjalni większość czasu milczeli – Max zachęcająco kiwał głową, Sarah ze skrzyżowanymi na piersi rękami opierała się o ścianę w kącie gabinetu, który wykorzystywali jako pokój przesłuchań. Kiedy Ted opowiedział swoją historię po raz trzeci, z dumą kończąc na tym, jak zauważył naczelnika oraz więźnia, którzy razem wsiadali do samochodu, Max ponownie pokiwał głową i zwrócił się do Sarah:

– Najbardziej podobała mi się ostatnia część. Tobie też?

– Kiedy zauważył samochód naczelnika?

– Tak.

– Masz rację.

Max zaczął skubać wargę palcem wskazującym i kciukiem. Robił to, żeby powstrzymać się przed obgryzaniem paznokci.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego właśnie ta część spodobała nam się najbardziej, Ted? Mogę ci mówić po imieniu, prawda?

Ted Weston uśmiechnął się niepewnie.

– Jasne.

– Dziękuję. Więc chcesz wiedzieć dlaczego?

Weston obojętnie wzruszył ramionami.

– Słucham.

– Ponieważ mówisz w niej prawdę. Nie żartuję. Podczas tej części opowieści... kiedy wyglądasz przez okno, zauważasz samochód i stajesz jak wryty... twoja twarz promieniuje szczerością.

– Naprawdę – dodała Sarah.

– Jakbyś użył jakiegoś drogiego kremu nawilżającego. Ale cała reszta... na przykład kiedy opowiadasz, jak późnym wieczorem zaprowadziłeś biednego chorego Davida Burroughsa na oddział szpitalny...

– ...wbrew wszelkim procedurom – dodała Sarah.

– Albo kiedy on nagle cię zaatakował...

– ...bez żadnego motywu.

– Jesteś praworęczny, prawda, Ted?

– Słucham?

– Jesteś. Obserwowałem cię. To byłby mało istotny szczegół, tylko że kiedy opowiadasz o tym, jak zabrałeś Burroughsa z jego celi i prowadziłeś na oddział szpitalny, co jakiś czas zerkasz do góry i w prawo.

– To znak, że kłamiesz, Ted – wyjaśniła Sarah.

– Nie jest to stuprocentowy dowód, ale najczęściej się sprawdza. Kiedy praworęczna osoba próbuje sobie coś przypomnieć...

– ...przynajmniej w osiemdziesięciu pięciu procentach przypadków...

– ...patrzy do góry i w lewo.

– Do tego ma taki rozbiegany wzrok, Max.

– Masz rację, Sarah. To fascynujące, Ted. Myślę, że ci się spodoba. Ludzie mają rozbiegany wzrok, kiedy kłamią. To dotyczy większości z nas. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Ted nie odpowiedział.

– To pozostałość z czasów, gdy ludzie często czuli się uwięzieni, albo przez innych ludzi, albo przez dzikie zwierzęta, więc rozglądali się w poszukiwaniu drogi ucieczki.

– Kupujesz tę opowieść, Max? – spytała Sarah.

– Sam nie wiem. Z jednej strony, rozbiegany wzrok zazwyczaj świadczy o kłamstwie, ale z drugiej strony, to naprawdę wciągająca historia.

– Owszem – zgodziła się Sarah.

– Rozbiegany wzrok – powtórzył Ted Weston, starając się wyglądać na pewnego siebie. – Nie muszę tego wysłuchiwać.

Max obejrzał się na partnerkę.

Pokiwała głową.

– Jesteś prawdziwym mężczyzną, Ted – powiedziała.

Weston wstał.

– Nie macie żadnego dowodu na to, że kłamię.

– Jasne, że mamy – odparł Max. – Naprawdę uważasz, że polegamy tylko na twoim rozbieganym wzroku?

– On nas nie zna, Max.

– Rzeczywiście. Sarah, pokaż mu.

Położyła na stole wyciąg z banku. Ted Weston wciąż stał. Popatrzył na dokument i pobladł.

– Sarah była tak miła, że podkreśliła najważniejsze miejsca. Widzisz?

– Powinieneś był poprosić o gotówkę – stwierdziła Sarah.

– Tak, ale gdzie by ją schował? Sprytny pomysł, żeby wypłaty nie przekraczały dziesięciu tysięcy. Uznali, że nikt nie zauważy.

– A jednak zauważyliśmy.

– Nie my, ale ty, Sarah. To ty się zorientowałaś. Skąd Ted miał wiedzieć, że jesteś najlepsza?

– Zaraz się zarumienię, Max.

Jej telefon zabrzczał. Odeszła na bok. Ted Weston opadł na krzesło.

– Opowiesz mi, co naprawdę się wydarzyło, czy chcesz trafić na blok ogólny i sprawdzić, jak żyje reszta ludzi w więzieniu? – spytał Max scenicznym szeptem.

Ted wciąż wpatrywał się w wyciąg.

– Max... – odezwała się Sarah.

– Co się stało?

– Oprogramowanie do rozpoznawania twarzy namierzyło naszego chłopca.

– Gdzie?

– Wysiadał z pociągu w Revere Beach.

• • •

– Nie możesz zostać – mówi ciocia Sophie. – Federalni byli u mnie dziś rano. Jeszcze tutaj wróca.

Kiwam głową.

– Mogę z nim porozmawiać?

Przechyla głowę i robi smutną minę.

– Teraz śpi. Po morfinie. Możesz go zobaczyć, ale raczej nie będzie wiedział, że przy nim jesteś. Zaprowadzę cię na górę.

Mijamy pianino, na którym stoją na serwetce stare fotografie. Zauważam, że na pierwszym planie wciąż znajduje się nasze ślubne zdjęcie z Cheryl. Nie wiem, co mam o tym myśleć. Większość moich znajomych w tej okolicy ma co najmniej dwoje albo troje rodzeństwa, a często znacznie więcej. Ja byłem jedynakiem. Nigdy nie pytałem dlaczego, ale podejrzewam, że moje problemy zdrowotne mogły być dziedziczne – „jaki ojciec, taki syn” w najgorszym wydaniu. To jednak tylko spekulacje.

Siadam na krześle obok jego łóżka – kiedyś siedział na tym krześle przy swoim biurku – i patrzę na ojca. Śpi, lecz jego twarz jest wykrzywiona grymasem. Ciocia Sophie staje za mną. Kocham tatę. Był najlepszym ojcem na świecie. Ale tak naprawdę go nie znam. Nie wierzył w okazywanie uczuć. Nie mam pojęcia, czego chciał ani o czym marzył. Może tak jest lepiej, sam nie wiem. Obecnie mężczyźni często krytykuje się za tłumienie uczuć i toksyczną męskość. Nie wiem, czy to było właśnie coś takiego. Tata walczył w Wietnamie. Jego tata walczył podczas drugiej wojny światowej. Babcia opowiadała, że kiedy wrócili do domu, obaj byli całkowicie odmienieni. To dość oczywiste, babcia jednak wyjaśniła mi, że nie tylko się zmienili, ale też zachowywali się tak, jakby chcieli ukryć w swoim wnętrzu wszystko, co tam robili i widzieli. Nie ze względu na siebie, lecz dlatego, że nie

chcieli, by ich bliscy musieli mierzyć się z tymi koszmarami. Nie byli okrutni, wycofani ani zaburzeni. Stali na straży tych, których kochali, mimo że płacili za to wysoką cenę. Kiedy Matthew przyszedł na świat, próbowałem przypomnieć sobie, w jaki sposób ojciec spędzał ze mną czas. Chciałem być takim samym tatą. Chciałem, by mój syn czuł się bezpieczny, kochany i silny. Zastanawiałem się, jak ojciec to osiągnął. Zupełnie jakbym podglądał magika przy pracy. Chciałem poznać jego tajemnice i wcielić je w życie dla dobra Matthew.

Kocham tatę. Wracał do domu wyczerpany, przebierał się w biały T-shirt i wychodził ze mną na podwórko, żeby pograć w piłkę. W soboty zabierał mnie do Kelly's na kanapkę z rostbefem i shake'a. Pozwalał, bym chodził z nim na wyścigi psów; opowiadał o faworytach i szansach na wygraną. Kibicowałem mu, kiedy był miotaczem w policyjnej drużynie softballowej, zwłaszcza podczas dorocznych meczów ze strażakami. Nauczył mnie wiązać krawat. Kiedy miałem siedem lat, pozwalał mi udawać, że golę się razem z nim. Smarował mi twarz pianką i wręczał maszynkę bez żyłki. Dwa razy zabrał mnie na stadion Fenway Park na mecz Red Soxów. Siedzieliśmy na trybunach – ja z hot dogiem i colą, on z hot dogiem i piwem – a potem kupił mi breloczek przeciwnej drużyny, żebym zapamiętał ten mecz. Razem oglądaliśmy mecze Celtics w domu wujka Philipa, który miał duży telewizor. Tata nigdy nie dawał mi odczuć, że jestem ciężarem albo mu przeszkadzam. Lubił spędzać ze mną czas, a ja lubiłem spędzać czas z nim.

Mimo to nie wiem, czego pragnął i o czym marzył, czym się martwił i o co się troszczył, co czuł, kiedy zmarła moja matka, i czy chciał czegoś więcej od życia.

Siadam obok niego i czekam, aż otworzy oczy i mnie rozpozna. Oczywiście oczekuję cudu. Chcę, by mój powrót do domu go uzdrowił, a moja obecność sprawiła, że wstanie z łóżka, a przynajmniej na chwilę odzyska jasność umysłu i podzieli się z jedynym synem ostatnimi słowami mądrości.

Nic z tego się nie dzieje. Po prostu śpi.

Po jakimś czasie przychodzi ciocia Sophie.

– Nie jesteś tu bezpieczny, David. Powinieneś już iść.

Kiwam głową.

– Twój kuzyn Dougie wyjechał na miesiąc, żeby badać rekiny. Mam klucz do jego domu. Możesz się tam zatrzymać tak długo, jak potrzebujesz.

– Dziękuję.

Podnoszę się i przez chwilę przyglądam bezwładnej dłoni ojca. Kiedyś miała w sobie tyle mocy. Węzły mięśni na jego przedramieniu, które napinały się, gdy używał śrubokrętu albo klucza francuskiego, zniknęły i zastąpiła je gąbczasta tkanka. Całuję go w czoło. Czekam jeszcze sekundę, aż otworzy oczy. Nie robi tego.

– Myślisz, że to zrobiłem? – pytam ciocię Sophie.

– Nie.

Patrzę na nią.

– A czy kiedykolwiek...?

– Nie, nawet przez chwilę.

Zostawiamy go. Uświadamiam sobie, że zapewne już nigdy nie zobaczę ojca, ale nie mam czasu ani potrzeby teraz o tym myśleć. Mój telefon brzęczy. Sprawdzam otrzymaną wiadomość.

– Wszystko w porządku? – pyta Sophie.

Mówię jej, że to Rachel. Jest pół godziny drogi od nas. Wysyłam jej adres Dougiego i instruuję, żeby weszła tylnymi drzwiami.

– Rachel ci pomaga? – pyta ciocia.

– Tak.

Kiwa głową.

– Zawsze ją lubiłam. To straszne, co się stało. Będziesz bezpieczny u Dougiego. Oboje będziecie. Odezwij się, jeśli będziesz czegoś potrzebował, dobrze?

Przytulam ją. Zamykam oczy i mocno do niej przywieram. A potem zadaję głupie pytanie, które nie daje mi spokoju jak bolący ząb, stale dotykany językiem.

– Czy tata uważał, że to zrobiłem?

Ciocia Sophie nie potrafi kłamać.

– Początkowo nie.

Zamieram.

– A potem?

– Dla niego liczą się dowody, David. Przecież wiesz. Zaburzenia świadomości. Kłótnie z Cheryl. To, że chodziłeś we śnie jako nastolatek...

– Czyli...?

– Nie rozmyślnie.

– Ale sądził, że zabiłem Matthew?

Ciocia Sophie mnie puszcza.

– Po prostu nie wiedział, David. Czy możemy na tym poprzestać?

• • •

Prawie nie rozpoznaję Rachel z fryzurą na pazia.

– Jak ci się podoba? – pyta, próbując zachować beztroski nastrój.

– Ładnie.

Rzeczywiście. Siostry Anderson zawsze były uważane za piękne, chociaż w różny sposób. Za Cheryl, moją byłą żoną, mężczyźni oglądali się na ulicy. Nie dało się jej nie zauważyć. Robiła piorunujące wrażenie. Piękna Rachel nie dostrzegali od razu, ale z czasem zaczynało w nich kiełkować. Ciocia Sophie twierdziła, że Rachel ma – w najlepszym znaczeniu tych słów – ciekawą twarz. Dziś to rozumiem. To, co społeczeństwo uznaje za niedoskonałości, upodabniało ją do obrazu, na którym każdego dnia można odkrywać coś nowego i który zmienia się w zależności od pory dnia lub nocy albo kąta obserwacji. Nowa fryzura do niej pasuje. Podkreśla kształt jej kości policzkowych albo coś w tym rodzaju, sam nie wiem.

Opowiadam Rachel, o Hilde, Eddiem i rodzinie Fisherów. Kiedy to robię, przychodzi SMS od Eddiego.

Nie wracaj tutaj. Gliny Cię szukały.

Odpisuję, że chyba wiedzą, że jestem w okolicy.

W Revere aż się od nich roi.

Spotkajmy się w warsztacie Popa

przy Hunting Street 280 w Malden o 15.00.

Dasz radę?

Odpowiadam, że tak.

Zatrzymaj się w zatoczce po lewej. Przyjedź sam. Miałem Ci to przekazać.

Rachel zerka mi przez ramię. Dougie jest pięćdziesięcioletnim kawalerem, a jego dom stanowi na to żywy dowód. Ściany pokrywa ciemna boazeria, niczym w spelunie. Na jednej ścianie wisi tarcza do rzutek, a drugą w całości zajmuje ogromny telewizor. Na podłodze leży zielony dywan z wysokim runem. Rozkładane krzesła obite sztuczną skórą mają poprzecierane podnóżki, z których sterczy metal. Nad dębowym barkiem lśni wielki neon z nazwami piw Michelob Light oraz Blue Moon Belgian White. Kiedy wszedłem, tylko on oświetlał wnętrze. Nie zapaliłem światła, więc nadal tak jest.

– Zawiozę cię – proponuje Rachel.

– Nie przeczytałaś, że mam być sam?

– Wciąż tego nie rozumiem. Fisherowie zajmują się wymuszeniami, narkotykami, prostytutką i tak dalej. Dlaczego mieliby być zaplątani w... to, co spotkało Matthew? – Na chwilę milknie. – Nawet nie wiem, jak to nazywać.

– Nazywajmy to porwaniem – odpowiadam.

– Dobrze. Ale dlaczego mieliby zrobić coś takiego?

– Nie wiem.

– Spodziewasz się, że po prostu ci powiedzą?

– Nie mamy innych tropów.

– Może jednak mamy – mówi Rachel i włącza laptopa. Otwiera jakiś plik i ściąga zdjęcia. – Zaczęłam szukać zdjęć powiązanych z fotką Irene z Six Flags. Wiemy, gdzie ją wykonano. Znamy datę. Od tego zaczęłam. Na przykład szukałam na Instagramie zdjęć zrobionych tamtego dnia w Six Flags. Potem rozszerzyłam zakres poszukiwań o trzy dni, ponieważ uznałam, że niektórzy ludzie nie wrzucają zdjęć od razu. Następnie poszukałam zdjęć Irene i jej rodziny, licząc na to, że pojawiają się w galeriach innych osób. Miałam nadzieję, że jeszcze gdzieś pojawi się Matthew.

– No i co?

– Znalazłam sześćset osiemdziesiąt pięć zdjęć i plików wideo pochodzących z Instagrama, Facebooka, Twittera, TikToka i tak dalej. Mamy trochę czasu. Pomyślałam, że możemy je przejrzeć.

Zdjęcia są uporządkowane chronologicznie według daty wrzucenia do sieci i posegregowane na podstawie serwisu społecznościowego, z którego pochodzą. Widzę pary i rodziny, które jeżdżą kolejkami górskimi, wsiadają do nich, wysiadają, machają rękami na diabelskim młynie i karuzelach, wiszą do góry nogami. Widzę pozowane zdjęcia, fotki robione z ukrycia, panoramy kolejek górskich. Uwielbiam nimi jeździć. Zawsze byłem jednym z tych dorosłych, którzy na ochotnika zabierają kuzynów, siostrzeńców i siostrzenice – kogo się da – na największe kolejki górskie. Mój tata też je uwielbiał, nawet w starszym wieku. Przypominam sobie, że kilka razy zabrałem Matthew do wesołego miasteczka. Oczywiście był za mały, żeby przejechać się którąś z większych kolejek, ale wspaniale bawił się w małym pociągu, samolocikach i łódkach. Przypominał mojego tatę. Wszyscy to powtarzali, a ja po wizycie u ojca nie mogę przestać myśleć o tym, co przekazaliśmy sobie z pokolenia na pokolenie, od dziadka, przez ojca i mnie, aż do Matthew. W każdym z nas pobrzmiwają te same echa.

Niektóre zdjęcia pokazują rodziny jadące do parku. Na innych widać zwierzęta z samochodowego safari. Na kolejnych ludzie jedzą lody i hamburgery albo czekają w długich kolejkach. Na niektórych pojawiają się pracownicy parku

w strojach Batmana, Królika Bugsa czy Porcky'ego. Ludzie chwalą się zdobytymi nagrodami, na przykład pluszowym żółwiem, niebieskim psem czy pokemonami.

Parki rozrywki to prawdziwy ludzki tygiel. Spotyka się tam ludzi wszelkich narodowości i wyznań. Powiększamy każdą twarz. W przypadku dzieci oczywiście szukamy Matthew. Dorosłym przyglądamy się, żeby sprawdzić, czy nie rzuci nam się w oczy ktoś znajomy albo podejrzany.

Zauważamy Toma i Irene Longleyów oraz ich dwóch synów na grupowym zdjęciu przedstawiającym także szesnaście innych osób. Uważnie je studiujemy, ale nic nie zwraca naszej uwagi.

Spoglądam na zegarek. Chyba nie zdążymy przejrzeć wszystkich zdjęć, zanim będę musiał pojechać do warsztatu w Malden. Nieco przyśpieszamy, choć mamy świadomość, że możemy wrócić do tego później, gdy nagle docieramy do kolejnego zdjęcia Longleyów, którym towarzyszą aktorzy przebrani za Minionki z filmu *Jak ukraść księżyc*.

Rachel przeskakuje dalej, ale ją powstrzymuję.

– Zaczekaj.

– Coś zobaczyłeś?

– Wróć.

Cofa się do poprzedniego zdjęcia.

– Jeszcze dalej.

To Longleyowie. Tylko oni. Na zdjęciu nie ma nikogo innego. Ale to nie oni zwracają moją uwagę.

– Przed czym oni stoją? – pytam.

– Wygląda jak jakaś plansza reklamowa na imprezie firmowej.

Takie banery wieszka się w tle, żeby zareklamować premierę filmu albo sponsora. Zazwyczaj znajduje się na nich wielokrotnie powtórzone logo firmy. Ale tutaj widać różne symbole.

– Irene chyba mówiła, że byli na imprezie firmowej – przypomina sobie Rachel. – Mówiłam ci, że jej mąż pracuje dla firmy farmaceutycznej Merton. To

właśnie ich logo.

Ale są też inne. Rozpoznaję nazwy pewnego leku przeciwbólowego dostępnego bez recepty oraz popularnej linii kosmetyków do pielęgnacji skóry.

– To olbrzymi konglomerat – tłumaczy Rachel. – W jego skład wchodzi firmy produkujące żywność i leki, a także restauracje czy szpitale.

– Myślisz, że wynajęli cały park?

– Nie wiem. Mogę spytać Irene. Dlaczego cię to ciekawi?

– Są też inne, podobne, zdjęcia, prawda? Przed tą planszą?

– Tak, chyba całkiem sporo. Właśnie do nich docieramy. Zazwyczaj robi się takie zdjęcia zaraz po przybyciu, ale ci ludzie najwyraźniej chcieli poczekać do końca dnia.

– Idźmy dalej – mówię.

Zauważam to na trzeciej fotografii i całe moje ciało nieruchomieje.

– Czekał.

– Co?

Wskazuję logo w prawym górnym rogu. Widziałem jego fragment na zdjęciu z rodziną Longleyów, ale teraz mogę mu się przyjrzeć w całości. Rachel podąża wzrokiem za moim palcem. Ona też to widzi.

To bocian, który niesie trzy słowa wiszące w czymś w rodzaju temblaku.

INSTYTUT REPRODUKCYJNY BERGA

Rachel po chwili przenosi wzrok na mnie.

Czuję suchość w ustach.

– Właśnie tam chodziła – odzywam się. – Mówię o Cheryl.

– No i co?

Nie odpowiadam.

– Co to ma z tym wspólnego, David? Do tej spółki należą też pizzerie. Chyba w nich bywałeś.

Marszczę czoło.

– Moje małżeństwo nie rozpadło się z powodu wizyty w pizzerii.

– Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Twoja siostra chodziła do tego „instytutu.” – Rysuję palcami cudzysłów w powietrzu. – Za moimi plecami.

– Wiem – odpowiada tak cicho i delikatnie, że jej głos jest jak pieszczota. – Ale to niczego nie zmieniło, przecież wiesz.

– Właśnie że tak.

– Co masz na myśli?

– Przestałem jej ufać.

– Wcale nie musiałeś tak reagować, David. Cheryl bardzo cierpiała. Mogłeś spróbować ją zrozumieć. Ostatecznie tego nie zrobiła.

Nie widzę powodu, żeby z nią dyskutować, zresztą zapewne ma rację. Wpatruję się w logo i kręcę głową.

– To nie jest zbieg okoliczności.

– Oczywiście, że tak. Żałuję, że jej nie rozumiałeś.

– Och, ależ rozumiałem – odpowiadam zaskakująco rzeczowym tonem. – Strzelałem ślepakami. To źle wpływało na nasze małżeństwo. Cheryl uznała, że może zająć w ciążę dzięki dawcy nasienia i powiedzieć, że to moje dziecko. Dziwię się, że po prostu nie zerznęła jakiegoś gościa, mogłaby pozbyć się pośredników.

– Jesteś niesprawiedliwy.

– Kto teraz jest jej mężem, Rachel? – ripostuję. – Tego mi nie powiedziałaś.

– To nieistotne.

– Ronald, prawda?

Nie odpowiada. Znów czuję, jak pęka mi serce.

– Jest tylko przyjacielem – rzucam. – Zawsze tak mówiła.

– Bo tak było.

Kręcę głową.

– Nie bądź naiwna.

– Nie mówię, że Ronald nie miał nadziei, że...

– Nieważne – przerywam jej, ponieważ ma rację i nie mogę dłużej tego słuchać. – W tej chwili liczy się tylko odnalezienie Matthew.

– I sądzisz, że to... jest odpowiedź? – Rachel wskazuje głupie logo z bocianem.

– Owszem.

– I jak brzmi?

Nie znam odpowiedzi, więc przez chwilę siedzimy w milczeniu.

– Nadal zamierzasz spotkać się z tym Skunksem? – pyta Rachel w końcu.

– Tak.

– Więc lepiej już idź.

– Tak. – Patrzę na nią. – Jest coś, czego mi nie mówisz?

– Nie – zapewnia.

Wciąż nie spuszczam z niej wzroku.

– To tylko przypadek, nic więcej – dodaje.

Nie wiem, czy próbuje przekonać mnie, czy siebie.

Rozdział 26

– Pixie?

Gertrude odwróciła się od okna z cudownym widokiem w stronę chłopca. Ten dom należący do Payne'ów, ukończony zaledwie cztery lata temu, był zupełnie inny od przypominającej muzeum dawnej posiadłości. Owszem, mieli do dyspozycji ogromny teren z kortem tenisowym, basenem, trasami do jazdy konnej i tak dalej, ale sam budynek już nie był marmurowym grobowcem, tylko zwiewnym postmodernistycznym kompleksem złożonym z białych sześcianów i sięgających podłogi okien. Zaskakiwał gości, a Gertrude była zachwycona.

– Tak, Theo?

– Gdzie jest tata?

Uśmiechnęła się do niego. Theo był pełen światła, pomimo ciemności, której doświadczył. Był grzecznym, serdecznym, inteligentnym i rozważnym chłopcem. Mówił nie tylko po angielsku, ale także po francusku i niemiecku, ponieważ większość życia spędził w szkole z internatem w St. Gallen. Uczniowie tej szwajcarskiej placówki – było ich mniej niż trzystu – mieli zajęcia z jazdy konnej, wspinaczki górskiej i żeglarstwa. Czesne wynosiło prawie dwieście tysięcy dolarów rocznie. Hayden nie chciał być nieobecnym ojcem, więc spędzał dużo czasu w tej okolicy. To była pierwsza podróż chłopców (tak ich nazywała) do Stanów Zjednoczonych od bardzo dawna. Od trzech miesięcy mieszkali w posiadłości Payne'ów. Gertrude namawiała ich do tej podróży. Była coraz starsza i chciała spędzać z nimi więcej czasu.

Ale to był błąd.

Hayden wszedł do pokoju i stanął za plecami chłopca.

– Jestem tutaj, kolego. – Położył mu ręce na ramionach.

Theo zamrugał. Na tym polegał problem, od samego początku. Był cudownym dzieckiem i po krótkim okresie przejściowym zdołał się odnaleźć w nowej sytuacji, ale zarazem był niezwykle płochliwy, jakby cały czas spodziewał się ciosu. Nie musiał się tego obawiać i nigdy go to nie spotkało, ale czasami, chociaż nie znał prawdy, budziło się w nim coś pierwotnego, co skłaniało go do nieświadomego podniesienia gardy.

Hayden posłał Gertrude pełen napięcia uśmiech, a ona od razu zauważyła, że coś jest nie w porządku. Przywołała Stephana, żeby wyprowadził Theo na zewnątrz. Stephano wyszedł z chłopcem i zamknął drzwi, dając babci i wnukowi nieco prywatności, mimo że znał wszystkie rodzinne tajemnice.

– Co się stało, Hayden? – spytała.

– Zaatakował policjanta.

Gertrude jeszcze nie sprawdzała najnowszych wiadomości. Chociaż rozumiała technologię i ideę w pełni połączonego świata, uważała, że tajemnicą długowieczności jest łączenie rutyny z nowymi doświadczeniami. Każdy poranek rozpoczynała tak samo. Pobudka o siódmej. Dwadzieścia minut rozciągania. Dwadzieścia minut medytacji. Kawa i czytanie powieści przez godzinę, jeśli czas na to pozwalał. Dopiero potem zajmowała się wieściami ze świata. Z wiekiem zaczęła rozumieć, że te coraz częściej mają zapewniać rozrywkę – dosyć stresującą – a nie oświecenie.

– Zakładam, że go złapali.

– Nie. Jeszcze nie.

To ją zaskoczyło. David Burroughs był bardziej zaradny, niż się spodziewała.

– Nie możesz zostać – powiedziała. – Wiesz o tym.

– Myślisz, że David coś wie?

Coś? Owszem. Ale na pewno niewystarczająco dużo.

– Gdzie miał miejsce ten atak? – spytała.

– W Nowym Jorku.

Gertrude nic z tego nie rozumiała.

– Czy wiedzą, po co tam pojechał?

– Podobno chciał się zemścić na świadku.

– Podejrzewasz, na którym?

– Niemal wszyscy świadkowie byli miejscowymi specami.

– Poza jednym – zauważyła Gertrude. – Tamtą kobietą, która skłamała, że widziała go z kijem baseballowym.

Hayden powoli pokiwał głową.

– Możliwe – przyznał.

To oczywiście ją zaskoczyło. Wiedzieli, że kobieta skłamała, ale nie mieli pojęcia dlaczego.

– Pixie, mam już dosyć ukrywania go.

– Wiem, Hayden.

– W jego żyłach płynie krew Payne'ów.

– O tym też wiem.

– Nawet przeprowadziliśmy badania. Jest moim synem. Twoim prawnikiem. To jeden z Payne'ów.

Niemal się uśmiechnęła. Zupełnie jakby to było coś dobrego. Mężczyźni z jej rodziny narobili tyle szkód. Zaskakujące cięższe, szantaże, wymuszenia, nawet morderstwa, a wszystko zamiecione pod dywan dzięki potędze pieniądza. Gertrude wcale nie była zaskoczona wypadkiem Kennedy'ego na wyspie Chappaquiddick, jeśli już, to tym, że pozwolono, by ta historia przedostała się do mediów. Takie rzeczy często się zdarzają. Bogaci płacą rodzinom za milczenie. Lecz używają nie tylko marchewki, ale także kija. Możecie próbować stanąć w obronie bliskich, którzy zostali ranni albo zginęli, córek, które zaszły w niechcianą ciążę, ale w ostatecznym rozrachunku to się nie opłaca. Bogaci wszystkiego się wypierają, mataczą, przekupują, naciskają, doprowadzają was do ruiny, pozywają, grożą, a jeśli to wszystko nie działa – co właściwie się nie zdarza – doprowadzają do

waszego zniknięcia. Albo sprawiają, że wasze pozostałe dzieci cierpią. Są skłonni posunąć się do wszystkiego.

Jeśli więc zastanawiacie się, dlaczego rodzina przyjmuje pieniądze na przykład za śmierć córki, to nie dlatego, że jest chciwa albo brak jej zasad moralnych.

Po prostu nie ma innego wyjścia.

– Rozumiem – zapewniła Gertrude.

– Musi istnieć inny sposób.

Nie odpowiedziała.

– Może prawda powinna wyjść na jaw – zasugerował Hayden.

– Nie – odparła.

– W końcu nawet jeśli dowiedzą się, że Theo...

– Hayden.

– ...to co będą mogli udowodnić?

– Hayden, przestań.

Uciszył go sam ton jej głosu.

– Przygotujemy was do wyjazdu jeszcze dziś po południu – powiedziała, kończąc rozmowę. – Tymczasem chłopiec ma nie opuszczać posiadłości.

Część trzecia

Rozdział 27

Czy David wyczytał z jej twarzy, że skłamała?

Rachel prawie powiedziała mu prawdę. Może powinna była to zrobić, kto wie? Ale teraz chciała, żeby całkowicie jej zaufał. Gdyby poznał prawdę – całą prawdę – dotyczącą wizyty Cheryl w klinice leczenia niepłodności, mógłby pozbyć się jej, Rachel. Nie mogli sobie na to pozwolić. Dlatego na razie, niezależnie od kwestii moralnych, musiała uciec się do oszustwa. Pozostanie jego sojuszniczką było ważniejsze od szczerości.

Kiedy David pojechał do warsztatu, ponownie przejrzała znalezione zdjęcia, ale tym razem miała nowy cel. Szukała znajomej twarzy, której David z pewnością nie kojarzył. Odetchnęła z ulgą, bo jej nie znalazła. Wciąż więc istniała szansa, że się mylił – a Instytut Reprodukcyjny Berga tylko czystym przypadkiem był jednym ze sponsorów imprezy w parku rozrywki – ale im dłużej Rachel o tym myślała, tym jaśniej zdawała sobie sprawę, że coś musi być na rzeczy.

Ale jaką rolę w tym wszystkim odgrywała klinika leczenia niepłodności?

Wpatrywała się w telefon. Już wystarczająco długo zwlekała. Potrzebowała odpowiedzi, a on mógł je znać. Wybrała numer. Odebrał po drugim sygnale.

– Rachel? – mówił śpiewnym głosem, który przyprawiał ją o uśmiech. – Mój Boże, dawno nie rozmawialiśmy.

– Wiem, przepraszam.

– Nie musisz. Co u ciebie?

– Wszystko w porządku.

– Dzwoniłem do ciebie.

– Wiem.

- Kiedy rozpętała się ta cała afera z artykułem i twoją uczelnią...
- Wiem – powtórzyła. – Powinna była oddzwonić. Byłam ci to winna.
- No coś ty.
- Mówię szczerze. Przepraszam. Po prostu... Nie było łatwo.

Przez chwilę milczeli.

- Dzwonisz w jakiejś sprawie?
- Muszę cię prosić o przysługę – odezwała się w końcu.
- Zawsze możesz na mnie liczyć, wiesz o tym.

Rzeczywiście wiedziała. Odchrząknęła.

- Czytałeś, że mój szwagier uciekł z więzienia? Nie wiem, czy wieści dotarły...
- Tak, słyszałem o tym.
- Mam nadzieję, że możesz mi w czymś pomóc.

Zawahał się.

- Gdzie jesteś, Rachel?
- Dlaczego pytasz?
- Jesteś w domu?
- Nie. Jestem... – czy powinna mu powiedzieć? – niedaleko Bostonu.
- To dobrze.
- Dlaczego?

– Możesz przyjechać do restauracji Toro przy Washington Street? Powiedzmy za godzinę?

- Zaraz, już wróciłeś?
- Będzie lepiej, jeśli porozmawiamy osobiście, nie uważasz?

Miał rację.

- Poza tym bardzo chętnie się z tobą zobaczę, Rachel.
- Ja z tobą też.
- Toro, za godzinę – powtórzył.
- Do zobaczenia.

• • •

Nie podoba mi się, jak wygląda warsztat Popa.

Ani trochę.

Jadę niemożliwym do namierzenia samochodem, który Rachel sprowadziła do Revere. Zabrałem jedną z czapek baseballowych Dougiego i jego ray-bany, ale nie sądzę, żeby policja urządziła blokadę na drodze łączącej Revere i Malden. Jeśli wiedzą, że tutaj jestem, to zapewne dlatego, że widzieli mnie w pociągu. Nie podejrzewają, że udało mi się zdobyć samochód. Ale może się myłę. Tak czy inaczej, muszę podjąć ryzyko, myślę jednak, że w tym wypadku jest niewielkie.

Hunting Street na obrzeżach centrum to osobliwa mieszanka domów mieszkalnych i warsztatów. Warsztat Popa tkwi pomiędzy Auto Centrum Ala i naprawami samochodowymi U Garcii, naprzeciwko warsztatu mechaniczno-blacharskiego Malden. Oczywiście wypatruję policjantów, furgonetek i radiowozów, ale nie rzuca mi się w oczy nic podejrzanego na typowo zatłoczonej ulicy. Właśnie to mnie niepokoi.

Wygląda na to, że Auto Centrum Ala jest zamknięte. Podobnie jak warsztaty Garcii i Malden. Nie mają przestoju w pracy – drzwi są zamknięte, rolety zaciągnięte, światła zgaszone.

W ogóle mi się to nie podoba.

Widzę tylko jedną osobę. Macha do mnie mężczyzna w niebieskim kombinezonie z imieniem, którego nie potrafię odczytać, wypisanym na piersi. Wskazuje otwarte drzwi warsztatu, niczym jeden z tych gości na lotnisku, którzy pomagają pilotom wyjechać na pas startowy. Zjeżdżam z Hunting Street do warsztatu. Wjazd jest szeroki i ciemny jak jaskinia, która może połknąć mnie w całości.

Waham się, spoglądając w rozwartą gardziel, a wtedy z ciemności wyłania się Skunks, jak duch wychodzący z grobu w horrorze.

Jest blady. Tłuste włosy zaczesał do tyłu. Biały lok rzuca się w oczy bardziej niż kiedykolwiek. Skunks uśmiecha się do mnie, a ja czuję lodowaty dreszcz na

plecach. Wcale się nie postarzał. Jego garnitur lśni przesadnie w porannym słońcu. Odsuwa się na bok i zaprasza mnie do środka.

Czy mam wybór?

Wjeżdżam do warsztatu w ślad za nim. Pokazuje mi, żebym się nie zatrzymywał. Dopiero po chwili daje sygnał, żebym stanął. Tak właśnie robię. Jestem wewnątrz warsztatu, a drzwi zasuwiają się za mną.

Jesteśmy tutaj tylko we dwóch.

Wysiadam z samochodu.

Skunks podchodzi do mnie z szerokim uśmiechem.

– David!

Jest trzecią osobą, która obejmuje mnie dzisiaj i w ciągu ostatnich pięciu lat. Ten uścisk nie niesie ze sobą ciepła ani pocieszenia; mam wrażenie, że przytulam się do kanciastego stołu. Skunks cuchnie tanią wodą kolońską. Wąchałem wiele paskudnych rzeczy w więzieniu, ale teraz niemal się krztuszę.

– David – powtarza, odsuwając się ode mnie. – Dobrze wyglądasz.

– Ty też, Kyle.

– Przepraszam za to – mówi i potem uderza mnie pięścią w żołądek.

To cios z zaskoczenia, ale się go spodziewałem. Jedna z najważniejszych lekcji wyniesionych z więzienia: zawsze bądź czujny. Przyswajałem ją na nowo każdego dnia. W Briggs człowiek wraca do pierwotnych instynktów, by zawsze być gotowym. Kiedy byłem w liceum, grałem jako napastnik w drużynie lacrosse. Trener stale wołał: „Oczy dookoła głowy!”, zachęcając nas, żebyśmy wypatrywali przeciwników próbujących zejść nas od tyłu. W więzieniu tak wygląda codzienne życie.

Lekko się przemieszczam i napinam mięśnie brzucha. Uderzenie dochodzi celu, ale nie wyrządza mi dużej krzywdy. Knykcie Skunksa ocierają się o moją kość biodrową, co zapewne bardziej boli jego niż mnie. Reaguję instynktownie, mimo że jakaś część mnie każe mi się wycofać. Wiem, że nie mogę go za bardzo uszkodzić, ponieważ musi dla mnie zdobyć informacje dotyczące Hilde Winslow.

Ale do cholery z tym.

Skunks niczego mi nie powie. Powinienem był to przewidzieć. Jak mam coś z niego wydobyć?

Najlepiej siłą.

Zanim kończy wyprowadzać cios, biorę zamach prawą ręką, używając mięśni ramienia, przenosząc środek ciężkości w dół i w lewo. Dzięki temu jestem w stanie nie tylko zneutralizować jego uderzenie, ale także nabrać pędu, by wyprowadzić kontrę. Chowam kciuk wewnątrz dłoni i zadaję cios jej wewnętrzną krawędzią.

Mocno trafiam Skunksa w bok czaszki.

Czuję wibracje w kościach dłoni, jak w uderzonym metronomie, ale nie mam czasu się tym przejmować. Wiem, że Skunks jest zawzięty i nieustępliwy. Jeśli odpuszczę, zabije mnie. To dotyczy każdej bójki. Nigdy nie należy podchodzić do nich lekceważąco. Większość ludzi tego nie rozumie. Każda bójka – pijaków w barze, idiotów na meczu – potencjalnie może skończyć się kalectwem lub śmiercią.

Skunks zatacza się po otrzymanym ciosie. Wystawiam przed siebie stopę i gwałtownie się obracam. Trafiam go w dolną część nogi. Nie przewraca się, ale traci równowagę. Usiłuje ją odzyskać i odsunąć się ode mnie.

Nie pozwalam mu.

Robię krok do przodu i taranuję go. Zwała się ciężko na posadzkę, a ja znajduję się na nim.

Przewracam go na plecy i siadam mu na piersi. Zaciskam pięści i jestem gotów zacząć okładać go po twarzy. Postanawiam nieco go zmiękczyć, zanim zapytam o Hilde Winslow.

Ale kiedy biorę zamach prawą ręką, drzwi otwierają się na oścież.

– Nie ruszać się, policja! – krzyczy ktoś.

Obracam się i widzę gliniarza, który celuje do mnie z pistoletu. Żołądek wywraca mi się na lewą stronę. Do warsztatu wchodzi kolejny policjant. On również we mnie celuje. Potem pojawia się następny.

Zastanawiam się, co mam zrobić, gdy nagle cichy głosik w głowie podpowiada mi, że przestałem zwracać uwagę na Skunksa.

To bez znaczenia.

Coś twardego – rękojeść broni, łyżka do opon, nie wiem – trafia mnie w bok głowy.

Żrenice uciekają mi do góry. Ktoś – pewnie jeden z policjantów – uderza mnie w tułów. Ześlizguję się ze Skunksa. Kolejny gliniarz na mnie wskakuje. Usiłuję podnieść ręce i się bronić, ale nie mam siły.

Leżę na brzuchu. Ktoś wykręca mi ręce do tyłu. Bardziej słyszę, niż czuję kajdanki.

Na bok mojej głowy spada cios. Otacza mnie ciemność. Biorę ostatni chrapliwy oddech.

Potem jest tylko pustka.

• • •

Rachel napisała do Davida, że musi coś załatwić.

Nie powiedziała mu gdzie ani dlaczego.

Wsiadła do pociągu, ponieważ David zabrał jej samochód, a w nowym telefonie nie było aplikacji do car-sharingu. Sprawdziła godzinę. Nie po raz pierwszy. David wyszedł już prawie godzinę temu. Nie odezwał się ani słowem. Obawiała się najgorszego – pomyślała, że w takich sytuacjach zawsze boi się najgorszego, zupełnie jakby coś takiego często jej się przydarzało – ale wiedziała, że musi przeanalizować sytuację i iść naprzód. Jeśli Skunks skrzywdził Davida, nie mogła nic na to poradzić. Jeśli policja znalazła i zatrzymała Davida, również była bezsilna.

Iść naprzód.

Kiedy pojawiła się w Toro, pomyślała o czymś błahym: o swoich włosach. Fryzura, którą zafundowała sobie rano w Nowym Jorku, miała stanowić kamuflaż. Od dawna nie widziała się z nim twarzą w twarz.

Czy ją rozpozna?

Szybko poznała odpowiedź. Kiedy tylko weszła do restauracji, wstał od stolika i posłał jej ciepły uśmiech. Odwzajemniła go i przez krótką chwilę miała wrażenie, że cofnęła się w czasie, tak że zapomniała, po co tu przyszła. Nagle pomyślała, że to spotkanie po latach, całkiem naturalne, gdy łączy was wspólna tragedia. Dziwiła się, jak to się stało, że oddalili się od siebie. Takie już jest życie, prawda? Kończycie studia, przeprowadzacie się, zmieniacie pracę, poznajecie nowych ludzi i partnerów, zakładacie rodzinę, rozwodzicie się i tak dalej. Owszem, pozostajecie w kontakcie poprzez media społecznościowe, czasem wymieniacie SMS-y, obiecujecie sobie, że się spotkacie, a tymczasem lata mijają i wasze ścieżki przecinają się dopiero, gdy potrzebujecie przysługi.

Oboje przez chwilę się wahali, nie wiedząc, jak się przywitać, ale w końcu Rachel go uściskała, a on nie pozostał jej dłużny. Lata rozłąki przestały się liczyć. Kiedy tak wiele razem przeszliście – kiedy wasza więź opiera się na tragedii – tak naprawdę nigdy nie oddalacie się od siebie.

– Dobrze cię widzieć, Rachel – powiedział.

Przytuliła go jeszcze przez chwilę.

– Ciebie też, Hayden.

Rozdział 28

Kiedy się budzę, mam na rękach kajdanki.

I siedzę w niewielkim samolocie.

To już koniec.

Skunks albo Fisherowie sprzedali mnie glinom. Jestem idiotą. Poważnie. Czego się spodziewałem? Wrobili mnie w zabójstwo syna, więc dlaczego sądziłem, że nie sprzedadzą mnie władzom, by mnie posłać z powrotem za kratki?

Wykręcam szyję, żeby się obejrzeć. Nie jest to łatwe, ponieważ przykuli mnie do podłokietnika. Jakichś dwóch oprychów – gliniarze w cywilu, agenci federalni z Marshals Service, sam nie wiem – siedzi z tyłu i bawi się smartfonami. Obaj są łąsi i mają na sobie czarne koszulki oraz niebieskie dżinsy.

– Kiedy lądujemy? – pytam.

– Zamknij ryj – rzuca ten bliżej przejścia, nie podnosząc wzroku znad telefonu.

Postanawiam ich nie drażnić. To bez sensu. Lądujemy pół godziny później. Kiedy samolot się zatrzymuje, oprychy odpinają pasy i podchodzą do mnie. Bez ostrzeżenia jeden z nich zarzuca mi na głowę czarny worek, a drugi uwalnia moją rękę.

– Po co zasłaniacie mi oczy? – pytam.

– Zamknij ryj – powtarza oprych numer jeden.

Drzwi samolotu się otwierają. Wstaję. Ktoś popycha mnie naprzód, a ja, pomimo worka na głowie, uświadamiam sobie, że coś jest bardzo nie w porządku, jeszcze zanim wychodzimy na pas startowy.

Nie jesteśmy w Briggs.

Od razu oblewam się potem. Jest gorąco. Jest parno. Być może nie widzę tropików, ale je wyczuwam, smakuję i niemal mogę ich dotknąć. Ostry blask słońca przenika przez czarny worek.

To nie jest Maine.

– Gdzie my, do diabła, jesteście? – pytam.

Nikt nie odpowiada, więc dodaję:

– Nie powinniście mi powiedzieć, żebym zamknął ryj?

Dwaj faceci wypychają mnie do samochodu z włączoną klimatyzacją. Jazda trwa może dziesięć minut, co trudno mi ocenić, skoro nie mam zegarka, nic nie widzę i myślę tylko o tym, że być może resztę życia spędzę w więzieniu. W każdym razie dosyć szybko docieramy do celu. Kiedy samochód – siedzę wysoko, więc to musi być jakiś SUV – w końcu się zatrzymuje, wypychają mnie na zewnątrz. Czuję pod stopami chodnik tak rozgrzany, że ciepło przenika przez podeszwy butów. Gra muzyka. Fatalna. Jakiś instrumentalny country rock, jaki kapela na statku wycieczkowym mogłaby grać podczas konkursu na najbardziej owłosioną klatę.

Wiem, że sprawiam wrażenie buńczucznego. O dziwo, właśnie tak się czuję. Oczywiście jakaś częśćka mnie jest zdruzgotana, ponieważ znów zawiodłem syna. Inna część jest przygnębiona, ponieważ czeka mnie powrót za kraty albo coś jeszcze gorszego. Jeszcze inna jest wystraszona, ale zaciekawiona, ponieważ nie mam pojęcia, co robię w tropikach.

Ale jest też część mnie, może największa, która postanawia na chwilę wrzucić na luz.

Rozpocząłem tę szaloną podróż, kiedy uciekłem z więzienia, i jestem gotów podążyć tam, dokąd mnie zaprowadzi. W tej chwili nie panuję nad kursem i akceptuję to.

Nie powiem, że nie jestem zaniepokojony. Po prostu odpycham od siebie te myśli. Może to kwestia instynktu samozachowawczego. Dwóch oprychów – zakładam, że wciąż tych samych, choć ich nie widzę – chwytają mnie za ręce i wciągają do jakiegoś pomieszczenia. Rzucają mnie na krzesło. Na szczęście,

podobnie jak w samochodzie, także tutaj działa klimatyzacja, ustawiona na najniższą temperaturę. Niemal proszę o bluzę.

Ktoś chwyta mnie za nadgarstki. Czuję ucisk, a potem kajdanki zsuwają się z moich nadgarstków.

– Nie ruszaj się, kurwa – rzuca oprych numer jeden.

Nie ruszam się. Siedząc na twardym krześle, planuję następny ruch, ale przyszłość wygląda tak nieciekawie, że mózg nie pozwala mi dostrzec tego, co oczywiste. Jestem zgubiony. Słyszę krzątających się ludzi, co najmniej trzech. W tle wciąż rozbrzmiewa fatalna muzyka. Mam wrażenie, że dobiega z głośnika.

Nagle ktoś bez ostrzeżenia zrywa mi worek z głowy. Mrugam pod wpływem fali światła i podnoszę wzrok. Dokładnie przede mną, w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów, stoi pomarszczony staruszek, który wygląda na ponad osiemdziesiąt lat. Ma na sobie słomkowy kapelusz i żółto-zieloną hawajską koszulę we wzór ze skaczącymi marlinami. Za nim widzę ogolonych na łyso oprychów z samolotu. Obaj krzyżują ręce na piersi i mają na twarzy lotnicze okulary przeciwsłoneczne.

Pomarszczony mężczyzna podaje mi rękę naznaczoną plamami wątrobowymi.

– Chodź, David – odzywa się głosem, który brzmi jak terenówka jadąca po zwirowej drodze. – Przejdźmy się.

Nie przedstawia się, ale wiem, kim jest, a on zdaje sobie z tego sprawę. Na większości zdjęć, na których widziałem go na przestrzeni lat, był pełnym energii mężczyzną, zazwyczaj otoczonym przez ludzi, i wyglądał, jakby miał za chwilę eksplodować. Nawet teraz, choć skurczył się pod wpływem starości, wciąż ma w sobie ślad dawnego ognia.

Nazywa się Nicky Fisher. W innych czasach nazywano by go ojcem chrzestnym albo donem. Kiedy chodziłem do szkoły, jego nazwisko szeptało po kątach w taki sam sposób, w jaki późniejsze pokolenie dzieci szeptało „Voldemort”. Nicky Fisher dowodził przestępczym syndykatem w okolicach Revere, Chelsea i Everett, zanim jeszcze mój ojciec wstąpił do policji.

Jest – był? – szefem Skunksa.

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, mrużę oczy pod wpływem słońca. Rozglądam się i marszczę czoło.

Gdzie ja, do diabła, jestem?

To rzeczywiście tropiki, ale miejsce wygląda tak, jakby ludzie z Disney-Epcot postanowili po kilku głębszych zbudować osiedle spokojnej starości. Widzę domy mieszkalne przy ślepej uliczce, ale wszystko wygląda jak rodem z kreskówki, niczym miasteczko Flintstone'ów. Parterowe budynki przystosowane dla niepełnosprawnych są zbudowane ze zbyt czystej wypalanej cegły. Przy ślepej uliczce stoi ogromna fontanna, z której woda tryska w rytm paskudnej muzyki.

– Przeszedłem na emeryturę – odzywa się Nicky Fisher. – Słyszałeś?

– Trochę wypadłem z obiegu – odpowiadam, starając się powstrzymać sarkastyczny ton.

– No tak, oczywiście. Więzienie. Właśnie dlatego cię sprowadziłem.

– Co pan zrobił z moim synem, panie Fisher?

Nicky Fisher się zatrzymuje. Odwraca się w moją stronę i wyciąga szyję, wbijając we mnie spojrzenie lodowatych niebieskich oczu, które były ostatnią rzeczą, jaką widziały przed śmiercią dziesiątki, może nawet setki ludzi.

– Nie zrobiłem niczego twojemu synowi. My tak nie działamy. Nie krzywdzimy dzieci.

Próbuję się nie skrzywić. Nienawidzę tych mafijnych zasad. „Nie krzywdzimy dzieci, wspieramy Kościół, dbamy o sąsiadów” i cały ten socjopatyczny bełkot, który ma usprawiedliwić przestępstwa.

– Jesteśmy w Daytonie – mówi Nicky Fisher. – Na Florydzie. Byłeś tu kiedyś?

– Jak dotąd nie.

– W każdym razie zamieszkałem tu na emeryturze.

Okrażamy fontannę. Tańcząca woda rozbija się na sztucznym marmurze, delikatnie nas ochlapując. To miłe uczucie. Dwóch ludzi idzie za nami

w bezpiecznej odległości. Inni starszycy kręcą się po okolicy, pozornie bez celu. Pozdrawiają nas skinieniami głowy. Odwzajemniamy się tym samym.

– Widziałeś wielką tablicę przy wjeździe?

– Miałem zasłonięte oczy.

– No tak, jasne – powtarza Nicky. – To nie był mój pomysł. Moi ludzie mają skłonność do efekciarstwa. No i przepraszam za Skunksa. Wiesz, jaki on jest. Miał jedynie wsadzić cię do mojego samolotu. Prosiłem, żeby nie uszkodził przesyłki, ale mnie nie posłuchał. – Nicky kładzie dłoń na moim ramieniu. Próbuje się nie odsunąć. – Wszystko w porządku, David?

– Nic mi nie jest.

– Przyznaję, że pomysł, by schwytali cię gliniarze, był głupi, chociaż nie da się odmówić Skunksowi rozmachu. Chciał, żebyś pomyślał, że wracasz do więzienia. Zabawne, prawda?

– Boki zrywać.

– Lekka przesada, ale taki już jest Skunks. Pogadam z nim, dobrze?

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc tylko kiwam głową.

– W każdym razie na tablicy przy wjeździe widnieje napis *Promenady*. Tak nazywa się ta wioska. Promenady. Wiem, że to głupia nazwa. Byłem jej przeciwny. Wolałbym coś bardziej eleganckiego, ale społeczność mnie przegłosowała, więc...

– Wzrusza ramionami i idzie dalej. – Wiesz, jaka wioska spokojnej starości znajduje się dalej przy tej ulicy?

Odpowiadam, że nie.

– Margaritaville. Jak w tej piosence. Znasz ją?

– Piosenkę? Tak.

– *Marniejąc w Margaritaville*. Czy jakoś tak, nie pamiętam. W każdym razie tak się nazywa to miejsce. Absurdalne, prawda? Jimmy Buffett ma swoją własną wioskę. A raczej wioski. Są już trzy Margaritaville. Jedna tutaj, druga w Karolinie Południowej i nie pamiętam, gdzie trzecia. Może w Georgii. Zupełnie jakby ktoś

przerobił którąś z tych głównianych sieci restauracji na miejsce zamieszkania. Kto by tego chciał?

Nie odpowiadam, ponieważ dla mnie jego wioska wygląda dokładnie tak samo.

– W każdym razie podsunęło mi to pewien pomysł. Oczywiście nie interesuje mnie upijanie się margaritami i przesiadywanie na plaży. To nie jest mój wymarzony sposób spędzania emerytury. Dlatego w Promenadach zrobiliśmy coś innego. Chodź, pokażę ci.

Idziemy chodnikiem, wzdłuż którego rosną palmy. Widzę drogowskazy z jaskrawymi strzałkami. Na jednym widnieje napis BASEN. Na innym DOBRE JEDZENIE. Na kolejnym PROMENADA. Podążamy za tym ostatnim i Nicky Fisher milknie. Czuję, że mnie obserwuje. Kiedy wychodzimy na otwartą przestrzeń, już rozumiem dlaczego. Chce zobaczyć moją reakcję.

W obie strony jak okiem sięgnąć ciągnie się promenada.

Jest olbrzymia i choć bardzo próbuje wyglądać na starą, jest zbyt elegancka i czysta. Kolejna disnejowska reprodukcja, która wygląda ładnie, ale zarazem przypomina plan ze starego odcinka *Strefy mroku*. Stoją przy niej kolejki górskie, salony gier, automaty z napojami gazowanymi, tandetne sklepiki i karuzela. Kolejki górskie działają, ale nikt z nich nie korzysta, co upodabnia to miejsce do miasta duchów. Wąsaty mężczyzna w muszce sprzedaje watę cukrową. Ktoś ma na sobie kostium ogromnego fistaszka. Szyld zaprasza na flippery i minigolfa.

– Promenady – odzywa się Nicky Fisher. – W liczbie mnogiej. Wzorowaliśmy się głównie na Revere Beach, ale mamy tu rzeczy także rodem z Coney Island, Atlantic City, a nawet Venice Beach w Kalifornii. Jak widzisz, są kolejki górskie i diabelski młyn, chociaż trochę łagodniejsze niż dawniej, w końcu mamy stare kości. – Trąca mnie w rękę z przyjacielskim uśmiechem. – Fantastyczne, prawda? Zupełnie jakby każdego dnia były wakacje. No i właściwie czemu nie? Zapracowaliśmy sobie na to.

Patrzy na mnie, zapewne szukając poparcia. Staram się potakiwać, ale nie jestem pewien, czy okazuję wystarczająco dużo entuzjazmu.

– No i popatrz na główną atrakcję, David. To tutaj. Żałuję, że twój staruszek nie może tego zobaczyć. Wiem, wiem, Lenny i ja przez całe życie byliśmy wrogami, ale nie powiesz mi, że nie byłby zachwycony.

Wskazuje białą budkę zwieńczoną napisem PIZZERIA NAPOLITANA. Za ladą stoi trzech mężczyzn w białych fartuchach. Kolejna tabliczka informuje: *Najlepsza włoska kuchnia* i zachwala jakiś napój o nazwie *tonik C.B. Coate'a*.

Patrzę na staruszkę pytająco.

– To stara budka z pizzą z Revere Beach, która później przekształciła się w pizzerię U Sala! – wykrzykuje. – Jesteś w stanie w to uwierzyć? Właśnie tak wyglądała w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Siadaj. Zamówiłem dla nas po kawałku. Lubisz pizzę, prawda? – Nicky Fisher mruga do mnie, przez co wygląda niezwykle oblesnie. – Jeśli nie lubisz pizzy od Sala, to Joey zaraz wpakuje ci kulkę w głowę, żebyś się dłużej nie męczył na tym świecie.

Śmieje się ze swojego żartu i klepie mnie w plecy.

Siadamy pod parasolem. Dwa wiatraki plują na nas zimnym powietrzem. Jeden z mężczyzn w fartuchu przynosi nam po małej pizzy. Potem zostawia nas samych.

– Jak się czuje twój staruszek? – pyta Nicky Fisher.

– Umiera.

– Tak, słyszałem. Przykro mi.

– Dlaczego tu jestem, panie Fisher?

– Mów mi Nicky. Wujku Nicky.

Nie odpowiadam, ale nie mam zamiaru nazywać go wujkiem.

– Jesteś tutaj, ponieważ musimy o czymś porozmawiać – oznajmia.

Nicky Fisher brzmi jak filmowy gangster. Znam wielu prawdziwych twardzieli. Żaden tak nie mówi. Zawodowy zabójca, który odsiaduje dożywocie w Briggs, powiedział mi, że prawdziwi gangsterzy zaczęli tak mówić, kiedy filmy o gangsterach stały się popularne, a nie odwrotnie. Życie naśladuje sztukę.

– Zamieniam się w słuch – mówię.

Nachyla się i patrzy mi w oczy. Wreszcie docieramy do sedna. Jest cicho. Nawet muzyka z głośników umilkła.

– Twojego ojca i mnie wiele dzieliło.

– Był policjantem, a pan dowodził przestępczym syndykatem – zauważam.

– Przestępczym syndykatem. – Nicky chichocze. – Eleganckie określenie. Twój ojciec też nie był nieskazitelny. Wiesz o tym, prawda?

Postanawiam nie odpowiadać. Jeszcze przez chwilę wpatruje się we mnie, a ja czuję dreszcz na plecach pomimo panującego upału.

– Kochasz swojego staruszka? – pyta Nicky.

– Bardzo.

– Był dobrym ojcem?

– Najlepszym – odpowiadam. – Z całym szacunkiem, Nicky... ale dlaczego mnie tu sprowadziłeś?

– Ponieważ ja też mam synów – odpowiada burkliwym tonem. – Wiesz o tym?

Wiem... i już jestem pewien, że nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszę.

– Trzech. A przynajmniej było ich trzech. Wiesz o Mikeyu?

Owszem. Mikey Fisher zmarł w więzieniu dwadzieścia lat wcześniej.

To mój ojciec go tam posłał.

Nicky Fisher upewnia się, że patrzę mu w oczy.

– Czy zaczynasz rozumieć, o co chodzi, synu?

Obawiam się, że tak.

– Mój ojciec zamknął twojego syna w więzieniu, więc odpłaciłeś mu się tym samym.

– Blisko.

Czekam.

– Jak już wspomniałem, twój ojciec nie był nieskazitelny. On i jego partner Mackenzie aresztowali Mikeya za zabójstwo Szczęściarza Cravera. Mój syn miał go tylko poturbować, ale często zdarzało mu się posunąć za daleko. Znałeś Szczęściarza?

– Nie.

– Nazywali go tak, ponieważ przez całe życie miał pecha. Jak widać, do samego końca. W każdym razie twój ojciec aresztował Mikeya. Normalna sprawa. Problem w tym, że nie był w stanie niczego mu udowodnić. Wszyscy wiedzieli, że Mikey to zrobił, ale przed sądem potrzebne są dowody, prawda?

Nie odzywam się.

– Twój tata solidnie się napracował, nie można mu tego odmówić. Znalazł kluczowych świadków. Nakłonił do zeznawania byłą Szczęściarza. Ale policja musi przestrzegać zasad, a mnie to nie dotyczy. Dlatego posłałem swoich ludzi, żeby pogadali ze świadkami. Ludzi takich jak twój kumpel Skunks. Świadkowie nagle zaczęli mieć problemy z pamięcią. Wiesz, o czym mówię?

– Wiem.

– Była Szczęściarza okazała się bardziej uparta, ale z tym także sobie poradziliśmy. W policyjnym archiwum znajdowało się kilka dowodów. Anielski pył. Młotek. Wszystkie zniknęły. Puf! Z tego powodu twój ojciec nie mógł przyskrzynić mojego syna. Na pewno bardzo go to frustrowało.

Nie poruszam się. Prawie nie oddycham.

– I wtedy on i Mackenzie przekroczyli granicę. Nagle pokazali nowe dowody. Nie muszę tłumaczyć, skąd je wzięli. To bez znaczenia. W każdym razie podłożyli fałszywe dowody, przez które Mikey trafił za kraty.

Nicky Fisher odgryza kęs pizzy, rozkoszuje się nim i odchyła się na oparcie krzesła.

– Nie jesz?

– Słucham.

– Nie potrafisz robić tych dwóch rzeczy jednocześnie? – Nie przestaje żuć. – Rozumiem. Chcesz poznać dalszy ciąg, ale chyba już się go domyślasz. Mój Mikey poszedł do paki, to jednak nie było takie straszne. Załatwiłem z zaprzyjaźnionym sędzią kasację wyroku. Powiedziałem młodemu, żeby przez kilka tygodni się nie wychylał. Niestety, nie dał rady się powstrzymać. Mój Mikey był miłym chłopcem,

ale narwańcem. Myślał, że jest twardzielem, ponieważ jego ojciec to prawdziwa szycha. I wdał się w bójkę z dwoma osiłkami. Członkami gangu z Dorchesteru. Jeden z nich przytrzymał go za ręce, a drugi wbił mu kosę w serce. Wiesz o tym, prawda?

– Tak. To znaczy... słyszałem o tym.

Nicky Fisher zaczyna podnosić pizzę do ust, ale wspomnienia odbierają mu siły. Spuszcza wzrok. Jego oczy lśnią. Kiedy znów się odzywa, słyszę w jego głosie smutek, gniew, surowość.

– Tamci dwaj goście... Nie chcesz wiedzieć, co im zrobiłem. To nie była szybka śmierć, tyle mogę ci powiedzieć.

Czekam, aż powie coś więcej, ale milczy.

– Skrzywdziłeś mojego syna? – pytam.

– Nie, już ci mówiłem. Nie robię takich rzeczy. Nawet nie miałem pretensji do twojego ojca. Przynajmniej nie wtedy. Ale lata mijają. W końcu przeczytałem o tym, że zabiłeś syna...

– Nie zabiłem...

– Ciii, David, wysłuchaj mnie. Na tym polega problem z wami, młodymi. Nie potraficie słuchać. Chcesz poznać dalszy ciąg czy nie?

Odpowiadam, że chcę.

– Jak już mówiłem, twój tata nie miał oporów przed nagięciem przepisów do swoich potrzeb. Tak jak w sprawie Mikeya. Obaj wiemy, że wielu gliniarzy tak robi. Podrzucają narkotyki na podłogę samochodu. Mają przy sobie nielegalną broń, jeśli potrzebują pretekstu, żeby kogoś odstrzelić. Wiesz, jak jest. Więc kiedy usłyszałem o twoim synu... Jak on miał na imię?

– Matthew – odpowiadam i przełykam ślinę.

– No tak, przepraszam. Kiedy Matthew został zamordowany, jeden z policjantów znalazł kij baseballowy w twojej piwnicy.

Krzywię się.

– Wcale nie znaleźli go w mojej piwnicy.

– Ależ tak.

Kręcę głową.

– Schowałeś go tam. W przewodzie wentylacyjnym czy jakiejś rurze.

Wciąż kręcę głową, ale chyba wiem, do czego Fisher zmierza. Domyślałem się tego od chwili, gdy tu usiedliśmy.

– O czym to ja mówiłem? A, tak, kij baseballowy. Jeden z gliniarzy znalazł go w twojej piwnicy. To nowy funkcjonariusz. Chyba nazywa się Rogers. Sam nie wiem, dlaczego zapamiętałem jego nazwisko. W każdym razie Rogers chciał się zaprzyjaźnić z twoim staruszkiem. Cienka niebieska linia i tak dalej. Dlatego powiedział mu o kiju. Twój tata zrozumiał, że to gwóźdź do twojej trumny i że będziesz żywym trupem, jeśli prokurator się o tym dowie. Musiał chronić syna. Ale przecież nie mógł całkowicie pozbyć się kija. To byłaby przesada.

Nicky Fisher szeroko się uśmiecha. Ma sos pomidorowy na dolnej wardze.

– Chyba już zgadujesz, co zrobił twój tata? No dalej, David, powiedz mi.

– Uważasz, że podrzucił ten kij w lesie.

– Nie uważam, ja to wiem.

Nie próbuję protestować.

– To był sprytny pomysł. Gdybyś był zabójcą, kij wciąż znajdowałby się w piwnicy, w przewodzie wentylacyjnym albo innym miejscu. Ale jeśli zabójstwa dokonał ktoś inny, to musiał uciec i wyrzucić albo zakopać narzędzie zbrodni gdzieś w pobliżu.

Kręcę głową.

– Wcale tak nie było.

– Ależ owszem. To ty zabiłeś syna, David. Potem ukryłeś broń, zamierzając pozbyć się jej, kiedy nadarzy się okazja. – Nachyla się nad stolikiem i znów posyła mi uśmiech. Ma cienkie, szpiczaste zęby. – Ojcowie i synowie. Jesteśmy tacy sami. Zrobiłbym wszystko, żeby Mikey nie poszedł do więzienia, chociaż wiedziałem, że jest winny. Twój ojciec był taki sam.

Ponownie kręcę głową, ale jego słowa cuchną prawdą. Ojciec, człowiek, którego kochałem najbardziej na świecie, wierzył, że zabiłem syna. Ta myśl przesywa mi serce.

– Prokurator okręgowy miał problem – ciągnie Nicky Fisher. – Tamtej nocy padał deszcz. W lesie było mnóstwo błota. Ludzie z laboratorium sprawdzali twoje buty i ubrania. Żadnych śladów błota ani ziemi. Dlatego podrzucenie kija do lasu pomogło utrzymać cię na wolności. Wcale mi się to nie spodobało, jak się pewnie domyślasz.

Kiwam głową, ponieważ już wszystko rozumiem.

– Więc namówiłeś Hilde Winslow, żeby zeznała, że widziała, jak zakopuję kij.

– Otóż to.

– Wrobiłeś mnie.

– Owszem.

– Ponieważ chciałeś się zemścić za Mikeya?

Nicky Fisher wskazuje na mnie palcem.

– Jeszcze raz wypowiesz imię mojego syna, a wyrwę ci język i zjem go razem z pizzą.

Milczę.

– No i naprawdę nie słuchałeś, co do ciebie mówiłem – rzuca, uderzając pięściami w blat. Dwa oprychy patrzą na nas, ale nie podchodzą. – To nie miało nic wspólnego z zemstą. Zrobiłem to, ponieważ tak należało postąpić.

– Nie nadążam.

– Zrobiłem to, ponieważ zamordowałeś swoje dziecko, ty chory sukinsynu – mówi przez zaciśnięte zęby, a jego głos brzmi naprawdę groźnie.

Nie wierzę w to, co słyszę.

– Twój staruszek o tym wiedział. Ja też. Być może miałeś zaćmienie, amnezję albo coś w tym rodzaju. Kogo to obchodzi? Ale prokurator okręgowy miał cię na widelcu. A potem twój ojciec, wielokrotnie odznaczany policjant, który posłał za kratki mojego syna na podstawie fałszywych dowodów, postarał się, żeby uszło ci

to na sucho. Widziałeś kiedyś figurkę Iustitii? Twój ojciec położył palec na jednej z szalek, więc ja przywróciłem równowagę. Już rozumiesz?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Sprawiedliwości stało się zadość. Poszedłeś za kratki, tak jak powinieś. Kosmiczna równowaga została zachowana. Ale pozostaje jeden problem. Mój syn, mój Mikey, wciąż nie żyje. A ty żyjesz, oddychasz i wpierdalasz pizzę.

Cisza. Grobowa cisza. Zupełnie jakby wszyscy na promenadzie zamarli.

– A więc staję przed wyborem. – Nicky mówi cichszym głosem, ale jego słowa przecinają wilgotne powietrze jak kosa żniwiarza. – Czy mam odesłać cię do więzienia... dożywocie jest równie dobre jak śmierć... czy zabić cię samemu i kazać swoim chłopcom, żeby rzucili cię aligatorom?

Zaczyna wycierać dłonie serwetką, jakby już skończył.

– Mylisz się – mówię.

– W jakiej sprawie?

– Zrobiłeś coś innego niż mój tata.

– To znaczy?

Ryzykuję ponowne wypowiedzenie tego imienia.

– Mikey popełnił tę zbrodnię. Sam to powiedziałeś.

Nicky Fisher prychnął.

– Zaraz mi powiesz, że ty jesteś niewinny?

Macha prawą dłońią do swoich oprychów, a oni ruszają w naszą stronę. Rozważam ucieczkę. Może udałoby mi się wmieszać w tłum. Chyba mnie tu nie zastrzelą? Ale obawiam się, że ucieczka się nie uda, więc próbuję innego podejścia.

– Nie tylko jestem niewinny – odpowiadam, patrząc prosto w te bezduszne niebieskie oczy. – Ale w dodatku mój syn żyje.

Potem mu opowiadam.

Opowiadam o wszystkim. Mówię z pasją i determinacją, które zaskakują nawet mnie. Nicky Fisher odsyła swoich ludzi na ich posterunki. Mówię dalej. On nie daje po sobie niczego poznać. Potrafi ukrywać emocje.

Kiedy kończę, ponownie bierze do ręki serwetkę. Przez chwilę się jej przygląda. Nie śpieszy się, składa ją na pół, potem jeszcze raz, aż w końcu odkłada ją na stół.

– Co za zwariowana historia – mówi.

– Ale prawdziwa.

– Mój syn nadal nie żyje.

– Nic na to nie poradzę.

– Rzeczywiście, nic nie poradzisz. – Kręci głową. – Naprawdę w to wierzysz.

Nie wiem, czy zadaje pytanie, czy stwierdza fakt. Kiwa głową.

– Wierzę.

– A ja nie. – Zaczynają mu drżeć usta. – Myślę, że to stek bzdur.

Moje serce przestaje bić. Nicky odchyła się na oparcie krzesła, pociera twarz, mruga. Spogląda w stronę wąskiego zbiornika wodnego, który stanowi żalostną namiastkę oceanu.

– Ale kilka rzeczy mi się tutaj nie zgadza – dodaje.

– Na przykład?

– Na przykład Philip Mackenzie.

– Co ci nie pasuje?

– Pomógł ci uciec z więzienia. Wiem, że to akurat jest prawdą. A więc zadaję sobie pytanie: dlaczego? Nie zrobiłby tego tylko po to, by pomóc twojemu ojcu. No i dlaczego teraz? A to budzi kolejne pytania. – Zaczyna bębnić palcami o blat. – Po ucieczce mogłeś zapaść się pod ziemię, spróbować rozpocząć nowe życie. Ale nie zrobiłeś tego. Jak wariat pobiegłeś prosto do tej kobiety, która złożyła fałszywe zeznania. Po co? A po spotkaniu z nią jak prawdziwy głupek... a raczej samobójca... postanowiłeś skontaktować się z moimi ludźmi w Revere. I to ze Skunksem.

Nie przerywam mu. Pozwalam, żeby mówił dalej.

– Oto mój problem, David. Jeśli mówisz prawdę, to pomogłem posłać cię do więzienia za zbrodnię, której nie popełniłeś. Zazwyczaj nie mam z tym problemu.

Wiele razy pozwalaliśmy, żeby inni podkładali się za nas. Ale nie w takiej sprawie. Utrata dziecka jest wystarczająco straszna. Lecz jeśli dodatkowo trafia się do więzienia za jego zabicie? Sam nie wiem. W tej chwili mi się to nie podoba. Myślałem, że przywracam równowagę. Szukałem sprawiedliwości dla siebie, Mikeya i... świata. Wiesz, o co mi chodzi?

Waha się, czekając na moją odpowiedź. Powoli kiwam głową.

– Byłem pewien, że to zrobiłeś. Ale jeśli to nieprawda, a twój syn jakimś cudem wciąż żyje...

Nicky Fisher kręci głową. Potem wstaje. Ponownie spogląda w stronę pasa wody. Jego oczy lśnią, a ja wiem, że myśli o synu.

– Możesz odejść – mówi. – Moi ludzie odstawią cię samolotem, dokąd tylko zechcesz.

Nie patrzy na mnie, kiedy to mówi. Nie ryzykuję odpowiedzi.

– Jestem już stary – dodaje. – Popełniłem wiele błędów. Pewnie popełnię jeszcze kilka, zanim odejdę. Nie staram się uporządkować spraw z tym gościem na górze. Na to jest za późno. Myślę, że to miejsce... to dla mnie coś więcej niż nostalgia. Czasami mam wrażenie, że próbuję zacząć od nowa. Wiesz, o co mi chodzi?

Nie wiem. Nie do końca.

– Jeśli twój ojciec poczuje się lepiej, chciałbym go tutaj zabrać. Jako gościa. Chciałbym usiąść tutaj i zjeść z nim pizzę. Myślę, że obu nam by się to spodobało, prawda?

Nie sądzę, ale ponownie zachowuję tę myśl dla siebie.

Potem Nicky Fisher zostawia mnie samego.

Rozdział 29

– Pozwoliłem, żeby właściciel sam wybrał dla nas jedzenie – powiedział Hayden. – Mają tutaj najlepsze tapas.

Rachel pokiwała głową, starając się nie sprawiać wrażenia zbyt zdenerwowanej. Przełączyła telefon na wibracje i miała nadzieję, że lada chwila się odezwie. David zbyt długo nie wracał. Czuła w piersi wzbierający lęk, że go złapali albo przytrafiło mu się coś jeszcze gorszego. Odepchnęła te myśli i popatrzyła w zielone oczy Haydena. Miał na sobie spodnie khaki i niebieską sportową marynarkę z jakimś herbem na piersi, czyli typowy strój kogoś, kto nie musi pracować. Przerzedzone włosy przywarły mu do czaszki. Wciąż był przystojny i wyglądał chłopczo, ale wyraźnie złagodniał. Podbródek lekko mu obwisł. Cera zrobiła się bardziej rumiana. Zmieniał się w jeden z rodzinnych portretów, które wisiały w Muzeum Payne'ów.

Wymienili uprzejmości. Hayden skomentował jej nową fryzurę. Twierdził, że mu się podoba, ale nie brzmiał szczerze. Kiedyś napisała mu w mailu o swoim rozwodzie, więc nie musieli poruszać tego tematu. Hayden kilka lat temu odkrył, że ma syna z włoską aktorką filmów klasy B, z którą spotykał się przed kilku laty – chłopca o imieniu Theo – i teraz pomagał go wychowywać i utrzymywać. Spędził większość ostatnich lat w Europie, gdzie miał doglądać interesów rodziny, chociaż Rachel podejrzewała, że raczej jeździł na nartach w Sankt. Moritz i imprezował na Riwierze Francuskiej.

Może nie traktowała go zbyt sprawiedliwie.

Kiedy zeszli na temat historii, która zrujnowała jej karierę dziennikarską, Hayden stwierdził:

– Chciałaś dopaść starego wroga.

- Posunęłam się za daleko.
- To zrozumiałe.
- Wiem, że powinnam była ci powiedzieć...

Lekceważąco machnął ręką. Hayden uczestniczył w tamtym halloweenowym przyjęciu na Uniwersytecie Lemhall; byli wtedy na pierwszym roku. Poznali się przy beczce z piwem. Trochę flirtowali. Rachel wiedziała, kim jest Hayden Payne – wszyscy na uczelni znali przedstawicieli najbogatszych rodzin – i dobrze się przy nim bawiła. Hayden był uroczy i miły, ale nie zaiskrzyło między nimi.

Przebrała się za Morticię Addams i zapewne trochę za dużo wypła. Ale nie na tym polegał problem. Później dowiedziała się, że ktoś dosypał jej czegoś do drinka, a mniej więcej dwie godziny po poznaniu Haydena straciła kontakt z rzeczywistością. Do dzisiaj było jej głupio, że pomimo licznych ostrzeżeń nie pilnowała swojej szklanki.

W przyjęciu brał udział pewien młody wykładowca przedmiotów humanistycznych, Evan Tyler, którego matka była członkinią rady uczelni. To on dosypał Rachel narkotyku do drinka. Resztę wieczoru pamiętała jak przez mgłę. Powracały do niej niewyraźne obrazy, jakby widziane przez zasłonę – jej rozerwane ubranie, jego kręcone włosy, jego usta przywierające do jej ust. Czuła na sobie ciężar Evana Tylera, który miażdżył ją i przyduszał. Próbowwała się sprzeciwić, wzywać pomocy, odepchnąć go.

Ten obraz wyrył się jej w mózgu. Evan Tyler. Leżący na niej. Szaleńczo uśmiechnięty. Wciąż widywała go w snach, ale pojawiał się także na jawie, jak paskudny pajacyk wyskakujący z pudełka, który straszył ją, gdy zaczynała się czuć odprężona. Nawet teraz. Nawet po tylu latach jego wizerunek – z szaleńczym uśmiechem – stale jej towarzyszył, szedł kilka kroków za nią, drażnił ją, a czasami stukał ją w ramię, gdy odzyskiwała pewność siebie. Był przy niej dniem i nocą od wielu lat, podsycając w niej złość, zachęcając do coraz cięższej pracy, do pisania artykułów, szukania sprawiedliwości, wymazania tego paskudnego uśmiechu, wywierania presji na wszystkich, także na Catherine Tullo...

Ale wtedy, tamtego straszliwego wieczoru w Halloween, gdy nie mogła oddychać i groziło jej coś znacznie gorszego – choć może straciłaby przytomność i o wszystkim zapomniała – Evan Tyler nagle zniknął.

Ciężar na jej piersi zelżał. Tak po prostu. Puf! – i zniknął.

Ktoś powalił jej napastnika.

Rachel usiłowała usiąść, ale impulsy z jej mózgu wciąż nie docierały do mięśni. Leżała z bezwładnie zwieszoną głową i słyszała pierwotny wrzask Haydena, który zaczął okładać Tylera pięściami, rozbryzgując krew po całym pokoju. Nie odpuszczał nawet na chwilę i Rachel była pewna, że Evan Tyler straciłby życie, gdyby dwaj inni chłopcy nie usłyszeli zamieszania i nie odciągnęli Haydena.

Evan Tyler spędził kolejne dwa tygodnie w śpiączce.

Rachel i tak zamierzała złożyć pozew, zwłaszcza gdy dowiedziała się, że nie była jego pierwszą ofiarą, ale uczelnia chciała wszystko zatuszować. Tyler był w śpiączce i miał strzaskaną twarz, więc czekało go wielomiesięczne leczenie. Chyba wystarczająco dużo wycierpiał? Jego matka była wpływową kobietą. Czy Rachel naprawdę chce zrujnować reputację uczelni? Czemu to ma służyć?

Rachel o to nie dbała.

Ale obchodził ją Hayden.

Na tym polegał problem. Pobicie wykraczało poza granice obrony koniecznej, a chociaż majątek Payne'ów gwarantował Haydenowi lądowanie na cztery łapy, rodzina z oczywistych powodów wolała uniknąć rozgłosu. Dlatego zawarto ugody i pieniądze przeszły z rąk do rąk.

Sprawa załatwiona dla większego dobra. Koniec. Życie toczy się dalej.

Tylko że wizja Evana Tylera, który później został rektorem uczelni, pozostała wyryta w jej mózgu.

Rachel i Hayden zostali przyjaciółmi. Tak się często dzieje, gdy dwoje ludzi połączy tragedia, tajemnica albo, jak w ich wypadku, jedno i drugie.

Kiedy David i Cheryl poznali Haydena podczas wizyty na Uniwersytecie Lemhall, David odciągnął Rachel na bok.

– Ten facet jest w tobie zakochany.

– Wcale nie.

– Być może zadowala się twoją przyjaźnią, ale dobrze wiesz, że mam rację.

Rzeczywiście o tym wiedziała, ale w tamtych czasach tak się zaczynało dziewięćdziesiąt procent damsko-męskich przyjaźni na kampusie. Facet ma na ciebie oko, chce się z tobą przespać, nie udaje mu się, zadowala się przyjaźnią, napięcie ustępuje. Tak czy inaczej, ona i Hayden zostali swoimi powiernikami i wkrótce wiedzieli o sobie tak wiele, że już nie mogliby zacząć się umawiać, nawet gdyby chcieli.

Kelner przyniósł talerz i postawił go pomiędzy nimi.

– Paella z homarem – oznajmił.

Hayden uśmiechnął się do niego.

– Dziękuję, Ken.

Jedzenie pachniało cudownie.

Hayden wziął do ręki widelec.

– Zaczekaj, aż spróbujesz – powiedział.

– Nie zadzwoniłam do ciebie w sprawie Lemhall ani tamtego artykułu.

– Naprawdę?

– Czy Payne Industries organizowała jakąś imprezę dwudziestego siódmego maja w parku rozrywki Six Flags?

Zmarszczył czoło. Wciąż nosił sygnet uczelni z tandetnym fioletowym kamieniem i herbem. Rachel nigdy nie rozumiała dlaczego. Teraz właśnie się nim bawił i go obracał, jakby w ten sposób pozbywał się stresu. Może właśnie tak było. Mimo wszystko sygnet wydawał się jej przesadą. Ona chciała zapomnieć o Lemhall. Hayden najwyraźniej z jakiegoś powodu pragnął o nim pamiętać.

– Dwudziestego siódmego maja? – powtórzył. – Naprawdę nie wiem. A co?

Wyjęła telefon, otworzyła galerię i pokazała mu zdjęcie rodziny stojącej przed planszą z logo. Hayden wziął komórkę do ręki i uważnie przyjrzał się fotografii.

– Jak widać, tak właśnie było – powiedział i oddał jej telefon. – Dlaczego pytasz?

– Czy to była impreza firmowa?

– Pewnie tak. Zazwyczaj kupujemy całą pulę biletów na stadion, do kina albo parku rozrywki. To atrakcja przeznaczona dla naszych pracowników i klientów. Potrzebujesz tego do artykułu, nad którym pracujesz?

– Macie tam swoich fotografów? – drążyła.

– Raczej tak.

– Taki fotograf zapewne robił ludziom zdjęcia na tle tej planszy?

– Bardzo możliwe. O co ci chodzi, do diabła?

– Możesz mi załatwić wszystkie zdjęcia z tego dnia?

W oczach Haydena na chwilę zapłonął ogień.

– Słucham?

– Muszę je przejrzeć.

– Podczas takich firmowych imprez czasami wynajmuje się połowę parku – zaczął. – Mogło tam się pojawić pięć albo dziesięć tysięcy osób. Czego szukasz?

– Nie uwierzyłybyś mi, gdybym ci powiedziała.

– Mimo to powiedz – odrzekł. – Podejrzewam, że to ma coś wspólnego z ucieczką twojego szwagra z więzienia.

– Owszem.

– Chyba wciąż się w nim nie podkochujesz?

– Co? Nigdy nie podkochiwałam się w Davidzie.

– Bez przerwy o nim mówiłaś.

– Zachowujesz się, jakbyś był zazdrosny.

Uśmiechnął się.

– Być może byłem.

Nie miała ochoty wkraczać na pole minowe.

– Ufasz mi? – spytała.

– Wiesz, że tak.

– Zdobędziesz dla mnie te zdjęcia?

Upił łyk wody ze szklanki.

– Tak.

– Dziękuję.

– Coś jeszcze? – spytał.

Dobrze go znała.

– Kolejna przysługa będzie bardziej problematyczna.

Kelner przyniósł drugą potrawę.

– Szynka iberyjska z kawiozem.

Hayden uśmiechnął się do niego.

– Dziękuję, Ken.

– Smacznego.

– Będiesz zachwycona – zapewnił Hayden. Nałożył na jej talerz nieco paelli. Pachniała fantastycznie, ale Rachel na razie ignorowała jedzenie. Hayden odgryzł kęs szynki i zamknął oczy, jakby rozkoszował się jej smakiem. Po chwili je otworzył. – Co to za przysługa?

– Na tej planszy w tle znajduje się logo Instytutu Reprodukcyjnego Berga.

– To ma sens – przyznał Hayden. – Są jedną z naszych spółek holdingowych.

Wiesz o tym.

– Tak, wiem.

– A więc?

– Dziesięć lat temu umówiłam się na wizytę w jednej z ich klinik.

Hayden znieruchomiał w trakcie jedzenia.

– Słucham?

– Zadzwoiłam do Barb. – Barb Matteson była wtedy kierowniczką instytutu. –

Przedstawiłeś nas sobie.

– Pamiętam. Podczas rodzinnego przyjęcia świątecznego.

- Zgadza się.
 - Nie rozumiem. – Hayden odłożył widelec. – Po co umówiłaś się na wizytę?
 - Powiedziałam jej, że interesuje mnie możliwość zajścia w ciążę z wykorzystaniem dawcy nasienia.
 - Mówisz poważnie?
 - O umówieniu wizyty? Tak. Ale nie skorzystałam z tej możliwości.
 - Nie nadążam, Rachel.
 - Zapisałam na wizytę Cheryl.
 - Okej – odpowiedział powoli. – Nadal nic nie rozumiem.
 - Nie chciała, żeby David się dowiedział.
 - Aha.
 - No właśnie.
 - Więc Cheryl zapisała się pod twoim nazwiskiem, żeby ukryć to przed mężem?
 - Otóż to.
- Hayden przechylił głowę.
- Zdajesz sobie sprawę, że to zapewne wbrew prawu.
 - Wcale nie, ale etycznie to wątpliwa sytuacja. W każdym razie Cheryl zapisała się pod moim nazwiskiem. Użyła mojego dokumentu tożsamości. Wyglądamy podobnie. Rachunki przyszły do mnie.
 - Rozumiem.
 - Nawet zapisałam Cheryl do waszego oddziału satelickiego w Lowell... na wypadek gdyby Barb pojawiła się w tym bostońskim.
 - Wszystko po to, żeby twoja siostra nie musiała mówić prawdy mężowi?
 - Tak.
 - Ciekawe.
 - Przeżywała trudne chwile. Sądziłam, że to tylko niewinna przysługa.
 - Wcale nie brzmi niewinnie – odparł Hayden. – David się dowiedział?

– Tak.

– Pewnie był na ciebie wściekły.

– Nie dowiedział się o moim udziale.

– Ale wie, że Cheryl odwiedziła bank nasienia.

– Tak.

– A ty nigdy nie powiedziałaś mu o swojej roli w tym... Czy mam to nazywać „oszustwem”?

– Nigdy mu nie powiedziałam – potwierdziła Rachel cicho.

Pojawił się kelner i nalał im wina, a kiedy odszedł, Hayden spytał:

– Czego chcesz teraz?

– David uważa, że to nie jest zbieg okoliczności.

– Co nie jest zbiegiem okoliczności?

– Uznasz, że to wariactwo.

– Już przekroczyliśmy tę granicę, Rachel.

– On sądzi... to znaczy oboje sądzimy... – To brzmiało tak absurdalnie, że Rachel przez chwilę nie potrafiła dokończyć myśli. – Sądzimy, że Matthew był w tym parku rozrywki razem z waszą grupą.

Hayden gwałtownie zamrugnął, jakby ktoś go spoliczkował. Po chwili odchrząknął.

– Kim jest Matthew?

– Moim siostrzeńcem – wyjaśniła. – Synem Davida.

Kolejne mrugnięcia.

– Tym, który został zamordowany?

– Właśnie o to chodzi. Myślimy, że on żyje.

Rachel ponownie wręczyła Haydenowi telefon, tym razem ze zdjęciem domniemanego Matthew.

– To ten chłopiec w tle, którego ktoś trzyma za rękę.

Hayden zbliżył telefon do oczu. Za pomocą dwóch palców spróbował powiększyć obraz. Rachel czekała. On mrużył oczy.

– Zdjęcie jest takie zamazane – powiedział.

– Wiem.

– Chyba nie myślisz naprawdę, że...

– Nie jestem pewna.

Zmarszczył czoło.

– Rachel.

– Wiem. To szaleństwo. To wszystko jest szaleństwem.

Hayden pokręcił głową. Oddał jej telefon, jakby go parzył.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Czy możesz mi wysłać wszystkie zdjęcia z Six Flags?

– Po co?

– Żebyśmy mogli je przejrzeć.

– Czego będziecie szukać?

– Innych ujęć tego chłopca.

Pokręcił głową.

– Tego rozmazanego chłopca, który wygląda jak miliony innych?

– Nie spodziewam się, że zrozumiesz.

– Masz rację.

– Ale czy możesz nam pomóc? Ze względu na mnie?

Hayden westchnął.

– Tak, oczywiście.

Rozdział 30

Jak większość porządnym przesłuchujących Max stosował różnorodne taktyki. Obecnie najskuteczniejszą metodą było wytrącenie z równowagi. Wspólnie z Sarah starali się zalewać podejrzanych falą nieustannie ewoluujących oskarżeń, żartów, wyrazów obrzydzenia, nadziei, sympatii i sceptycyzmu, a także grózb i propozycji współpracy. Odgrywali dobrego i złego policjanta, po czym nagle zamieniali się rolami, a czasami oboje byli dobrzy albo źli.

Chaos, kochanie. Zaprowadźmy chaos.

Zasypywali podejrzanych lawiną pytań, a potem długo milczeli. Jak najlepsi ligowi miotacze – baseball był jedynym sportem, który Max choć trochę rozumiał – co chwilę zmieniali technikę rzutu; posyłali na zmianę wolne, szybkie albo podkrecone piłki.

Ale gdy Max zasiadł naprzeciwko naczelnika Philipa Mackenziego w narożnym boksie pubu McDermott's, postanowił zrezygnować z tych wszystkich taktyk. Nie było z nim Sarah. Nawet nie wiedziała, że tutaj przyszedł. Nie byłaby zachwycona – straszna z niej służbistka – a poza tym (trzymając się kiepskich baseballowych metafor) Max właśnie przymierzał się do rzutu obślinioną piłką, więc uznał, że jeśli ktoś ma wylecieć z boiska, niech to będzie on.

Mackenzie zamówił irlandzką whiskey Writer's Tears. Max zdecydował się na wodę sodową. Miał słabą głowę.

– Co mogę dla pana zrobić, agencie specjalny Bernstein? – spytał Mackenzie.

Max postanowił spotkać się z naczelnikiem w jego ulubionej speluncie, ponieważ nie zależało mu na przestraszeniu go ani zyskaniu nad nim przewagi. Wręcz przeciwnie.

– Potrzebuję pana pomocy w odnalezieniu Davida.

– Oczywiście – powiedział Mackenzie i nieco się wyprostował. – Ja też tego pragnę. W końcu był moim więźniem.

– I jest pana chrześniakiem.

– No cóż, tak. Tym bardziej chcę, żeby znalazł się cały i zdrowy.

– Wydaje mi się, że jak dotąd nikt się nie zorientował.

– O czym pan mówi?

– O łączącej was więzi. Ale mnie to także nie obchodzi. Obaj dobrze wiemy, że pomógł mu pan uciec.

Mackenzie uśmiechnął się i wypił spory łyk whiskey.

– Rozmawiał pan z moim prawnikiem. Nagranie z monitoringu potwierdza moją wersję. Burroughs trzymał broń...

– Rozmawiamy prywatnie. Nie nagrywam tego. Nie zastawiłem na pana pułapki. – Max położył telefon na obrzydliwie lepkim blacie.

– Ojej, pana telefon leży na stole. – Głos Mackenziego ociekał sarkazmem. – Niemożliwe, żeby mógł pan nagrywać tę rozmowę.

– Nie nagrywam jej. Myślę, że pan o tym wie. Ale na wypadek, gdyby ktoś słuchał, zaznaczmy, że to czysto hipotetyczna dyskusja.

Mackenzie zmarszczył czoło.

– Naprawdę?

– Posłuchaj, Phil, chcę, żeby to się odbyło w miłej atmosferze. Nie chcę uciekać się do gróźb, jasne? Wiesz, że przyskrzynię cię za udzielenie pomocy przestępcy. Będziesz załatwiony. Podobnie jak twój syn. Obaj traficie za kratki albo przynajmniej, jeśli naprawdę pokpię sprawę, stracie pracę i emeryturę. Będzie z wami kiepsko, a jeśli się wkurzę... a co gorsza, jeśli Sarah się wkurzy... będziecie mieli naprawdę przechlapane. Ona wpełźnie ci do tyłka i się tam zadomowi.

– Barwna wizja.

– Ale dzisiaj to wszystko mnie nie obchodzi. Dzisiaj chcę się dowiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Dlaczego teraz. Czysto hipotetycznie.

Mackenzie upił kolejny łyk.

– Wygląda na to, że ma pan jakąś teorię, agencie specjalny Bernstein.

– Owszem. Chciałbyś jej wysłuchać?

– Jasne.

– Davida Burroughsa przez lata nikt nie odwiedza. Aż tu nagle pojawia się jego szwagierka. Sprawdziłem, wcześniej nie wymieniali listów ani nie dzwonili do siebie. Widziałem nagranie z jej pierwszej wizyty. Burroughs nie wiedział, że to ona go odwiedzi. Na razie nadążasz?

– Jasne.

– Pokazała mu jakieś zdjęcie. Nie byłem w stanie dojrzeć, co przedstawia. Na tym polega problem. Ale kiedy Burroughs je widzi, wszystko się zmienia. Można to wyczuć na nagraniu. Po skończonej wizycie natychmiast się z tobą kontaktuje... również po raz pierwszy, odkąd zaczął odsiadkę. Pomożesz mi i powiesz, czego chciał?

– Już powiedziałem...

– Dobrze, nie chcesz pomóc. W takim razie słuchaj dalej. Po rozmowie z nim odwiedzasz dawnego partnera z policji, a tak się składa, że jest nim ojciec Burroughsa. Po powrocie pomagasz Burroughsowi uciec. Nie jestem pewien, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa bójka z Rossem Sumnerem. Nie wiem także, co myśleć o strażniku Tedzie Westonie. To jeden z twoich ludzi. Znasz go lepiej niż ja. W każdym razie Weston wynajął prawnika, kiedy dowiedzieliśmy się, że ktoś go przekupił. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Zaskoczony?

– Że wziął łapówkę?

– Tak.

Mackenzie upił kolejny łyk i wzruszył ramionami.

– Dobrze, nie musisz odpowiadać. Ale wyjaśnię ci, dlaczego to takie ważne. Nie sądzę, żeby Burroughs zaatakował Westona. Myślę, że było odwrotnie. To Weston próbował go załatwić. Bardzo dziwne. No i jeszcze jedno: Burroughs ucieka i w pierwszej kolejności jedzie do kluczowego świadka oskarżenia. Do staruszki, która po procesie zmieniła nazwisko i miejsce zamieszkania. Rozmawiałem z nią. Kłamie w kwestii tego, co Burroughs jej powiedział. Myślę, że z jakiegoś powodu go chroni.

Max rozłożył ręce.

– Poskładałem to wszystko w całość i wiesz, co mi wyszło, Phil?

– Co?

– Szwagierka Burroughsa, która kiedyś była doskonałą dziennikarką śledczą, znajduje coś, co może doprowadzić do jego uwolnienia. Przynosi mu to i pokazuje przez szybę. Burroughs idzie do ciebie. Mówi ci, co znalazła Rachel Anderson. Zgadzasz się pomóc. Problem w tym, że jesteś zbyt mądry, żeby działać pochopnie i pozostawić tak wiele przypadkowi. Dlatego przypuszczam, że atak Sumnera albo Westona, a może oba, zmusił cię do pośpiechu.

– Niezwykła historia, agencie specjalny Bernstein.

– Mów mi Max. Nie znam wszystkich szczegółów. Brakuje mi niektórych elementów. Ale obaj wiemy, że jestem blisko. Tylko że musimy złapać Davida, a ty dobrze to rozumiesz. Nie wiem, dlaczego ten nowy dowód nie może zostać przekazany prawnikowi, ale zakładam, że jest ku temu dobry powód.

Mackenzie wciąż niczego nie zdradził.

– A Sarah? Ona zawsze działa zgodnie z procedurami. Jeśli Burroughs został wrobiony, jeśli tego nie zrobił, nie jestem jak tamten gość w *Ściganym*... Pamiętasz ten film?

Mackenzie pokiwał głową.

– Pamiętam nawet serial.

– Serial był przed moimi czasami. Ale w jednej ze scen Harrison Ford mówi Tommy'emu Lee Jonesowi, który gra tropiącego go agenta federalnego: „Jestem

niewinny”. Pamiętasz, co odpowiada Tommy Lee Jones?

Mackenzie znów pokiwał głową.

– Odpowiada: „To mnie nie obchodzi”.

– Właśnie. Taka jest Sarah. Ma to gdzieś. Mamy zadanie do wykonania. Zatrzymać Burroughsa. Koniec kropka. Dlatego ty i ja spotykamy się w barze. W tej chwili się przed tobą odsłaniam. Mógłbyś przekazać im, co powiedziałem. Ale w odróżnieniu od Tommy’ego Lee Jonesa mnie to obchodzi. Jeśli Burroughs tego nie zrobił, chcę mu pomóc.

Naczelnik wziął do ręki szklankę i podniósł ją do światła.

– Załóżmy, że w większości miałby pan rację – powiedział.

Max poczuł, że tętno mu przyśpiesza.

– Ale załóżmy także, że prawdziwa historia jest dziwniejsza niż pana wersja wydarzeń – dodał Mackenzie.

– Jak to dziwniejsza?

– Załóżmy, że David tak naprawdę uciekł, ponieważ jego dziecko jest w niebezpieczeństwie.

Max sprawiał wrażenie zagubionego.

– Ma drugie dziecko?

– Niezupełnie.

– Możesz wyjaśnić?

Philip Mackenzie uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– Zróbmy tak. – Dopił whiskey i wyszedł z boksu. – Przygotujcie papiery dające mojemu synowi całkowitą nietykalność, a dokończymy tę rozmowę.

– A nietykalność dla ciebie?

– Nie zasługuję na nią – odparł Mackenzie. – Przynajmniej na razie.

• • •

Tych samych dwóch oprychów odstawia mnie do samolotu. Żadnych kajdanek, worka na głowie, szarpania. Kiedy stajemy na pasie startowym, odzywam się po raz pierwszy.

– Potrzebuję swojego telefonu.

Gość, który kazał mi „zamknąć ryj”, sięga do kieszeni i rzuca mi go.

– Nawet naładowałem – mówi.

– Dziękuję.

– Słyszałem, że pobiłeś gliniarza.

– Nie.

– W Nowym Jorku. Mówili w telewizji. Leży w szpitalu.

– Po prostu próbowałem uciec.

– Mimo wszystko... szacun.

– Właśnie – drugi oprych odzywa się po raz pierwszy. – Szacun.

„Dziękuję” wydaje się niewłaściwą reakcją, więc nic nie odpowiadam.

Wsiadamy na pokład tego samego samolotu i zajmujemy te same miejsca. Sprawdzam otrzymane wiadomości. Wszystkie oczywiście pochodzą od coraz bardziej spanikowanej Rachel.

Odpisuję: **Nic mi nie jest. Przepraszam. Wpadłem w pułapkę.**

Kropki zaczynają tańczyć. **Dowiedziałeś się czegoś ważnego?**

Muszę przyznać, że Rachel nie traci czasu na domaganie się pełnej relacji czy nawet szczegółów dotyczących tego, gdzie byłem. Wciąż jest skupiona.

Odpisuję: **Hilde Winslow nie doprowadzi nas do Matthew.**

Ślepy zaułek?

Mniej więcej.

Czekam, aż samolot wystartuje i wzniesie się na tyle, żebym mógł zacząć korzystać z wi-fi. Oglądam się przez ramię. Moi opiekunowie mają na uszach słuchawki i wpatrują się w telefony. Dzwonię do Rachel.

– Co to za hałas? – pyta. – Ledwie cię słyszę.

– Jestem w samolocie.

– Zaraz... Co takiego?

Nie możemy kontynuować bez choćby kilku szczegółów, więc przedstawiam jej niegroźną pobieżną relację z tego, co się wydarzyło, odkąd zostawiłem ją w Revere.

– A co u ciebie? – pytam. – Masz coś nowego?

Zapada cisza, a ja przez chwilę myślę, że połączenie zostało przerwane.

– Być może mam pewien trop – odpowiada w końcu. – Pamiętasz mojego starego przyjaciela, Haydena Payne’a?

Potrzebuję dłuższej chwili, żeby skojarzyć to nazwisko.

– To tamten bogaty gość, który się w tobie zadurzył? – Po chwili to do mnie dociera. – Chwileczkę, jego rodzina jest powiązana z tymi korporacjami, prawda?

– Należą do niej. Wszystkie wchodzi w skład grupy Payne’a.

Przez chwilę się nad tym zastanawiam.

– Kolejny dziwny zbieg okoliczności.

– Co masz na myśli?

Nie chcę, żeby zgubiła wątek.

– Ale co, mów, o co chodzi z tym Haydenem?

– Zorganizowali imprezę firmową w Six Flags. Właśnie wtedy zrobiono to zdjęcie. Poprosiłam go o wszystkie fotki z tamtego dnia.

– Uda nam się zdobyć także listę gości?

– Mogę zapytać, ale powiedział, że były tam tysiące ludzi.

– Od czegoś trzeba zacząć.

– Może masz rację. Ale firma nie wynajęła całego parku. Matthew mógł tam przyjść z kimś innym.

– Mimo wszystko warto spróbować.

– Wiem.

– Co jeszcze? – pytam.

– Lecisz z powrotem do Bostonu?

Odpowiada pytaniem na pytanie.

– Nie.

– Więc dokąd?

– Do New Jersey.

– Co tam jest?

– Cheryl. Muszę porozmawiać z nią twarzą w twarz.

Rozdział 31

– Proszę, powiedz, że żartujesz – rzuciła.

Max próbował wygrać z nią pojedynek na spojrzenia. Nigdy nie był w tym zbyt dobry. Jak już wspominał, uważał, że kontakt wzrokowy jest przereklamowany. Mimo wszystko nie ustępował. Nazywała się Lauren Ford i była szefową wydziału kryminalnego w Bostonie. W tej chwili to ona miała bardziej ogniste spojrzenie.

– Kiepski ze mnie żartowniś – odparł Max.

– Upewnijmy się, że dobrze zrozumiałam. – Lauren zaczęła chodzić tam i z powrotem za swoim biurkiem. – Chcesz, żeby moje laboratorium przeprowadziło kolejne badanie DNA, żeby upewnić się, czy ofiarą zabójstwa rzeczywiście był Matthew Burroughs?

– Otóż to.

– Chodzi o sprawę sprzed pięciu lat?

– Raczej sześciu.

– W której już kogoś zatrzymano i skazano.

– Zgadza się.

– A sprawca niedawno uciekł z federalnego więzienia.

– To też się zgadza.

– Twoja praca polega na schwytaniu go i odesłaniu tam, gdzie jest jego miejsce, a nie na doprowadzeniu do powtórnego procesu.

Max nic nie odpowiedział.

– Więc w jaki sposób badanie DNA dawno zmarłej ofiary pomoże ci schwycić zbiegłego więźnia? – spytała Lauren, rozkładając ręce.

– Przeprowadziliście takie badanie za pierwszym razem?

Lauren westchnęła.

– Nie słyszałaś, że powiedziałam „kolejne badanie DNA”?

– Słyszałam.

– Czy to świadczy o tym, że takie badanie już się odbyło?

– Owszem – zgodził się Max.

– A tak się składa, że procedury wcale tego nie wymagały. Udało nam się zidentyfikować ofiarę pomimo stanu, w jakim znajdowały się zwłoki. Ludzie oglądają za dużo seriali kryminalnych. Tak naprawdę rzadko przeprowadzamy badania DNA ofiar zabójstw. Żaden wydział tego nie robi. Nie badamy także odcisków palców. Dzieje się tak tylko wtedy, gdy pojawiają się wątpliwości co do tożsamości ofiary. W tym wypadku tak nie było. Wiedzieliśmy, kim była ofiara.

– A mimo to przeprowadziliście badanie?

– Tak, ponieważ, jak już wspomniałam, członkowie ławy przysięgłych oglądają za dużo telewizji. Jeśli nie ma wszystkich badań laboratoryjnych, dochodzą do wniosku, że działamy na ślepo. Dlatego to zrobiliśmy, choć nie było to konieczne.

– W jaki sposób?

– Co masz na myśli?

– Porównaliście DNA ofiary z DNA matki albo ojca czy...?

– Kto by to pamiętał? Zdajesz sobie sprawę, że to była dla nas priorytetowa sprawa?

– Owszem.

– Nie popełniliśmy żadnych błędów.

– Nie mówię, że tak było. Wciąż macie próbki krwi ofiary?

– Jasne. Obecnie są w magazynie, ale mamy je.

– Mamy też w systemie DNA Davida Burroughsa. – Max wiedział, że obecnie była to standardowa procedura. DNA każdego więźnia automatycznie było dodawane do bazy danych.

– Kolejne badanie i otwarcie tej furtki to nie żarty – zauważyła Lauren Ford.

– Więc zrób to dyskretnie – powiedział Max. – Niech to zostanie między nami.

– Wyglądam jak techniczka laboratoryjna?

– A więc między nami i technikiem laboratoryjnym. Możesz to zrobić potajemnie.

Zmarszczyła czoło.

– Naprawdę właśnie kazałeś mi coś zrobić „potajemnie”?

Max czekał.

– Mogłabym wyrzucić cię ze swojego gabinetu.

– Mogłabyś.

– To było prawomocne zatrzymanie. Wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. Sprawcą był syn policjanta... i to lubianego policjanta... a mimo to upewniliśmy się, że nikt go nie faworyzował.

– To godne podziwu.

Odchyliła się na oparcie krzesła i zaczęła obgryzać paznokiec, zupełnie jak Max.

– Powiem ci coś w zaufaniu – dodał. – Ponieważ niezależnie od tego, jak na to patrzeć, nie naruszono żadnych procedur.

– Słucham.

– Laboratorium, które wtedy badało DNA.

– Tak?

– Popełniło kilka błędów.

– Jakiego rodzaju błędów?

– Takich, które zmuszają cię do rzucenia pracy i opuszczenia kraju, gdy rozpoczyna się wewnętrzne dochodzenie.

Cisza.

– Cholera – syknęła Lauren. – Chcesz mi powiedzieć, że to nie jest ten dzieciak?

– Chcę ci powiedzieć, żebyś przeprowadziła badanie – odparł Max. – A przy okazji porównała wyniki z bazą zaginionych osób. Jeśli ten chłopiec to nie Matthew Burroughs, musimy się dowiedzieć, kim był.

• • •

Samochód Rachel może wjechać na pas startowy. To zapewne jedna z zalet latania prywatnymi samolotami. Kiedy wysiadamy, oprychy energicznie ściskają mi dłoń.

– Bez urazy? – pyta koleś, który kazał mi „zamknąć ryj”.

– Bez urazy – odpowiadam.

Wsiadam do samochodu, a Rachel przez chwilę patrzy na samolot.

– Zbrodnia popłaca – mówi.

– Owszem.

Ruszamy w drogę.

– Chcesz spytać Cheryl o tamtą klinikę leczenia niepłodności? – pyta Rachel.

– To nie był przypadek.

– Wciąż to powtarzasz. – Mocniej zaciska dłonie na kierownicy. – Muszę najpierw coś ci wyjaśnić.

– To znaczy?

– To dawna sprawa i nie powinna już mieć znaczenia.

Ale ton jej głosu sugeruje, że jest inaczej. Obracam się w jej stronę. Nie spuszcza wzroku z drogi.

– Mów dalej – zachęcam.

– Pomogłam Cheryl zapisać się do tej kliniki.

Nie jestem pewien, czy rozumiem.

– Mówiąc „pomogłam”...

– Poznałam jej kierowniczkę przez Haydena Payne’a. Więc zadzwoniłam do niej i umówiłam się na wizytę.

– Zamiast Cheryl?

– Tak.

– To nic takiego – odpowiadam. – Chociaż wolałbym, żebyś powiedziała mi wcześniej...

– Powiedziałam, że to ja chcę się zapisać. – Rachel przełyka ślinę, ale wciąż nie odrywa wzroku od drogi. – Kiedy Cheryl tam poszła, skorzystała z mojego dokumentu tożsamości.

Patrzę na jej profil.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Mój głos brzmi dziwnie spokojnie.

– A jak ci się wydaje?

Odpowiedź jest oczywista.

– Żeby ukryć to przede mną – mówię.

– Tak.

Czuję, że łzy napływają mi do oczu, choć nawet nie wiem dlaczego.

– Mam to gdzieś, Rachel.

– Wcale tak nie myślisz.

– Myślę, że Cheryl chciała dowiedzieć się więcej o możliwości skorzystania z banku nasienia i wołała, żebym nie miał o tym pojęcia. Myślę, że postanowiłaś jej pomóc. Mylę się?

Rachel ściska kierownicę obiema rękami.

– W więzieniu człowiek się uczy, że nikt nie stoi po jego stronie – dodaję.

– Ja stoję po twojej stronie.

Milczę.

– Ona jest moją siostrą, rozumiesz?

– Więc zgodziłaś się to zrobić?

– Mówiłam jej, że to zły pomysł.

– Ale nie zrezygnowałaś?

Rachel ostrożnie włącza kierunkowskaz, spogląda w lusterka, zmienia pas. Nie widziałem jej przez pięć lat, ale wciąż dobrze ją znam.

– Rachel?

Nie odpowiada.

– O czym mi nie mówisz? – pytam.

– Nie zgadzałam się z tym, co zrobiła. Uważałam, że powinna była ci powiedzieć.

Czekam na przysłowiową bombę.

– A skoro Cheryl nie skorzystała z tej procedury, pomyślałam sobie...

– Co sobie pomyślałaś?

Ignoruje moje pytanie.

– Skąd się dowiedziałeś, że Cheryl była w klinice?

– Ktoś z recepcji zostawił wiadomość na naszej automatycznej sekretarce.

– Zastanów się. Dlaczego mieliby to robić, skoro cała dokumentacja była wystawiona na moje nazwisko?

Zamieram. Potrzebuję zbyt wiele czasu, by zrozumieć, co się stało.

– To byłaś ty?

Nie spuszcza wzroku z drogi.

– Ty zostawiłaś tę wiadomość?

– Było już po wszystkim. Nie zdecydowała się tego zrobić. Nie podobało mi się, że mnie w to wciągnęła, i niezależnie od tego, jak bardzo próbowałam to usprawiedliwiać, zdradziłam cię. Źle się z tym czułam. Dlatego pewnego wieczoru, kiedy za dużo wypiałam, pomyślałam: cholera, Cheryl powinna mu powiedzieć. Dla własnego dobra. Dla jego dobra. Także ze względu na mnie, żebyśmy nie musieli już zawsze żyć w cieniu tego paskudnego kłamstwa. W końcu zakładaliście rodzinę.

Siedzę nieruchomo. Kiedy wydaje mi się, że już nic mnie nie zaskoczy, okazuje się, że byłem w błędzie.

– Nauczyłam się tego w bolesny sposób – mówi Rachel. – Takie kłamstwa z nami zostają. Nigdy nie odchodzą. Sprawiają, że powoli gnijemy od środka. Ty i Cheryl nie mogliście zbudować rodziny na takiej tajemnicy. Owszem, to nie ja powinnam ją ujawnić. Ale Cheryl uczyniła mnie częścią tego oszustwa. Ten sekret zatruwał także moją relację z tobą.

– Więc postanowiłaś położyć kres tajemnicom.

Rachel kiwa głową. Odwracam się.

– David?

– To bez znaczenia – rzucam. – Jak mówiłaś, to było dawno temu.

– Przepraszam.

Coś we mnie pęka; muszę zmienić temat.

– Cheryl wie, że do niej jadę?

Rachel kręci głową.

– Prosiłeś, żebym jej nie mówiła.

– Więc sądzi...

– Sądzi, że przyjadę sama. Mamy się spotkać w jej gabinecie.

– Daleko jeszcze?

– Będziemy na miejscu za pół godziny – odpowiada Rachel i oboje milkniemy.

Rozdział 32

Rachel zatrzymuje samochód na parkingu dla gości przed centrum medycznym Świętego Barnaby w Livingston w New Jersey. Oboje zakładamy maseczki. Od czasu pandemii nikogo nie dziwi widok ludzi w maseczkach, zwłaszcza w pobliżu szpitala. To całkiem skuteczne przebranie.

Kierujemy się w stronę głównego wejścia.

– Od jak dawna Cheryl tu pracuje? – pytam.

– Od trzech lat. Mają dobry program przeszczepu nerek.

– Przecież uwielbiała pracę w Boston General.

– Owszem – zgadza się Rachel. – Ale nie mogła tam zostać po tym, jak cię skazano. Władze szpitala stwierdziły, że... – Rachel nakreśliła palcami cudzysłów w powietrzu – „wprowadza zamęt”.

Podnoszę wzrok ku niebu.

– Jeszcze jedno – dodaje. – Teraz nazywa się Cheryl Dreason.

Kolejna szpila.

– Przyjęła nazwisko Ronalda?

– Dzięki temu mogła zachować anonimowość.

– Bardzo sprytnie.

– Poważnie?

Krzywię się.

– Ona też wszystko straciła – mówi Rachel.

Nowy mąż, kolejna ciąża, ukochana praca przy przeszczepach – słowa Rachel nie wydają się prawdziwe, ale nie chcę być niemiły.

Wchodzimy do budynku. Rachel zabiera z kontuaru przepustki dla gości. Wjeżdżamy windą na czwarte piętro i podążamy za znakami, które prowadzą nas na oddział przeszczepów nerek i trzustki. Rachel ściąga maseczkę i macha do recepcjonistki.

– Cześć, Betsy.

– Cześć, Rachel. Siostra już czeka na ciebie w gabinecie.

Rachel ponownie się uśmiecha i zakłada maseczkę. Idę obok niej, jakbym regularnie to robił i wiedział, dokąd zmierzam. Moje tętno przyśpiesza, a oddech staje się płytszy.

Dziękuję, zaledwie metry od Cheryl – mojej byłej żony, matki mojego dziecka, jedynej kobiety, którą kiedykolwiek kochałem.

Czuję, że łzy napływają mi do oczu. Co innego wyobrazić sobie taką chwilę. Ale kiedy już nadeszła...

Rachel staje jak wryta.

– Cholera.

Policja, myślę od razu, ale zaraz zauważam, że nie chodzi jej o stróżów prawa, tylko o Ronalda Dreasona, męża Cheryl. Oczywiście go znam. Był administratorem w szpitalu Boston General, gdzie zawsze „opiekował się” Cheryl. Wiecie, co mam na myśli. Chciał być jej przyjacielem, ale zarówno ja, jak i wszyscy inni – wliczając jego żonę, z którą już wtedy był w separacji – wiedzieliśmy, że to ściema. Oczywiście nie byłem zachwycony jego ciągłymi „zawodowymi” SMS-ami. Cheryl zbywała to śmiechem.

„No dobrze, Ronald pewnie trochę się we mnie podkochał, ale jest nieszkodliwy”, powtarzała.

Nieszkodliwy, pry cham pod nosem.

Ronald pierwszy zauważa Rachel i zaczyna się uśmiechać. Siostry są ze sobą blisko, więc jestem pewien, że Rachel często wpada do nich z wizytą. Przypuszczam, że takie spotkania nie są niczym zaskakującym ani nowym. Schylam głowę i lekko odbijam w prawo. Podciągam wyżej maseczkę. Zwalniam

i obracam się, jakbym wcale nie towarzyszył Rachel, a ona nie daje po sobie niczego poznać. Podchodzi do RONALDA, po czym chwyta go za rękę i odzywa się, nieco zbyt radośnie:

– Cześć, RONALD.

Nowy szwagier całuje ją w policzek.

Jest przy tym bardzo sztywny, jak przy wszystkim, co robi. Powstrzymuję się i nie rozwijam tej myśli. Zaczynam iść w ich stronę, trzymając się blisko ściany i odwracając do niej twarz. Nie gubię kroku. Nie ryzykuję spojrzeń w jego kierunku.

Zamykam oczy i go omijam.

Bezpieczny.

Rachel próbuje odprowadzić go na bok, ale RONALD ją powstrzymuje.

– Nie spodziewałem się, że cię tutaj zobaczę – mówi. – Słyszałaś o ucieczce DAVIDA?

Pośpiesznie się oddalam. Przed sobą mam trzy pary nieoznaczonych drzwi. Za jednymi jest moja żona... przepraszam, była żona. Czas ucieka. Chwytam gałkę pierwszych drzwi, przekręcam ją i wchodzę do środka.

Oto i ona.

Przerwałem jej pisanie na tablecie. Podnosi wzrok. Wciąż mam na sobie maseczkę i jestem ogolony na łyso, ale to nie ma znaczenia. Cheryl od razu mnie rozpoznaje. Przez chwilę żadne z nas się nie porusza. Tylko na siebie patrzymy. Nie jestem pewien, co czuję, a raczej czego nie czuję, ponieważ zalewa mnie cała fala emocji, które krążą moimi zużytymi żyłami. Doznanie jest oszałamiające.

Dla niej także.

Cheryl i ja zakochaliśmy się w sobie w liceum. Zaczęliśmy się spotykać, zaręczyliśmy się, wzięliśmy ślub i urodził się nam najśłodszy synek na świecie.

W moim mózgu pojawia się dziwaczna myśl: RONALD może wrócić. Albo do gabinetu może wejść pielęgniarka czy lekarz. Odwracam się i zamykam drzwi pokrętle na gałce. Właśnie tak. Oto pierwsze, co robię, gdy spotykam Cheryl.

Odwracam się do niej, niepewny, jak zareaguje, ale ona już zrywa się na nogi i okrąża biurko, a kiedy do mnie dopada, bez najmniejszego wahania zarzuca mi ręce na szyję i przyciąga mnie do siebie. Opieram się na niej, a ona mnie podtrzymuje.

– David – odzywa się cichym głosem z czułością, która wyrywa mi serce z piersi i rozdziera je na malutkie kawałki.

Przytulam ją. Ona płacze. Ja też płaczę. Nie mogę sobie na to pozwolić. Po prostu nie mogę. Mam milion pytań, ale przyszedłem tutaj w konkretnym celu. Nieco zbyt gwałtownie chwytam ją za ręce i odsuwam od siebie.

Nie mam czasu na długi wstęp.

– Możliwe, że nasz syn żyje – mówię.

Zamyka oczy.

– David...

– Proszę, wysłuchaj mnie.

Wciąż ma mocno zaciśnięte oczy.

– Nikt bardziej ode mnie nie chciałby, żeby to była prawda.

– Widziałaś zdjęcie?

– To nie Matthew.

– Skąd możesz mieć pewność?

Łzy zaczynają spływać jej po policzkach. Podnosi obie dłonie i chwytają moją twarz. Przez chwilę boję się, że upadnę i już nie wstanę.

– Ponieważ Matthew nie żyje – odpowiada bardzo cicho. – Pogrzebaliśmy naszego synka. Ty i ja. Staliśmy razem i trzymaliśmy się za ręce, patrząc, jak opuszczają malutką białą trumnę do grobu.

Kręcę głową.

– Nie zabiłem go, Cheryl.

– Bardzo bym chciała, żeby to była prawda.

Jej słowa boją mnie bardziej, niż mogłem sobie wyobrazić. Opuszcza wzrok. Jej twarz jest wykrzywiona bólem. Nie chcę o tym rozmawiać, ani teraz, ani

kiedykolwiek, ale nie mogę się powstrzymać.

– Dlaczego sobie mnie odpuściłaś, Cheryl? – Słyszę żalony ton swojego głosu i nienawidzę siebie za to.

– Nie odpuściłam – odpowiada. – Nigdy.

– Jak mogłaś uznać, że to zrobiłem?

– Nigdy cię nie obwinałam.

Otwieram usta, żeby spytać, dlaczego przestała we mnie wierzyć, ale zmuszam się do milczenia. Przypominam sobie, że to nie jest właściwy czas na poruszanie tego tematu. Muszę się skupić.

– On żyje – mówię nieco bardziej stanowczo. – Nie ma znaczenia, czy mi wierzysz. Muszę cię o coś spytać. Potem dam ci spokój.

Współczucie na jej twarzy jest tak okrutne.

– O co chodzi, David? Czego ode mnie potrzebujesz?

– Chodzi o twoją wizytę w Instytucie Berga.

Współczucie zmienia się w zaskoczenie.

– O czym ty mówisz?

– O klinice, którą odwiedziłaś.

– Dlaczego do tego wracasz?

– Ta klinika ma coś wspólnego z tym, co spotkało Matthew.

Cofa się o krok.

– Co...? Ależ nie.

– Tamto zdjęcie, które pokazała ci Rachel... Zrobiono je podczas imprezy firmowej zorganizowanej dla instytutu. To wszystko jest powiązane.

Cheryl kręci głową.

– Nie.

Nic nie mówię.

– Jak możesz tak myśleć?

– Po prostu mi powiedz, Cheryl.

- Już wszystko wiesz.
- Nie powiedziałaś mi, że podawałaś się za Rachel.
- Ona tak twierdzi?

Nie muszę odpowiadać.

– Nie rozumiem. – Cheryl zaciska powieki, jakby liczyła, że to wszystko po prostu zniknie. – Jakie to ma teraz znaczenie? – Jej słowa brzmią bardziej jak prośba niż pytanie. Ból przybiera na sile i ją pochłania. Chcę ją jakoś pocieszyć, mimo tego, co się stało, ale nie ma mowy, żebym to zrobił. – Nigdy nie powinnam była pójść do tej kliniki.

Nic nie mówię.

- To wszystko moja wina – mówi.

Nie podoba mi się ton jej głosu. Temperatura w pokoju spada o dziesięć stopni.

- Co masz na myśli?
- Poszłam tam za twoimi plecami. Tak mi przykro.
- Wiem, ale teraz to już nieważne.
- Nie powinnam była tak cię potraktować.

Prawie się krzywię.

- Cheryl...

– Oddalaliśmy się od siebie. Dlaczego, David? – Przechyliła głowę tak jak kiedyś, gdy chciała mnie o coś spytać, i przez chwilę mam wrażenie, że znów jesteśmy na naszym podwórku z kubkami kawy i książkami, a słońce oświetla nas złotym blaskiem. – Nie byliśmy pierwszą parą, która zmagала się z niepłodnością.

- Masz rację.
- Więc dlaczego wszystko się rozsypało?
- Nie wiem – odpowiadam.
- Może pęknięcia pojawiły się już dużo wcześniej?
- Może. – Nie chcę tego słuchać. – To już bez znaczenia.
- Ale to była straszna zdrada.

Nie odpowiadam, ponieważ nie mogę wydobyć z siebie ani słowa.

– A przez to... – Załamuje jej się głos. – Przez to, co ci zrobiłam, nasz syn...

Cheryl wybucha płaczem.

Znam byłą żonę od dawna. Widziałem u niej każdą możliwą emocję. Widziałem, jak płacze. Ale nigdy aż tak. Nawet po śmierci Matthew. Cheryl nigdy nie traciła nad sobą panowania. Nie do końca. Nawet kiedy się kochaliśmy albo kiedy przytulała syna, jakaś jej część zachowywała kontrolę. Czułem w niej chłód i dystans, co może brzmieć jak krytyka, ale tak nie jest. Po prostu nigdy całkowicie nie traciła kontroli.

Aż do tej chwili.

Chcę coś zrobić. Chcę ją przytulić albo przynajmniej pozwolić jej się wypłakać na moim ramieniu. Ale jednocześnie czuję nagły chłód w sercu.

– Co się stało, Cheryl?

Nie przestaje szlochać.

– Cheryl?

– Zrobiłam to.

Tak po prostu. Zamieram. Wiem, co ma na myśli, ale i tak pytam:

– Co zrobiłaś?

Nie odpowiada.

– Wiedziałaś.

Kręcę głową.

– Wiedziałaś – powtarza. – Złość, niechęć, stres...

Nie przestaję kręcić głową.

– Znow zacząłeś lunatykować.

– Nie.

– Tak, David. Z powodu tego, co zrobiłam. Byłeś wściekły. Rozsypałeś się emocjonalnie. Powinnam była to zauważyć. To była moja wina. A pewnego dnia być może za dużo wypięś. Albo stres stał się nie do wytrzymania.

Wciąż kręcę głową.

– Nie.

– David, posłuchaj mnie.

– Myślisz, że zabiłem naszego syna?

– Nie – odpowiada. – Myślę, że to ja go zabiłam. Przez to, co ci zrobiłam.

Nie mogę oddychać.

– Byłam pewna, że zabieg okazał się nieskuteczny, a Matthew jest twoim synem, ale to nie miało znaczenia. Zrobiłam to. Zdradziłam cię. A to cię zmieniło.

Staram się zachować spokój, nie tracić wątku, wytrzymać to emocjonalne biczenie.

– Próbowiałaś zajść w ciążę, korzystając z banku nasienia.

– Tak.

– Powiedziałaś, że tego nie zrobiłaś.

– Skłamałam.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– I myślałaś, że...

Teraz już rozumiem, jak ona to widzi: dowiedziałem się, że skorzystała z banku nasienia, i straciłem głowę. Myślałem, że Matthew nie jest moim synem. „Złość, niechęć, stres”.

Do tego lunatykowanie. Uważa, że nie zrobiłem tego rozmyślnie, ale ukryty gniew dał o sobie znać, za dużo wypłem albo zmieszałem antydepresanty z alkoholem, dawne traumy napłynęły do mojej zrujnowanej psychiki, a wtedy nieświadomie wstałem z łóżka, chwyciłem kij baseballowy, wszedłem do pokoju Matthew i...

Tak wiele z tego, co się stało, nabiera sensu. Cheryl obwinia siebie. Od samego początku. Nie tylko straciła syna. Wierzy, że to zrobiłem, a co gorsza, wierzy, że jest za to odpowiedzialna.

– Cheryl, posłuchaj.

Znów wybucha płaczem. Uginają się pod nią kolana. Nie mogę do tego dopuścić. Cokolwiek się stanie, nie mogę pozwolić, żeby upadła. Podbiegam, a ona

przytrzymuje się mojej koszuli.

– Tak mi przykro, David...

Nie muszę tego słuchać. Nie chcę tego słuchać. Skup się na swoim celu, powtarzam sobie.

– To już nie ma znaczenia.

– David...

– Proszę – przerywam jej. – Proszę, popatrz na zdjęcie.

– Nie mogę.

– Cheryl.

– Nie mogę dawać sobie takiej nadziei. Jeśli to zrobię, załamie się.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Tak bardzo chcę w to wierzyć, David, ale jeśli pójdę tą drogą... – Milknie i kręci głową. – Znow jestem w ciąży.

– Wiem.

Nagle słyszę zgrzyt klucza w zamku. Po chwili drzwi otwierają się na oścież.

To Ronald.

Rozpoznaje mnie dopiero po kilku sekundach. Wytrzeszcza oczy.

– Co tu się dzieje, do cholery?

Nie mam na to czasu. Oglądam się na Cheryl.

– Idź – mówi do mnie, ocierając oczy. – On niczego nie powie.

Pośpiesznie ruszam do drzwi. Przez chwilę mam wrażenie, że Ronald stanie mi na drodze. Nie robi tego. Odsuwa się na bok. Chcę coś powiedzieć, na przykład: „Lepiej bądź dla niej dobry” albo nawet „Cieszę się waszym szczęściem”, ale nie jestem aż tak bezinteresowny, a zresztą mam dosyć emocji na jedno popołudnie.

Patrzę na niego, lekko kiwam głową i wychodzę.

Rozdział 33

Max zobaczył, że dzwoni ktoś z biura Lauren Ford. Zanim odebrał, rozejrzał się po pomieszczeniu, by upewnić się, że jest sam. Sarah nie byłaby zachwycona. Jak zauważyła Lauren, ich zadanie polegało na zatrzymaniu Davida Burroughsa, a nie oczyszczeniu go z zarzutów. Sarah nie zaakceptowałyby tego, co robił.

– Słucham?

– Mam coś – oznajmiła Lauren.

– Burroughs jest ojcem?

– Tego jeszcze nie wiem. Możesz wierzyć albo nie, ale dostanie się do kartoteki więźniów zajęło mi trochę czasu. Zestawiłam jednak DNA ofiary z bazą danych zaginionych dzieci.

– No i co?

– Nie ma go tam.

– To był strzał w ciemno.

– Nie, Max... Mogę nazywać cię Max?

– Jasne.

– Nie, to nie był strzał w ciemno. Bazy danych zaginionych dzieci są w miarę kompletne. Kiedy jakieś dziecko uznaje się za zaginione, prawie zawsze zbiera się jego DNA. Nie zawsze, ale w większości wypadków. To jednak nie wszystko.

– Tak?

– Porównałam jego rysopis ze wszystkimi bazami danych. Nie tylko tymi zawierającymi próbki DNA. Ze wszystkimi stronami internetowymi dotyczącymi zaginionych dzieci. Wpisałam wiek, wzrost i tak dalej. Dla pewności przeprowadziłam poszukiwania na terenie całych Stanów Zjednoczonych.

Wyznaczyłam do tego najlepszych ludzi. Bo jeśli ofiarą nie jest Matthew Burroughs... Chryste, jak to dziwnie brzmi... to tamtej nocy brutalnie zamordowano jakiegoś innego chłopca.

– Zgadza się – przyznał Max. – No i co?

– Nic. Żadnych wyników. Zero. Nie znalazłam nikogo nawet podobnego. Jego ciało zaczęło lekko podrygiwać.

– Słyszysz, co mówię, Max?

– Słyszę.

– Nie ma nikogo innego. W tamtym łóżku musiał leżeć Matthew Burroughs. Max zaczął obgryzać paznokiec.

– Masz coś jeszcze?

– Jak to „czy mam coś jeszcze”? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Tak.

– Cholera – zachnęła się Lauren. – Chcesz, żebym mimo wszystko zrobiła test na ojcostwo.

– Owszem.

– Nie muszę – odparła.

– Wiem.

– Cholera. Dobrze. Ale wtedy uznamy sprawę za zamkniętą. Umowa stoi?

– Stoi.

– Wkrótce powinnam mieć wyniki.

Lauren się rozłączyła.

– Kto to był? – odezwała się Sarah za plecami Maxa.

– Inna sprawa – mruknął. – Co słychać?

– Jaka inna sprawa?

Wiedział, że partnerka nie odpuści.

– No dobrze, to był facet.

– Facet?

– Poznałem go przez serwis randkowy. To coś świeżego, nie chciałem nic mówić.

– Bardzo się cieszę.

– Dziękuję.

– Oczywiście tego nie kupuję, ale zajmiemy się tym później. Teraz chodźmy.

– Dlaczego? Co się stało?

– Burroughs właśnie wyszedł z centrum medycznego Świętego Barnaby w New Jersey. Tam pracuje jego była żona.

• • •

– Po prostu chciałem spędzić jeden normalny dzień – powiedział Hayden. – Czy to tak wiele? Powinnaś była go zobaczyć, Pixie. Zwykły chłopiec w parku rozrywki. Jeszcze nigdy nie widziałem Theo tak radosnego. To było tak cudownie... – podniósł wzrok w stronę sufitu, jakby szukał właściwego słowa – zwyczajne.

Zwyczajne, pomyślała Gertrude. Nic w tej rodzinie i jej życiu nie było zwyczajne. Nikt z nich nie chciał być zwyczajny. Przypomniała sobie, jak wieki temu zabrała ojca Haydena i jego rodzeństwo do Disneylandu. Zapłaciła parkowi kupę pieniędzy, żeby otworzyli bramy wcześniej, specjalnie dla nich. Rodzina Payne'ów spędziła tam samotnie dwie godziny, a kiedy park otworzył się dla reszty ludzi, wicedyrektor zaczął oprowadzać Payne'ów po całym terenie i wpuszczać na każdą atrakcję bez kolejki.

Nikt, kto czekał dwie godziny, żeby przejechać się kolejką górską Space Mountain, nie chciał być zwyczajny.

– Żałuję, że nie powiedziałeś mi o swoich planach.

– Powstrzymałabyś mnie – odparł Hayden.

– Teraz już wiesz dlaczego.

– Byłem taki ostrożny. Założyłem czapkę baseballową i okulary przeciwsłoneczne. Nie powiedziałem nikomu, dokąd się wybieram. Trzymałem go

z dala od wszystkich firmowych fotografów. Zresztą daj spokój, Pixie, jak duże było ryzyko? Kiedy go uratowałem, był małym dzieckiem. Nawet jeśli ktoś uważnie mu się przyjrzy, nie zorientuje się, kim jest. Poza tym nikt go nie szuka. Świat wierzy, że zginął.

Gertrude wróciła myślami do tamtej nocy przed pięciu laty. Hayden niczego z nią nie skonsultował. Nie ostrzegł jej, ponieważ wiedział, że nie zezwoliłaby na to. Już świtało, kiedy sprowadził malca do posiadłości Payne'ów.

„Pixie, muszę ci coś powiedzieć...”

To oszałamiające, jak wiele potrafi usprawiedliwić ludzki umysł. Wszyscy stale usprawiedliwiamy i racjonalizujemy własne działania. Gertrude nie była od tego wolna. Moralność jest subiektywna. Tamtej nocy powinna była postąpić „właściwie”, ale robimy to tylko wtedy, gdy nic nas to nie kosztuje. To jej przypomniało o słynnej kwestii wyginęcia kurczaków. Niektórzy twierdzą, że gdybyśmy nie jedli kurczaków, te by wyginęły, dlatego zaprzestanie ich jedzenia byłoby dla nich złe. Znajoma weganka powiedziała Gertrude, że to bzdura, ale mniejsza z tym. Owszem, miliony kurczaków przychodzą na świat i żyją krótko i w bólu, ponieważ mają zostać zjedzone. Czy takie życie jest lepsze od nieistnienia? Czy lepiej jest żyć przez kilka tygodni, niż nigdy się nie urodzić? Jakie mamy prawo podejmować taką decyzję? Może lepiej byłoby przestać jeść kurczaki i pozwolić im wyginąć? Czy naprawdę postępujemy właściwie, gdy je zjadamy? I tak dalej.

W tym wszystkim nie chodzi o to, że jedna ze stron ma rację albo się myli. Sedno tkwi w tym, że jeżeli macie ochotę jeść kurczaki, to użyjecie tego argumentu, nawet jeśli wcale was nie obchodzi przetrwanie ich gatunku. Ponieważ po prostu macie na nie apetyt.

To samo można odnieść do rodziny, i to w znacznie większym stopniu. Rodzina jest ważna. Oczywiście twoja rodzina. Bogata czy biedna, w dawnych czasach czy współcześnie – nic się nie zmienia. Wszyscy to wiemy. Ludzie, którzy temu zaprzeczają, żyją złudzeniami albo kłamią. Wychwalamy tak zwane większe dobro, ale tylko wtedy, kiedy służy naszym interesom. Tak naprawdę nie obchodzą nas

inni, jeśli nie jest to dla nas wygodne. Nie wierzycie? Zadajcie sobie następujące pytanie: „Ile istnień poświęciłibyście, żeby ocalić własne dziecko bądź wnuka przed śmiercią?”.

Jedną osobę? Pięć? Dziesięć?

Milion?

Udzielcie szczerzej odpowiedzi, a być może zrozumiecie, co Gertrude zrobiła tamtego dnia.

Wybrała Haydena. Wybrała swoją rodzinę. Wszyscy znamy powiedzenie, że nie da się usmażyć omletu bez rozbicia kilku jaj. To oczywiście prawda, ale w większości wypadków, także w tym, jajka już są rozbite, więc pytanie tak naprawdę brzmi: „Zrobimy omlet czy zostawimy bałagan?”.

– A jednak jesteśmy tu, gdzie jesteśmy – odparła Gertrude, rozkładając ręce. – Najwyższy czas, żebyś wyjechał, Hayden. Razem z nim.

Odwrócił wzrok.

– Ta czerwona plama... – zaczął cichym głosem.

Gertrude zamknęła oczy. Nie chciała znów tego wysłuchiwać.

– Bóg nie bez powodu go tak naznaczył.

– To zwykle znamię, Hayden.

– Dzięki niemu go zauważyli. To nie jest przypadek.

Wiedziała, że to nieprawda. Nie stał za tym Bóg, przeznaczenie ani nic w tym rodzaju. Popatrzcie na przejścia dla pieszych. Miliony ludzi korzystają z nich i nic się nie dzieje. Pewnego dnia za sprawą splotu okoliczności – może oblodzonej jezdni, kierowcy, który pisze SMS-a albo jest pijany – jakiś pieszy wpada pod samochód i umiera. Tak się zdarza raz na dziesięć milionów przypadków, ale to nie jest zbieg okoliczności. Gdyby to się nie wydarzyło, nie byłoby całej tej historii.

Tamto zdjęcie było właśnie takim przypadkiem jednym na dziesięć milionów.

Albo może Hayden miał rację. Może jakaś siła wyższa chciała, by tak się stało.

– Tak czy inaczej – odpowiedziała Gertrude – najwyższy czas, żebyście obaj wyjechali.

– To będzie wyglądało podejrzanie – zaprotestował Hayden. – Rachel prosi mnie o zdjęcia z parku rozrywki, a ja nagle uciekam z kraju?

„Pixie, muszę ci coś powiedzieć...”

Tamtej nocy brzmiał jak mały chłopiec, ale mężczyźni zawsze tak brzmią, kiedy pakują się w kłopoty i trzeba ich uratować. Więc go uratowała. Ocaliła swoją rodzinę. Ocaliła ich wszystkich. Ponownie.

A czy uratowała Theo?

To nieistotne. Zamierzała zachować tajemnicę. Ponownie.

Przy okazji stworzyła nowy sekret dotyczący chłopca, o którym nie miał pojęcia nawet Hayden.

Teraz to wszystko już nie miało znaczenia. Gertrude Payne raz jeszcze musiała ocalić rodzinę i zamierzała to zrobić, niezależnie od ceny, jaką zapłacą inni.

• • •

Max i Sarah właśnie wchodzili do centrum medycznego Świętego Barnaby, żeby przesłuchać Cheryl Burroughs, gdy zabręczał telefon Maxa. Dzwoniła Lauren.

– Daj mi chwilę – poprosił.

Odsunął się od Sarah, żeby nie usłyszała rozmowy. Partnerka wciąż wbijała w niego wzrok. Przyłożył telefon do ucha.

– Co słyhać?

– Mam wyniki badania na ojcostwo – oznajmiła Lauren.

Przekazała mu je i zapytała:

– Powiesz mi, co tu się dzieje, do diabła?

– Może nic. Daj mi godzinę.

Rozłączył się i wrócił do Sarah.

– Kto to był? – spytała.

– Eee, mój nowy facet.

- Znowu? Strasznie zaborczy.
- Sarah...
- Poznaliście się na letnim obozie? Mieszka w Kanadzie?
- Co?
- Kto dzwonił, Max?
- Za chwilę zobaczysz.
- Co to ma znaczyć?
- Gdzie jest była żona Burroughsa?
- W swoim gabinecie.
- Chodźmy.
- Jest tutaj też jej nowy mąż – dodała Sarah. – Ronald Dreason.

Max przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Zastosujemy taktykę „dziel i rządź”?

– Nie, myślę, że powinniśmy się trzymać razem. Umieściłam go w innym pokoju, żeby ochłonął.

Nie zaprotestował. Przeszli korytarzem do gabinetu Cheryl Burroughs. Powitała ich rzeczowo, jakby byli jej pacjentami. Usiadła za biurkiem, a oni zajęli dwa krzesła stojące naprzeciwko. Gabinet był skromnie urządzone. Max poszukał wzrokiem dyplomów wiszących na ścianach, ale żadnych nie znalazł.

Sarah pozwoliła mu przejąć inicjatywę, więc postanowił nie tracić czasu.

- Co powiedział pani były mąż?

– Nic.

Podobnie jak w przypadku Hilde Winslow. Max poprawił się na krześle.

- Przyszedł się z panią zobaczyć, prawda?

– Nie wiem, po co przyszedł.

– Nie rozmawialiście?

– Wybiegł, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Sarah i Max wymienili spojrzenia. Sarah westchnęła i przejęła pałeczkę.

– Mamy nagranie z monitoringu, doktor Burroughs.

– Nazywam się Dreason – odparła Cheryl.

Sarah nie była w nastroju do żartów.

– Nieważne. Pani były mąż, uciekinier z więzienia, który zamordował pani syna, spędził w tym gabinecie osiem minut, zanim zastał go tu pani mąż. Chce mi pani powiedzieć, że przez cały ten czas się nie odzywał?

Cheryl nie śpieszyła się z odpowiedzią. Odwróciła się w stronę okna. Max zwrócił uwagę na jej zaczerwienione oczy. Niewątpliwie płakała.

– Nie muszę z państwem rozmawiać, prawda?

Sarah popatrzyła na Maxa. Max popatrzył na Sarah.

– Dlaczego miałyby pani nie chcieć z nami rozmawiać? – spytała Sarah.

– Mam pacjentów. Proszę, żeby państwo wyszli.

Max doszedł do wniosku, że przyszedł czas na odpalenie prawdziwej bomby.

– Pani były mąż nie jest ojcem Matthew, prawda? – odezwał się.

Obie kobiety wbiły w niego oszołomione spojrzenia.

– O czym pan mówi? – spytała Cheryl.

Na twarzy Sarah malowało się to samo pytanie.

– Oczywiście, że David jest ojcem Matthew – oburzyła się Cheryl.

– Jest pani pewna?

– Do czego pan zmierza, agencie Bernstein?

Sarah wpatrywała się w niego, jakby również chciała poznać odpowiedź.

– Kiedy Matthew został zamordowany, już pani знаła obecnego męża, Ronalda Dreasona, prawda?

– Byliśmy kolegami.

– Nie sypialiście ze sobą?

Cheryl nie chwyciła przynęty.

– Nie, nie sypialiśmy – odpowiedziała niewzruszonym tonem.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie. Do czego pan zmierza? Proszę przejść do sedna.

– Odwiedziłem prokuratora okręgowego, który zajmował się sprawą zabójstwa pani syna. Wciąż dysponuje próbką DNA Matthew.

Twarz Cheryl się zmieniła. Max to zauważył.

– Mamy także dostęp do DNA pani byłego męża. Próbki są pobierane od wszystkich skazańców. Przeprowadziłem test na ojcostwo.

Cheryl Dreason zaczęła kręcić głową.

– Okazało się, że David Burroughs, człowiek skazany za zabójstwo Matthew Burroughsa, nie jest ojcem chłopca znalezionej w noc zabójstwa.

Sarah wytrzeszczyła oczy.

– Max?

– O mój Boże... – wyszeptała Cheryl.

Max nie spuszczał z niej wzroku.

– Pani doktor?

Nie przestawała kręcić głową.

– David był ojcem Matthew.

– Wyniki badania nie pozostawiają wątpliwości.

– Mój Boże. – Łzy napłynęły jej do oczu. – A więc David ma rację.

– W jakiej sprawie?

– Matthew wciąż żyje.

Rozdział 34

W końcu udaje mi się uzyskać dostęp do mojego starego konta mailowego, gdy Rachel skręca na parking przed sklepem ze sprzętem golfowym przy Garden State Parkway. Szukam wiadomości sprzed ośmiu lat. W końcu ją znajduje. Czytam ją, żeby się upewnić. Potem czytam ją ponownie.

– David?

Parking jest ogromny, zbyt duży jak na taki sklep, więc zastanawiam się, co jeszcze zostanie tu wybudowane. Po przeciwnej stronie, pod lasem, stoi samotna toyota highlander. Za drzewami dostrzegam pole golfowe. Wygodna lokalizacja.

– Co ci powiedziała Cheryl? – pyta Rachel.

– Że skorzystała z banku nasienia.

Zapada cisza.

– Wiedziałaś o tym? – pytam.

– Nie – mówi cicho. – Tak mi przykro, David.

– To niczego nie zmienia.

Nie odpowiada.

– Nawet gdybym nie był biologicznym ojcem, on i tak byłby moim synem – dodaję.

– Wiem.

– Ale jest mój. Wiem o tym, nawet jeśli to nie ma znaczenia.

– O tym również wiem – odpowiada Rachel, zatrzymując się obok toyoty.

Z samochodu wysiada mężczyzna w czapce Yankees.

– Chodźmy – mówi Rachel.

Zostawia kluczyki i kierujemy się do toyoty.

– Pojedźcie pasem przy linii drzew – instruuje mężczyzna w czapce. – Kamery monitoringu go nie obejmują.

Zamieniamy się samochodami. Tak po prostu. Prawniczka Rachel to załatwiła. Po wyjściu ze szpitala uświadomiliśmy sobie, że nie możemy mieć pewności, że Ronald nie zawiadomi policji albo że nie zostaniemy zdemaskowani.

Rachel wyjeżdża na autostradę. Mężczyzna zostawił nam na siedzeniu nowe telefony na kartę. Konfigurujemy je w taki sposób, by przekierowywano na nie wszystkie połączenia przychodzące na nasze stare telefony. W materiałowej torbie na zakupy znajdujemy młotek. Wskakuję z auta przy Burger Kingu, wchodzę do toalety, za pomocą młotka rozbijam nasze stare telefony i wrzucam szczątki do kontenera na śmieci.

Rachel kupuje jedzenie. Zawsze nienawidziłem śmieciowego żarcia, ale teraz Whopper niemal przyprawia mnie o religijną ekstazę. Pożeram go łapczywie.

– Jaki będzie nasz następny ruch? – pyta Rachel.

– Pozostały nam tylko dwa tropy – odpowiadam pomiędzy kęsami. – Park rozrywki i klinika leczenia niepłodności.

– Poprosiłam Haydena, żeby zdobył dla nas wszystkie zdjęcia zrobione przez firmowych fotografów. – Zatrzymujemy się na czerwonym świetle. Rachel sprawdza telefon. – Tak się składa, że...

– No?

– Dotrzymał słowa.

– Przesłał zdjęcia?

Zapala się zielone światło.

– Zatrzymajmy się i rzućmy okiem – proponuje Rachel.

Skręca na rampę prowadzącą do Starbucksa i parkuje. Przez chwilę manipuluje przy telefonie.

– Musimy uzyskać dostęp do chmury. Pliki są zbyt duże, żeby je ściągnąć.

– Możemy to zrobić na tym telefonie?

– Chyba trzeba będzie znaleźć laptopa. Mam swojego, ale mogliby go namierzyć.

– Obawiam się, że musimy zaryzykować.

– Korzystam z VPN-a. Może to wystarczy.

Rachel wyjmuje z torby supercienkiego laptopa. Włącza go i wchodzi na odpowiednią stronę. Nie chcemy spędzać tam za dużo czasu, więc błyskawicznie przeglądamy zdjęcia. Wszystkie zrobiono przed tą samą planszą z logo.

– Ile czasu możemy na to poświęcić? – pyta.

– Nie wiem. Może lepiej jedź, a ja się tym zajmę. Ruchomy cel trudniej zlokalizować.

– Wątpię, ale niech będzie.

Dalej przeglądam zdjęcia. Idzie mi szybko, ale czuję, że tylko tracę czas. Jeśli zabieracie porwane dziecko do parku rozrywki, to raczej nie będziecie pozować do zdjęć. A może jednak? Minęło pięć lat. Chłopiec urósł. Wszyscy uważają, że nie żyje. Nikt w to nie wątpi. Więc może jednak to robicie. Może uznajecie, że minęło wystarczająco dużo czasu. Nikt nie zwróci uwagi na chłopca, którego uznaje się za martwego. A nawet jeśli to ryzykowne, to jakie macie wyjście? Będziecie przez całe życie trzymać go w klatce?

Szybko przerzucam fotografie, mam jednak wrażenie, że to bez sensu. Zaczynam je powiększać i badam dalsze plany, ponieważ dochodzę do wniosku, że tam może się kryć odpowiedź. Pliki są tak duże, że jestem w stanie dokładnie obejrzeć każdy detal. W pewnym momencie zauważam małego chłopca, który może mieć tyle samo lat co Matthew, ale kiedy przybliżam obraz, okazuje się, że podobieństwo jest tylko powierzchowne.

Słyszę brzęczenie telefonu. Rachel zerka na swój i odbiera połączenie. Zachęca mnie, żebym się przybliżył i słuchał rozmowy.

– Halo?

– Możesz rozmawiać?

– Tak, Hester.

Hester Crimstein to prawniczka Rachel.

– Jesteś sama? – pyta. – Po prostu powiedz „tak” albo „nie”. Nie podawaj żadnych imion.

Oczywiście chodzi jej o mnie, na wypadek gdyby ktoś nas podsłuchiwał.

– Nie jestem sama – odpowiada Rachel. – Ale możemy bezpiecznie rozmawiać. Co słychać?

– Właśnie odwiedziło mnie FBI. Zgadnij, kogo obecnie uważają za „osobę podejrzaną”.

Rachel spogląda na mnie.

– Ciebie, Rachel – mówi Hester. – Ciebie.

– Domyśliłam się.

– Na nagraniu z kamer monitoringu widać, jak wchodzisz do szpitala, w którym pracuje twoja siostra, w towarzystwie zbiegłego więźnia. Twoja urocza nowa fryzura już nikogo nie oszuka. Powiedziałam FBI, że osoba na nagraniu to nie ty, że obraz został zmanipulowany, a nawet jeśli to jesteś ty, z pewnością działałaś pod przymusem. Powiedziałam im jeszcze kilka innych rzeczy, ale już wszystkiego nie pamiętam.

– To coś dało?

– Nie. Już wydali nakaz zatrzymania. Twoje zdjęcie z nową fryzurą lada chwila pojawi się w telewizji. Czeka na ciebie sława.

– Cudownie – mówi Rachel. – Dzięki za ostrzeżenie.

– Jeszcze tylko jedno – dodaje Hester. – Ludzie uważają twojego szwagra za zbiegłego mordercę. Najgorszą szumowinę. Dzieciobójcę. David ukradł pistolet naczelnikowi więzienia. Policjant, którego zaatakował, wciąż pozostaje w szpitalu. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Chyba tak.

– Pozwól, że wyjaśnię. David Burroughs jest uznawany za uzbrojonego i niezwykle niebezpiecznego i właśnie w taki sposób będzie traktowany. Policja nie będzie się wahała do niego strzelać. Jesteś moją klientką, Rachel. Nie chcę, żeby

którykolwiek z moich klientów dostał się w krzyżowy ogień. Martwi klienci nie płacą rachunków.

Hester się rozłącza. Wpatruję się w zdjęcie, na którym trzech mężczyźni po trzydziestce siedzą w wagoniku na diabelskim młynie. Wszyscy się uśmiechają i mają zaczerwienione twarze. Ciekawe, czy od słońca, czy raczej od alkoholu.

– Powinienem się tym zająć sam – zauważam.

– Ciii.

Uśmiecham się. Ona mnie nie posłucha, a ja nie będę nalegał, ponieważ jej potrzebuję. Wciąż manipuluję palcami przy ekranie, powiększając zdjęcie, gdy nagle coś przychodzi mi do głowy.

– Zdjęcie Matthew.

– Tak?

– Powiedziałaś, że twoja przyjaciółka Irene pokazała ci więcej zdjęć?

– Tak.

– Ile?

– Nie wiem. Pewnie z dziesięć albo piętnaście.

– Zakładam, że po tym, jak wypatrzyłaś Matthew, przyjrzałaś się też pozostałym.

– Owszem.

– Jak ona je zrobiła?

– Co masz na myśli?

– To była klisza, zdjęcia cyfrowe, zrobione telefonem...?

– Jej mąż Tom jest zapalonym fotografem, ale nie wiem, jak je robił. Pytałam Irene o inne zdjęcia, powiedziała jednak, że to już wszystkie.

Odwracam się w jej stronę.

– Możemy się skontaktować z całkiem zabawną Irene?

– Próbowałam to zrobić, zanim cię odwiedziłam, ale oboje wyjechali do Aspen na czyjś ślub. Mieli wrócić wczoraj wieczorem. Dlaczego pytasz?

– Może ona albo Tom zdołają powiększyć to zdjęcie. Albo inne. Tak jak możemy to zrobić z tymi fotkami. Dzięki temu lepiej przyjrzymy się Matthew i osobie, która go tam przyprowadziła. Wygląda na to, że trzymali się z dala od zawodowych fotografów. Z tego, co wiemy, tylko Tom ich uchwycił.

– Może uda nam się znaleźć inne wskazówki na jego zdjęciach – dodała Rachel.

– Właśnie.

Przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Nie mogę tak po prostu zadzwonić do Irene.

– Dlaczego nie?

– Jeśli pokażą mnie w telewizji, a ona to zobaczy...

– Może cię wydać – kończę za nią.

– To dosyć prawdopodobne. Z pewnością nie powita mnie z otwartymi ramionami.

– Możliwe, że w ogóle nie będzie jej w domu.

– Nie możemy tak ryzykować, David.

Ma rację.

– Gdzie mieszkają Longleyowie? – pytam.

– W Stamfordzie.

– To zaledwie godzinę drogi stąd.

– Jaki masz plan, David? Po prostu tam pojedziemy, a ja zadzwonię do drzwi i powiem, że chcę obejrzeć jej zdjęcia?

– Jasne.

– Możliwe, że wezwie policję.

– Zorientujesz się po jej twarzy, czy słyszała policyjny apel, i zdążymy uciec.

Rachel marszczy czoło.

– To ryzykowne.

– Myślę, że powinniśmy spróbować. Zdecydujemy po drodze.

• • •

W sierocińcu w malutkim kraju na Bałkanach nazwano chłopca Milo.

Mila pozostawiono na pewną śmierć w publicznej toalecie. Nikt nie wiedział, kim byli jego rodzice, więc wychowywał się w sierocińcu. Sprawiał wrażenie zdrowego, ale przez cały czas płakał. Coś go bolało. Lekarz zdiagnozował u niego rzadką chorobę genetyczną. Dotknięte nią dzieci zwykle nie dożywają piątych urodzin.

Chłopiec taki jak Milo powinien był umrzeć w ciągu kilku tygodni. Umożliwienie mu godnego dożycia do piątych urodzin wymagałoby ogromnych nakładów finansowych, a nawet ten sierociniec, jeden z wielu ufundowanych przez pewną szczerą amerykańską rodzinę, nie mógł poświęcić tak dużej części swoich ograniczonych środków na pomoc dziecku pozbawionemu szans. Ogromnym wysiłkiem i kosztem można było nieznacznie przedłużyć jego życie, które i tak byłoby pełne bólu i cierpienia.

Większość ludzi zgodziłaby się, że lepiej i bardziej litościwie byłoby zapewnić mu spokojną śmierć.

Tylko że tak się nie stało.

Hayden Payne, członek wspomnianej szczerzej amerykańskiej rodziny, dowiedział się o losie chłopca. Nikt nie był pewien, dlaczego dziedzic fortuny Payne'ów usłyszał o tym konkretnym dziecku ani dlaczego się nim zainteresował. Ludzie oczywiście snuli rozmaite teorie, ale większość pracowników sierocińca nie wiedziała, że Hayden kiedyś poprosił, by powiadomiono go, jeśli w placówce pojawi się chłopiec o określonym wzroście i cechach fizycznych. Kiedy Hayden dowiedział się, że malec jest słabego zdrowia, zwrócił na niego jeszcze baczniejszą uwagę. Nikt nie śmiał pytać, z jakiego powodu taki człowiek szukał dziecka o konkretnym wyglądzie.

Dlaczego? To proste. Ponieważ to rodzina Payne'ów finansowała sierociniec.

Niezależnie od ich dziwactw nie dało się dyskutować z faktami. Bez Payne'ów nie byłoby sierocińca, uratowanych dzieci ani miejsc pracy.

Ale każdy, kto widział Haydena z chłopcem – a takich osób było niewiele – uznawał jego interwencję za dar niebios. Hayden robił dla Mila wszystko, co mógł. Było to dla niego niezwykle ważne. Ze wszystkich sił starał się, by krótkie życie malca było pełne przyjemności. Nie szczędził kosztów. Niemal każdego dnia zapewniał mu nowe atrakcje. Milo jednego dnia mógł zostać strażakiem i przejechać się wozem strażackim. Drugiego zostawał policjantem i z radością włączał syrenę radiowozu. Hayden zabierał go na mecze futbolowe, gdzie chłopiec ubierał się jak zawodnik i obserwował grę z boiska, a także na wyścigi konne i samochodowe, jarmarki, do ogrodów zoologicznych i oceanariów.

Starał się, żeby krótkie życie Mila było jak najszczęśliwsze.

Oczywiście nie musiał tego robić, ale stało się to dla niego ważne. Gdyby nie zainterweniował, Milo już dawno umarłby w cierpieniu. Dzięki Haydenowi i jego szczodrości chłopiec choć przez chwilę mógł zaznać szczęścia, więc Hayden uważał, że należy mu się pochwała za to, co zrobił. Nie musiał tak postąpić. Równie dobrze mógłby zabrać zdrowe dziecko, za którym nikt by nie tęsknił. Tak byłoby dla niego znacznie łatwiej, ponieważ osiągnąłby swój cel szybciej i przy mniejszym ryzyku. Ale się nie śpieszył. Postąpił właściwie. Moralnie. Znalazł istnienie, które i tak było stracone, i uczynił je wyjątkowym. Nadał mu blask. Wszyscy przebywamy na świecie tylko przez jakiś czas. Dobrze to rozumiemy. Życie Mila było znacznie dłuższe i lepsze dzięki Haydenowi Payne'owi.

Pewnego dnia, gdy nadszedł właściwy moment, a chłopiec osiągnął wymagany wzrost oraz wagę i pomimo leków znów zaczął cierpieć, Hayden zabrał go prywatnym samolotem do Stanów Zjednoczonych. Zawiózł go do pewnego domu w Massachusetts. Podał mu środek uspokajający, niewykrywalny w krwiobiegu, żeby malec niczego nie czuł. Zaniósł go na górę do pokoju drugiego chłopca, któremu również podał środek uspokajający, a potem zniósł go do samochodu. Wcześniej zadbał o to, by nieco silniejszy środek znalazł się w butelce ulubionej whiskey ojca chłopca.

Następnie Hayden przebrał Mila w piżamkę z bohaterami Marvela.

Milo spał, kiedy Hayden uniósł kij baseballowy. Zamknął oczy, pomyślał o profesorze Tylerze, o łobuzie w ósmej klasie, o dziewczynie, która stale się darła, o wszystkich chwilach, gdy tracił nad sobą panowanie, zawsze z dobrego powodu. Przywołał tę złość i otworzył oczy.

Miał nadzieję, że już pierwszy cios zabił Milo.

Potem ponownie uniósł kij. I jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Kiedy wrócił do posiadłości i wreszcie mógł się poczuć bezpieczny, o dziwo właśnie wtedy zaczął panikować.

„Pixie, muszę ci coś powiedzieć...”

Co takiego zrobił? Dlaczego po tylu latach planowania i czekania na okazję, by wreszcie naprawić swój błąd, teraz ogarniały go wątpliwości? Powiedział babci, że być może popełnił straszliwy błąd. A jeśli to wcale nie był jego syn? Czy mógłby cofnąć czas i wszystko odwrócić?

Czy było za późno?

Gertrude jak zawsze okazała się roztropna, spokojna i racjonalna. Posłała Stephana, żeby upewnił się, czy Hayden nie popełnił żadnych błędów i nie zostawił śladów, które mogłyby prowadzić do Payne'ów. Następnie, żeby uciszyć wszelkie wątpliwości, kazała wnukowi przeprowadzić test na ojcostwo. Czekali na wyniki przez cały dzień, który wydawał się Haydenowi wiecznością, ale ostatecznie Gertrude oznajmiła z dumą, że test potwierdził, że Hayden postąpił właściwie.

Theo – niegdyś znany jako Matthew – był jego synem.

Głos babci przywrócił go do rzeczywistości.

– Hayden?

Odchrząknął.

– Tak, Pixie?

– Wysłałeś jej zdjęcia – zauważyła Gertrude.

– Od dwóch z naszych czterech fotografów – wyjaśnił Hayden. – Znajdowali się daleko od nas. Zresztą sam wcześniej przejrzałem wszystkie fotografie.

– Tak czy inaczej, myślę, że ty i Theo powinniście wyjechać.

– Wyjedziemy rano – odparł Hayden.

Rozdział 35

Podjeżdżamy pod parterowy dom Irene i Toma Longleyów przy Barclay Drive w północnej części Stamfordu. Po drodze obejrzałem ich dom na Zillow. Ma trzy sypialnie, dwie i pół łazienki, stoi na akrowej narożnej działce i jest wyceniany na 826 000 dolarów. Za domem znajduje się basen.

Leżę na tylnym siedzeniu, nakryty kocem, żeby nikt nie mógł mnie zobaczyć. Barclay Drive to modelowa podmiejska ulica. Mężczyzna siedzący samotnie w samochodzie od razu zwróciłby na siebie uwagę.

– Dobrze się czujesz? – pyta Rachel.

– Wybornie.

Dzwoni do mnie, a ja odbieram. Przeprowadzamy szybki test, podczas którego ona mówi, a ja słucham. Teraz będę mógł słuchać jej rozmowy z Irene, Tomem albo kimś innym, kto jej otworzy, jeśli rzeczywiście ktoś jest w domu. Prymitywne rozwiązanie, ale miejmy nadzieję, że skuteczne.

– Zostawiłam kluczyki w samochodzie – mówi Rachel. – Jeśli coś pójdzie nie tak, po prostu odjedź.

– Rozumiem. Mam też broń. Jeśli cię złapią, powiedz glinom, że cię zmusiłem. Marszczy czoło.

– Raczej nie.

Zagrzebuję się pod kocem i czekam. Nie mamy słuchawek, więc przyciskam telefon do ucha. Dziwnie się czuję, ukrywając się na tylnym siedzeniu samochodu, ale to najmniejszy z moich problemów.

Przez telefon słyszę kroki Rachel, a potem słabe echo dzwonka do drzwi.

Mija kilka sekund. Potem Rachel cicho się odzywa:

– Ktoś idzie.

Drzwi się otwierają i słyszę kobiecy głos.

– Rachel?

– Cześć, Irene.

– Co ty tutaj robisz?

Nie podoba mi się jej ton. Nie mam wątpliwości, że wie o nakazie zatrzymania. Ciekawe, jak Rachel to rozegra.

– Pamiętasz tamte zdjęcia z parku rozrywki, które mi pokazywałaś?

– Co? – Irene sprawia wrażenie zbitej z tropu.

– Czy one były cyfrowe?

– Tak. Zaczekaj, właśnie po to przyjechałaś?

– Wtedy sfotografowałam jedno z nich swoim telefonem.

– Widziałam.

– Zastanawiam się, czy mogłabym znów je zobaczyć.

Cisza. Nie wygląda to dobrze.

– Posłuchaj, możesz tu chwilę poczekać? – pyta Irene.

Wiem, że to, co zaraz zrobię, jest głupie, ale znów działam pod wpływem intuicji. Intuicja jest przereklamowana. Jej słuchanie to objaw lenistwa, wymówka, by nie myśleć i nie trudzić się podejmowaniem decyzji.

Ale nie mam na to czasu.

Wytaczam się z samochodu z pistoletem w dłoni.

Biegnę do drzwi wejściowych. Nawet z tej odległości widzę, jak zaskoczona Irene wytrzeszcza oczy i zamiera. To dobrze. Bałam się, że wycofa się do domu i zamknie drzwi, ale mam czas, by unieść broń.

– David?! – woła Rachel, ale nie ma czasu dodać „Co ty robisz, do diabła?”, ponieważ dopadam do Irene i odzywam się do niej, na wpół krzycząc, na wpół szepcząc:

– Nie ruszaj się.

– O Boże, proszę, nie rób mi krzywdy!

Rachel torpeduje mnie wzrokiem. Odwzajemniam się tym samym, dając jej do zrozumienia, że nie miałem wyboru.

– Posłuchaj, Irene – mówię. – Po prostu nie chcę, żebyś wezwała policję. Nie zrobię ci krzywdy.

Podnosi rękę i jeszcze szerzej otwiera oczy.

– Potrzebujemy tylko tych zdjęć – dodaję. Opuszczam broń i wyjmuję fotografię z kieszeni. – Widzisz tego chłopca? Tego w tle?

Jest zbyt przerażona, żeby oderwać ode mnie wzrok.

– Popatrz – mówię nieco zbyt głośno. – Proszę.

– Wejźmy do środka, dobrze? – proponuje Rachel.

Tak robimy. Irene cały czas wpatruje się w moją broń. Źle się z tym czuję. Niezależnie od tego, jak to się potoczy, już nigdy nie będzie taka sama. Poznała, czym jest strach. Nie będzie mogła spać w nocy. Dzisiaj coś jej odebrałem, w chwili, gdy wyjąłem pistolet. Tak działa na człowieka groźba przemocy. Pozostaje z nim na zawsze.

– Nie zrobię ci krzywdy – powtarzam bełkotliwie. – Spędziłem ostatnie pięć lat w więzieniu za zabójstwo syna. Nie zrobiłem tego. To on jest na tym zdjęciu. Właśnie po to przyjechaliśmy tutaj z Rachel. Próbuje odnaleźć mojego synka. Proszę, pomóż nam.

Nie wierzy mi. A może nic jej to nie obchodzi. Ona również słucha intuicji i najbardziej pierwotnego instynktu przetrwania.

– On mówi prawdę – włącza się Rachel.

Wątpię, żeby to coś dało.

– Czego ode mnie chcecie? – pyta Irene spanikowanym głosem.

– Tylko zdjęć – odpowiadam. – Niczego więcej.

Trzy minuty później jesteśmy w kuchni. Na lodówce wisi kilkadziesiąt fotek przedstawiających Irene, Toma i ich dwóch synów. Irene siada przy kuchennym blacie i drżącymi rękami otwiera laptopa. Zauważam, że co chwilę zerka na

lodówkę. Nie wiem, czy czerpie siłę od swojej rodziny, czy chce mi o niej przypomnieć.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniam ją. – Obiecuję.

To wcale jej nie uspokaja. Znów czuję ukłucie żalu z powodu tego, co jej robię. Jest całkowicie niewinna. Próbuję pocieszać się myślą, że kiedy już zostanie oczyszczony z zarzutów, trauma, którą dziś jej pozostawiam, być może zniknie.

– Co mam zrobić? – pyta.

Rachel próbuje pocieszająco dotknąć jej ramienia, ale Irene odtrąca jej rękę.

– Po prostu pokaż nam zdjęcia z tamtego dnia – proszę.

Irene myli się przy pisaniu, zapewne pod wpływem nerwów. Schowałem broń, żeby nie musiała na nią patrzeć, ale nie da się udawać, że pistolet zniknął. W końcu Irene otwiera jeden z katalogów i na ekranie pojawiają się miniaturki zdjęć.

Wstaje ze stołka i daje znak, żebyśmy zajęli jej miejsce. Rachel siada i klika w pierwsze zdjęcie. Przedstawia jednego z synów Longleyów, który uśmiecha się szeroko i pokazuje palcem olbrzymią zieloną kolejkę górską.

– Mogę już odejść? – pyta Irene drżącym głosem.

– Przykro mi – odpowiadam najdelikatniej, jak potrafię. – Zadzwonisz na policję.

– Nie zrobię tego. Obiecuję.

– Zostań z nami jeszcze przez chwilę, dobrze?

Jaki ma wybór? To ja mam broń. Zaczynamy przeglądać zdjęcia. Znajdujemy inne kolejki górskie, ludzi przebranych za postacie z bajek, pokaz tresury delfinów. Dokładnie oglądamy każde tło.

W końcu docieramy do fotografii, od której to wszystko się zaczęło. Wskazuję na nią i pytam Irene:

– Ten chłopiec z tyłu. Pamiętasz go?

Patrzy na mnie, jakby na mojej twarzy kryła się właściwa odpowiedź.

– Nie pamiętam, przykro mi.

– Ma na twarzy znamię naczyńowe. Może to ci pomoże?

– Nie, przepraszam. To tylko ktoś w tle. Nie pamiętam go. Przykro mi.

Rachel powiększa zdjęcie i moje serce zaczyna szybciej bić. Fotografia jest doskonałej jakości, zwłaszcza w porównaniu z tą, którą widziałem w sali odwiedzin, gdzie Rachel pokazała mi wydruk fotki zrobionej telefonem. Nie wiem, jaką rozdzielczość ma ta fotografia, ale kiedy Rachel powoli przybliży obraz, łzy napływają mi do oczu. Zerkam na nią. Ona też to widzi. Obraz już nie jest rozmazany. Twarz chłopca zajmuje cały ekran.

Wymieniamy spojrzenia. Nie może być żadnych wątpliwości.

To Matthew.

A może tylko ulegamy takiemu złudzeniu? Chcemy, żeby to była prawda. Nie wiem. Nie dbam o to. Ale kiedy zaczynam się zastanawiać, czy to ślepy zaułek, Rachel wciska klawisz prawej strzałki. Twarz chłopca powoli znika z ekranu.

– Co robisz? – pytam.

Nie odpowiada. Cały czas wciska prawą strzałkę. Obraz przesuwa się wzdłuż ręki Matthew aż do jego dłoni. A kiedy tam dociera, Rachel głośno wstrzymuje oddech.

– Rachel?

– Mój Boże.

– Co się stało?

Wskazuje dłoń mężczyzny zaciśniętą na rączce mojego syna.

– Ten sygnet...

Widzę fioletowy kamień i herb szkoły. Mrużę oczy, żeby uważniej mu się przyjrzeć.

– Wygląda jak sygnet absolwenta – mówię.

– Bo tak jest. – Rachel odwraca się do mnie. – Z Uniwersytetu Lemhall.

Rozdział 36

– Powiesz mi, co się dzieje, Max?

Sarah prowadziła, on siedział na miejscu pasażera. Chociaż patrzyła na drogę, miał wrażenie, że wwierca się wzrokiem w jego ciało.

– Nie jestem pewien, czy Burroughs to zrobił.

– Co zrobił?

– Zabił swojego dzieciaka.

– Jesteś jego adwokatem?

– Nie – odparł Max. – Stróżem prawa.

– Którego zadanie polega na schwytaniu zbiegłego więźnia. Jeśli tego nie zrobił, sąd i cały system prawny wyprostują sytuację. To nie nasze zadanie. Na pewno nie moje. My mamy go złapać.

– Powinniśmy stać po stronie sprawiedliwości.

– Facet uciekł z więzienia.

– Tego jeszcze nie wiemy.

– Słucham?

– Miał pomoc. Oboje zdajemy sobie z tego sprawę.

– Mówisz o naczelniku.

– Tak, rozmawiałem z nim.

Kiedy wszystko jej opowiedział, poczerwieniała na twarzy.

– Mój Boże, musimy aresztować Mackenziego.

– Sarah...

– Czy ty siebie słyszysz, Max? Pogrywają sobie z tobą.

– Badanie DNA...

– ...dowodzi, że Burroughs nie jest ojcem. Też mi coś. Tak naprawdę to działa na jego niekorzyść.

– Dlaczego? – zdziwił się Max.

– Żona... ta, którą niedawno odwiedziliśmy... nie mówi nam wszystkiego. Widzisz to, prawda?

– No tak.

– To bardzo proste, Max. Miała romans. Cholera, pewnie to był jej obecny mąż, ten Dreason. Może Matthew był jego synem, a David Burroughs się o tym dowiedział.

– Więc zabił chłopca?

– Pewnie, dlaczego nie? Myślisz, że to pierwszy rogacz, który zabił swoje potomstwo? Tak czy inaczej... wysłuchaj mnie uważnie, Max... takimi sprawami zajmuje się nasz system prawny. Czy jest idealny? Nie. W swoim czasie wolnym możesz zrobić rundkę po więzieniach, znaleźć niewinnych ludzi, którzy zostali skazani, i spróbować ich uwolnić. Śmiało. Będę cię podziwiała. Ale nie pomagaj im uciekać. Nie dawaj im broni. Nie pozwalaj im niszczyć resztek naszego nadwerężonego, niedoskonałego systemu. Musimy schwytać Burroughsa. To nasze zadanie. Jest uzbrojonym i niebezpiecznym przestępcą i powinniśmy tak go traktować. Rozumiesz?

– Chcę wiedzieć, czy on to zrobił.

– W takim razie muszę to zgłosić – odparła Sarah.

– Co masz na myśli?

– Poproszę, żeby odsunięto cię od tej sprawy. Nie nadajesz się do niej.

– Zrobiłabyś coś takiego?

– Kocham cię, ale kocham także przysięgę, którą składaliśmy, oraz nasz system prawny. Pogubiłeś się.

Jej telefon zabrzączał.

– Jablonski, słucham.

– Burroughs właśnie włamał się do czyjś domu w Connecticut. Wziął zakładniczkę i trzyma ją pod bronią.

• • •

Co innego miałem zrobić?

Nie mogłem zastrzelić Irene Longley. Nie mogłem jej związać. To dobrze wygląda w telewizji, ale w praktyce nie ma sensu. Pewnie gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy zabrać jej telefon i zamknąć ją w szafie, ale próbowała jak najszybciej się nas pozbyć, ponieważ jej synowie mieli wrócić do domu, więc od razu by ją znaleźli, a poza tym nie chciałem jeszcze bardziej stresować tej biednej kobiety, nie wspominając o tym, co by poczuli chłopcy, gdyby odkryli matkę zamkniętą w szafie.

Dlatego błagaliśmy ją, żeby nie wzywała policji. Wytłumaczyliśmy jej najlepiej, jak potrafiliśmy, że próbujemy uratować mojego syna. Kiwała głową, ale jak już kilkakrotnie wspominałem, robiła to tylko po to, by mnie udobruchać. Tak naprawdę nie słuchała. Dlatego odjechaliśmy jak najszybciej, licząc, że jakoś to będzie.

Co innego nam pozostało?

Wiedzieliśmy, że policja nas znajdzie. To była tylko kwestia czasu. Rozważaliśmy podmienienie tablic rejestracyjnych, poproszenie Hester Crimstein, żeby przysłała nam inny samochód, albo nawet skorzystanie z Ubera, ale doszliśmy do wniosku, że to tylko by nas spowolniło.

W końcu dom Irene od posiadłości Payne'ów dzieliły nieco ponad dwie godziny jazdy. A policja nie miała pojęcia, dokąd się kierujemy. Uznaliśmy, że najlepiej będzie się nie zatrzymywać.

Zbliżaliśmy się do celu. Nie było sensu dłużej uciekać.

Rachel pozwoliła mi prowadzić. Przekraczam dozwoloną prędkość, ale nie o tyle, by ktoś nas zatrzymał. Dziwnie jest siedzieć za kierownicą po pięcioletniej przerwie. Nie zapomniałem, jak się prowadzi. Stare powiedzenie o jeździe na

rowerze najwyraźniej odnosi się także do samochodu. Ale to doświadczenie, po pięciu latach spędzonych w klatce, jest dziwnie pobudzające. Skupiam się wyłącznie na odnalezieniu syna, uratowaniu go, poznaniu prawdy o tym, co się wydarzyło tamtej straszliwej nocy. Tylko dlatego chciałem uciec. Nie obchodziła mnie wolność. Ale teraz, gdy ją odzyskałem i znów smakuję życie, nie mogę pozbyć się wrażenia, że chcę być wolny. Nie twierdzę, że kiedyś uznawałem wolność za pewnik. Po prostu bez Matthew przestała się dla mnie liczyć.

– Nie rozumiem – odzywa się Rachel. – Dlaczego Matthew miałby być z Haydenem Payne’em?

Mam kilka teorii, ale na razie nie chcę się nimi dzielić.

– Powinnam do niego zadzwonić?

– Do Haydena?

– Tak.

– I co mu powiesz?

Rachel przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Nie wiem.

– Musimy tam pojechać.

– A co potem, David? Oni mają bramę. Mają ochronę.

– Znów schowam się z tyłu.

– Serio?

– Nie możemy go uprzedzić.

– Rozumiem, ale nie mogę pojawić się u niego bez zapowiedzi. Nawet nie wiemy, czy jest w domu.

W pewnym sensie to nie ma znaczenia. Pozostał nam tylko jeden cel. Posiadłość Payne’ów w Newport nad zatoką Easton. Jeśli Haydena Payne’a tam nie ma, zaparkujemy w pobliżu, ukryjemy się i zaczekamy.

On ma mojego syna.

– Może powinniśmy zadzwonić na policję – proponuje Rachel.

– I co im powiemy?

– Że Matthew żyje i uważamy, że Hayden Payne go przetrzymuje.

– A co policja zrobi z tą informacją? – pytam. – Wyda nakaz zatrzymania członka jednej z najbogatszych rodzin w kraju z powodu... czego? Jednego zdjęcia?

Nie odpowiada.

– A jeśli ten chłopiec stanie się zagrożeniem dla dynastii Payne'ów? Jak myślisz: oddadzą go wtedy czy raczej pozbędą się dowodów?

Trochę za często spoglądam w lusterko wsteczne, przekonany, że za chwilę zobaczę migoczące światła radiowozu. Na razie dobrze nam idzie.

– Popatrz na mój telefon – mówię do Rachel.

– Słucham?

– Zrobiłem zrzut ekranu dawnego maila. Popatrz na niego.

Rachel to robi. Po chwili odkłada telefon.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta.

– Nie mamy czasu. Najpierw musimy się skupić na czymś innym.

Przygotowujemy coś w rodzaju planu, gdy wjeżdżamy na drogę RI-102. Rachel wyjmuje komórkę i dzwoni do Haydena.

Słyszę sygnał połączenia. Serce podchodzi mi do gardła.

– Rachel?

To jego głos. Haydena Payne'a. Kiedy go słyszę, nabieram pewności. Ma mojego syna. Odebrał mi go. Chyba nawet rozumiem dlaczego, ale teraz to bez znaczenia.

Rachel odchrząkuje.

– Cześć, Haydenie.

– Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej.

– Dostałaś zdjęcia, które ci wysłałem?

– Tak, dziękuję. Właśnie dlatego dzwonię. Mogę do ciebie przyjechać?

- Kiedy?
- Za dziesięć minut.
- Jestem w posiadłości.
- A ja właśnie wjeżdżam do Newport. Mogę wpaść?

Zapada długa cisza. Rachel na mnie spogląda. Próbuje uspokoić oddech. Mija kolejna sekunda. Rachel nie może tego wytrzymać.

- Chcę porozmawiać z tobą o kilku zdjęciach.
- Znalazłaś na którymś z nich tego tajemniczego chłopca?
- Nie, chyba miałeś rację.
- Naprawdę?
- Myślę, że Matthew nie ma na żadnym z tych zdjęć. Myślę, że mój siostrzeniec zginął pięć lat temu. Ale podejrzewam, że ktoś próbuje zrobić Davida.
- W jaki sposób?
- Potrzebuję twojej pomocy w zidentyfikowaniu kilku osób na tych zdjęciach.
- Rachel, na tamtej imprezie były tysiące naszych pracowników. Byłem wtedy w Europie. Nie wiem...
- Ale i tak możesz mi pomóc, prawda? Chcę tylko pokazać ci ludzi, o których mi chodzi, a ty możesz kogoś o nich zapytać. Już prawie jestem pod twoją bramą. Pomożesz mi?

- David jest z tobą?
- Co? Nie.
- Policja uważa, że jesteś zamieszana w jego ucieczkę. Mówili tak w telewizji.
- Nie ma go ze mną – zapewnia Rachel.
- A wiesz, gdzie jest?

Rachel dostrzega swoją szansę.

- To nie jest rozmowa na telefon. Będę u ciebie za pięć minut.

Rozłącza się. Znajdujemy spokojne miejsce do zaparkowania i działamy szybko. Otwieram klapę bagażnika i wciskam się do środka. Znajduję czarną

plandekę służącą do przykrywania ładunku. Kładę się i zarzucam ją na siebie. Jestem ukryty. Dzwonimy do siebie, dzięki czemu mogę wszystko słyszeć. Rachel siada za kierownicą.

Leżę w ciemności. Pięć minut później słyszę głos Rachel:

– Podjeżdżam do stróżówki.

Dociera do mnie stłumiona rozmowa, a potem Rachel się przedstawia. Oczywiście nie wiem, co się dzieje. Leżę w ciemnym bagażniku. Próbuję się nie poruszać.

– Dziękuję! – woła Rachel z udawaną wesołością i znów ruszamy. – David, słyszysz mnie?

Wyłączam wyciszenie w telefonie.

– Jestem.

– Za mniej więcej piętnaście sekund dotrę do zakrętu, o którym ci mówiłam. Jesteś gotowy?

– Tak.

Już to omówiliśmy. Wzdłuż drogi prowadzącej do posiadłości rosną szmaragdowe rośliny zimozielone. Rachel powiedziała mi, że w jednym miejscu być może – być może – będę w stanie niezauważenie wyskoczyć z auta i ukryć się za krzewami.

– Teraz – mówi.

Samochód staje. Wsiadam z bagażnika i zatraskuję klapę. Zajmuje mi to nie więcej niż trzy sekundy. Wskakuję za krzewy, a Rachel jedzie dalej. Kiedy wstaję, roztacza się przede mną imponujący widok. Posiadłość Payne'ów wybudowano na szczycie urwiska. W oddali, za połacią zieleni, dostrzegam fale Atlantyku. Trawniki wyglądają, jakby przystrzygali je bogowie. Niektóre krzewy mają kształt zwierząt, ludzi, nawet wieżowców. Potężna fontanna stojąca na środku ma postać współczesnej rzeźby przedstawiającej głowę zbudowaną z luster, z której ust tryska woda. Przypomina mi *METALmorphosis* Davida Černego w Karolinie Północnej. Rezydencja wznosi się po prawej stronie. Spodziewałem się wystawnego

arcydzieła, ale Payne'owie postawili na białą kubistyczną formę. Pomimo modernistycznego wyglądu ściany budynku są porośnięte bluszczem. Po lewej stronie znajduje się pole golfowe. Widzę tylko dwa dołki, ale to prywatny teren w najbardziej ekskluzywnym zakątku zatoki Easton, więc ile powinno ich być? Dostrzegam też dwa wodospady oraz basen bez krawędzi, wtopiony w ocean.

Na zewnątrz nikogo nie ma. Panuje całkowita cisza, nie licząc dalekiego huku fal.

Co teraz?

Nasz plan – trzeba przyznać, że dość kiepski – polegał na tym, że będę kręcił się po terenie posiadłości, próbując zobaczyć... cokolwiek. W najlepszym wypadku Matthew. Wiem, wiem, ale co innego możemy zrobić? Rachel porozmawia z Haydenem. Może nawet stawi mu czoło. A jeśli to nie zadziała, a ja nie znajdę Matthew ani żadnych wskazówek...

Wciąż pozostanie mi pistolet.

Czuję się dziwnie bezpiecznie. Oczywiście zakładam, że całkiem zabawna Irene zadzwoniła na policję. W końcu sprawdzą monitoring i namierzą nas w Newport, ale wciąż mamy czas. A przynajmniej tak sądzę.

Skradam się podjazdem, trzymając się blisko zarośli. Kiedy jestem już niedaleko drzwi wejściowych, kucam i zaczynam obserwować okolicę. Rachel kieruje się do wejścia. Jestem może pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt metrów od niej. Posiadłość jest ogromna, co wcale mnie nie dziwi.

Kiedy Rachel podchodzi do drzwi, otwierają się.

Hayden Payne wychodzi z domu.

Rozdział 37

Gertrude Payne skończyła pływać w basenie. Od trzydziestu lat każdego dnia pływała nieprzerwanie przez czterdzieści pięć minut. Większość czasu spędzała w Newport, ale jej posiadłość w Palm Beach oraz ranczo w Jackson Hole również były wyposażone w baseny, zarówno kryte, jak i odkryte. To było dla niej ważne. Taki trening wspaniale wpływał na zdrowie. Oczywiście pływała wolniej niż kiedyś, co było zrozumiałe w jej wieku. W młodości chciała zostać zawodniczką, jednak ku jej rozczarowaniu w tamtych czasach ojciec Gertrude uważał, że „dziewczęce sporty” to strata czasu. Mimo wszystko uwielbiała wodę i towarzyszący pływaniu spokój myśli, gdy słyszała jedynie miarowy rytm swojego oddechu.

Jeden z jej prawnuków nazywał to „odpoczynkiem psychicznym Pixie”.

Nie mylił się.

Kiedy wyszła z wody, Stephano już czekał z ręcznikiem.

– Co się stało? – spytała.

– Przyjechała Rachel Anderson.

Zrelacjonował rozmowę telefoniczną Haydena z dawną koleżanką ze studiów. Podsluchiwali go od czasu, gdy Burroughs uciekł z więzienia. Hayden bywał irracjonalny jak dziecko. Kierował się uczuciami i ulegał wahaniom emocji.

– Co powinniśmy zrobić? – spytała Gertrude, kiedy Stephano skończył.

– To wymyka się nam spod kontroli.

– Nie wierzysz, że ona chce prosić o pomoc w zidentyfikowaniu kogoś na zdjęciu?

Stephano zmarszczył czoło.

– A pani?

– Nie. Masz jakiś plan?

– Według serwisów informacyjnych Rachel Anderson pomogła skazanemu dzieciobójcy w ucieczce z federalnego więzienia – zaczął Stephano typowym dla siebie rzeczowym tonem. Zawsze zachowywał spokój i panował nad sobą, nigdy się nie denerwował, niezależnie od okoliczności. – Nie będę owijał w bawełnę. Powinniśmy ją złapać, dopóki tutaj jest. Dowiemy się, gdzie się ukrywa David Burroughs. Ona na pewno to wie. Znajdziemy go i postaramy się, żeby oboje zniknęli. Na dobre. Każę jednemu ze swoich ludzi, żeby zabrał stąd jej samochód, więc kiedy policja dowie się, że tutaj była, będziemy mieli dowód na to, że odjechała. Powiemy, że chciała obejrzyć kilka zdjęć.

– Więc ona i Burroughs po prostu... znikną? – spytała Gertrude.

– Tak.

– A policja uzna, że uciekli?

– Pewnie tak. Oczywiście będą dalej prowadzili poszukiwania.

– Ale nigdy ich nie znajdą.

– Nigdy – potwierdził Stephano.

– A jeśli już komuś powiedzieli?

Uśmiechnął się.

– Nikt by im nie uwierzył. A nawet jeśli, nasi prawnicy zduszą to w zarodku.

Gertrude się zamyśliła. W pewnym sensie to nie było nic nowego. Najlepszym sposobem na pozbycie się problemu jest pozbycie się problemu.

– Naprawdę nie ma innego wyjścia? – spytała w końcu.

Stephano nie odpowiedział. Nie było potrzeby.

– Kiedy Rachel tutaj będzie?

– Właśnie podjechała – odparł Stephano. – Czekam tylko na pani zgodę.

– Masz ją.

• • •

Hayden wyszedł za próg i uściskał Rachel. Pozwoliła mu na to, próbując się nie skrzywić. Ale teraz już wiedziała. Nie miała żadnych wątpliwości. Wyczuwała w nim kłamstwa, oszustwa i zło. Na przestrzeni lat często to okazywał. Skłonność do przemocy. Jego rodzina to tuszowała, a ona akceptowała – nawet pochwałała – jego czyny, ponieważ były jej na rękę. Tamtego wieczoru ją ocalił. Była tego świadoma i to sprawiło, że postrzegала go w spaczony sposób. Jakaś część niej o tym wiedziała. Inna część wyczuwała, że jest z nim coś nie tak, ale Rachel pozwalała się oszukiwać. W końcu jej pomógł. Poza tym był bogaty i wpływowy, a przebywanie w jego towarzystwie podniecało ją i dawało jej radość.

– Cieszę się, że znów tu jesteś – odezwał się Hayden, wciąż ją obejmując. – Zbyt długo nie przyjeżdżałaś do tego domu.

Kiedy cofnął się i popatrzył na jej twarz, spróbowała się uśmiechnąć.

– Co się stało? – spytał.

– Możemy przejść się po ogrodzie?

– Oczywiście. Myślałem, że chcesz mi pokazać jakieś zdjęcia.

– Za chwilę to zrobię, ale najpierw chcę porozmawiać, jeśli to ci nie przeszkadza.

Hayden pokiwał głową.

– Będzie mi miło.

Ruszyli w ciszy w stronę bocznego ogrodu. Rachel widziała przed nimi fontannę z lustrzaną głową i słyszała szum oceanu.

– Jest piękny, prawda? – odezwał się Hayden.

– Tak.

– Widzisz go tak samo jak ja, prawda?

– Nie jestem pewna, co masz na myśli.

– Oboje dostrzegamy to piękno. Oboje doświadczamy tego samego. Zatrudniamy tutaj wielu ludzi, którzy pracują w domu i poza nim. Mają oczy, tak samo jak ja, i widzą te same widoki. Doświadczamy ich w identyczny sposób. Nie

mamy tutaj specjalnej platformy widokowej dla bogatych. Więc dlaczego tak nam zazdroszcza? Widzimy to samo. Możemy doświadczać tej samej przyjemności.

Wiedziała, że Hayden lubi to robić – usprawiedliwiać swoje bogactwo na różne sposoby. Wolą nie wchodzić do tej króliczej nory. Przebiegła wzrokiem wzdłuż żywopłotu, wypatrując Davida, ale albo dobrze się ukrył, albo go tu nie było.

– Hayden?

– Tak?

– Ja wiem.

– O czym?

– Masz Matthew.

– Słucham?

– Możemy darować sobie zaprzeczanie? Znam prawdę. Wymyśliłeś tę włoską aktorkę. Wyprowadziłeś się do Europy, żeby nikt nie zobaczył chłopca. Twoja rodzina jest megabogata, ale rzadko bywasz ofiarą plotek, więc paparazzi nie próbują za wszelką cenę zdobyć zdjęć syna, którego rzekomo wychowujesz.

Hayden szedł z rękami za plecami. Podniósł wzrok ku niebu i zmrużył oczy.

– Udało mi się zdobyć cyfrową wersję tamtego zdjęcia i je powiększyłam – ciągnęła. – Chłopiec na fotografii trzyma za rękę mężczyznę. To twoja ręka, Hayden.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Poznałam twój sygnet.

– Myślisz, że tylko ja noszę sygnet z Uniwersytetu Lemhall?

– Byłeś wtedy w parku rozrywki? Tak czy nie?

– A jeśli powiem, że nie?

– Nie uwierzę ci – odparła Rachel. – Czyje ciało leżało w łóżku Matthew?

– Opowiadasz bzdury.

– Chciałabym, żeby tak było, naprawdę. David ma pewną teorię.

– David Burroughs. – Hayden zachichotał w wymuszony sposób. – Zbiegły więzień, któremu pomagasz.

– Tak.

– Och, nie mogę się doczekać, kiedy to usłyszę.

– Uważa, że byłeś we mnie zakochany.

– Czyżby?

– Chyba nawet to dostrzegałam. Wiedziałam, że ci się podobałam, kiedy byliśmy w college'u. Sądziłam, że dlatego, że połączyło nas takie straszne doświadczenie.

– Masz na myśli to, że uratowałam cię przed gwałtem? – spytał Hayden lodowatym tonem.

– Tak, właśnie to mam na myśli.

– Powinnaś być mi wdzięczna.

– Byłam. Jestem. Ale źle to rozegraliśmy. Powinniśmy byli to zgłosić.

– Zostałbym wydalony albo spotkałoby mnie coś jeszcze gorszego.

– Może właśnie tak powinno się stać.

– Dlatego, że cię uratowałam?

– W takim wypadku władze uczelni być może by cię zrozumiały. Ale nigdy się tego nie dowiemy. Zamiast tego zachowaliśmy to w tajemnicy. Tak się zawsze dzieje w wypadku Payne'ów, prawda? Twoja rodzina używa swoich wpływów, żeby ukryć to, czego nie chce oglądać.

– O tak – odparł Hayden. – Bogaci są źli. Cóż za intrygujący wniosek.

– Nie chodzi o zło ani dobro, tylko o odpowiedzialność za swoje czyny.

– Wierzysz w Boga, Rachel?

– Jakie to ma znaczenie?

– Ja tak. Wierzę w Boga. Tylko popatrz, co mi dał. – Rozłożył ręce i obrócił się wokół własnej osi. – Popatrz, Rachel. Zobacz, co dał rodzinie Payne'ów. Myślisz, że to był przypadek?

– Owszem, tak myślę.

– Bzdura. Wiesz, dlaczego bogaci czują się wyjątkowi? Ponieważ tacy są. Albo wierzysz w sprawiedliwego Boga, który nas nagroził, albo wierzysz, że świat opiera się na chaosie i ślepym szczęściu. Co wybierasz?

– Chaos i ślepe szczęście – odparła. – Gdzie jest Matthew, Hayden?

– Nie, nie. Chcę usłyszeć teorię Davida. Mówiłaś, że według niego byłem w tobie zakochany. Zacznijmy od tego.

– Tak było, prawda?

Zatrzymał się, obrócił twarzą w jej stronę i rozłożył ręce.

– Kto powiedział, że nadal nie jestem?

– Kiedy poprosiłam Barb Matteson, żeby zapisała Cheryl na wizytę w klinice, ona ci o tym powiedziała?

– A co, jeśli tak?

– Na pewno byłeś zdenerwowany. Chciałeś mnie dla siebie, a tymczasem postanowiłam zajść w ciążę, korzystając z banku nasienia. Nie widziałeś w tym sensu, prawda?

Hayden wyszczerzył zęby.

– Masz przy sobie telefon? – spytał.

– Mam.

– Daj mi go.

– Po co?

– Chcę się upewnić, że tego nie nagrywasz.

Zawahała się. Wciąż szczerzył się jak szaleniec. Rozejrzała się, próbując dyskretnie poszukać wzrokiem Davida. Nigdzie go nie było.

– Daj mi telefon, Rachel. – Jego głos stał się ostrzejszy.

Nie miała wyboru. Sięgnęła do kieszeni, mając nadzieję, że odnajdzie palcem czerwony guzik kończący połączenie, zanim Hayden cokolwiek zauważy, ale chwycił ją za rękę.

– Au! Co ty robisz, do cholery?

Włożył rękę do jej kieszeni, wyjął telefon i popatrzył na ekran.

– Co to za telefon?

– Na kartę.

Wbił w nią wzrok.

– Chcę wysłuchać dalszego ciągu waszej teorii.

– Jak się poczułeś, kiedy usłyszałeś, że skorzystam z banku nasienia? – spytała.

– Tak samo jak za każdym razem, gdy zaczynałaś się spotykać z jakimś nowym żalosnym, godnym pogardy chłoptasiem. Co za marnotrawstwo.

– To powinieneś być ty – odparła.

– To powinienem być ja. Uratowałem cię, Rachel. Powinnaś być moja.

– Klinika leczenia niepłodności należała do twojej rodziny.

– Mów dalej.

– Dlatego łatwo byłoby to zaplanować. Groziłeś komuś czy wybrałeś przekupstwo?

– Rzadko trzeba komukolwiek grozić. Zazwyczaj wystarczą pieniądze i umowy poufności.

– Zadbaleś o to, żeby użyto właśnie twojego nasienia.

Hayden zamknął oczy, uśmiechnął się i wznosił twarz ku niebu.

– Jesteśmy tutaj sami – powiedziała Rachel. – Możesz wyznać prawdę.

– Szkoda, że to zrobiłaś.

– Co zrobiłam?

Pokręcił głową. Już się nie uśmiechał.

– Myślałeś, że jak to się skończy, Hayden?

– Myślałem, że urodzisz mi syna, a ja powiem ci o tym później.

– To by mnie skłoniło do zakochania się w tobie?

– Być może. Tak czy inaczej, stalibyśmy się rodziną. W najgorszym wypadku odepchnęłabyś mnie i wychowała moje dziecko. Ale możliwe, że wpuściłabyś mnie do swojego życia. Nie jesteś odporna na wpływy mojej rodziny. Pamiętasz tamtą wiosnę, kiedy poleciliśmy prywatnym samolotem do posiadłości na Antigui? Widziałem twoją twarz. Byłaś zachwycona. Uwielbiałaś imprezy. Uwielbiałaś to poczucie mocy. Po części dlatego zbliżyliśmy się do siebie. Tak więc owszem, mój

plan polegał na zapłodnieniu cię. Po co miałabyś korzystać z nasienia kogoś anonimowego, skoro mogłaś dostać moje?

– Czyli kogoś wyjątkowego w oczach Boga – dodała.

– Właśnie. Świetne geny. Ktoś, kto się o ciebie troszczy. Takie rozwiązanie miało najwięcej sensu.

– Tylko że wcale nie poszłam na wizytę do kliniki.

– Otóż to. Przechytrzyłaś pracowników instytutu. Cóż za ironia, że teraz opowiadasz o tym, jak moja rodzina wszystko niszczy przez ukrywanie tajemnic...

– ...podczas gdy moja siostra i ja robiłyśmy to samo.

– Tak, Rachel.

– Kiedy odkryłeś, że to była Cheryl, a nie ja?

– Kiedy nie zaszłaś w ciążę, a Cheryl owszem. Udałem się do kliniki, którą rzekomo odwiedziłaś. Pokazałem lekarce twoje zdjęcie. Nie rozpoznała cię. Wtedy pokazałem jej fotografię Cheryl... – Wzruszył ramionami.

– A potem?

– Czekałem. Planowałem. Obserwowałem. David i tak się rozsypał. Wiesz o tym, prawda? Jego małżeństwo nie przetrwałoby tego, co zrobiła Cheryl. To kłamstwo pożerało go żywcem. Chyba od początku wiedział, że to nie jest jego syn. Dlatego miałem na niego oko. Zachowywałem cierpliwość.

– Zabiłeś inne dziecko.

– Nie.

– Kogoś zamordowano tamtego wieczoru.

– Dlatego to tak długo trwało. Czekałem. Dałem tamtemu dziecku wspaniałe życie.

– Co to w ogóle znaczy?

– Nieważne.

– Dla mnie tak.

– Nie, Rachel, obchodzi cię tylko chłopiec, którego uratowałem tamtej nocy.

Mój syn.

– Wrobiłeś Davida w zabójstwo.

– Niezupełnie. Kiedy tamta staruszka zeznała, że widziała go z kijem baseballowym, byłem w szoku. Wiesz, co sobie pomyślałem?

– Powiedz.

– Że on zaczął wierzyć, że to zrobił, więc postanowił zakopać kij. Później dowiedziałem się, że ktoś miał na pieńku z jego ojcem. Ale nie, nie zamierzałem posłać Davida na resztę życia do więzienia. To nie była jego wina. Starał się, jak mógł, wychować mojego syna. Nie chciałem niepotrzebnie go krzywdzić.

– Po co takie drastyczne środki?

– A co innego miałem zrobić? Nie mogłem się przyznać, że kazałem, by klinika wykorzystała moją próbkę. – Podniósł dłoń. – A zanim zaczniesz moralizować, przypomnij sobie, kto to wszystko zaczął. Ty i twoja siostra. Wasze kłamstwa.

Rachel wiedziała, że jest w tym trochę prawdy.

– Więc kto o tym wie?

– Oczywiście Pixie. Stephano. To w zasadzie wszyscy. Sprowadziłem tutaj syna po tym, jak dokonałem podmiany. Przyznaję, że byłem spanikowany. Martwiłem się, że popełniłem straszny błąd. Pixie przeprowadziła badanie na ojcostwo. Okazało się, że chłopiec jest moim dzieckiem. Mieszkaliśmy w posiadłości Payne'ów przez prawie sześć miesięcy. Nie opuszczałem jej nawet na chwilę. Chłopiec początkowo był zdenerwowany. Często płakał. Nie mógł spać. Tęsknił za matką i... Davidem. Ale dzieci łatwo się przystosowują. Nadaliśmy mu imię Theo. Wymyśliliśmy historię o włoskiej aktorce. W końcu zabrałem go za ocean. Zapisalem do najbardziej prestiżowej szkoły z internatem w Szwajcarii. No i czekałem, aż to cholerne znamię zblednie. Lekarz powiedział, że tak się stanie. Ale nic z tego. Uparcie pozostawało na jego twarzy. To prawda, że nikt nie szukał Matthew. Uznano go za zmarłego, nie zaginionego. Ale podobieństwo między nim, ósmioletnim, a zabranym chłopcem...

– Hayden...

– Co?

– Wciąż możemy jakoś to poukładać.

– Niby jak?

– Oddaj Matthew.

– Tak po prostu?

– Nikt nie musi się dowiedzieć, gdzie był ani kto go przetrzymywał.

– Och, daj spokój. Oczywiście, że się dowiedzą. A ty nie możesz niczego udowodnić, Rachel. Dobrze o tym wiesz. Nigdy nie położysz na nim swoich rąk, a jeśli nawet ci się uda, to czy sądzisz, że zdołasz zmusić kogoś z rodziny Payne'ów do poddania się badaniu DNA? Poza tym, co właściwie wykaże takie badanie? Że jestem ojcem chłopca, a Cheryl jego matką. Powiem, że mieliśmy romans.

W tym momencie David wyszedł zza żywopłotu. Obaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu David przemówił:

– Gdzie jest mój syn?

Rozdział 38

– Gdzie jest mój syn? – pytam.

Wpatruję się w człowieka, który zniszczył mi życie. Moje ciało drży.

– David – odzywa się Rachel.

– Zadzwoń na policję – zwracam się do niej.

– Nie może – wtrąca się Hayden. – Mam jej telefon. Zresztą to bez znaczenia. Policja nie mogłaby wejść na teren naszej posiadłości bez nakazu. – Zbliża się do mnie o krok. – Ale myślę, David, że jakoś się dogadamy.

Zerkam na Rachel, a potem znów na niego.

– Gdzie jest Matthew?

– Nie ma żadnego Matthew. Zabiłeś go. Jeśli chodzi ci o Theo...

Nie muszę tego wysłuchiwać. Ruszam w stronę domu. Rozerwę go na kawałki, jeśli będę musiał. Nic mnie już nie obchodzi. Zobaczę syna.

Oboje za mną podążają.

– Chcesz wysłuchać mojej propozycji? – pyta Hayden.

Zaciskam pięść. Hayden jest za daleko, żebym mógł go uderzyć.

– Nie.

– On nie jest twoim synem. Pewnie już o tym wiesz. Ale zostałeś skrzywdzony. Zawsze było mi przykro, że zostałeś kozłem ofiarnym i skończyłeś w więzieniu. Dlatego pozwól, że ci pomogę. Wysłuchaj mnie, David. Moja rodzina ma wielkie wpływy. Możemy wywieźć cię z kraju, zapewnić ci nową tożsamość...

– Jesteś obłąkany.

– Nie, tylko posłuchaj.

Tego już za wiele. Jesteśmy mniej więcej dwadzieścia metrów od drzwi wejściowych. Odwracam się, rzucam się na Haydena i chwytam go jedną ręką za gardło.

– David! – woła Rachel.

Ale mam to gdzieś. Właśnie mam rzucić Haydena Payne'a na ziemię, gdy słyszę spokojny męski głos:

– No dobrze, wystarczy.

Mężczyzna jest krępy i ciemnowłosy. Ma na sobie czarny garnitur.

W dłoni trzyma pistolet.

– Puść go, David – nakazuje.

Mówi swobodnie, wręcz łagodnie, ale w tonie jego głosu jest coś, co sprawia, że uważnie się go słucha. Ma lodowate i martwe oczy. Wielokrotnie widywałem takie w więzieniu.

Nagle doznaję olśnienia.

Nie wiem, czy to właściwe słowo, ale musi wystarczyć. Wszystko trwa niecałą sekundę. Znam takich ludzi. Wiem, w jakiej znalazłem się sytuacji. Wiem, że on jest uzbrojony, a ja przebywam na terenie prywatnej posesji. Zdaję sobie sprawę, że przyszedł tutaj, by mnie zabić, i rozumiem, że muszę ochronić Rachel oraz Matthew, a sam nie mam niczego do stracenia.

Poruszam się jak błyskawica.

Trzymając Haydena za gardło, zasłaniam się nim jak tarczą.

Jednocześnie wolną ręką wyjmuję pistolet.

To nie jest mój pierwszy kontakt z bronią palną. Mój ojciec był policjantem. Zawsze przywiązywał dużą wagę do bezpiecznego obchodzenia się z bronią. On i wujek Philip w sobotnie popołudnia zabierali Adama i mnie na strzelnicę w Everett. Nauczyłem się całkiem nieźle strzelać, nie tylko do nieruchomych celów, ale także do losowo pojawiających się tekturowych sylwetek. Czasami pojawiał się złoczyńca, innym razem niewinny cywil. Nie byłem najlepszy w ich rozróżnianiu, ale pamiętam, czego nauczył mnie ojciec.

Żadnych strzałów w głowę. Żadnego celowania w nogi z zamiarem zranienia. Celuj w środek tułowia i zostaw sobie jak największy margines błędu.

Mężczyzna natychmiast orientuje się, co robię.

Podnosi broń, ale moja śmiałość, gwałtowność oraz tymczasowa tarcza w postaci Haydena zapewniają mi przewagę.

Strzelam trzy razy.

Mężczyzna pada na ziemię.

Hayden wrzeszczy i biegnie w stronę drzwi wejściowych. Odwracam się za nim, ale wtedy zauważam kolejnego człowieka z bronią.

Nie waham się.

Oddaję jeszcze trzy strzały.

Facet pada.

Nie wiem, czy ci dwaj mężczyźni nie żyją, czy tylko są ranni. Nie dbam o to. Hayden już jest w domu.

Biegnę w stronę pierwszego powalonego przeciwnika. Ma zamknięte oczy, ale chyba wciąż oddycha. Nie mam czasu sprawdzić. Nachylam się i wydaję mu pistolet z ręki. Następnie odwracam się do Rachel.

– Chodź! – wołam.

Robi to, co jej każę. Pędzimy w stronę drzwi. Martwię się, że będą zamknięte, ale tak nie jest. W takim miejscu nie trzeba zamykać drzwi. Wchodzimy do holu. Zatrząskuję za sobą drzwi i wręczam Rachel jeden z pistoletów.

– David?

– To do obrony. Na wypadek gdyby ktoś próbował dostać się do środka.

– Dokąd idziesz?

Ale przecież zna odpowiedź. Pędzę po schodach, z których dobiega odgłos biegnących stóp. Nie wiem, ilu uzbrojonych ludzi mają Payne'owie. Postrzeliłem już dwóch. Nie wiem, ilu jeszcze będę musiał postrzelić. Niepokoi mnie tylko, czy nie zabraknie mi amunicji.

Wnętrze domu jest białe i sterylne, niemal jak szpital. Dostrzegam bardzo niewiele barwnych akcentów. Ale i tak nie zwracam na nie uwagi. Podążam za echem kroków.

– Theo!

Głos Haydena.

Mocniej zaciskam dłoń na rękojeści i dalej biegnę korytarzem. Nagle pojawia się w nim stara kobieta.

– Hayden? Co się dzieje?

– Pixie, uważaj!

Kobieta odwraca się i nasze spojrzenia się spotykają. Wytrzeszcza oczy, kiedy mnie widzi. Wie, kim jestem. Pędzę korytarzem w kierunku, z którego dobiega głos Haydena. Kobieta się nie porusza. Patrzy na mnie wyzywająco. Nie chcę powalić starszej pani, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Na razie nie widzę takiej potrzeby, więc mijam ją i biegnę dalej.

– Pixie?

To znów Hayden. Jest tuż przede mną, w pokoju po lewej. Wpadam do środka i podnoszę broń. Zaraz powie mi, gdzie jest mój syn, albo...

Wtedy widzę Matthew.

Zamieram. Trzymam pistolet w garści. Mój syn podnosi na mnie wzrok. Nasze spojrzenia się krzyżują, a ja rozpoznaję oczy swojego chłopca. Na Times Square czułem się przytłoczony nadmiarem bodźców. Teraz doświadczam czegoś podobnego, ale wszystko dzieje się w moim wnętrzu, w mojej krwi i żyłach. Słyszę pulsujący szum, który wypełnia całe moje ciało i nie znajduje drogi ucieczki. Być może dygoczę. Nie jestem pewien.

Potem zauważam dłonie na jego ramionach.

– Theo – odzywa się Hayden, próbując uspokoić głos. – To mój przyjaciel David. Bawimy się pistoletami, prawda, David?

Przychodzi mi do głowy dziwna myśl. Matthew ma osiem lat, a nie cztery. Nie nabierze się na taki tekst. Widzę to na jego twarzy. Jakaś część mnie chce to

natychmiast zakończyć, podnieść broń i odstrzelić tego skurwiela. Ale jest tutaj mój syn. Czy mi się to podoba, czy nie, uznaje tego człowieka za swojego ojca. Widzę, że się go nie boi. Za to boi się mnie, chociaż boli mnie serce, gdy o tym myślę.

Nie mogę zastrzelić Haydena na jego oczach.

– David, to mój syn Theo.

Czuję swój palec na spuście. Już zastrzeliłem dwie osoby. Czym jest jedna więcej?

Z oddali dobiega jakiś odgłos. Pokój, podobnie jak reszta domu, jest urządzonej wspólnie i ma sięgające podłogi okna. Podchodzę do nich i wyglądam na zewnątrz. Na trawniku ląduje śmigłowiec.

Starsza pani, którą Hayden nazwał Pixie, wchodzi do pomieszczenia i staje obok mnie.

– Chodź, Theo. Czas na ciebie.

– On nigdzie się nie wybiera – odpowiadam.

Pixie patrzy mi w oczy i na jej twarzy pojawia się delikatny uśmiech.

– Jaki masz plan, David? Wezwaliśmy miejscową policję. Freddy... tak ma na imię tutejszy komendant... już tutaj jedzie z połową swoich ludzi. Wiedzą, że jesteś uzbrojony, niebezpieczny i już postrzeliłeś dwie osoby. Stephano chyba nie żyje. Freddy go uwielbia. Raz w tygodniu grają w pokera. Jeśli będziesz miał szczęście... jeśli odłożysz broń i staniesz na trawniku z wysoko podniesionymi rękami... być może, ale tylko być może, cię nie zastrzelą.

– Wiem, co oboje zrobiliście – mówię.

– Ale nigdy nie uda ci się tego udowodnić. Jakie masz dowody?

Patrzę na Theo. Już nie sprawia wrażenia wystraszonego. Jest raczej zaskoczony i zaintrygowany, a mnie pęka serce, ponieważ bardzo przypomina swoją matkę.

– Myślisz, że co się stanie? – kontynuuje Pixie. – Zrobią chłopcu badanie DNA? Nie ma mowy. Potrzebowałbyś nakazu sądowego. Musiałbyś przekonać

sędziego, że jest ku temu istotny powód, a my znamy każdego sędziego w tej części świata. Mamy najlepszych prawników. Współpracujemy ze wszystkimi politykami. Będziemy w Europie, zanim ty znów wylądujesz w Briggs.

– Poza tym jest tak, jak mówiłem Rachel – wtrąca się Hayden. – Myślisz, że co wykaże badanie? – Uśmiecha się szeroko. – Chcesz wychować chłopca, w którego żyłach płynie krew Payne’ów? On jest moim synem.

Zerkam na staruszkę i dostrzegam dziwny grymas na jej twarzy.

– Nie, Hayden, mylisz się – odpowiadam.

Hayden sprawia wrażenie zaskoczonego. Patrzy na Pixie, a ta wbija wzrok w podłogę.

– Nie uwierzyłem żonie, kiedy powiedziała, że nie poddała się procedurze sztucznego zapłodnienia – ciągnę. – Myślę, że w naszym małżeństwie to była kropla, która przepełniła czarę. Próbowaliśmy z Matthew, ale wątpię, żebyśmy przetrwali jako para.

Hayden patrzy na Pixie.

– O czym on mówi?

Wyjmuję telefon.

– Udało mi się dostać do swojej starej skrzynki mailowej. Proszę. Te wiadomości pochodzą sprzed ośmiu lat. Kiedy dowiedziałem się, że Cheryl była w klinice, wykonałem badanie na ojcostwo. A nawet dwa, dla pewności. Potwierdziły, że jestem ojcem Matthew.

Jego oczy niemal wychodzą z orbit.

– To niemożliwe – rzuca. – Pixie?

Starsza kobieta go ignoruje.

– Chodź, Theo – mówi.

– Nie – sprzeciwiam się.

– Nie zastrzelisz mnie.

– Ale ja to zrobię.

To Rachel. Wchodzi do pokoju z bronią w ręce.

– Hayden?

Hayden kręci głową.

– Niech zgadnę – odzywa się Rachel. – Sprowadziłeś tutaj Matthew. Byłeś spanikowany i zastanawiałeś się, czy postąpiłeś słusznie. Tak mi powiedziałaś, prawda?

Hayden wciąż kręci głową. Słyszę zbliżające się syreny.

– Gdyby badanie wykazało, że nie jesteś ojcem chłopca, co byś zrobił? Pewnie wyznał prawdę. – Rachel spogląda na Pixie. – Ale ona nie mogła do tego dopuścić. Skłamała, Hayden. Nie jesteś ojcem Matthew... choć to nie powinno mieć znaczenia. Bycie ojcem to nie tylko biologia. Ale ten chłopiec jest synem Davida. Davida i Cheryl.

– Pixie? – Hayden brzmi jak małe dziecko.

Słyszę syreny. Przez chwilę myślę, że starsza pani zaprzeczy, ale chyba nie ma w sobie tyle siły.

– Oddałbyś go – mówi. – Albo zrobiłbyś coś jeszcze gorszego. W każdym razie zniszczyłbyś naszą rodzinę. Dlatego powiedziałam ci to, co chciałeś... powinienesz... usłyszeć.

Co najmniej dziesięć radiowozów pędzi podjazdem, a następnie zatrzymuje się w rzędzie przed domem.

– To bez znaczenia, Hayden – dodaje Pixie. – Musicie iść do śmigłowca.

– Nie.

Tym razem odzywa się mój syn.

– Chcę wiedzieć, co tu się dzieje – oświadcza Matthew.

– To wszystko część zabawy, Theo – odpowiada Pixie.

– Macie mnie za głupka? – Chłopiec patrzy na mnie. – To ty jesteś moim ojcem.

Nie wiem, czy to pytanie, czy stwierdzenie. Policjanci już są w domu, wbiegają po schodach, wołają, żebym wyszedł z podniesionymi rękami i tak dalej. Ale prawie ich nie słyszę. Ignoruję wszystkich poza synem.

Mój syn.

Mam ochotę przyklęknąć, ale Matthew ma już osiem lat, nie jest maluchem. Patrzę mu w oczy.

– Tak, jestem twoim ojcem. On cię porwał, kiedy miałeś trzy lata.

Syn na mnie patrzy. Nasze spojrzenia się krzyżują. Nie odwraca wzroku. Nie mruga. Ja też nie. To najczystsza chwila w moim życiu. Mój syn i ja. Razem. Wiem, że on też to widzi. Wiem, że rozumie.

Kiedy to sobie uświadamiam, w moje ciało trafia pierwszy pocisk.

Osiem miesięcy później

Stoję po lewej ręce cioci Sophie, gdy prosta sosnowa trumna z ciałem mojego ojca jest opuszczana do grobu. Philip i Adam Mackenzie nieśli trumnę. Policjanci – młodzi, starzy i emerytowani – stawili się licznie. Mój ojciec miał wielu przyjaciół. Od dawna nie był obecny w ich życiu, ale przyszli się z nim pożegnać.

Czuję na sobie wzrok wujka Philipa. Lekko kiwa głową; ten gest wiele znaczy. Zawsze mogłem na niego liczyć. Będę mógł także w przyszłości.

W posiadłości Payne'ów zostałem trzykrotnie postrzelony.

Strzałów byłoby więcej. Tak mi powiedzieli. Ale Matthew do mnie podbiegł. Kiedy policjanci to zobaczyli, wstrzymali ogień. Ja wtedy byłem już nieprzytomny.

Czuję, jak drobna dłoń chwyta mnie za prawą rękę. To dodaje mi otuchy. Odwracam się i uśmiecham do Matthew. Przenoszę wzrok na Rachel, która trzyma go za drugą rękę. Ona również posyła mi delikatny uśmiech, a ja czuję, że serce mi rośnie. Patrzę jej w oczy i daję znać, że wszystko jest w porządku.

Mój ojciec od dawna był chory. Był gotowy do odejścia. Myślę, że chciał wytrwać na tyle długo, by doczekać mojego oczyszczenia z zarzutów i ponownie zobaczyć wnuka.

Nawet nie wiecie, jak bardzo jestem za to wdzięczny losowi.

Wszyscy pochylamy głowy podczas odmawiania kadiszu. Jestem pierwszy w kolejce do ceremonialnego rzucenia garści piasku na trumnę ojca. Ciocia Sophie robi to jako druga. Trzymam ją za rękę, bardziej po to, żeby samemu nie stracić równowagi. Spędziłem dwa miesiące w szpitalu i przeszedłem sześć operacji. Podobno już zawsze będę musiał podpierać się laską, ale zamierzam dać z siebie wszystko podczas fizjoterapii.

Lubię beznadziejne sytuacje. Chyba mam w nich wprawę.

Po pogrzebie wracamy do starego domu w Revere, żeby rozpocząć sziwę. Duchy oczywiście też tam są, dziś jednak przez szacunek zachowują się cicho. Nikt z nas nie jest religijny, ale rytuał przynosi nam spokój. Przyjaciele przynieśli nam wystarczająco dużo jedzenia, żeby wypełnić Fenway Park. Siadam na niskim fotelu, zgodnie ze zwyczajem, i słucham opowieści o moim tacie. Czuję się pokrzepiony.

Ciocia Sophie teraz będzie mieszkała tu samotnie.

– Ta dzielnica to wszystko, co znam – powiedziała mi.

Oczywiście ją rozumiem.

Kiedy w kolejce żałobników pojawia się przerwa, ciocia trąca mnie w rękę i wskazuje Rachel, która pomaga ustawić na stole kolejną tacę z kanapkami Sloppy Joe.

– Więc ty i Rachel...? – pyta.

– To dopiero początki – odpowiadam.

Ciocia Sophie uśmiecha się, jakby chciała powiedzieć: „Nie ze mną takie numery”.

– Wcale nie takie początki. Bardzo się cieszę. Twój ojciec też był zadowolony.

Przełykam ślinę i patrzę na tę kochaną kobietę.

– Jestem przy niej szczęśliwy – zwierzam się. Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu byłem czegoś tak pewien.

Agent specjalny Max Bernstein stoi na końcu kolejki żałobników razem z partnerką, Sarah Jablonski. Oboje ściskają moją dłoń i składają kondolencje. Bernstein nerwowo rozgląda się po pomieszczeniu.

– Nie wiem, czy to właściwa chwila... – zaczyna.

– Na co?

– Na najnowsze wieści.

Patrzę na jego partnerkę, a potem znów na niego.

– Owszem, właściwa.

Jablonski przejmuje inicjatywę.

– Chyba mamy trop w sprawie... tożsamości ofiary.

Małego chłopca w łóżku Matthew. Spoglądam na Bernsteina.

– Payne'owie prowadzą w Europie sierociniec – tłumaczy Bernstein. – Na razie tylko tyle wiemy.

– Ale dowiemy się więcej – zapewnia Jablonski.

Wierzę im. Ale myślę, że to nie wystarczy.

Minęły trzy miesiące, zanim wyszedłem na wolność. Philip i Adam stracili pracę. Możliwe, że im, podobnie jak Rachel, zostaną postawione zarzuty udzielenia pomocy przestępcy. Poza tym policja robi dużo hałasu z powodu dwóch „ochroniarzy”, których postrzeliłem w posiadłości. Ale nasza prawniczka, Hester Crimstein, uważa, że nic z tego nie wyjdzie. Mam nadzieję, że ma rację.

Muszę rozprostować nogi, zwłaszcza tę, w którą dostałem kulkę, więc wstaję. Zamierzam ruszyć do kuchni, ale nagle się zatrzymuję.

W kącie stoi Nicky Fisher z założonymi rękami. Obserwuje mnie.

Poprzedniego wieczoru przyleciał z Florydy i pojawił się w domu w Revere. Poprosił, żebym do niego wyszedł i porozmawiał z nim na osobności na werandzie. Dwóch znajomych oprychów stało przy czarnym SUV-ie. Pomachali do mnie. Odwzajemniłem gest.

Nicky Fisher popatrzył na bezgwiezdne czarne niebo.

– Przykro mi z powodu twojego staruszka.

– Dziękuję.

– Opowiedz mi wszystko, David. Niczego nie pomijaj.

Tak też zrobiłem.

Wy także, podobnie jak Nicky Fisher, zapewne chcielibyście się dowiedzieć, że Gertrude i Hayden Payne'owie odsiadują długie wyroki w więzieniu. Nic z tego. Kiedy zostałem postrzelony, Max pojawił się w posiadłości. Wujek Philip wszystko mu wyznał, więc Max całkiem dobrze rozumiał, co się stało. To bardzo pomogło. Kiedy już mnie ustabilizowali, odwieźli mnie na oddział szpitalny w Briggs. Młyny

sprawiedliwości miałą bardzo powoli. Tak jak mówili Payne'owie, praktycznie nie było dowodów obciążających Haydena albo jego babkę. Nic nie wskazywało na to, że Hayden był zamieszany w zabójstwo albo porwanie, nie licząc faktu, że Matthew u niego przebywał. Nic nie wskazywało na to, że Gertrude Payne cokolwiek wiedziała, nie licząc tego, co powiedział jej wnuk, który twierdził, że chłopiec jest jego synem. W jaki sposób Matthew do niego trafił? Hayden opowiedział historię o włoskiej aktorce. Owszem, to były kłamstwa. Niektóre dość oczywiste. Ale kiedy ma się na swoich usługach prawników, sędziów i polityków zaprawionych w sztuce manipulacji, ta machina przestaje działać.

Pieniądze są smarem, który wprawia ją w ruch, ale mogą ją także zatrzymać.

Wyjaśniłem to wszystko Nicky'emu Fisherowi na werandzie. Słuchał mnie, ani razu nie przerywając, a kiedy skończyłem, powiedział:

– Tak być nie może.

– To znaczy jak?

– Żeby im się upiekło.

Potem zszedł z werandy, wsiadł do SUV-a i odjechał.

Teraz wrócił. Patrzymy sobie w oczy, a on kiwa głową. Ale u niego ten gest oznacza coś innego niż u wujka Philipa. Po plecach przebiega mi lodowaty dreszcz. Taki dreszcz może być czymś złym albo dobrym.

Podejrzewam, że dobrym dla mnie, a złym dla Payne'ów.

Przeciskam się między żałobnikami, kiwając głową, uśmiechając się, ściskając dłonie. Kiedy docieram do kuchni, widzę Ronalda Dreasona, męża Cheryl, który wygląda przez okno na podwórko mojego rodzinnego domu. Staję obok niego.

– Radzisz sobie jakoś? – pyta Ronald.

Kiwam głową.

– Dzięki, że przyszedłeś.

– Oczywiście – odpowiada.

Stoimy obok siebie, wyglądając przez to kuchenne okno. Cheryl tam jest. Trzyma na rękach czteromiesięczną córeczkę, Ellie. Zerkam na Ronalda, dumnego

ojca, i widzę, jak się do nich uśmiecha. Kocha Cheryl. Ja też się cieszę.

– Wasza córka jest piękna – mówię.

– Tak. – Ronald puchnie z dumy. – Jest piękna.

Na podwórku obok matki stoi Matthew.

To dla nas wciąż nowa sytuacja, ale na razie Cheryl i ja wspólnie wychowujemy syna. Matthew spędza tydzień z Cheryl i Ronaldem, a następnie tydzień z Rachel i ze mną. Jak dotąd to się sprawdza.

A jak się czuje Matthew?

Miewa senne koszmary, ale rzadziej, niż można było się spodziewać. Dzieci są wytrzymałe, a on nawet bardzo. Czy odbije się to na nim w przyszłości? Wszyscy twierdzą, że to prawdopodobne, ale pozostaję optymistą. Osiem lat to ciekawy wiek. Matthew jest wystarczająco duży, by zrozumieć większość z tego, co się stało. Nie możemy go okłamywać ani lukrować rzeczywistości. Hayden traktował go dobrze, dzięki Bogu, chłopiec spędził jednak większość życia bez rodziców w eleganckiej szwajcarskiej szkole z internatem. Wygląda na to, że bardziej tęskni za kolegami i nauczycielami niż za człowiekiem, którego kiedyś uważał za ojca. Mimo wszystko ma też pozytywne wspomnienia związane z Haydenem. Pyta mnie, jak to możliwe, że człowiek, który wyrządził tyle zła, mógł być tak serdeczny. Próbuję mu tłumaczyć, że ludzie są bardziej skomplikowani, niż nam się wydaje, ale tak naprawdę nie znam odpowiedzi.

Patrzę, jak Cheryl podaje synowi siostrzyczkę.

Matthew uwielbia małą. Trzyma ją delikatnie i ostrożnie, jakby była zrobiona ze szkła, ale jego twarz promienieje. Kiedy obserwuję swojego pięknego syna, czuję, jak Rachel mnie obejmuje. Ona również staje przy mnie i patrzy. Wszyscy razem próbujemy zbudować wspólne życie, a mój ojciec być może również skądś nas obserwuje.

Podziękowania

Autor (który od czasu do czasu lubi mówić o sobie w trzeciej osobie) przygotował listę osób, którym chciałby podziękować, w przypadkowej kolejności. Są to: Ben Sevier, Michael Pietsch, Wes Miller, Kirsiah Depp, Beth de Guzman, Karen Kosztołnyik, Lauren Bello, Jonathan Valuckas, Matthew Ballast, Brian McLendon, Staci Burt, Andrew Duncan, Alexis Gilbert, Janine Perez, Joseph Benincase, Albert Tang, Liz Connor, Rena Kornbluh, Mari Okuda, Rick Ball, Selina Walker, Charlotte Bush, Becke Parker, Sarah Ridley, Glenn O'Neill, Mat Watterson, Richard Rowlands, Fred Friedman, Diane Discepolo, Charlotte Coben, Anne Armstrong-Coben, Lisa Erbach Vance, Cole Galvin i Robby Hull.

W tym miejscu pisarze zazwyczaj zaznaczają, że sami odpowiadają za wszelkie pomyłki, ale przecież to ci ludzie są ekspertami, więc dlaczego to ja miałbym się korzyć?

Moje wyrazy wdzięczności otrzymują także George Belbey, Kathy Cabrera, Tom Florio, Lauren Ford, Hans Laaspere, Barb Matteson i Wayne Semsey. Ci ludzie (albo ich bliscy) szczerze wsparli wybrane przeze mnie organizacje charytatywne, a w zamian za to umieściłem ich nazwiska w tej powieści. Gdybyście chcieli w przyszłości wziąć udział w takim przedsięwzięciu, napiszcie na adres giving@harlancoben.com.